

Joaquin „Jack” Garcia, Michael Levin

GANGSTER

tłumaczenie Magdalena Rlipczuk

Kraków 2011

Copyright © for the translation by Magdalena Filipczuk 2011 ISBN 978-83-240-1623-5

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37 Dział sprzedaży: tel. ii 6199 569,

e-mail: czytelnicy@znak.com.pl Wydanie I, Kraków 2011

Druk: Drukarnia na Księżym Młynie, ul. Księży Młyn 14, Łódź

Dla mojej kochającej żony i cudownej córki, wspaniałych rodziców, rodziny i przyjaciół - dziękuję wam za zachętę, wsparcie, inspirację i zrozumienie okazywane przez te wszystkie lata.

Wszystkim mężczyznom i kobietom pracującym w organach ścigania, którzy codziennie ryzykują życiem, pracując jako tajni agenci - oby Bóg czuwał nad wami i nad waszym bezpieczeństwem.

Niechaj nikt nie śpi! Niechaj nikt nie śpi!

(...)

Lecz moja tajemnica jest zamknięta we mnie, nikt nie pozna mojego imienia! Nie, nie, na twoje ustaje złożę, gdy światło zaświeci!

A mój pocałunek roztopi ciszę, która czyni cię moja.

Aria Nessun Dorma z Turandot Pucciniego

CZĘŚĆ 1

WEJŚCIE DO GRY

PROLOG

Bitwa w Bloomingdale's

Petey Chops nie płacił swojej działki.

I gdyby wkrótce nie zaczął, trzeba byłoby go sprzątnąć.

W świecie mafii „płacenie swojej działki” oznacza dzielenie się -z tymi, którzy w hierarchii twojej mafijnej rodziny są nad tobą - zyskami z lichwy, przekrętów w branży budowlanej, hazardu, oszustw w grach liczbowych, prostytucji, handlu narkotykami, kradzioną biżuterią, pamiątkami sportowymi, zyskami z internetowej pornografii i wszelkiego innego rodzaju przestępczej działalności. Peter „Petey Chops” Vicini prowadził w Bronxie bardzo dochodowe interesy oparte na hazardzie i grach liczbowych, przynoszące mu miliony dolarów, (ako członek mafijnej rodziny Gambino powinien być dzielić się częścią tego bogactwa ze swym capo, człowiekiem, któremu składał raporty, oraz z „administracją” klanu - z szefem, jego zastępcą i z consigliere.

Nikt nie może tknąć żadnego Gambino, Lucchese czy jakiegokolwiek członka którejś z rodzin tworzących nowojorską La Cosa Nostra. Nikt nie może wtargnąć na jej terytorium, przejąć terroryzowanych przez nią ofiar albo wtrącać się w interesy. Jednak działanie pod parasolem ochronnym rodziny mafijnej ma swoją cenę. Żołnierz musi płacić

działkę. Musi dzielić się zyskami z tymi, którzy są nad nim. Żołnierz mafii musi też składać regularne raporty swoim zwierzchnikom. Niektórzy capo chcą spotykać się z podwładnymi codziennie. I lepiej, żeby taki żołnierz codziennie oddawał dołę. Nie robiąc tego, wydaie na siebie wyrok mafii; tymczasem Petey Chps od miesiący zalegał z pieniędzmi.. Nie płacił swojej działki.. Ukrywał się przed mafią. Szefem rodziny Gambino był Arnold „Zeke” Squitieri, mafioso w starym stylu, który unikał rozgłosu tak samo konsekwentnie, jak szukał go jego sławny poprzednik John Gotti. Squitieri był uznawany za przestępcę z racji uwikłania w biznes narkotykowy (tyle że jeśli chodzi o „kodeks” mafijny, zabraniający handlu narkotykami). Squitieri przydzielił Peteya Chopsa Gregowi DePalmie, innemu mafiosowi ze starej szkoły, który był capo czy też kapitanem w rodzinie Gambino od lat dziewięćdziesiąt tych, zaś członkiem klanu od roku 1977. Greg skończył siedemdziesiąt lat, kiedy wyszedł z więzienia za wymuszenia w Scores, klubie nocnym na Manhattanie, rozslawionym przez kontrowersyjnego prezentera radiowego Howarda Sterna.

Zarówno mafia, jak i FBI uważali Grega za dinozaura, za człowieka skończonego, czy też, mówiąc barwnym językiem mafii, za starego - niczym zdezelowana walizka - rupiecia. A przecież można było o nim powiedzieć wszystko prócz tego, że był człowiekiem złamanym. W ciągu kilku miesięcy po wyjściu z więzienia jego akcje w rodzinie Gambino znowu wzrosły. Wzrosły tak bardzo, że szef rodziny, Squitieri, pośród wielu innych zadań zlecił Gregowi spotkanie z żołnierzem klanu Gambino - jakże cennym źródłem dochodów Peteyem Chopsem - i wyciągnięcie od niego pieniędzy.

Petey Chops stał się solą w oku Grega. Po prostu nie składał raportów. Zawsze się czymś wykręcał. Mawiał na przykład:

- Greg, nie mogę się z tobą spotkać. Obserwują mnie. Śledzą. Nie chcę wpaść. Chciał przez to powiedzieć, że nie chce trafić za kratki.

- Hej - odpowiadał na to Greg - wszystkich nas obserwują! Masz się pojawić z forsą! A Petey Chops i tak nie przychodził. Mijały miesiące. DePalmę zaczęło denerwować marudzenie. Nale wpaść na pewien pomysł. Słyszał, że Petey Chops i jego dziewczyna w każdy poniedziałek o osiemnastej jadają w restauracji w domu towarowym Bloomingdale's w White Plains. W Presidents' Day, przypadający na 21 lutego, stary bo tak nazywano Grega, postanowił, że on sam, Robert Vaccaro, żołnierz z klanu Gambino, oraz ja odnajdziemy Peteya w Bloomingdale's i porządnie go przyciśniemy. Kim jestem? Tajnym agentem FBI, któremu udało się przeniknąć do siatki Grega DePalmy. Greg sądził, że jestem Jackiem Falcone, sławnym złodziejem biżuterii z południowej Florydy, i wcielił mnie do swego gangu. Nie miał pojęcia, że jestem zaledwie drugim w historii agentem FBI, który na dobre zadomowił się w strukturach mafijnych. Pierwszym był Joe Pistone, odgrywający rolę Donniego Brasco.

Wiedziałem, że Greg jest wściekły, ponieważ zależało mu na pieniądzach. Chodziło też o zasadę - czerpanie zysków z uprzywilejowanej pozycji w rodzinie mafijnej i niedzielenie się bogactwem... To fatalny błąd.

Owego dnia Greg, Vaccaro i ja siedzieliśmy w restauracji La Villetta w nowojorskim Larchmont, gdy Greg zwrócił się do mnie i wysapał:

- Posłuchaj, wybierzemy się na przejażdżkę.

Jak zwykle nie przedstawił planu wycieczki. Zawsze w takich chwilach ogamiał mnie niepokój, ponieważ nie panowałem wtedy nad sytuacją. Mogli mnie zabrać gdziekolwiek - na akcję czy nawet na mój własny pogrzeb. Nigdy nie wiedziałem, jaki jest cel „przejażdżki”.

- Dokąd jedziemy? - spytałem, starając się nie okazywać zaniepokojenia,

- Niech cię o to głowa nie boli - odparł Stary. - Ruszajmy do White Plains. i>Ajk ,!.

Co mogłem zrobić? Jeździłem wówczas hummerem, jak przystało na wziętego złodzieja biżuterii z południowej Florydy. JecWza mną agent FBI Bim Liscomb, członek śledzącej mnie grupy funkcjonariuszy. Podobnie jak ja, on też nie wyglądał na agenta. Był dobrze zbudowanym Afroamerykaninem, nosił brodę, która w epoce J. Edgara Hoovera była w niełasce. Za Hoovera agentów obowiązywał schludny wygląd - wystarczyły trzy wtopy i wylatywałeś. Chciałem, żeby Bim mnie osłaniał, ponieważ zupełnie nie wyglądał na agenta i nie jeździł jednym z tych nowiutkich samochodów z przyciemnianymi szybami, które zawsze zdradzają tajniaków. A jak ja sam wyglądam? Mam metr dziewięćdziesiąt i wagę sto siedemdziesiąt sześć kilogramów. Też nie wyglądam na agenta. Wyjechaliśmy z La Villietty i we trzech wpakowaliśmy się do mojego hummera. Nie mogłem powiedzieć przez telefon: „Bim, jadę do White Plains. Jedź za mną”. Miałem nadzieję, że zauważy, iż mój H2 rusza, i że dyskretnie pojedzie za nami. Jak zwykle jechałem

wolno, żeby nie zgubić ogona. Moje odrętwienie za kierownicą zawsze rozwścieczało Grega.

-Prowadzisz jak stara baba! – narzekał mój kompan – A pośpiesz się Jackie! Minie pięprzona godzina, zanim zajedziesz tam, gdzie ja dojeżdżam w pół!

- Zawsze wolno prowadzę – odpowiadałem mu wtedy. - Mam uraz po wypadku, który przeżyłem w dzieciństwie.

Gdyby Greg się spieszył, wyrzekałby: „Musimy szybko być na miejscu. To ma być jazda, do cholery?”. Wtedy udawałem, że tracę orientację w terenie, tylko po to, żeby go wkurzyć. Tym razem tak nie postąpiłem. Tkwiliśmy wszyscy w jednym samochodzie, moim samochodzie, a ja nadal nie miałem pojęcia, co robimy.

W drodze Greg wyjaśnił w końcu naturę naszej misji.

- Jedziemy do Bloomingdales - powiedział. - Mamy znaleźć tego sukinsyna Peteya Chopsa.

Uff, więc jeszcze nie kolej na mnie. To dobra wiadomość. Ale dlaczego szukamy kłamczego żołnierza mafii w domu towarowym? Greg wstrzymał się z kolejnymi objaśnieniami, mnie zaś jako członkowi jego gangu nie wypadało ciągnąć go za język.

Dotarliśmy do Bloomingdales, ale nie mieliśmy pojęcia, gdzie do cholery jest ta restauracja. Wszędzie wokół były artykuły gospodarstwa domowego i dywany. Z racji naszego zawodu nie byliśmy zaznajomieni z asortymentem domów towarowych. Mafiosi nie bawią się w handel detaliczny. Nasza trójka z pewnością nie wyglądała na klientów robiących zakupy. Wyglądaliśmy na mafiosów - ubrani jak spod igły, perfekcyjnie ogoleni i ostrzyżeni. Chwilę nam to zajęło, ale w końcu znaleźliśmy restaurację i zaczęliśmy czekać na Peteya Chopsa.

Osiemnasta. Nie ma Peteya.

Dziesięć minut później. Nadal go nie ma.

Osiemnasta piętnaście. Nic.

W pewnym momencie jeden z kelnerów rozpoznał Grega. Facet miał wygląd cwaniaczka opartego o barierkę toru wyścigowego albo kręcącego się koło bukmacherów w Vegas. Jeśli się miało jakiś powód, żeby być w kontakcie z syndykatem zbrodni w Westchester County, musiało się znać Grega DePalmę, a ten facet znał go z pewnością.

- Chcecie stolik, chłopcy? – kelner spytał Grega z uszanowaniem. Wszyscy odnosili się z szacunkiem do Grega, który nawet po siedemdziesiątce strzeliłby w pysk każdego, kto w jego opinii nie okazał mu należytego szacunku.

- Już jedliśmy - wyjaśnił Greg, rozcieszony z powodu nieobecności Peteya.

W owej chwili miałem dobre samopoczucie, ponieważ bez względu na to, co miało się stać, mnie stuknąć nie zamierzali. Tymczasem Greg wysapał:

- To sukinsyn... Gdzie on się podziewa?

Przywołał kelnera. Ilekroć byliśmy w miejscu publicznym, przyjmował stereotypowe zachowanie człowieka mafii.

- Znasz mojego kumpla Petea? Przychodzi tu w poniedziałki - wycharczał.

Kelner skinął głową.

- Zwykle przychodzi z dziewczyną - powiedział ostrożnie, nie wiedząc, jaka odpowiedź może się okazać tą niewłaściwą.

- Kiedy facet znów się pojawi - poinformował go Greg - powiedz mu, że jutro ma się ze mną spotkać w domu opieki w New Rochelle.

W domu opieki Urüted Hebrew Geriatric Center leżał w śpiączce syn Grega – Craig. Znajdował się w takim stanie od kilku lat, po niudanej próbie samobójczej. Był członkiem klanu Gambino, razem z Gregiem dostał wyrok w sprawie Scores, jednak współpracował z wymiarem sprawiedliwości w zamian za złagodzenie wyroku. Dla facetów ze starej szkoły; takich jak Greg, zachowanie syna było czymś nagannym. Taką też wiadomość przesłał Craigowi, który zawstydzony usiłował targnąć się na swoje życie. Ale zamiast umrzeć, popadł w stan nieodwracalnej śpiączki. Greg regularnie robił mafijne interesy przy łóżku Craiga, wychodząc ze słusznego założenia, że FBI nie jest aż tak nidelikatne, żeby umieszczać pluskwy w pokoju, w którym przebywa jego pogrążony w śpiączce syn.

Kelner skinął głową.

Greg spojrzał mu prosto w oczy.

-Powtórz co ci powiedziałem!- rzekł złowieszczo.

- Ma spotkać się z panem w domu opieki w New Rochelle – odparł przerażony kelner.

Greg przytaknął, a my pomyśleliśmy, że na tym koniec. Petey się nie pojawił, więc wyszliśmy z restauracji

i ruszyliśmy do wyjścia z domu towarowego.

Greg i Petey oparli się o ścianę i zaczęli rozmowę. Z początku mówili cicho. W tym czasie ja i Robert oglądaliśmy wystawione na witrynie artykuły. - Patrz na to! - powiedział Robert, podnosząc ze zdumieniem jakąś wazę. - Chcą czterysta dolarów za taki kawałek gówna! Zacząłem go podpuszczać. - Ty, jak to upuścisz, to będziesz musiał zapłacić!

Starałem się rozluźnić atmosferę. Nie wiedziałem, co się wydarzy, ale intuicja podpowiadała mi, że będzie to coś złego. DePalma mówił teraz podniesionym głosem. - Co się z tobą dzieje? - zapytał na tyle gośno, że ja i Robert też to usłyszeliśmy. Do diabła, połowa Bloomingdale's mogła go usłyszeć, tak wrzeszczał. Petey nie odpowiedział. - Ukrywasz się! - wykrzyknął Greg, coraz bardziej zdenerwowany - Ciągłe cię proszę, żebyś się pojawił, a ty nie raczysz złożyć mi raportu! - Mówię ci, że nie mogę się pojawić! - powiedział Petey, spoglądając niewyraźnie na Grega, na Roberta i na mnie. - Chcę forsy, która mi się należy! - upierał się Greg

Później dowiedziałem się, że Petey zainwestował zyski z hazardu i gier liczbowych, kupując złoża marmuru w Gwatemali, akurat tam, po czym interes splajtował. Może Petey umyślił sobie, że w porządku jest równoważenie strat poniesionych w biznesie w Gwatemali zyskami z jego mafijnych interesów.

W chwili gdy mijaliśmy dział z artykułami gospodarstwa donwwego, zauważyliśmy Peteya. Peteya Oiopsa we własnej osobie... Nie 2 jedna, lecz z dwoma dziewczynami u boku. On też nas spostrzegł i się zdenerwował. Trudno mu się dziwić. - Aaa... tu jest ten dupek! - wykrzyknął Greg, ruszając w jego stronę. Robert i ja trzymaliśmy się z tyłu. Greg podszedł do Peteya, który pocałował go w policzek, po czym zwrócił się ku jego dwóm towarzyszkom.

- Nie mają panie nic przeciwko temu? - spytał Greg, jak zwykle szarmancki. - Muszę z nim pomówić. - Dziewczęta, zajmijcie stolik w restauracji - rzucił nerwowo Petey. - Muszę pogadać z tymi facetami i zaraz przyjdę.

Panie oczywiście zrozumiały, że lepiej, jeśli nie będą świadkami tego, co stanie się za chwilę, cokolwiek to będzie, i się zmyły.

- Obserwują mnie - odparł wojowniczo Petey, podnosząc głos - i nie chcę, żeby widziano, że z się z kimkolwiek spotykam!

Mówił głośno i był podekscytowany. W ciągu dwudziestu czterech lat mojej kariery tajnego agenta nigdy nie widziałem, żeby podwładny zwracał się do szefa w sposób tak niestosowny i pozbawiony choćby krzty szacunku. W owej chwili, gdybym był prawdziwym gangsterem albo mafiosem, nie zaś pracownikiem organów ścigania, porządnie bym gościa wałnął! Myślałem: ależ pieprzonym dupkiem jest ten Petey

Chops! Stary, jeśli chcesz być członkiem mafii, musisz płacić swoją dolę! Dostajesz ochronę, musisz za nią płacić!

Wczułem się w sytuację. Wiem, że jestem agentem FBI, ale ten facet nie grał uczciwie. To była konfrontacja, a ja brałem stronę mojego capo Grega. Tamten facet zachowywał się jak palant. Nie mogłem uwierzyć, że podnosił głos, że był bezczelny i nie okazywał szacunku kapitanowi, którego poprzysiągł chronić.

- Przymknij się - nakazał mu Greg. Musiał być równie zdziwiony jak ja wojowniczością Peteya. W końcu Greg był capo, Petey był żołnierzem, a wokół byli ludzie. Znajdowaliśmy się w publicznym miejscu.

- To wszystko bzdury - warknął Greg. - Masz przychodzić. Masz składać raporty. - Nie chcę, żeby mnie widziano! - odparł Petey, coraz bardziej zdenerwowany. - Czego chcesz? - Czego chcę!? - wykrzyknął Stary, jakby właśnie zadano mu najgłupsze pytanie w historii. - Chcę, żebyś zaczął składać mi raporty, taki jest twój obowiązek!

Ich dyskusja ożywiła się jeszcze bardziej. Nie działo się to w bocznej uliczce, w jakimś ustronnym miejscu. Staliśmy w dziale artykułów gospodarstwa domowego Bloomingdales w White Plains, była

osiemnasta piętnaście, poniedziałek, Presidents Day. Wszędzie wokół byli ludzie -robili zakupy, kręcili się wokół nas i tak dalej. Byłem bezradny - wiedziałem, że facet zachowuje się skandalicznie, ale nadal nie miałem pojęcia, dokąd to wszystko zmierza.

- Chciałbym, żebyś kogoś poznał - oznajmił DePalma, ruszając w stronę Vaccaro, nowego aktywnego capo w naszym gangu.

„Aktywny” albo „uliczny” capo reprezentuje interesy szefa w miejscach publicznych, oszczędzając mu ryzyka wykrycia przez organa ścigania. Wielu przywódców rodzin mafijnych jest na zwolnieniu warunkowym za takie czy inne przestępstwo i może wrócić do więzienia, jeśli ktoś ich zobaczy w towarzystwie innych znanych kryminalistów.

- Nie chcę nikogo poznawać - zaprotestował Petey, ale Stary się tym nie przejął.

Obserwowałem wszystko uważnie, mając świadomość, że w każdej chwili sytuacja może wymknąć się spod kontroli.

- Nie, bracie, musisz go poznać - uparł się DePalma. - To jest Robert. To nasz przyjaciel.

Wyrażenie „nasz przyjaciel” stanowi specjalną formułę zapoznającą jednego człowieka mafii z innym.

- To dobry przyjaciel szefa - dodał Greg, by podkreślić wysoki status Roberta w rodzinie Gambino.

- Gównu mnie obchodzi, kim on jest, co robi i co wie - odrzekł Petey. - Nie będę składał raportów. To bzdura.

Robert zawrzał wściekłością.

Obserwowałem sytuację spod oka i zająłem taką pozycję, by móc podsłuchiwać.

- Hola, twardzielu! - Robert był już potężnie rozwścieczony i zabierał się do bicia. - Ciszej!

- Pieprzę was! - krzyknął Petey tak głośno, że sprzedawcy i obsługa obejrżeli się za nim.

Byłem zaskoczony. Nikt się w ten sposób nie zwracał do takiego szefa jak Greg.

To ostatecznie rozjuszyło Roberta. Chwyił z wystawy solidny świecznik Kosta Boda o długości prawie trzydziestu centymetrów* i walnął nim Peteya Chopsa w głowę. Wśród gapiów rozległy się szmery. Petey Chops nieprzytomny runął na podłogę.

Nagle moje odczucia się zmieniły - od „ten facet to dupek i ktoś powinien mu dokopać” do „cholera jasna, jestem agentem FBI i właśnie jestem świadkiem, jak ktoś zarobił. Powinienem go cli ronić i nie dopuścić do tego, by został zabity”.

PROLOG. BITWA W B100MINB0ALES

Gdyby Robert chwycił go za kłapy i na niego nawrzeszczał, okej, to byłoby w porządku. Ale to był cios zadany z wyraźnym zamiarem zabicia faceta. Petey miał zostać zrugany, a nie zbity do nieprzytomności. Tymczasem ten jeden cios mógł go zabić.

Robert właśnie miał znowu go uderzyć, gdy tamten leżał na ziemi, więc wyjąłem mu z ręki świecznik i odrzuciłem go.

-Wstawaj skurwielu! –krzyczał Robert do Peteya – Wstawaj, twardzielu! Co się stało? Już nie jesteś takim twardzielem, co? No dalej! Powiedz coś! Powiedz coś, ty kupo gówna!

-Tak ty pieprzony sukinsynu! – krzyczał Greg, przyłączając się do tych wrzasków. To było szaleństwo. Musiałem zabrać tych facetów daleko od Peteya Chopsa. – chcieli go zabić, tam w dziale artykułów gospodarstwa domowego Bloomingdale’s.

-Chodźcie! Krzyknąłem do Vaccaro i DePalmy – spadajmy stąd! Zapuszczają nas! Ale oni nawet nie drgnęli. Tacy gangsterzy jak oni nie boją się, że zostaną aresztowani Robert zwrócił się do ledwie przytomnego Peteya Chopsa.

- Nie jesteś już takim twardzielem, co? - szydził. - No powiedz coś, twardzielu! No dalej, wstawaj!

- Za co to było? - zapytał Petey Chops, wstając. Był kompletnie oszołomiony, a z głowy ciekła mu krew.

- Pójdiesz w odstawkę! - warknął do niego DePalma.

To oznaczało, że rodzina Gambino odetnie się od Chopsa i nie będzie chroniła jego przestępstw. Inny Gambino może wtedy przejąć jego interes. Kara nie była dożywotnia - jej odwołanie zależało od tego, czy winowajca okaże skruchę. Pomijając śmierć, była to jedna z najgorszych rzeczy, jakie mogą przytrafić się gangsterowi.

Nagle uświadomiłem sobie, że z pewnością rozczarowałem i zdziwiłem Roberta i Grega, nie biorąc udziału w biciu Peteya. Jednak DePalma także wyglądał na zaniepokojonego sytuacją. Petey był mianowanym członkiem mafii i niezależnie od tego, jak by się zachował, Robert nie miał prawa go uderzyć. Ja stałem pośrodku tego wszystkiego, myśląc: jeśli nie wezmę w tym udziału, może dojść do

wsypy, ale jeśli się w to włączę, Petey może zostać zabity. Petey usiadł. Był cały we krwi. –Dlaczego to zrobiliście? – zapytał znowu – Dajcie spokój, ja żartowałem!

-Wcale nie żartowałeś – odpowiedział DePalma, zniesmaczony –Zachowałeś się jak palant.

Petey nie przywykł do tego, by ktokolwiek tak się do niego zwracał. Nawet jego capo. Rozsierdzony wstał i szedł w naszym kierunku. Vaccaro natychmiast ściągnął z wystawy nóż stołowy z zestawu sztućców Ralph Lauren Polo.

-Jeszcze chila, a cię dźgnę, ty sukiny! – krzyknął Vaccaro. Wokół nas zdażył się już zebrać spory tłum. Ludzie przyglądali się tej zadziwiającej erupcji brutalności w miejscu publicznym. Greg nie zważał na to, że ma publiczność.

- Lepiej pojaw się jutro albo pójdiesz w odstawkę, rozumiesz? – powiedział do Peteya.

Tu odezwało się moje przeszkolenie agenta FBI - wiedziałem, że muszę chronić życie ludzkie. Jakoś zdołałem wyjąć nóż z ręki Vaccaro i rzucić go na stół. W końcu odciągnąłem Roberta i Grega na klatkę schodową, z dala od Peteya - w przeciwnym razie Robert dźgnąłby go w oko lub w serce. Ale Petey nas dogonił. Krwawił tak, że upaprał cały mój cholerny płaszcz i gdy już byliśmy na schodach, krzyczał:

- Czemu to zrobiliście! Nie rozumiem, czemu to zrobiliście!

* Nóż był marki Equestrian Flatware Collection Ralpa Laurena. Tym razem dzięki stronie Bloomingdales dowiadujemy się, że „inspiracją dla niego było klasyczne piękno skórzanej uzdy; cechują go bogate rzeźbienia i obfitość szczegółów. Nierdzewna stal. Można myć w zmywarce”.

- Słuchaj, dupku - powiedziałem do niego. - Wypieprzaj stąd, inaczej narobisz sobie kłopotów.

Peter zeskoczył za mną ze schodów, jeszcze mocniej brudząc mnie krwią. Jakimś sposobem zdołał mnie obrócić – jak tak niewielki człowieczek to zrobił, nigdy się nie dowiem. Zbliżył się do Vaccaro i DePalmy.

-Narobisz sobie kłopotów! Krzyczałem do Peteya- spieprzaj stąd! Ale już!

Za późno. Najpierw Robert powiedział:

- Jack, trzymaj tego skurwiała! Powinienem cię zabić!

Zdzielił Peteya pięścią, zrzucił go ze schodów... i Petey leżał u ich podnóża nieprzytomny, a z jego głowy nadal ciekła krew od uderzenia świecznikiem. Jedyne, czego brakowało, to te małe ptaszki, które zawsze pojawiają się w kreskówkach w takich sytuacjach. Nie wiedziałem, co mam robić. Wmieszać się i ryzykować, że mnie zdemaskują? Czy nie robić nic i pozwolić, by facet dostał tak, że już się z tego nie wylize, a wszystko to w publicznym miejscu, na moich oczach?

Na domiar złego bałem się, że Petey zostanie strącony na śmierć, gdy zostawimy go na tych schodach! Nie byliśmy tam sami-

w Bloomingdales musiała być jakaś wyprzedaż, bo tego dnia w sklepie było bardzo tłoczno.

Tak więc jedną ręką uniosłem Peteya Chopsa i ocuciłem go.

- Co ty robisz, durny palancie! - krzyknąłem do niego.

Na dole schodów zgromadziła się ochrona budynku. Ochroniarze zaczęli iść w naszą stronę. DePalma natychmiast zareagował.

- Hej, ten biedny facet właśnie zleciał ze schodów! Jeszcze was do sądu pozwie!

Muszę oddać Gregowi sprawiedliwość. To był dobry tekst. Ochroniarze rozglądali się, jakby się zastanawiali, co tu, u licha, w ogóle robia.

Ja nadal krzyczałem na Peteya.

- Słuchaj - powiedziałem do niego - ty cholerny palancie, spieprzaj stąd zaraz!

Kończąc w ten sposób sprawę, Vaccaro, DePalma i ja ulotniliśmy się z centrum handlowego. Jednak zanim to zrobiliśmy, DePalma obrócił się do Peteya. – Przegiąłeś. Idziesz w odstawkę!

Jak to się stało, że wyszliśmy z Bloomingdale's i żaden z nas nie został zaaresztowany, nie mam pojęcia. Gdy byliśmy z powrotem w samochodzie, zobaczyłem Bima, mojego zaufanego człowieka, czekającego na mnie w ciemności. Posłałem mu spojrzenie mówiące: nie uwierzysz, co się właśnie stało. Gdy wracaliśmy z powrotem do restauracji, cholernie się denerwowałem. Może Robertowi i Gregowi nie spodobało się, że ni brałem udziału w biciu Peteya. Nie chodziło tylko o to, że sam nie walnąłem Peteya raz czy dwa. Ja próbowałem nawet przerwać bójkę i głośno wyraziłem strach przed aresztowaniem! Jaki prawdziwy gangster się tak zachowuje? Czy dobiórą się do mnie? Czy nierozsądnie dałem po sobie poznać, jaką naprawdę odgrywam rolę? Że jestem agentem FBI?

Przy tym wszystkim byłem świadkiem, jak jeden członek mafii bije drugiego. Greg i Robert mogą się obawiać, że powiem pozostałym z drużyny, co widziałem, a to spowoduje niekończące się kłopoty. Dobrze poznałem system działania mafii i wiedziałem, że naturalnym rozwiązaniem tej sytuacji jest usunięcie mnie - żeby mnie uciszyć. Albo gdyby sprawa dotarła do uszu szefa rodziny, mogliby mnie

zamiast Roberta oskarżyć o pobicie Peteya Chopsa. Byłbym kozłem ofiarnym i oberwałbym. Tak czy owak by mnie zabili.

A co będzie, jeśli już teraz zaczną się do mnie dobierać? Robert siedział za mną na tylnym siedzeniu, a Greg obok na siedzeniu pasażera. To ja prowadziłem samochód. Zdecydowałem, że jeśli Robert wykona jakiś ruch, znokautuję go z łokcia ciosem footballowym, a Gregowi dam w gardło. Dorastałem w Bronxie, a w młodości pracowałem jako bramkarz - brałem udział w wielu bójkach i wiedziałem, że jak walniesz gościa w gardło, nie ma szans.

Gdyby wycelowali do mnie z broni, wjechałbym w pierwszy lepszy budynek. Lub walnąłbym w samochód Bima. W ten sposób miałbym kontrolę nad sytuacją – ja wiedziałem, że zaraz będziemy mieli wypadek, a oni – nie. Mogłem uciec. Lub mogłem zawieźć ich na posterunek policji. Lub prosto na posterunek FBI w White Plains, który

był oddalony zaledwie o sto osiemdziesiąt metrów od Bloomingdale's. W końcu Greg przerwał niezręczną ciszę. – A teraz posłuchajcie – warknął – Jeśli zatrzymają nas gliny, to ten palant zleciał ze schodów. Ty, Robert, musisz jutro zobaczyć się z szefem, Zdasz mu raport. „Zdać raport” w tym kontekście oznacza opowiedzenie o incydencie,

dokładne zdanie szefowi sprawy z tego, co się stało. Szef musi wiedzieć o wszystkim. Nie może dowiedzieć się o tym od kogoś innego. Musi mieć aktualne informacje.

- Tak, wiem - powiedział Robert ponuro. Te dwadzieścia pięć minut drogi powrotne do restauracji było dla mnie istną męczarnią. Jechałem powoli, przygotowany na atak. Wiedziałem, że cholernie nawaliłem, ale nie miałem innego wyboru. Czy spałałem wszystko? Czy w rezultacie mnie usuną? I kiedy się o tym dowiem? I nawet gdybym przeżył, czy Greg nadal będzie próbował mnie wprowadzić do La Cosa Nostra?

Jak to się stało, że urodzony na Kubie agent FBI odgrywa Włocha i udaje, że należy do grupy przestępczej rodziny Gambino? W jaki sposób udało mi się ukryć swoją prawdziwą tożsamość przez ponad dwa i pół roku, podczas gdy jako tajniak równocześnie brałem udział w czterech innych dużych sprawach? Pracowałem między innymi nad sprawą związaną z terroryzmem w Nowym Jorku, sprawą skorumpowanych policjantów na Florydzie, sprawą korupcji we władzach publicznych w Atlantic City i sprawą międzynarodowych przemytników, którzy bombardowali Stany podrobionymi papierosami, nielegalną bronią i fałszywymi banknotami studolarowymi, które – jak

nam powiedziano – były drukowane w Korei Północnej. I dlaczego FBI zakończyło sprawę Gambino zaledwie dwa tygodnie przed uroczystością, na której miałem zostać zaprzysiężonym członkiem mafii na moich własnych prawach i dzięki której byłbym zdolny ręczyć za innych tajnych agentów FBI, którzy mogliby infiltrować każdą rodzinę mafijną w kraju? Sam nadal zastanawiam się nad odpowiedzią na to ostatnie pytanie.

ROZDZIAŁ 1

Come Fly with Me

„Tu agent specjalny Joaquin M. Garcia z FBI. Wyrażam zgodę na nagranie mojej rozmowy z Gregiem DePalma i innymi jeszcze niezidentyfikowanymi osobami...”

Następnie głośno włączam muzykę i śpiewam. Zwykle wybieram arie operowe, na przykład Nessun Dorma Pucciniego albo coś z klasycznego repertuaru Franka Sinatry i Deana Martina, czasem puszczałem też kawałki Tony'ego Bennetta. Śpiewam, żeby wprowadzić się w dobry nastrój, a także żeby dostarczyć rozrywki biednym kolegom w siedzibie FBI, którzy muszą zapisać każde słowo z tych rozmów.

Jestem tajnym agentem FBI od ponad ćwierć wieku i wsadziłem do więzienia setki dealerów narkotyków, terrorystów, nieuczciwych policjantów, brudnych polityków, sami dośpiwajcie sobie resztę. Różnica między większością agentów a mną polega na tym, że pracuję jako tajniak nad różnymi dużymi sprawami jednocześnie, czasem żongluję pięcioma lub sześcioma tożsamościami i rolami. Zajmowałem się tym mniej więcej przez dwadzieścia cztery lata mojej dwudziestosześcioletniej służby. W rejestrze FBI widnieje, że prowadziłem czterdzieści pięć długotrwałych ważnych tajnych śledztw i niezliczone mniejsze tajne operacje.

Codziennie wypowiadam powyższe słowa wstępu, które nagrywa sprzęt podsłuchowy przyklejony do mojego ciała, utrwalający rozmowy, jakie prowadzę z Gregiem DePalma i innymi z jego światka.

Greg cierpi na wszystkie dolegliwości pod słońcem, poczynając od wady serca, poprzez raka płuc i kto wie co jeszcze. Ale w ciągu zaledwie kilku miesięcy od wyjścia z więzienia ten mężczyzna - którego zarówno szefowie mafii, jak i FBI traktowali jak starego wraka, człowieka skończonego - odzyskał władzę w rodzinie Gambino. Ponownie przejął kontrolę nad ściąganiem długów, wyludzeniami i sferą hazardu, która niegdyś należała do niego, a obecnie walczył jak szalony, by rozwiązać sprawę zabójstwa innego mafiosa, które zlecił.

Co tydzień widzę jego daninę - koperty pełne gotówki przekazywane mu przez członków jego drużyny, właścicieli firm budowlanych oraz wszelkiego rodzaju biznesmenów, którym zapewnia protekcję. Szacuję, że Greg DePalma zgarnia przynajmniej ćwierć miliona dolarów rocznie, a wszystko to są nieopodatkowane pieniądze. Że nie wspomnę o pamiątkach sportowych, dziełach sztuki, biżuterii, zegarkach i wszystkim, co kradnie, a potem sprzedaje. Gregowi, tak jak współczesnej mafii w ogóle, chodzi tylko o pieniądze. Przez całe życie DePalma na zmianę łąduje w więzieniu i z niego wychodzi - rzadko przyznaje się do winy, nigdy nikogo nie wsypuje, zawsze stawia się na procesach sądowych i nigdy, przenigdy nie przyznaje, że jest członkiem La Cosa Nostra. Nigdy nie zdradził mafii przez przyznanie w sądzie, że ona istnieje. Dlatego nazywam go prawdziwym mafiosem w starym stylu.

Należy także do najbardziej ostrożnych, przezornych i barwnych mafiosów, jacy kiedykolwiek zdołali ulice Nowego Jorku. Nie dożywasz siedemdziesięciu trzech lat i nie jesteś mianowanym członkiem mafii, jeśli popełniasz błędy i ufasz niewłaściwym ludziom.

W rzeczywistości Greg DePalma popełnił jeden poważny błąd, jeśli chodzi o to, komu ufać, kogo dopuszczać do ściśle poufnych spraw, kogo dopuścić do swojego świata.

Pomylił się co do mnie.

Teraz jadę do Grega, kolejny dzień jedzenia, spotkań i robienia planów, komu spuścić lanie. To po prostu kolejny dzień w mafii, dzień pracy nad sprawą przeciwko „Gregowi DePalmie i innym jeszcze

niezidentyfikowanym".

Nie mógłbym być szczęśliwszy. Jak śpiewa Sinatra: „Come fly with me”.

ROZDZIAŁ 2

Wszystko przez Serpico

Kiedy byłem dzieckiem, w najśmielszych snach sobie nie wyobrażałem, że mógłbym być kiedyś tajnym agentem FBI. Urodziłem się w Hawanie na Kubie w 1952 roku w zamożnym domu, w którym były nianie i sprzątaczkę. Mój ojciec był ważnym urzędnikiem państwowym w kubańskim Ministerstwie Skarbu, miał nawet służbowego szofera. Moja matka była znaną śpiewaczką operową, która wykonywała utwór Ave Maria niemal na każdym ślubie ważnych osobistości w Hawanie. Miałem starszego brata i młodszą siostrę i stanowiliśmy zżyłą, kochającą się rodzinę, mieszkającą w pięknym domu w eleganckiej dzielnicy. Ojciec miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważył sto osiem kilogramów. Pamiętam go, jak ciężko pracuje w wielkim gabinecie w domu, który dostał jako dodatek do swojego biura sędziowskiego. Gdy go wspominam, nie potrafię go sobie wyobrazić bez cygara - palił z pewnością minimum dziesięć cygar dziennie. Na Kubie był znany jako señor Garcia i wszyscy go uwielbiali. Był wspaniałym facetem, a moja matka była aniołem.

W 1959 roku Fidel Castro zaczął rewolucję i w ramach walki z korupcją rozpędził rząd Batisty. Mój ojciec, bojąc się o życie, skontaktował się ze swoim odpowiednikiem w ambasadzie Stanów Zjednoczonych

w Hawanie. Którejś nocy w 1959 roku obudził nas i ucałował na pożegnanie, po czym został odesłany z Kuby pod eskortą attaché FBI na Kubie. Następnego dnia szukała go milicja Castro, ale już go nie było. Gdyby został jeszcze jedną noc, mógł zostać wyciągnięty z domu i zamordowany.

Żeby zarobić wystarczającą ilość pieniędzy, by ściągnąć z Kuby resztę rodziny, ojciec musiał harować na trzy zmiany na Manhattanie. Pracował na nocną zmianę jako recepcjonista w hotelu, podejmował się też ciężkich prac fizycznych za dnia. Brał, co tylko było, pracując na pełny zegar, żeby zarobić tyle, by móc nas wydostać z Kuby. W Hawanie stosunek do Castro dzielił rodziny. Kiedy tylko ojciec dzwonił, on i matka porozumiewali się szyfrem, bo wiedzieli, że telefony na linii Stany Zjednoczone - Kuba są podsłuchiwane. Rozmowa ze Stanami kosztowała fortunę, więc czekaliśmy, aż ojciec sam zadzwoni z Nowego Jorku. Telefony były zawsze monitorowane i gdy tylko rozmowa moich rodziców schodziła na tematy, które kubańscy cenzorzy postrzegali jako zbyt kontrowersyjne, połączenie było zrywane.

W końcu ojciec odłożył tyle pieniędzy, byśmy wszyscy - to jest moja matka, mój brat, moja siostra i ja - mogli odbyć krótki lot z Kuby do Miami, skąd ojciec zabrał nas do Nowego Jorku. Nigdy nie zapomnę, jak jako dziewięcioletek byłem przeszukiwany na lotnisku w Hawanie przez kubańskich żołnierzy, którzy sprawdzali, czy czegoś nie przemycam. O ironio, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, a nawet we wczesnych latach osiemdziesiątych, FBI nie chciało przyjmować w swoje szeregi agentów urodzonych na Kubie, obawiając się, że mogą to być szpiedzy nadesłani przez reżim Castro. Tymczasem było wręcz przeciwnie. Praktycznie każdy, kto w tym czasie opuścił Hawanę, żywił do Castro głęboką nienawiść - ten człowiek rozdzielił rodziny, wielu ludziom zniszczył życie, wielu uwięził i zabił. Zostałem agentem specjalnym FBI w 1980 roku jako zaledwie drugi Kubańczyk, któremu się to udało.

Zawsze byłem otwartą osobą, już jako dziecko. Szybko przyswoiłem sobie angielski, amerykańską kulturę, to, jak zawierać przyjaźnie, i wszystko, co dotyczy życia w Ameryce. Moje imię, które pisze się „Joaquin”, a wymawia „Wakeen”, było za trudne niemal dla wszystkich Amerykanów, jakich poznałem, więc nazywali mnie Jock, bo uwielbiałem uprawiać sport. Pamiętajcie, że Joaquin Phoenix jeszcze się wtedy nawet nie urodził!

W latach sześćdziesiątych ludzie chcieli się asymilować. Nie tak jak dzisiaj, gdy wiele osób trzyma się z daleka od głównego nurtu życia i identyfikuje przede wszystkim ze swoimi pochodzeniem etnicznym. W owym czasie wstydziłem się swojego akcentu. Mówiłem „choos” zamiast „shoes” (buty), „Jhins” zamiast „chins” (policzki) czy „jeUo” zamiast „fellow” (żółty). Do dziś, gdy poniosą mnie emocje lub gdy znajdę się wśród Latynosów, dochodzi do głosu mój akcent. Moja żona śmieje się przy mnie i nazywa mnie Ricky Ricardo, a w końcu ojciec otworzył własną dochodową firmę zajmującą się prowadzeniem księgowości i był kimś w rodzaju ojca chrzestnego społeczności - wszyscy kochali pana G., jak nazywano go w Nowym Jorku. Chodził ulicami z wielkim cygarem i pomagał ludziom rozwiązywać problemy - z podatkami, księgowością w ich małych biznesach, z wszystkim tym, z czym mieli kłopot. Napisał nawet książkę pod tytułem *El Income Tax Usted* (Ty i twój podatek dochodowy), by pomóc latynoskiej społeczności zrozumieć amerykański system podatkowy. Był wspaniałym człowiekiem i wszyscy go uwielbiali. Jestem pewien, że moja wiara w ideę służenia społeczeństwu wzięła się ze sposobu, w jaki prowadził on swój biznes.

Byłem typowym nastolatkiem. Pasjonował mnie amerykański football. Przy wzroście metr dziewięćdziesiąt i wadze sto dziewięć kilogramów miałem idealną budowę, by uprawiać ten sport i uwielbiałem grać w drużynie. Byłem członkiem szkolnej reprezentacji i uczestniczyłem w krajowych rozgrywkach drużyn szkolnych. W rezultacie dostałem mnóstwo propozycji stypendiów związanych z dalszym uprawianiem tego sportu. Muszę przyznać, że miałem słabe stopnie, co gniewało rodziców. Najlepszą dostępną dla mnie akademią była uczelnia w Teksasie. Cóż, zapewniam was, że dopiero to doświadczenie otworzyło oczy mnie - kubańskiemu chłopcu z Bronxu! Szkoła mieściła się w zabitej dechami mieście i tam po raz pierwszy na własnej skórze przekonałem się, czym są uprzedzenia i dyskryminacja.

- Jestem Kubańczykiem - mówiłem ludziom.

- Nie, jesteś Meksykaninem. Nazywasz się Garcia, więc musisz być Meksykaninem - odpowiadali.

Próbowałem wyjaśniać, że istnieją Portorykańczycy, Dominikanczy-cy, Kubańczycy i Meksykanie, a każda nacja ma swoją, odrębną kulturę, ale nikt o to nie dbał i nikt tego nie rozumiał. Jeśli miałeś nazwisko Garcia, byłeś Meksykaninem, i koniec dyskusji. Zdaje się, że nie zwariowałem tylko dzięki temu, iż ciągle grałem w football, i dzięki kolegom z drużyny. Tak było w *W^mhandte ^Teksasie w »970 *^ku*.

Po zaliczeniu pierwszego roku zdecydowałem się wracać do domu i przenieść się do college'u w Nowym Jorku, gdzie także grałem w football - wygraliśmy nawet ogólnokrajowe zawody. Otrzymałem wtedy pełne stypendium footballowe w college'u w Wirginii i tę właśnie szkołę ukończyłem. Mniej więcej w tym okresie dwa wydarzenia sprawiły, że zacząłem myśleć o FBI. Po pierwsze, ojciec dwóch braci, którzy grali w mojej drużynie, był agentem FBI. To sprawiło, że zacząłem o tym myśleć. Następnie na ekranach pojawił się film *Serpico*. Wywrócił on moje życie do góry nogami. Al Pacino grał tam Franka Serpico, tajnego policjanta w Nowym Jorku, który infiltrował świat dealerów narkotykowych i innych kryminalistów pod pseudonimem Paco. Miał długie włosy i doskonale wczuł się w rolę wyluzowanego twardziela. Nigdy nie miałem dosyć tego filmu.

Jako dziecko doświadczyłem bezprawia Castro na Kubie i miałem wrodzoną niechęć do przestępstw i korupcji we wszystkich formach. W *Serpico* zobaczyłem faceta, który potrafił przekraczać granice, obcować z kryminalistami, łapać ich na łamaniu prawa i wsadzać do więzienia. Uwielbiałem ten film! To był jeden z owych momentów, gdy widzi się własną przyszłość, gdy człowiek uświadamia sobie, do czego jest powołany. Jeśli mam należeć do organów ścigania, pozwólcie mi sięgnąć do gwiazd i należeć do najbardziej prestiżowych organów ścigania na świecie - do FBI. I to stało się moim życiowym celem.

Złożyłem papiery do FBI, jednak przez dłuższy czas nie otrzymałem odpowiedzi. Któregoś dnia oglądałem w telewizji latynoski film i właśnie wtedy pojawiło się ogłoszenie, że FBI szuka mówiących po hiszpańsku agentów. A to dziwne! Oto ja - mówiący po hiszpańsku aplikant o dobrej kondycji fizycznej, który spełnia wszystkie wymogi, by być agentem specjalnym - wciąż nie otrzymałem odpowiedzi ani wezwania do biura!

W te pędy zadzwoniłem do biura rekrutującego agentów.

- Dlaczego nie dostałem odpowiedzi na moją aplikację? - zapytałem. Odpowiedź była bardzo prostą.

- Nie jest pan obywatelem naszego kraju.

Nie mogłem w to uwierzyć. W porządku, pójdę i natychmiast wypełnię podanie o naturalizację! Marzę o tym, by zostać obywatelem Ameryki! Spędziłem tu praktycznie całe życie, więc i tak czułem się już jak Amerykanin, chociaż byłem i nadal jestem dumny z mojego kubańskiego pochodzenia. Tak więc przystąpiłem do egzaminu, zdałem go i byłem na najlepszej drodze, żeby zostać zaprzysiężony. Nigdy nie zapomnę, jak pojechałem do Newark w New Jersey, by podnieść prawą rękę wraz z setkami innych

imigrantów z całego świata, którzy również stawali się obywatelami Stanów Zjednoczonych podczas uroczystości dwóchsetle-cia istnienia tego państwa, obchodzonej w 1976 roku. To była komiczna sytuacja. Przysięgam, że wszystko działo się dokładnie tak, jak to pokazują na filmach. Dano nam małe amerykańskie flagi i urzędnik, który nas zaprzysięgał, nakazał, by wszyscy podnieśli prawą dłoń i powtarzali za nim. „Ja...” i wszyscy powiedzieliśmy: „Ja...”, a potem on powiedział: „Podaj swoje imię i nazwisko”, i oczywiście wszyscy odpowiedzieli „Podaj swoje imię i nazwisko!”.

Pokręciłem głową, rozejrzałem się wokół siebie i pomyślałem: o, Boże, czy ja dobrze słyszę?

Gdy załatwiłem już sprawę obywatelstwa, skontaktowałem się z FBI i wyznaczono mi termin egzaminów wstępnych. To był naprawdę ciężki do zdania egzamin, sporo trudnych zadań z matematyki. Nie jestem geniuszem w tej dziedzinie i nie byłem najlepszym studentem. Kiedy uporam się z częścią z matematyki - myślałem - zacznie się moja kariera.

Cóż innego mi pozostało? Osobiście wierzę w przeznaczenie - okazało się, że egzamin poszedł mi bardzo dobrze. Zgadywałem odpowiedzi na wiele pytań, ale jakoś udało mi się uzyskać sporo punktów.

Takim oto sposobem przeskoczyłem do kolejnego etapu rekrutacji funkcjonariuszy FBI - rozmowy kwalifikacyjnej, którą przeprowadzali agenci. Pytali o moje osiągnięcia, o to, co jeszcze chcę w życiu zrobić,

o moje możliwości. Z ich min wnioskowałem, że zrobiłem wrażenie, a później dowiedziałem się, że ich oceny podniosły moją punktację. W rezultacie w lutym 1980 roku zacząłem uczęszczać na zajęcia do FBI

1 wyjechałem do Quantico w stanie Wirginia na szesnaście tygodni szkolenia w Akademii FBI.

Rodzice nie byli uszczęśliwieni moją decyzją. Mieli nadzieję, że będę księgowym lub adwokatem, jak moje rodzeństwo. Matka obawiała się, że jeśli będę pracował na ulicach, mogę zostać ranny lub ktoś może mnie zabić. W młodości w Hawanie mój ojciec służył w organach ścigania, lecz jakoś specjalnie nie marzył o tym, bym zawodowo poszedł w jego ślady. Jednak, choć niechętnie, rodzice udzielili błogosławieństwa mojej decyzji. Ich stosunek do sprawy był mnie więcej taki: nie tego chcieliśmy dla niego, ale przynajmniej robi to, co sprawia mu radość.

Gdy przez krótki okres pracowałem w Union County w stanie New Jersey w Biurze Prokuratora jako śledczy, szkolono mnie w zakresie ścigania przestępstw. W Quantico powiedziano nam: „Obojętnie, jaka jest wasza wiedza na temat organów ścigania - zapomnijcie o niej. Nauczmy was metod FBI - medycyna sądowa, szkolenie z broni palnej i tak dalej. Jednak to, że uczestniczycie w szesnastotygodniowym programie nauczania, nie oznacza, że automatycznie dostaniecie się do FBI. Możecie być wywołani z sali wykładowej i usunięci - z każdego powodu. I nie ma was - ot tak”. Tak więc cały czas byliśmy przygotowani na wszystko.

Fizyczny aspekt szkolenia - bieganie, pompki, przysiady, podciąganie się - nie stanowił problemu. Kiedy tam przyjechałem, nie byłem w najlepszej kondycji fizycznej, ale z własnego doświadczenia z footballiem wiedziałem, że jestem w stanie szybko wrócić do formy. Broń palna - żaden problem. FBI szczyci się świetnymi umiejętnościami strzelniczymi swoich agentów, ale ja strzelałem dobrze, jeszcze zanim trafiłem do akademii. Czasem chodziłem z kumplami na strzelnicę, a gdy pracowałem w Biurze Prokuratora Union County, przeszkolono mnie z władania bronią palną. Punktacją wystarczającą do zaliczenia egzaminu ze strzelania w Quantico to osiemdziesiąt pięć, ja miałem trochę ponad dziewięćdziesiąt. Według standardów FBI strzelałem dobrze, może nawet świetnie.

Moim słabym punktem była nauka, więc znalazłem inteligentnych facetów z mojej grupy, którzy mi pomagali. Kiedy grałem w piłkę w college u, po prostu dobrze się tam bawiłem. Nigdy nie traktowałem poważnie zajęć w szkole. Moi rodzice kładli nacisk na edukację, ale ja - nigdy. Więc teraz naprawdę musiałem przysiąc nad książkami. Co to jest Konstytucja Stanów Zjednoczonych? Co to jest rewizja i konfiskata mienia? Kiedy w końcu nadszedł czas egzaminów, byłem dobrze przygotowany i poszło mi nieźle. Pierwszy raz w życiu musiałem się uczyć i przyszło mi to łatwo.

Niestety asystent dyrektora w Quantico nie przepadał za mną z powodu mojego wyglądu. W tym czasie FBI kładło spory nacisk, by agenci wyglądali tak, jak dyrektor J. Edgar Hoover wyobrażał sobie idealnego agenta federalnego - o świetnej kondycji fizycznej, dobrze ubrany i tak dalej. Asystent dyrektora prowadzący naszą grupę stwierdził, że mam nadwagę. Cóż, to nie było dla mnie nowością! Zgodnie z wykresami sporządzonymi przez lekarzy, jako mężczyzna o wzroście metr dziewięćdziesiąt powinienem ważyć dziewięćdziesiąt pięć kilogramów. Tymczasem nigdy, w całym swoim życiu, tyle nie ważyłem, może z wyjątkiem czasów, gdy miałem piętnaście lat!

Dwa tygodnie po naszym przyjeździe do Quantico ów kierownik wywołał mnie z zajęć.

- Musisz zrezygnować - powiedział mi kategorycznie. - Chodzi o twoją wagę. Jeśli nie zrezygnujesz,

wylejemy cię i nie będziesz miał możliwości powrotu. Jeśli sam zrezygnujesz, możesz zrzucić wagę i zapisać się na kolejne szkolenie.

Byłem wściekły. Dlaczego nikt mnie nie uprzedził? W poprzedniej pracy zrobiono mi już pożegnalne przyjęcie, a teraz miałem zostać bez zatrudnienia? Byłem szybszy i silniejszy od niektórych kolegów z zajęć, mimo iż byli ode mnie znacznie szczuplejsi. Ale nie miałem wyboru. Zrezygnowałem i wróciłem do domu, zawstydzony i przygnębiony. Skontaktowałem się ze mną opiekun mojej grupy, agent specjalny Jim Pledger.

- Zrobili cię na cacy - powiedział. - Zrzuc kilogramy, wracaj tu i udowodnij, że się mylą.

Moja depresja zniknęła jak ręką odjął i nagle zmieniłem się w Rockyego. W dwa miesiące straciłem osiemnaście kilogramów, ważono mnie i w maju 1980 roku ponownie zostałem zaprzysiężony jako rekrut FBI. Podeszedłem nawet do asystenta dyrektora i powiedziałem:

- Widzi pan, powiedziałem, że potrafię to zrobić. Niepotrzebnie mnie pan tak potraktował.

Nie zdobył się na to, by spojrzeć mi w oczy. Typowy biurokrata. Ale nieważne. Zdałem wszystkie egzaminy w Quantico śpiewająco, pod nieustanną opieką mojego najlepszego przyjaciela T.J. Murraya, który niestety już nie żyje. Ja pomagałem mu na zajęciach z broni palnej, on mi w nauce. Zostałem przyjęty do FBI. Realizowałem swój cel.

ROZDZIAŁ 3

FNG

Istnieje skomplikowany system pozwalający agentom ujawniać swoje preferencje dotyczące oddziałów oraz zadań i wszyscy agenci muszą się stosować do jego reguł. Tłumaczenie, na czym to wszystko polega, zajęłoby zbyt wiele miejsca. Dość powiedzieć, że FBI ma bardzo rozległe możliwości pójścia na rękę agentom i zadecydowania o tym, jak najlepiej ich wykorzystać. Jedynym problemem jest to, że ów system jest kompletnie ignorowany. Jeśli zapytacie o zdanie przeciętnego agenta FBI, powie wam, że Biuro wyznacza zadania taką oto metodą - zatrudniają do tego małpę, która rzuca strzałkę z przyczepionym do niej nazwiskiem w zawieszoną na ścianie mapę Stanów Zjednoczonych. Ludzie, którzy chcą jechać na wschód, jadą na zachód. Ludzie, którzy chcą jechać na zachód, jadą na wschód. Jeden wielki absurd.

Gdy decyzja zostanie już podjęta, agent nie może jej zmienić. A w owych decyzjach nie ma absolutnie żadnej logiki. Wróćmy na chwilę do czasów Hoovera. J. Edgar chciał, żeby agenci pracowali z dala od miejsc, w których się wychowali - miało to zapobiegać korupcji. Istne szaleństwo! Mądrze jest wysłać agentów do miast, z których pochodzą, bo mają tam znajomości i znają ulicę. W innym wypadku każdy traci czas na zapoznawanie się z nowym miastem - które dzielnice są dobre, a które złe, jakie „prawa ulicy” panują w danej społeczności i tak dalej. To absurdalne.

Ja miałem szczęście. Moja strzałka wylądowała niedaleko domu. Mój pierwszy przydział to Newark.

Zwykle nowicjusze otrzymują przydział do komórki, która zajmuje się niezbyt ważnymi sprawami. Okręgowe biura FBI dzielą się na komórki, z których każda ma do czynienia z innego typu przestępczością, jak napady na bank, oszustwa ubezpieczeniowe, przestępstwa urzędnicze i tak dalej. Na FBI składają się oddziały, a od liczby tych oddziałów zależy liczba komórek. Oddział w Newark miał około dwudziestu pięciu komórek. Kierownik komórki prowadzi wszystkie sprawy ze swojego regionu. Każdy agent w komórce prowadzi swoją sprawę, a pozostali pomagają mu osiągnąć cele śledztwa. Powiedzmy, że jestem w Newark i wpadam na trop napadu na bank w Alabamie. Przekazuję to kierownikowi komórki,

a on przekazuje ludziom, którzy się tym zajmują, i oni podejmują dalsze działania.

Oczywiście czasem oddziały kierują się własnym interesem. Mogę pracować nad sprawą narkotykową w Newark i zidentyfikuję szykującą się akcję importu kokainy. Powiedzmy, że źródło informacji jest w Brorucie. Więc wysyłam tę informację właściwemu facetowi w oddziale w Nowym Jorku. Tyle tylko, że oddział w Nowym Jorku może próbować ukraść sprawę, odebrać ją nam. To ciągle się zdarza. Byłoby idealnie, gdybyśmy myśleli o jednym FBI, o jednym celu, który jednoczy wszystkie oddziały organów ścigania - o wysiłku zbiorowym.

Nowi agenci są przenoszani z jednej komórki do drugiej i zwykle kończą w jakiejś nudnej, o niskiej wydajności. Jednak ktoś (a może coś) nade mną czuwał. Po zaledwie trzech czy czterech tygodniach takiej wędrówki zostałem skierowany do najlepszej, najważniejszej grupy, do której wszyscy chcieliby trafić - do komórki, która zajmowała się napadami bankowymi, zbiegami i terroryzmem - C-i. Od samego początku miałem uczyć się od weteranów. Moi koledzy, świeżo upieczeni agenci, którzy mieli zajmować się skradzionymi samochodami i innymi sprawami o niewielkim znaczeniu, niezmiernie mi zazdrościli.

Podczas pierwszego tygodnia mojej pracy nikt w całej komórce nie kazał mi niczego robić. Miałem tylko siedzieć przy biurku od siódmej rano do osiemnastej. O osiemnastej wszyscy szli do domu i wszystkie rozmowy, jakie toczyły się między agentami na miejscu pracy a tymi w terenie, milkły. Nikt nie chciał mnie do niczego wykorzystać. Nikt nawet nie chciał ze mną rozmawiać. Byłem najbardziej samotnym facetem w FBI.

Moja nieoficjalna ksywa w komórce to FNG, co oznaczało „fucking new guy” („pieprzony nowy gość”). Kim jest ten gość? - zastanawiali się inni agenci. Jak otrzymał tak upragnioną pozycję? „Kim jesteś? - pytali mnie. - Ulubionym zwierzątkiem SAC*?”

Milczałem i czekałem na swoją szansę. Od czasu do czasu w biurze pojawiały się informacje, że jakiś zbieg ukrywa się w mieszkaniu gdzieś w Newark lub że szykuje się napad na bank. Wszyscy agenci w pokoju podrywali się - szykowali broń palną, kamizelki kuloodporne, kajdanki, wszystkie akcesoria organów ścigania.

- Chłopaki, mogę iść z wami? - pytałem żalosnym tonem. Odpowiedź była zawsze taka sama:

- Nie, mały. Ty zostajesz tutaj.

To, że nie pozwalano mi brać udziału w akcjach z moimi kolegami agentami, spędzało mi sen z powiek, niemal mnie zabijało. Nie chodziło o to, że nie miałem nic do roboty. Problem w tym, że nie miałem nic znaczącego do roboty. Jak wszystkim żółtodziobom, kazano mi czytać dokumenty, ale dotyczyły one spraw ludzi, których nazywamy „starymi psami” - ukrywających się tak długo, że możliwość schwytania ich graniczyła z cudem. Jedną teczkę z tego rodzaju sprawą podpisano nawet „Alpo - stary pies”, żeby podkreślić, że ściganie takiego gościa to pieska robota.

* SAC (special agent in charge) - głównodowodzący agent specjalny (przyp. tłum.).

I oto kim byłem: zwykłym zjadaczem chleba, żółtodziobem przynoszącym kawę i kanapki dla dwudziestu facetów, niemającym nic innego do roboty. Kiedy słyszałem kolegów umawiających się na drinka po

pracy, mówiłem: „Chłopaki, wychodzicie po pracy?”. Zawsze odpowiadano mi: „Nie - bez obrazy, mały!” Wychodzili razem, ale po prostu nie chcieli, żebym poszedł z nimi. W porządku. Po prostu tak wtedy było. Musiałem zapłacić frycowe.

Pewnego dnia, kilka miesięcy po moim zatrudnieniu, jeden z agentów wpadł na trop zbiega, który zabarykadował się w domu w niebezpiecznej dzielnicy Jersey City. Tym agentem był Pat Johnson, pseudonim „Superman”. Dostał go, bo wyglądał dokładnie jak Christopher Reeve. Johnson rozejrzył się, kto mógłby pojechać z nim, żeby dorwać owego zbiega. To był jeden z agentów „do spraw specjalnych” - co oznaczało, że wzywano go na interwencję w kryzysowych sytuacjach, na przykład na akcję w razie napadu na bank. Tym mianem FBI określa najdzielniejszych agentów, którzy pracowali nad najbardziej niebezpiecznymi rawami.

Widziałem, jak facet się rozgląda.

- Może pomóc? - zapytałem. Spławił mnie.

- Nie, radzimy sobie, mały.

Musiał zauważyć, jaką zrobiłem minę, a może po prostu akurat w tym momencie nie było innych dostępnych agentów.

- No dobra, chodź - powiedział do mnie takim tonem, jakim zwracamy się do młodszego brata, który też chce uczestniczyć w randce. Byłem tak podekscytowany, że ledwie nad sobą panowałem.

Pojechaliśmy do New Jersey City i okazało się, że informacje potwierdziły się. Zbieg rzeczywiście ukrywał się w tym konkretnym domu. Więc weszliśmy tam, dokładnie tak jak na filmach. Z emocji serce waliło mi jak oszalałe. Jeden z naszych ludzi obstawiał tylne wejście.

- FBI! Otwierać! - krzyknął Johnson.

Usłyszeliśmy hałas pochodzący z wnętrza domu - facet próbował uciec. Pat, który był niewiarygodnie silny, odepchnął nas i kopnął w drzwi, by je wyważyć. To znaczy spróbował. Drzwi ani drgnęły.

- Ja się tym zajmę! Już się robi! - krzyknąłem. Nikt nie próbował mnie powstrzymać. Uderzyłem w drzwi tak, jak taranowałem napastnika, grając w football. Żaden problem. Położyłem je jednym uderzeniem. Znaleźliśmy gościa na górze i zaarrestowaliśmy go.

Pierwszy raz uczestniczyłem w obławie - aresztowaniu podejrzanego. Co ważniejsze, po tym, co zrobiłem z drzwiami, stałem się jednym z nich. Nareszcie inni agenci w komórce mnie zaakceptowali. Tylko Johnson był na mnie wściekły.

- Poluzowałem dla ciebie drzwi, mały.

Musiał to powiedzieć, bo inni agenci drażnili się z nim, mówiąc:

- Hej, Superman, pozwoliłeś, żeby FNG pokazał ci, jak się wywa-ta drzwi!

rr>. Od tej chwili stałem się jednym z nich. Wkrótce zostałem wciągnięciem sprawy dotyczące terroryzmu, z udziałem przeciwników Castro -py Omega 7, Weather Underground, New World of Islam oraz FALN, 'Pf, która walczyła o niepodległość Puerto Rico. Ku mojemu zdziwieniu, ja także znalazłem się na plakatach jako poszukiwany. Plakaty były rozpowszechniane przez gang w Union City, New Jersey i okolicach. Na górze było napisane „Condenados a muerte” - skazani na śmierć. Cele stanowili głównie informatorzy FBI i agenci G-2 - kubańskiego odpowiednika FBI. Ale ja także znalazłem się na tej liście za to, że zwerbowałem informatora dla FBI.

Najważniejsza rzecz, która mi się przytrafiła w pierwszych latach kariery w FBI, była związana z namierzeniem niejakiego RONALDA TURLEYA WILLIAMSZA, znajdującego się na liście dziesięciu najbardziej poszukiwanych przez FBI osób. Ta sprawa była dla mnie tak ważna, bo pierwszy raz miałem okazję pracować jako tajny agent. Ron Williams był znany jako częsty bywalec salonów masażu na terenie Nowego Jorku. Upodobał sobie zwłaszcza jeden konkretny tego rodzaju przybytek. Naszym zadaniem było odnaleźć ów salon, gdyż mogło nas to doprowadzić do Williamsa. Ustalliliśmy nadzór nad salonami masażu na Manhattanie i nawet wysłaliśmy kilku agentów, żeby dostali się tam i szukali informacji. Jednak wszystkich ich odprawiano z kwitkiem. Mieli typowy wygląd agentów.

FBI to bardzo konserwatywna instytucja. Jesteśmy - a przynajmniej niegdyś byliśmy - facetami w garniturach, cienkich krawatach, białych

ROZDZIAŁ 3. FNG

koszulach i butach z szerokim obcasem, zwanych oksfordzkimi, tak zwanych butach o tysiącu oczu. Nie musiałeś mieć broni, kamizelki kuloodpornej, krótkofalówki czy odznaki - gdy szedłeś ulicą ubrany jak typowy agent FBI, wszystko w tobie krzyczało „FBI”. W hiszpańskim jest powiedzenie, które doskonale to oddaje: „tiene la pinta de un policia”. Można je przetłumaczyć jako: „on ma kolor gliny”. Innymi słowy, gdyby ktoś chciał narysować agenta pracującego w organach ścigania, na obrazku znaleźlibyśmy się my.

Na początku mojej kariery zawodowej biła ode mnie przynależność do organów ścigania, począwszy od noszenia się w określonym stylu, a skończywszy na tym, jak się wyrażałem. Nie mogło być żadnych wątpliwości, kim jestem. Byłem kubańskim emigrantem, a moja rodzina, choć miała akurat tyle szczęścia, by móc przyjechać do tego kraju, na własność nie miała zupełnie nic. A teraz byłem agentem specjalnym FBI. To się nazywa wcielić w życie American dream! Pragnąłem walić do drzwi, zamykać zbiegów i wsadzać do paki gangsterów! Wiem, że to może brzmieć tak naiwnie, że niemal dziecinnie, ale tak właśnie wtedy czułem. Po niemalże trzydziestu latach w tej pracy nadal tak myślę i tak czuję. Nie pracowałem wtedy jako tajny agent, jak bohater mojego okresu dojrzewania, Serpico. Ale pracowałem nad skomplikowanymi śledztwami i uczyłem się od najlepszych agentów w Biurze Federalnym: Eda Petersena, Pata Johnsona, Dana McLaughlina, Rona Romano, Rona Butkiewicza - prawdziwych legend FBI. Nie pracowałem jako tajny agent, lecz i tak spełniałem swoje marzenia.

I nagle pewnego dnia poproszono mnie, żebym jako tajniak poszedł do kilku salonów masażu. Myślałem, że zwariowali.

- Na pewno mnie rozpoznają! - wykrzyknąłem, oszołomiony. - Zobaczą la pinta gliny! Rozpracują mnie w dwie sekundy.

Zignorowali protest i mnie wysłali. Zdjąłem krawat, białą koszulę, eleganckie półbuty, a włożyłem tenisówki i koszulkę polo, którą miałem w bagażniku na dojazd do pracy i z powrotem. Agent nie mógł wejść do salonu masażu w swoich oksfordzkich urzędowych półbucikach!

Pierwszy salon masażu na mojej liście znajdował się w kamienicy / piaskowca na Dwudziestej Wschodniej. Wtedy salony masażu w Nowym Jorku mieściły się w takich kamienicach. W ten sposób pozbywano się kłopotu z krzykliwym, węszącym dozorcą. Jeśli klient chciał wejść do środka, musiał mieć umówione spotkanie lub musiał być znajomym. Więc stałem tam, zdenerwowany jak wszyscy diabli, ledwie oddychając. Zapukałem do drzwi. Otwarto niewielki wizjer.

Wiedziałem, że ktoś na mnie patrzy.

- Tak, w czym mogę pomóc?

- Niech pan mnie wpuści - powiedziałem, a serce waliło mi jak młotem. - Chcę wejść.

Sekundę później drzwi otworzyły się i znalazłem się w środku.

Samo miejsce - nic specjalnego. Nie było brudne ani zaniedbane, ale z pewnością nie miało też wysokiego standardu. W dużym pokoju, który musiał niegdyś pełnić funkcję salonu, gdy mieszkanie było prywatne, były dwie kanapy, stół i bar. Kilku facetów piło przy barze. Wyglądali jak moi sąsiedzi - biznesmeni, wykonujący normalne zawody. To nie było miejsce, gdzie ludzie węszyli czy przypatrywali się sobie podejrzliwie. Klienci byli całkowicie zrelaksowani. Wchodzili, wypijali kilka drinków, robili, co mieli zrobić, i wracali do swoich żon czy partnerek.

Nikt nie był naćpany, nie leżał na podłodze ani nic w tym rodzaju. Pełna dyskrecja. Dziewczęta wchodziły - były ubrane, miały na sobie sukienki. Wybierało się którąś i odchodziło z nią do pokoju na tyłach. W tamtych czasach masaż kosztował od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu pięciu dolarów. Wtedy salony masażu były niczym ONZ - mogłeś mieć kobietę każdej rasy i pochodzenia etnicznego. Dzisiaj to w większości Azjatki, ale wtedy było różnie.

Weszła bardzo atrakcyjna dziewczyna w sukience i poprowadziła mnie do pokoju.

- Rozbieraj się - powiedziała.

- Ja... ja tylko szukam przyjaciółki - wyjąkałem.

- Żaden problem - odrzekła. - Ściągaj spodnie.

Czułem się jak Jackie Gleason grający Ralphi Kramdena - jedyne, co mogłem powiedzieć, to: „O mordę!”. Nie wiedziałem, co robić. Zapewniam was, że nie otrzymałem żadnego szkolenia, jak zachować się w takiej sytuacji.

Zdjąłem więc spodnie. Stałem tam jedynie w bokserkach.

- Słuchaj, ja naprawdę nie chcę masażu - powiedziałem. - Chcę tylko znaleźć konkretną dziewczynę o imieniu China. Jest moją znajomą i mam pewne rzeczy, które do niej należą. Wiesz może, gdzie ona jest?

- Znam ją - odpowiedziała dziewczyna - ale nie mam pojęcia, jak ją znaleźć. Niegdyś tu pracowała, ale teraz pracuje w jakimś innym miejscu. Nie umiem ci powiedzieć gdzie. Jesteś pewien, że nie chcesz masażu?

Muszę wam powiedzieć, że dziewczyna naprawdę była piękna - długie brązowe włosy i wspaniałe ciało. Ale byłem tam służbowo jako agent FBI. Masażu nie było w menu. Włożyłem więc spodnie i wyszedłem. Gdy wychodziłem, widziałem, że dziewczyna rozmawia o mnie z bramkarzem, ale obyło się bez żadnych kłopotów. Po prostu wyszedłem i to wszystko.

Kiedy wróciłem do swoich kolegów, musiałem im wszystko opowiedzieć. Powiedziałem, jak zdjąłem spodnie, i cała komórka rechotała. Uznali to za bardzo zabawne - ja stojący przed dziewczyną lekkich obyczajów w samej bieliźnie i zbierający wywiad. Zapytali, jak wyglądała i czy byłem podniecony - typowe męskie żarty. Ale najważniejsze, że dostałem się do środka - i że nie wzięto mnie za glinę.

Dla mnie to było objawienie.

Szybko powtórzyłem akcję w kolejnym salonie masażu o kilka kamienic dalej. Tym razem, gdy stałem przed drzwiami prowadzącymi do salonu, byłem trochę bardziej pewny siebie. Zapukałem nie jak przestraszony agent FBI, ale jak typowy biznesmen, który chodzi do takiego salonu przez całe życie co tydzień. Nic wielkiego. Tam też mnie wpuszczono. I tym razem grałem na całego. Znalazłem dziewczynę, która wiedziała, gdzie pracuje China. W rezultacie mogliśmy ją wysledzić i dzięki niej odkryć miejsce pobytu zbiega, którego szukaliśmy.

Do czasu aż znaleźli Williamsa, krótko po moich pierwszych krokach w roli tajnego agenta, zostałem wysłany do Puerto Rico, by pracować nad sprawą FALN. Moi koledzy Dan McLaughlin, Eddie Petersen i Ron Butkiewicz zaarrestowali Williamsa podczas krwawej strzelaniny w hotelu New York City. Williams został postrzelony pięć lub sześć razy przez kilku różnych agentów. Dzięki Bogu żaden z naszych chłopaków wtedy nie oberwał. Gdybym był tam z nimi, mógłbym zostać ranny i nie miałby kto opowiadać

tej historii.

Okazało się, że mam duże predyspozycje do tego, by pracować jako tajny agent. W owym czasie niewielu agentów FBI miało w tym jakiegokolwiek doświadczenie. To nie było coś, na co Hoover kładł nacisk, i Biuro zwykle polegać na informacjach, jakie otrzymywano od informatorów. Ale dla mnie było oczywiste, że wiedza, jaką dzielili się z nami informatorzy, zawsze jest podejrzana - nigdy nie wiedziałeś, czy mówią ci prawdę, czy robią to z wyrachowania, czy też chcą zrobić dobry interes, nie wiedziałeś nawet tego, czy w razie potrzeby będziesz mógł ich znaleźć. Gdy stajesz się tajnym agentem, masz kontrolę nad procesem zdobywania informacji o tym, co się naprawdę dzieje. Posmakowałem pracy tajniaka i chciałem to robić dłużej. Biuro skierowało mnie na trzy i pół roku, bym jako tajny agent brał udział w śledztwie dotyczącym bezpieczeństwa narodowego. Niestety nadal nie mogę zdradzić, na czym to śledztwo polegało. Dano mi fajne mieszkanie, dobry samochód, określoną pulę na wydatki i przez cały czas, kiedy pracowałem nad tą sprawą, ani razu nie pojawiłem się w firmie. Odwaliłem wtedy kawał dobrej roboty dla Biura i swój następny przydział mogłem wybierać spośród wszystkich miast w Stanach Zjednoczonych.

Tak więc poprosiłem o przeniesienie do Miami, gdzie było mnóstwo możliwości walki z przestępczością dla tajnego agenta FBI o kubańskim pochodzeniu. No i oczywiście Biuro wysłało mnie do Filadelfii.

Rozdział 4

Zmagając się z wagą

Zanim zająłem się sprawą rodziny Gambino, było Badlands.

Ludzie żyjący na przedmieściach Badlands w Filadelfii to jedna z najbardziej niebezpiecznych i znarkotyzowanych społeczności w kraju. Okolica roi się od dealerów narkotykowych z Kolumbii, Dominikany, Meksyku i innych miejsc. To najbardziej niebezpieczne miejsce dla tajnego agenta organów ścigania, jakie tylko można sobie wyobrazić. Przez cztery lata byłem Manolem - jeździłem mercedesem, piłem bacardi z colą, paliłem cygara. Byłem dealerem narkotykowym i prałem brudne pieniądze. A przynajmniej taką rolę odgrywałem.

Zacząłem działać w Badlands dzięki ciężkiej pracy mojego kolegi, agenta FBI, W. Van Marsha, który zaczął sprawę przeciwko jednemu z czołowych bukmacherów w okolicy, zwanemu Tony Oro. Van Marsh zaaranżował sytuację, w której Tony pośredniczył w sprzedaży dwóch kilogramów czystej kokainy innemu źródłu Van Marsha. Kiedy już sprzedaż doszła do skutku, Van Marsh ujawnił się jako agent FBI, zabrał Tony'ego na śniadanie i dał mu wybór: współpraca z FBI albo kilka następnych dekad za kratkami. Tony nie był dużym człowiekiem, ale po ulicach kroczył z ogromną pewnością siebie. Był tuż po pięćdziesiątce, był ojcem, a dzięki zakładom

sportowym i licznym transakcjom był też bardzo bogaty. Nosił ogromny ! łańcuch z wisiorkiem w kształcie boga Azteków wysadzany diamentami, rubinami i szmaragdami. Musiał być wart z pół miliona dolarów. Tony bez strachu i z wyraźną dumą pokazywał się z nim w Badlands -ostatecznie, któżby mógł go niepokoić? Kiedy kończyła mu się gotówka, ogromnych rozmiarów biżuteria służyła jako poręczanie w sytuacji kryzysowej - Tony mógł wyjąć jeden z drogocennych kamieni i spłacić cały dług. Zewnętrzny wygląd dzielnic narkotykowych może być zwodniczy. Budynki wyglądają jak zwykłe kamienice czynszowe, a dopiero po wejściu do środka widać, że wielu dealerów narkotykowych i bogatych gangsterów żyje w oszałamiającym luksusie. Wnętrza domów niektórych kluczowych postaci w sprawie - ludzi, którzy kontrolowali szlak narkotykowy we wzmiankowanej dzielnicy - przypominały pokazowe pomieszczenia sklepów elektronicznych - były tam najlepsze i najnowocześniejsze modele telewizorów, sprzęt nagłaśniający i inne gadżety. Gangsterzy mieli świetne meble, wspaniałe dywany i luksusowe samochody. Na przykład Tony jeździł rolls-royceem Corniche. Niektórzy z nich mieli w domu nawet ringi do walk kogutów.

Ponieważ mieszkali w okolicy, w której rozprowadzali narkotyki, mieli zarówno poczucie bezpieczeństwa, jak i stały dopływ godnych zaufania pracowników. Bonzowie narkotykowi zatrudniali krewnych i przyjaciół, żeby przygotowywali towar, sprzedawali go, zajmowali się pieniędzmi i wykonywali inne działania związane z zakazanym handlem narkotykami. Dobrze im się tam mieszkało, bo wszyscy w okolicy ich pilnowali. Według tych samych zasad mafiosi czerpią korzyści z ochrony w pięciu hrabstwach. Ci handlarze narkotyków mogli żyć gdziekolwiek, ale zdecydowali się zostać w tych dzielnicach, ponieważ czuli się tu bezpiecznie. Rzecz jasna, na zakładach i pośredniczeniu w transakcjach narkotykowych można było zbić kupę forsy.

W owym czasie, w późnych latach osiemdziesiątych, można było kupić kilogram niemal czystej kokainy na ulicach Filadelfii, lub innego dużego miasta, za kwotę od siedemnastu do dwudziestu pięciu tysięcy

dolarów. Jednak na ulicy wartość kokainy była nieporównanie większa. Po pierwsze, mogłeś rozrzedzić ją laktozą dla dzieci, inositolem lub inną substancją chemiczną, by podwoić jej wagę. Dealerzy narkotykowi nazywają to „dodaniem gazu”. A więc w ten sposób twoja inwestycja w jeden kilogram lub tysiąc gramów owocuje dwoma kilogramami lub dwoma tysiącami gramów na sprzedaż. Jeśli jesteś szczególnie skąpy, możesz znowu dodać narkotykowi gazu i teraz masz już trzy kilogramy lub trzy tysiące gramów.

Przeciętny konsument, który desperacko chce się nać-pać, o wiele mniej troszczy się o czystość aniżeli o dostępność i godzi się na ryzyko kupna rozcieńczonej kokainy, zwłaszcza gdy nabywa tylko działkę, która zawiera jeden gram, za sto dolarów. Tak więc policzcie sobie: trzy tysiące gramów osiągnięte z początkowego kilograma dzie-więćdziesięciopięcioprocentowej kokainy po dwukrotnym „dodaniu gazu” daje produkt ważący trzy tysiące gramów, po sto dolców za gram. Oznacza to dochód rzędu trzystu tysięcy dolarów czystego zysku, przy wstępnym zainwestowaniu od siedemnastu do dwudziestu pięciu tysięcy.

Wielu dealerów, kupując narkotyki, nie wyklada nawet całej sumy, tworząc dźwignię finansową, której mogliby pozazdrościć inwestorzy na rynku nieruchomości czy maklerzy giełdowi. Dzięki kilku tysiącom dolarów zainwestowanych w kilogram zyskuje się sto razy zwielokrotnioną kwotę. Lub, żeby powiedzieć prościej, odliczając wszystkie koszty, jakie trzeba ponieść, dealer narkotykowy może zyskać ćwierć miliona dolarów nieopodatkowanego zysku na każdym kilogramie, który kupi.

Oczywiście, jeśli zarabiasz na życie jako dealer narkotykowy, musisz sprostać pewnym wyzwaniom. Po pierwsze, masz do czynienia z siecią dostawców, którzy są uzbrojeni po zęby i gotowi zabijać ludzi z powodu najmniejszego podejrzenia czy niezgody. Po drugie, choć możesz nie wiedzieć, że właśnie wkroczyłeś na miejski uliczny rynek narkotykowy, nie zmienia to faktu, że sprzedawanie i kupowanie narkotyków jest niezgodne z prawem. Nie można stwierdzić, czy „klient” należy do organów ścigania, czy nie. W takiej właśnie znalazłem się roli.

Przy moim wzroście i wadze - wtedy ważyłem już sto trzydzieści pięć kilogramów - nie pasowałem do wyobrażenia dealerów o tym, jak powinien wyglądać agent organów ścigania. Z takiego przynajmniej wychodziliśmy założenia, gdy Tony, bukmacher, zgodził się zostać świadkiem współpracującym* z FBI. Van Marsh przedstawił mi Tonyego, ponieważ chciał, by jego samego ktoś zastąpił w kontaktach z Tonym, w prowadzeniu sprawy i odwalaniu roboty tajniaka, podczas gdy on dostał zasłużony awans do Akademii FBI. Jednocześnie miałem pracować przy tej sprawie jako tajny agent.

Tony miał nową misję w życiu: przekonać poszczególnych ludzi, z którymi robił interesy, że jestem prawdziwym gangsterem, dealerem narkotykowym, i piorę brudne pieniądze. Przez następnych kilka lat Tony ryzykował życiem, pomagając mi wejść do owej społeczności, a ja ryzykowałem własnym życiem, rozpracowując Badlands, często przez Siedem dni w tygodniu, szukając okazji, by wsadzić gangsterów za kratki.

Aby przekonać wszystkich, że jestem Manolem, królem gangsterów, Tony zaczął pokazywać się ze mną w okolicy. Na początku zaliczaliśmy kilka wizyt dziennie - czasem nawet do czterech razy na dzień chodziliśmy do restauracji i nocnego klubu w sercu dzielnicy znanych jako El Kibuk. Właściciele klubu byli kubańskimi dealerami narkotyków, a sam klub był ulubionym miejscem handlu i spotkań dealerów i innych szumowin z północnej Filadelfii.

* W języku FBI świadek współpracujący (cooperating witness), w przeciwieństwie do informatora (informant), nosi podsłuch i może zostać wezwany do złożenia zeznań w procesie sądowym.

Aby moja tożsamość była przekonująca, jeździłem nowym luksusowym mercedesem SL 500 z wyposażeniem AMG, który Biuro zajęło dealerom narkotykowym w Miami. Zawsze miałem przy sobie duży plik pieniędzy od FBI. Szybko nauczyłem się od Tonyego, jak dogadzać sobie na ulicach i w klubach. Tony zawsze mawiał: „Masz władzę wtedy, gdy wszyscy inni tak myślą”. W restauracjach czy barach gangsterzy nigdy nie proszą o rachunek. Mogą napić się kawy lub drinka, ale nigdy nie płacą odliczonej sumy. Byłoby to złamanie swoistego kodu postępowania gangstera. Od Tonyego nauczyłem się, że mam zostawić pięćdziesięciodolarowy lub studolarowy banknot napiwku - nawet jeśli zamówiłem tylko kawę. Gangster nigdy nie podszedłby do baru i nie zapytałby: „Jakie macie piwo?” lub „Co macie w menu?”. Tego rodzaju pytania są dla nieudaczników.

Prawdziwy gangster doskonale wie, jakiego rodzaju piwo pije. Podaj mi llave, po hiszpańsku klucz. To dla barmana sygnał, że chcesz Becks, bo w górnej etykietce tego piwa jest znak klucza. Podobnie, gdybym jako Kubańczyk chciał się napić rumu z colą, ulubionego drinka Manola, nie użyłbym popularnej nazwy tego drinka, Cuba Libre, czyli „wolna Kuba”. Zamiast tego poprosiłbym o mentira, co po hiszpańsku oznacza kłamstwo, gdyż wszyscy wiedzieli, że jak długo żyje Castro, nie ma czegoś takiego jak Cuba libre. I natychmiast pozbyłbym się słomki. Żaden szanujący się twardziel nie pija przez słomkę!

Faceta moich rozmiarów trudno nie zauważyć, zwłaszcza gdy wożę się tym wielkim mercedesem, kilka razy dziennie wpadam do El Kibuk i prowadzam się z Tonym, tak znaną i szanowaną w Badlands postacią. Tak więc już po kilku tygodniach ludzie zaczęli o mnie pytać Tonyego. Czy jestem gangsterem? Czy można mi ufać? Co robię? Czego tu szukam? Aby przekonać podejrzanych, że naprawdę jestem niebezpiecznym typem i jednym z nich, mieliśmy sfalszowany list gończy z FBI z moim zdjęciem. Mówił

on, że FBI szuka mnie za handlowanie narkotykami i morderstwo.

Tony pokazał to zdjęcie kilku osobom na ulicy, utrzymując, że ma je od jakichś brudnych glin. Nie minęło dużo czasu i inni gangsterzy zapragnęli ze mną robić interesy. Pozostali agenci FBI pokazywali moje zdjęcie informatorom i pytali: „Widziałeś gdzieś tego gościa?”. To miało wzmocnić moją wiarygodność, bo gangsterzy mieli teraz dowód na to, że ja również jestem gangsterem, w dodatku poszukiwanym przez organa ścigania.

Czy się bałem? Oczywiście, że tak. Niektórzy spośród wysoko postawionych dealerów, którzy kupują i sprzedają dziesiątki, a nawet setki kilogramów kokainy lub heroiny, to biznesmeni - z wyglądu i zachowania nie do odróżnienia od mężczyzn, jakich widzi się w metrze, gdy rankiem jadą do pracy. Większość z nich nigdy sama nie zażywała narkotyków. To był dla nich tylko biznes i choć nie czułem się wśród nich specjalnie bezpieczny, nigdy też nie ogarniał mnie w ich obecności szczególnie strach.

Ale kiedy narkotyki pojawiły się na ulicach, dealerzy zupełnie się zmienili. Niemal zawsze sami byli uzależnieni, zawsze uzbrojeni, a ich podejrzliwość graniczyła z paranoją - niewątpliwie był to efekt zażywania narkotyków. Stwarzali ciągle śmiertelne niebezpieczeństwo i gotowi byłiby mnie zabić w mgnieniu oka. Podam przykład: pewien dealer zabił kogoś, kto był mu winien należność za kilka kilogramów, a zrobił to w ten sposób, że wsadził gościa do beczki z ługiem, zamknął ją i wrzucił do Schuylkill River.

Byłem maksymalnie ostrożny. Kiedy na przykład rozmawiałem przez telefon z dealerem, którego nigdy nie widziałem na oczy, mówiłem: „Nazywają mnie Flaco [po hiszpańsku „chudy”]. Mam metr siedemdziesiąt i ważę osiemdziesiąt kilo. Będę miał na sobie T-shirt i dżinsy”.

W ten sposób zyskiwałem przewagę. Cel nie miał szans mnie rozpoznać, a ja z pewnością nie należałem do niepozornych facetów w dżinsach i T-shircie. Gdyby coś mi się nie spodobało, mogłem odejść, a cel nie rozpoznałby mnie jako agenta organów ścigania.

Badlands było podzielone na terytoria. W sumie zrobiłem tam około czterdziestu pięciu transakcji narkotykowych. Każde terytorium miało swoich obsługujących, czujki i domy, w których były ukryte magazyny. Mimo mojego wzrostu i tuszy i choć Tony za mnie ręczył, co pewien czas jakiś ogarnięty ciężką paranoją dealer pytał mnie, czy nie jestem gliną. Zwykle zadawali to pytanie każdemu nowemu. Mnóstwo dealerów narkotykowych żyło w błędnym mniemaniu, że jeśli zapytają tajniaka, czy jest policjantem, a on odpowie, że nie, nie mogą oni zostać pociągnięci do odpowiedzialności karnej za jakiegokolwiek przestępstwa, jakich się potem dopuszczają. Jedna szumowina poprosiła mnie nawet, żebym pokazał swoje prawo jazdy! Naturalnie powiedziałem facetowi, co może sobie zrobić ze swoim żądaniem prawa jazdy. Nigdy go nie zobaczył, zawarł ze mną transakcję, a następnie powędrował za kratki.

Któregoś dnia właściciel El Kibuk dał mi urządzenie zwane wykrywaczem kłamstw, które można kupić w sklepach szpiegowskich. To niewielkie czarne pudełko o rozmiarach pagera. Może wykryć fale radiowe, jakie emituje sprzęt podsłuchowy, którego używałem jako agent FBI. Właściciel chciał mi wyświadczyć przysługę - pomóc mi stwierdzić, czy facet, z którym miałem się spotkać, jest informatorem organów ścigania. Na szczęście urządzenie było wyłączone. W innym razie wykryłoby mój podsłuch i mogłoby się skończyć na tym, że sam wylądowałbym w beczce pełnej ługu w Schuylkill River, jak tamten biedny drań!

Rola Manola pochłaniała wiele czasu, wymagając ode mnie, bym jako ta właśnie postać spędzał mnóstwo czasu z Tonym i z cholemiem niebezpiecznymi typami z północnej Filadelfii. Sam Tony był uzależniony od kokainy. Był nieobliczalny, jak przystało na faceta od dawna zażywającego narkotyki. Zwykłem o nim myśleć Doktor Jekyll i You Better Hyde*. Gdy był czysty i trzeźwy, był miłym facetem, z którym nawet chętnie się spotykałem. Ale kiedy brał, stawał się szalony, podejrzliwy, zdolny do wszystkiego, absolutnie koszmarny w bezpośrednim kontakcie.

Na domiar wszystkiego, aby być wiarygodną postacią, musiałem odbierać jego telefony o każdej porze dnia i nocy. Dzwonił o trzeciej lub czwartej nad ranem, proponując mi, żebym kogoś poznał, lub dzwonił ot tak sobie - żeby dać upust swojej spowodowanej narkotykami paranoi. To, że spędzałem więcej czasu z Tonym niż z moją żoną, całe weekendy przesiadywałem w jego towarzystwie, byłem na każde jego zawołanie i telefon, doprowadzało ją do szału. Wysokie wymagania, jakie stawiało odgrywanie roli Manola, zdecydowanie wystawiły na próbę moje małżeństwo. Żonie nie podobał się fakt, że na co dzień jestem w takim niebezpieczeństwie, i to, że tak wiele godzin spędzam, pracując. Naprawdę niełatwo jest być żoną tajnego agenta.

* Nieprzetłumaczalna gra słów. „You Better Hyde” (użyte zamiast „Mister Hyde”) oznacza „lepiej się ukryj” (przyp. tłum.).

W tym samym czasie mój nowy zwierzchnik w lokalnym oddziale Biura w Filadelfii, ekszołnier z piechoty morskiej, którego nazywaliśmy

Martland, wywierał na mnie presję. Z jakiegoś powodu od początku mnie nie lubił. Był typowym żołnierzem piechoty morskiej i umiłowanie rygoryzmu przeniósł również do swojej pracy kierownika w biurze okręgowym w Filadelfii. Według niego, z powodu swojej wagi byłem winowajcą numer jeden.

Emocjonalne wyzwanie, z jakim wiązało się odgrywanie roli Manola, i napięte stosunki w małżeństwie sprawiły, że przytyłem. Cóż, po prostu stres działa na mnie tak, że dużo jem. Niektórzy ludzie pod wpływem stresu sięgają po jacka danielsa. A ja? Ja idę wrzucić coś na ruszt. Szybko okazało się, że trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie: co ma większą wagę: kokaina i heroina, z której próbowaliśmy oczyścić ulice, czy agent FBI Joaquin Garcia?

Dla Martlanda liczyło się tylko to, że ważyłem za dużo, by pasować do wyobrażenia idealnego agenta FBI, i coś trzeba było z tym zrobić. Chciał mnie zważyć, ale ze swoimi stu osiemdziesięcioma kilogramami byłem za ciężki na zwykłą wagę łazienkową. Tak więc lekceważąc inne swoje obowiązki kierownika w biurze FBI, Martland dołożył starań i znalazł wagę o tak dużej skali, by mnie zważyć!

Znalazł ją w piwnicach budynku Biura i wydał dyspozycję, by pracująca u nas pielęgniarka, również służąca niegdyś w piechocie morskiej, ważyła mnie na niej co tydzień. Teraz, gdy na to patrzę z perspektywy czasu, wydaje mi się to zabawne, ale wtedy to było niezwykle upokarzające. To ja dzień po dniu, noc po nocy, czasem na pełny zegar ryzykuję własne życie dla FBI i amerykańskich obywateli, a mój zwierzchnik zajmuje się poszukiwaniem wagi o wystarczającej skali, by mnie zważyć.

Musiałem tracić na wadze, oczekiwano ode mnie, że co tydzień mam zrzucić przynajmniej pół kilograma. Znalazłem w pobliskim Camden w New Jersey lekarza, który przepisał mi tabletki na odchudzanie. Pomogły mi zrzucić trochę kilogramów, ale sprawiły, że byłem bardziej roztrzęsiony, gdy usiłowałem radzić sobie z moimi obowiązkami tajnego agenta. Nie minęło dużo czasu, a mimo tabletek moje nerwowe obżeranie się spowodowało, że jeszcze bardziej przytyłem. Wiedziałem, że jeśli choć słowo na ten temat dotrze do uszu Martlanda, odsunie mnie

CZĘŚĆ I. WEJŚCIE DO GRY

ROZDZIAŁ 4 ZMAGAJĄC SIĘ Z WAGĄ

od śledztwa, a może nawet postara się mnie wyrzucić z FBI. Wpadłem więc na pomysł, że będę miał własną wagę: jeśli kupię moją własną wagę, nie będę musiał schodzić do piwnicy, by zostać zważonym.

Odłożyłem na chwilę sprawę - żadnych gangsterów, żadnych narkotyków, żadnego Tonyego - i ruszyłem na zakupy! Obszedłem chyba wszystkie centra handlowe w Filadelfii i New Jersey, testując wszystkie wagi, jakie mieli. W końcu znalazłem tę jedną, Świętego Graala. Waga wskazywała, ile naprawdę ważyłem. Jednak kiedy przechyliłem się trochę na bok, mogłem oszukiwać i wydawało się, że straciłem pół kilograma, podczas gdy w rzeczywistości waga mojego ciała ani drgnęła lub nawet wzrosła. Przez pierwszy miesiąc czy dwa waga działała bez zarzutu. Pielęgniarka z piechoty morskiej kłękała lub kuciała, żeby zobaczyć, ile ważyłem, podczas gdy ja przechylałem się na bok, by ją oszukać. Czasem czułem się jak krzywa wieża w Pizie!

Niestety, miesiące mijały, a moja waga rosła. Któregoś dnia przechyliłem się odrobinę za mocno i... podczas gdy pielęgniarka na czworakach sprawdzała moją wagę, przewróciłem się na nią! Odkryto moje oszustwo i Martland miał argument za tym, by odsunąć mnie od sprawy i wyrzucić z Biura. Natychmiast przydzielił mi nadzór, uciął dodatek do pensji i zaczął osobiście nadzorować moje straty na wadze, by mieć podstawę do zwolnienia. To zabawne, że czasem bardziej martwiłem się tym, ile ważyłem, niż swoim bezpieczeństwem na ulicach. Wiedziałem, że mogę poradzić sobie w sytuacji zagrożenia w Badlands, ale w oddziale FBI w Filadelfii zaczynałem się bać.

Uratowało mnie to, że rola Manola zaczęła przynosić rezultaty. Oddajmy sprawiedliwość Tonyemu - swoją część odegrał perfekcyjnie. Nie sądzę, by ktokolwiek w Badlands podejrzewał, że to on jest informatorem FBI albo że mógłbym być tajnym agentem. Jestem wdzięczny Tonyemu, bo nauczył mnie, jak zachowywać się pośród gangsterów. Ta nauka miała wpływ na całą moją dalszą karierę zawodową i przydała się, zwłaszcza kiedy przebywałem z członkami rodziny Gambino. Ale wtedy byłem dopiero nowicjuszem w świecie śledztw prowadzonych przez tajnych agentów. Zaczęliśmy zamykać dealerów z północnej Filadelfii jednego po drugim.

Dealerzy narkotykowi, tak jak biznesmeni w każdej branży, lubią dużo gadać. Rozmawiają o interesach, o nowych klientach, o dostawcach, o cenach. W tych okolicznościach byłoby niemożliwe, żebym

zwyczajnie nawiązywał transakcje z kolejnymi dealerami na ulicach północnej Filadelfii -aranżował kupno lub sprzedaż kilograma kokainy lub heroiny, a potem zdejmował z ulicy jednego dealera po drugim. Plotka, że Manolo to tajny agent, rozeszła się po Badlands jak ogień w wysuszonej puszczy.

Nawet gdybyśmy zamierzali zawrzeć transakcje i czekać z aresztowaniami, aż uzbiera się większa liczba przestępców do zgarnięcia, to i tak by się nie udało. Po pierwsze, FBI nie miało wystarczającej ilości gotówki, by wydawać od siedemnastu do dwudziestu pięciu tysięcy dolarów na zakup kilograma kokainy od każdego gangstera w mieście. Po drugie, gdybym wziął kilogram od jednego gościa, pozostali dealerzy wiedzieliby o tym. Gdybym zrezygnował z dostawcy numer jeden i podjął starania, by robić interesy z dostawcą numer dwa, trzy, cztery i tak dalej, wyglądałoby to podejrzanie. Tylko tajniak kupowałby od jednego gościa, porzucał go i próbował kupować od następnych. To by się nie udało.

Opracowaliśmy plan, który pozwalał nam zapuszkować wielu dealerów, nie wydając mnóstwa pieniędzy. Biura i bez ryzyka, że zostanę zdemaskowany jako tajny agent. Robiliśmy to w ten sposób: Tony rozповідаł, że zajmuję się praniem brudnych pieniędzy. W końcu dealerzy narkotykowi posługiwali się różnymi pieniędzmi, a nabywcy płacili im niewielkimi banknotami - jedno-, pięcio-, dziesięcio- i dwudziestodolarowymi. Wszystkie banknoty były brudne i nieodwracalnie pokryte narkotykowym pyłem. Powiedzmy, że dealer w krótkim czasie pozbył się czterech kilogramów kokainy. W rezultacie ma on milion dolarów gotówki w niewielkich nominałach. Przewiezienie tej gotówki z północnej Filadelfii w jakieś bezpieczne miejsce - do schowka w banku w innym stanie, domowego sejfów lub do dostawcy, by kupić jeszcze więcej - to ryzykowne przedsięwzięcie. Dealer mógłby zostać okradziony i zabity dla pieniędzy. Gdyby nawet nic mu się nie stało, nadal miałby problem z przetransportowaniem worków pełnych gotówki śmierdzącej narkotykami.

Ratunkiem był Manolo. Powiedziałem dealerom, że mam znajomości w banku, który pierze brudne pieniądze. Za jeden lub dwa procent marży mogę zamienić ich niewielkie nominały na studolarowe banknoty. Milion dolarów w studolarówkach z łatwością mieści się w walizce. Żegnajcie olbrzymie worki z pieniędzmi niepotrzebnie przyciągające uwagę zarówno innych przestępców, jak organów ścigania! Mogłem zawierać transakcje z mnóstwem dealerów, by wyprać im pieniądze.

Zwykle działało to tak - szedłem do faceta i mówiłem:

- Znam kogoś, kto chce kupić parę kilo kokainy. Co powiesz na to, żebym nagrał ci transakcję?

Na tym etapie mogło jeszcze do niczego nie dojść. Jednak oni zawsze wracali i mówili:

- Żadnych problemów. Sprzedam ci kilo. i

- Co z tego będę miał? - odpowiadałem. - Gdzie moja działka? Innymi słowy: „Jeśli ja ci pomogę, kto pomoże mnie? Ręka rękę myje.

Co ty zrobisz dla mnie? Nagraj mi jakiś interes na pranie brudnych pieniędzy, a możemy się dogadać”.

Im więcej pieniędzy przynosili, tym łatwiej było nam określić rozmiary transakcji narkotykowej. Robiąc to, FBI mogło „wyprać” miliony dolarów pochodzących z handlu narkotykami na ulicach Filadelfii, zbierając dowody na jednego dealera po drugim. Nazwaliśmy tę operację BT Express. B oznaczało Biuro, T oznaczało Tonyego (informatora), a Express nic nie oznaczało. To był tylko zabawny dodatek. W owym czasie istniał zespół muzyczny, który tak się nazywał, ale to nie miało z nim żadnego związku. Przejeliśmy sklep w północnej Filadelfii, w sercu Badlands. Tony prowadził swoją działalność bukmacherską w głównym pomieszczeniu. W pomieszczeniu na tyłach dealerzy przynosili nam pieniądze do wyprania lub sprzedawali kokainę. Nie mieli pojęcia, że rozmowy o narkotykach i pieniądzach z handlu narkotykami były nagrywane na taśmy wideo i podsłuchiwane. Dealerzy zachodzili do siedziby BT Express z workami pieniędzy oraz kilogramami kokainy i heroiny, i wychodzili - z gotowym aktem oskarżenia.

Nawiasem mówiąc, gdy Martland, były żołnierz piechoty morskiej, któremu tak przeszkadzała moja nadwaga, objął dowodzenie, bardzo nie podobała mu się nazwa operacji BT Express i chciał ją zmienić na... Warthog, jakby nie można było znaleźć lepszej nazwy; Wytoczyłem mu wojnę. Nie ma mowy, byśmy nazwali naszą piękną operację Wart-hog. Później dowiedziałem się, że Warthog to była nazwa pojazdu zwiadowczego. Wtedy zrozumiałem Warthog przywiązanie do tego słowa. Ostatecznie operacja zyskała nową nazwę - Metroliner. bo niektórzy z naszych łączników narkotykowych jeździli pociągami Amtrak z Waszyngtonu lub Nowego Jorku, by osobiście dokonać transakcji. Przez cały rok moje życie koncentrowało się na rozpracowywaniu dzień po dniu. Robiłem interesy z ludźmi, którzy spędzali 1' tta ulicyz uzbrojonytni paranoikamL niebezpiecznymi dealera-cotykowymi. Wstępowałem do El Kubik cztery razy dziennie . kawę lub drinka, wiele godzin spędzałem z Tonym i jego kumplami, a następnie każdego

wieczora wracałem do biura FBI, by napisać raport o wszystkim, co widziałem lub zrobiłem. Następnego dnia musiałem wcześniej wstać i znowu wszystko zaczynało się od początku. Jednocześnie starałem się jakoś pilnować swojej wagi i dbać o to, by moje małżeństwo przetrwało. Nie było łatwo, ale praca dawała mi dużą satysfakcję. Do zakończenia operacji o wstępnej nazwie BT Express, potem Metroliner, zgromadziliśmy wystarczającą ilość informacji, by oskarżyć osiemdziesięciu pięciu dealerów narkotykowych z Kolumbii, Kuby i Dominikany.

* Warthog- guziec (przyp. tłum.).

Tego samego dnia przedstawiono akt oskarżenia ludziom z kilku miast - od Filadelfii po Los Angeles. Osiemnastu oskarżonych uciekło z kraju. Spośród sześćdziesięciu siedmiu osób, które pozostały, sześćdziesiąt dwie zostały skazane i otrzymały długoletnie wyroki za handel narkotykami i pranie brudnych pieniędzy; dwie osoby zostały uniewinnione, a jedna zmarła w trakcie sprawy. W ciągu roku zamknęliśmy BT Express Metroliner i dzień w dzień zeznawałem kolejno na procesach

sądowych. Był to jeden z największych nalotów na dealerów narkotykowych w historii organów ścigania.

Zanim zamknęliśmy sprawę, wiedziałem, że muszę wyjechać z Filadelfii. Wojna, jaką wypowiedział mi Martland, nie traciła na intensywności, choć pracowałem po godzinach, włożyłem w sprawę mnóstwo pracy, a operacja odniosła sukces. Martland nadal robił mi problemy i mówił, że łamię reguły i przepisy. W końcu któregoś dnia wybuchnąłem.

- A co z panem? - zapytałem. - Nadal jest pan w Gwardii Narodowej. Może pan w końcu zacznie pilnować własnego nosa!

Mimo Martlanda udało nam się zdjąć z ulicy wielu gangsterów i zakłócić napływ narkotyków z niejednego, lecz dwóch kolumbijskich karteli narkotykowych z miasta Cali, działających w Stanach Zjednoczonych. Za nasz wysiłek agenci prowadzący tę sprawę oraz tajniacy, których Van Marsh i ja wciągnęliśmy do operacji, zostali nagrodzeni przez FBI premiami, a Biuro Prokuratora Generalnego wschodniego dystryktu Pensylwanii przyznało nam odznaczenia.

W liście pochwalnym, jaki otrzymałem od FBI, czytamy między innymi: „SA* Garcia, to dzięki swojej odwadze i niebywałym zdolnościom tajnego agenta był Pan zdolny do pozyskania pełnego zaufania podejrzanych”. Biuro Prokuratora Generalnego napisało także piękny list na mój temat do dyrektora FBI Louisa Freeha. Cytuję fragment: „Zdolności agenta specjalnego Garcii jako tajnego agenta także zasługują na wyjątkową pochwałę. W niebezpiecznych sytuacjach myśli on szybko, jest pomysłowy, rozumie kryminalistów, posługuje się ich językiem i łatwo pozyskuje ich zaufanie. FBI ma wielu agentów, którzy potrafią odgrywać swoje role jako tajni agenci, lecz SA Garcia wysuwa się na czoło tej elitarnej grupy. Jest niezwykle wartościowym agentem, który ma predyspozycje, by prowadzić wiele spraw najwyższej wagi”.

Czy naprawdę byłem aż tak odważny? Nie. Trząsałem się ze strachu, że przytyję i zaprzepaszczę swoją karierę w Biurze!

Moje małżeństwo jakimś sposobem przetrwało ten trudny okres, podobnie jak moja kariera. Praca tajnego agenta była również emocjonująca co wyczerpująca i wiedziałem, że naprawdę znalazłem swoją niszę nie tylko w organach ścigania, ale i w życiu. Mimo trudności, jakich doświadczyłem na skutek braku wsparcia mojego zwierzchnika w Biurze, wiedziałem, że moja życiowa misja polega na tym, by pracować jako tajny agent i nadal zganiać gangsterów z ulic. Nie lękałem się, że mój wysiłek, lub wysiłek kogokolwiek, mógłby poważnie ograniczyć napływ narkotyków do kraju i rozprowadzanie ich. Ale wiedziałem też, że mnóstwo gangsterów trafia za kratki dzięki działaniom moim oraz moich kolegów.

Złożyłem podanie i tym razem spełniono moje życzenie. Wracałem do swojego domu w Nowym Jorku.

Witajcie w Nowym Jorku

Gdy przyjechałem do Nowego Jorku, wiedzano tam już o dwóch aspektach mojej pracy w FBI. Pierwszym było moje doświadczenie jako latynoskiego tajniaka. Agenci w nowojorskim biurze, którzy pracowali nad sprawami związanymi z narkotykami, chcieli, żebym dołączył do ich komórki. Niestety, drugą sprawą, która ciągnęła się za mną z Filadelfii, były moje ciągłe utarczki ze zwierzchnikiem. Okazało się, że Martland miał przyjaciół na wysokich stanowiskach w Nowym Jorku, którzy próbowali mnie ośmieszyć. Właśnie ukończyłem sprawę, którą można było określić jako największą i najpoważniejszą sprawę narkotykową w historii Biura. Ale dzięki grubym szychom, do których Martland wykonał telefon, w Nowym Jorku nie było dla mnie takich spraw. Zamiast tego dostałem przydział do komórki, którą agenci FBI określają szyderczo mianem Plaster Police - Tynkarze. Tynkarze nikogo nie aresztują. Nie ścigają handlarzy narkotyków, terrorystów, rabusiów banków czy nawet złodziei samochodów. Ta komórka zajmuje się nadzorowaniem budowy i reorganizacji budynków FBI. Stąd nazwa Tynkarze, i to właśnie tam chciano mnie umieścić.

Zawyłem ze złości. Zbuntowałem się. Tłumaczyłem każdemu, kto chciał słuchać, że to szaleństwo - byłem stworzony do pracy tajnego agenta. To byłoby straszne marnotrawstwo dla Biura, gdybym miał patrzeć przez cały dzień, jak robotnicy rozrabiają masę szpachlową. Musiałem zadzwonić po pomoc do kilku przyjaciół, którzy byli w stanie przekonać szefostwo w Nowym Jorku, że cokolwiek powiedzieli o mnie Martland i inni, to nieprawda. Na szczęście, Biuro poszło po rozum do głowy i wkrótce dostałem przydział do C-13, najważniejszego nowojorskiego oddziału antynarkotykowego połączonych sił FBI i nowojorskiej policji. Ta komórka była odpowiedzialna za tak głośne sprawy jak Pizza Connection - jedna z największych spraw kryminalnych w historii Biura. Było tak, jakbym znowu się cofnął do okresu, gdy byłem FNG w Newark. Faceci w komórce ciężko pracowali i byli szanowanymi agentami. Wszyscy gliniarze mieli mnóstwo nagród za służbę i byli detektywami elitarnego Biura do Walki ze Zorganizowaną Przestępczością w NYPD*. Komórka stanowiła drużynę mającą jeden cel - było nim, jak zwykliśmy mawiać, „wsadzanie gangsterów do paki”. Komórka C-13 była czymś najlepszym, co Biuro i NYPD mogły zaoferować, i byłem wdzięczny, że stałem się jej częścią.

Pracowałem jako tajny agent w kilku ważnych operacjach dotyczących kokainy i prania brudnych pieniędzy. Przy każdej sprawie grałem inną postać. Największym wyzwaniem była dla mnie rola włoskiego mafiosa, kiedy znajdowałem się pośród ludzi mówiących po hiszpańsku. Rozumiałem, co mówili, więc zawsze chciałem włączyć się do rozmowy i coś wtrącić. Zamiast tego musiałem cierpliwie czekać, aż informator „przetłumaczy” dla mnie ich słowa. Byłem o włos od popełnienia tego błędu w wielu różnych sytuacjach. Równocześnie, kiedy miałem do czynienia z Jamajczykami, udawałem kolumbijskiego bonzę narkotykowego, który kiepsko mówi po angielsku. Moim zdaniem nie było to wiarygodne, ale oni uwierzyli.

* NYPD, New York City Police Department - oficjalna nazwa nowojorskiej policji (przyp. tłum.).

W czasie gdy pracowałem w C-13, obok prowadzenia owych spraw zrobiliśmy około trzydziestu akcji z zaskoczenia - przejmowaliśmy

ii o

6J

CZĘŚĆ I. WEJŚCIE DO GRY

ROZDZIAŁ S. WITAJCIE W NOWYM JORKU

transakcje narkotykowe. Pracowałem z detektywem Paulem Caroleo, który prowadził całą sprawę, i z agentem Craigiem Arnoldem jako odpowiedzialnym za moje bezpieczeństwo. Przechwyciliśmy mnóstwo heroiny i kokainy oraz - co ważniejsze - wsadziliśmy do więzienia naprawdę niebezpiecznych gangsterów. Wszyscy lubiliśmy szybkie akcje -dostarczały adrenaliny i umacniały drużynę. Cała komórka wychodziła razem - ja wykonywałem robotę tajnego agenta, pozostali zajmowali się aresztowaniem i tak dalej. Dla nas wszystkich to było coś wspaniałego.

Wkrótce po tym, jak zostałem przydzielony do C-13, tajny informator powiedział nam, że na skrzyżowaniu Sto Dwudziestej Trzeciej i Lenox - punkt zerowy handlu narkotykami - jest kilku gangsterów chcących sprzedać duże ilości kokainy w imieniu Kolumbijczyków. To skrzyżowanie jest bodaj najbardziej niebezpiecznym miejscem, do jakiego może udać się tajny agent. Przesłałem więc przez informatora odpowiedź: „Jestem chętnym kupcem, ale nie spotkam się z facetami w mieście”. Zamiast tego spotkam się z nimi na terenie znacznie przy-jaźniejszym i bezpieczniejszym dla takich gości jak ja - w Queens.

Wróciła odpowiedź - żaden problem. Tej samej nocy zaaranżowaliśmy spotkanie w Georgia Diner, niedaleko centrum handlowego w Queens, gdzie Queens Boulevard krzyżuje się z Long Island Expressway.

Tamtej nocy poznałem gangsterów i były to ciężcy kryminaliści, którzy prowadzili handel na ulicach i byli jeszcze bardziej przerażający niż dealerzy, których poznałem w Badlands. Obiecali mi kokainę o rybiej łusce, co oznacza trudny do przebicia poziom czystości i jakości towaru. Określenie „rybia łuska” pochodzi od wyglądu tej kokainy - kiedy otwierasz paczkę, jest bardzo błyszcząca i biała, jak łuski ryby wyciągniętej z wody. Gangsterzy ze Sto Dwudziestej Trzeciej i Lenox chcieli ubić interes jeszcze tej samej nocy, tu i teraz, ale powiedziałem, że nie ma mowy, bo biorę duże ilości kokainy tylko w ciągu dnia, kiedy jest więcej ludzi na ulicach i łatwiej mi się wmieścić w tłum. Nie robili z tego powodu problemu i umówiliśmy się na rano następnego dnia.

Do czasu drugiego spotkania teren otaczający Georgia Diner zmienił się w coś, co my w organach ścigania nazywamy planem - jest to tło dla naszego spotkania z przestępcami. Byli tam agenci i detektywi ze sprzętem nagrywającym i podsłuchem, którzy siedzieli w zaparkowanym przed restauracją vanie. Tajniacy i detektywi siedzieli w samochodach, gotowi do obstawienia wszystkich wyjść ewakuacyjnych, gdyby zrobiło się niebezpiecznie. Jeden z agentów siedział nawet koło kontenera na śmieci z butelką w brązowej papierowej torbie, udając, że jest pijanym bezdomnym. W razie czego był gotów włączyć się do akcji. Agenci na tego rodzaju pozycjach są nazywani duchami - są na pełnym widoku, ale tak naturalnie wtapiają się w ulicę, że gangsterzy nigdy ich nie zauważają. I oczywiście byłem tam również ja. Czekałem na bandytów. Mielśmy wszystko, co niezbędne, poza... dealerami.

Musicie wiedzieć, że ludzie w branży narkotykowej nie liczą się z czasem tak, jak ludzie w wojsku czy organach ścigania. Dealerzy pojawiają się, kiedy chcą. Ci i tak spóźnili się zaledwie czterdzieści pięć minut, czyli nie tak źle jak na dealerów. I wtedy wszystko zaczęło iść nie tak.

Umówiliśmy się, że kupię od nich dziewięć kilogramów cracku, ale gangsterzy nie mieli przy sobie żadnych narkotyków. Nagle sytuacja przybrała zły obrót.

- Macie nary?

To oznaczało: macie narkotyki? A oni odpowiedzieli:

- A ty masz forszę?

Nikt niczego nie miał i nastąpił impas. Mój szósty zmysł podpowiadał mi, że to może się źle skończyć.

Jeden z podejrzanych powiedział mi, że dealer będzie tu lada chwila i pięć minut później przyjechał Kolumbijczyk. Więc podeszliśmy do niego - dwóch gangsterów ze skrzyżowania Sto Dwudziestej Trzeciej i Lenox, których poznałem poprzedniej nocy, i ja. Kolumbijczyk chciał wiedzieć, czy pośrednikowi, który nas spiknął, można ufać. Powiedziałem, że ja go nie znam, ale mój partner owszem. Zaufanie, którego nigdy nie ma w nadmiarze, jeśli chodzi o handel narkotykami, gwałtownie zmalowało. Coraz więcej ludzi pojawiało się na scenie - nadjechało kolejnych trzech współlników Kolumbijczyka. Nagle na parkingu przed restauracją dosłownie się zaroilo od ludzi i zostałem otoczony.

Pamiętajcie, że zaczęła się pora lunchu i naszą scenę wypełniły dziesiątki przechodniów. A więc teraz mieliśmy już sześciu gangsterów, mnie i dwóch CW - confidential witnesses, świadków współpracujących - którzy zainicjowali całą sprawę. Otoczyło mnie dziewięciu gości i nikt nie wiedział, co się dzieje ani co się stanie za chwilę. Ten facet ręczył za tamtego faceta, a on za innego... a Kolumbijczykom to się w ogóle

nie podobało.

- Słuchajcie, chłopaki - powiedziałem z rosnącym zniecierpliwieniem. - Wchodzimy w to czy nie? Nie chciałem, żeby to wyglądało na mój pierwszy raz. Chciałem przejąć kontrolę nad sytuacją.

- Nie tutaj - odrzekł nerwowo Kolumbijczyk. - Tu jest zbyt wiele oczu. Za rogiem mamy kryjówkę. Tam jest cały towar i będziesz mógł spróbować i wybrać sobie, które dziewięć kilogramów chcesz. Jeden z moich ludzi zostanie z jednym z twoich jako zakładnikiem. Chodźmy.

Gangsterom bardzo spodobał się ten pomysł i nalegali, żebym poszedł z Kolumbijczykami do ich kryjówki, a oni zapewnią ochronę. Z jakiegoś powodu Kolumbijczyk podejrzewał - jak wiadomo, słusznie - że na scenie są organa ścigania. Nie domyślił się, że jestem tajniakiem, ale jego szósty zmysł i doświadczenie w sprzedawaniu narkotyków podpowiadały mu, że nie wszystko jest tak, jak być powinno. W kryjówce moglibyśmy dokończyć transakcję bez niepowołanych świadków. Dealerzy narkotykowi zwykli zostawiać jednego ze swoich ludzi jako zakładnika. Gdyby transakcja z jakiegoś powodu poszła nie tak, facet dostałby kulę.

Tutaj bardzo przydało mi się doświadczenie, jakie zdobyłem jako tajny agent w Badlands. Nie było mowy, żebym opuścił bezpieczny, obstawiony plan akcji, gdzie my, stróże prawa mieliśmy przewagę. Nie miałem najmniejszego zamiaru pakować się do jakiejś kryjówki, w której kto wie, co może się wydarzyć. Młodszy, bardziej napalony agent mógłby skorzystać ze sposobności, by zapaść się w matecznik gangsterów. To świetnie, mógłby pomyśleć. Przejmemy nie tylko dziewięć kilogramów, ale cały magazyn i ich kryjówkę. Pomyśleć, jak taka akcja wpłynie na rozwój mojej kariery! Ja natomiast myślałem o tym, jak ich żądanie, bym poszedł do ich kryjówki, może odbić się na moim zdrowiu. Wyszło mi, że negatywnie. Musiałem szybko myśleć.

- Nie ma mowy, żebym z wami poszedł - powiedziałem Kolumbijczykom. - Wczoraj w nocy zasięgałem porady mojej madriny, która powiedziała mi, żebym zrobił interes tutaj, w restauracji.

Madrina to kapłanka czy wróżka w kulcie Santeria - religii ludowej popularnej w wielu latynoskich społecznościach. Jeśli twoja madrina mówi ci, żebyś coś zrobił, robisz to. Lekceważysz jej ostrzeżenia na własne ryzyko. Często nosiłem się jak santero, mając na sobie kolorowe naszyjniki Santeria i złotą biżuterię wyznawców tej religii.

Kolumbijczycy nie byli zadowoleni. Tak samo nie mieli ochoty ubić interesu tam w restauracji, jak ja nie miałem chęci, by iść z nimi do ich kryjówki. Żeby rozładować napiętą sytuację, powiedziałem im, że chcę pogadać z moim współnikiem, który w istocie był świadkiem współpracującym z FBI. Gdy z nim rozmawiałem, szedłem w stronę parkingu i minąłem vana FBI, w którym siedzieli faceci z grupy specjalnej z C-13, nagrywający rozmowę i monitorujący mnie. Wszystkie rozmowy były prowadzone po hiszpańsku, ci w vanie mieli tłumacza. Podszedłem do nich, żeby powiedzieć ludziom w środku, że ta transakcja nie wygląda dobrze. Po drodze zauważyłem dwa samochody pełne gangsterów, którzy mnie obserwowali. W jednym z samochodów siedział facet udający, że czyta „New York Post”... Problem w tym, że czytał gazetę do góry nogami!

Robi się niebezpiecznie, pomyślałem. Czy wiemy, ilu jeszcze facetów obstawia dla dealerów tę transakcję? Stwierdziłem, że lepiej nie podchodzić do vana, więc wróciłem do restauracji, gdzie Kolumbijczycy czekali na moją decyzję. Pójdę z nimi czy nie? Gangsterzy nalegali, bym poszedł z nimi do kryjówki. A gdyby mnie zabito? Nie dbali o to.

- Mogę zadzwonić do mojej madriny - powiedziałem, grając na zwłokę. - Może się zgodzi, żebym poszedł z wami.

Kolumbijczycy, którzy najwyraźniej szanowali kult Santeria, skinęli na znak zgody i pozwolili mi skorzystać z telefonu na zapleczu restauracji. Zadzwoniłem do FBI, które połączyło mnie z vanem stojącym przed restauracją. Wtedy jeszcze telefony komórkowe nie były w powszechnym obiegu.

- Paskudnie to wygląda - powiedziałem.

- Niebezpieczna sytuacja - odrzekł SA Arnold. Był dowódcą akcji i pewnie jednym z najlepszych agentów, z którymi miałem przyjemność pracować.

- Wiemy o dwóch samochodach - dodał. - Zostań tam, gdzie jesteś. Zdejmujemy ich już teraz.

Odłożyłem słuchawkę i zostałem na miejscu, w westybulu. Nagle ze wszystkich stron zlecieli się agenci i nowojorscy policjanci. Nie wiedziałem o tym, ale w biurze przyjęli wtedy tryb alarmowy. Wszyscy rzucili to, czym się aktualnie zajmowali, chwycili za broń i pognali do Georgia Diner. A tymczasem gangsterzy - łącznie było ich dwunastu - wyskoczyli z samochodów i rozbiegli się na wszystkie strony. Pamiętajcie, że

znajdowaliśmy się w jednym z najbardziej tłumnyc miejsc w Queens i był środek dnia. Nasze oddziały specjalne przetrząsnęły każdą ulicę, zaczynając od Queens Boulevard, i złapały wszystkich gangsterów, którzy przeskakiwali ogrodzenia, wybijali szyby, robili, co mogli, by uciec przed naszymi ludźmi. Jeden agent biegł przez całą Queens Boulevard z MP5 - bronią przypominającą karabin maszynowy, używaną przez grupy SWAT - ścigając bandziorów.

Koniec końców dziesięciu z nich zostało aresztowanych. W ich samochodach bądź bezpośrednio przy nich znaleziono: pistolet Tec-9, Magnum 357 kaliber 9 milimetrów, wielki nóż typu Jim Bowie, mnóstwo taśmy i linę. (Chcieli mnie zwięzać i zdaje się, że spóźnili się na spotkanie, gdyż musieli się zatrzymać w Home Depot, by zdobyć więcej taśmy i liny po tym, jak oszacowali moje rozmiary poprzedniej nocy!) Zebraliśmy zeznania od dwóch facetów ze skrzyżowania Sto Dwudziestej Trzeciej i Lenox; gangsterów, którzy byli pośrednikami. Ich plan był taki: gdy byśmy się już znaleźli w kryjówce, chcieli mnie okraść z pieniędzy, a Kolumbijczyków z towaru.

Złodzieje naprawdę nie uznają czegoś takiego jak honor. W kryjówce sytuacja zrobiłaby się tak nieprzewidywalna, że gdyby nie moje doświadczenie w Badlands, prawie na pewno by mnie zabili. Nam tymczasem w ciągu zaledwie dwóch dni udało się przeprowadzić świetną akcję. Na dziesięciu aresztowanych dziewięciu zostało skazanych. Byli to znaczący dostawcy narkotyków z kolumbijskiego kartelu. Dziesiąta aresztowana osoba to kobieta, co do której organa ścigania ostatecznie zdecydowały, że nie była uczestniczką zajścia. Dziesięciu aresztowanych, dziewięciu gangsterów zdjętych z ulicy i żadnego ciężkiego towaru. Odtąd już zawsze nazywaliśmy tę sprawę Koszmarem Dziewięciu Kilogramów. Witajcie w Nowym Jorku.

ROZDZIAŁ 6

Zarobić dwa miliony dolarów podczas lunchu

Ryzykuję stwierdzenie oczywistości, ale narkotyki zalewają świat. Narkotyki i pieniądze pochodzące z narkotyków. W każdej chwili prochy warte miliardy dolarów - i pieniądze, którymi się za nie płaci - znajdują się w obiegu na całym świecie. Przywozi się je na mule z farm w Kolumbii i transportuje się ciężarówkami do portów. Potem drogą morską lub powietrzną dostają się do Miami lub innych strategicznych miast Stanów Zjednoczonych. Następnie dystrybuje się je w wielkich miastach takich jak Los Angeles, Chicago i Nowy Jork, po czym rozprowadza w głębi lądu.

Wszyscy robią na tym pieniądze - ci, którzy hodują rośliny i uzyskują z nich narkotyki; ci, którzy transportują je do magazynów w krajach pochodzenia; ci, którzy je przewożą na statkach; ci, którzy załatwiają międzynarodowy transport; ci, którzy rozprowadzają narkotyki; ci, którzy przechowują pieniądze zarabiane przez kartele narkotykowe, oraz ci, którzy piorą brudne pieniądze, przewożąc je z powrotem do krajów, z których przyszły. Zadanie organów ścigania polega na tym, by zrobić wyłom w tym wartym miliardy dolarów wale ochronnym, wsadzić gangsterów do więzienia, przechwycić pieniądze i trzymać narkotyki z dala od naszych dzielnic i naszych dzieci.

Podczas mojej służby w Biurze przechwyciłem od dealerów wiele milionów w gotówce. Po jakimś czasie te pieniądze stają się dla ciebie jedynie świstkami papieru - nic nie oznaczają. Jednak frustrująca i nieznośna była świadomość, że niezależnie od tego, jak wiele pieniędzy byśmy przechwycili, i ilu gangsterów zamknęli, nigdy nie pozbedziemy się problemu narkotykowego. Ciężko jest zlikwidować ten interes, kiedy tylu ludzi w tym kraju i na całym świecie chce brać narkotyki.

Takie może być zdanie opinii społecznej, ale pracujące w terenie organa ścigania mają inne.

Ryzykujemy życie, by usunąć narkotyki i dealerów z ulic. Pewnego razu pracowaliśmy nad sprawą w Queens, kiedy jeden z najlepszych detektywów NYPD w komórce, Paul Caroleo, otrzymał anonimową informację zapisaną w łamanej angielszczyźnie. W liście była informacja, że konkretne mieszkanie w konkretnym wieżowcu w okolicy zwanej Małą Kolumbią w Jackson Heights w Queens jest wykorzystywane jako skład narkotyków. Zdecydowaliśmy, że nie zaszkodzi rzucić okiem. Co mamy do stracenia?

Podczas przerwy na lunch kilku chłopaków z naszych oddziałów specjalnych - detektyw Caroleo, agent specjalny Paul Cassidy i ja - weszło do budynku i zapukało do wskazanego mieszkania. Otworzyła nam niesamowicie atrakcyjna młoda Kolumbijka w szlafroku.

- Jesteśmy z FBI - powiedział detektyw Caroleo. - Możemy wejść?

- Oczywiście - powiedziała, wpuszczając nas do mieszkania.

Rozejrzeliśmy się. Nie wyglądało na to, by ta dziewczyna tu mieszkała. Mieszkanie urządzone było w stylu „wczesnego Ralpa Kramdena” - było prawie puste, znajdowało się tam jedynie niezbędne wyposażenie. Z pewnością nie przypominało mieszkań innych praworządnych lokatorów budynku. To był schowek dealerów, nic więcej.

- Dostaliśmy cynk - powiedział dziewczynie agent specjalny Cassidy. - Jeden z pani sąsiadów twierdzi, że w tym mieszkaniu znajdują się pieniądze i narkotyki. Możemy się rozejrzeć?

Detektyw Caroleo pokazał jej list, a ona go przeczytała.

- Proszę - powiedziała.

Tak więc bardzo powierzchownie przeszukaliśmy mieszkanie i zauważyliśmy, że dziewczyna zaczyna się denerwować i zerka w stronę bieliźniarki stojącej w jadalni. Po hiszpańsku zadałem jej pytanie, które zawsze zadajemy, kiedy wchodzimy do mieszkań lub domów, co do których podejrzewamy, że są skrytkami na narkotyki.

- Co jest w tej szafce? - zapytałem spokojnie. Wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia.

Z prawnego punktu widzenia kobieta mogła się zastanawiać, czemu nie mamy nakazu przeszukania mieszkania. Odpowiedź brzmi, że jeśli mamy zgodę, by wejść do mieszkania, nie potrzebujemy nakazu. A młoda kobieta dała nam pozwolenie z własnej nieprzymuszonej woli. Nie było tu więc żadnego nielegalnego przeszukiwania mieszkania ani nielegalnego przejęcia pieniędzy. A kiedy powiedziała mi, że nie ma pojęcia, co jest w szafce, wzbudziło to moje podejrzenia.

Gdyby ktoś was zapytał, co znajduje się w waszej szafce, czy nie wiedzielibyście, co tam jest? Gdyby zatrzymał was policjant i zapytał, co macie w bagażniku, czy nie znalibyście odpowiedzi? Gdybyście tam mieli olbrzymi wypchany czymś worek, czy moglibyście nie zdawać sobie z tego sprawy? Cóż, dealerzy odpowiadają zawsze tak samo: „Nie mam zielonego pojęcia, co to jest. Nie wiem, do kogo należy. Nie mam pojęcia, jak się tu znalazło. Nic na ten temat nie wiem”.

Gangsterzy natomiast odpowiedzieliby wam: „Nic nie wiem, niczego nie widziałem, nie było mnie tam, a jeśli twierdzisz, że tam byłem, to na pewno wtedy spałem!”. Wszyscy przestępcy mają własną linię obrony.

Mamy do czynienia albo z osobą chorującą na ciężką amnezję, albo z ukrywającym coś dealerem narkotykowym. Naprawdę nie ma wielu innych możliwości. A kiedy ktoś mówi mi, że nie wie, co znajduje się w bagażniku lub co jest w szafce, to wystarczająca przyczyna, by przeszukać owo miejsce - zwykle okazuje się, że są tam pieniądze pochodzące najprawdopodobniej z handlu narkotykami. Rzecz jasna, jeśli są to prochy lub nielegalna broń, to nie ma problemu. Posiadanie tych rzeczy jest sprzeczne z prawem. Jednak trzymanie worka z milionem dolarów w bagażniku czy szafce nie jest sprzeczne z prawem. Jeśli ktoś nie ufa bankom i woli w ten sposób przechowywać pieniądze, to Bóg z nim. Ale lepiej, żeby potrafił wyjaśnić agentowi organów ścigania, że wie, co to jest i skąd się wzięło. W innym razie rzecz może zostać przejęta w majestacie prawa.

Zapytałem młodą kobietę, czy możemy zobaczyć, co jest w szafce. Pozwoliła. Może naprawdę nie miała pojęcia. Ludzie, do których należały te pieniądze, pewnie nie mówili jej zbyt wiele. Po co mieliby to robić?

Otworzyliśmy więc szafkę i znaleźliśmy sześć pudeł, w które pakuje się papier do drukarek lub ksero. Otworzyliśmy wszystkie. Każde było wypełnione dwudziestodolarowymi banknotami. Dziewczyna miała w mieszkaniu ponad dwa miliony dolarów w dwudziestodolarowych banknotach zapakowanych w pudła i nie miała pojęcia, co tam jest.

Teraz się trochę zdenerwowała!

- Czy nie powinniście mieć nakazu? - zapytała w końcu. Potrząsnąłem głową.

- Dała nam pani pozwolenie.

Młoda kobieta żyła w prawie pustym mieszkaniu i z dwoma milionami dolarów w dwudziestodolarowych nominałach, upchanymi w szafce. Jeśli to wam nie wygląda na skrytkę dealerów narkotykowych, nie ma dla was przyszłości w organach ścigania.

Co więc zrobiliśmy? Zabraliśmy dziewczynę i forszę i przywieźliśmy je do biura FBI. Zrobiliśmy jej zdjęcia i spisaliśmy jej zeznania, zapakowaliśmy pieniądze i zawieźliśmy je do banku, w którym FBI trzyma pieniądze przejęte w tego typu okolicznościach. Daliśmy młodej kobiecie pokwitowanie na dwa miliony dolarów. Zgodnie z prawem ona - i jej kumple - mieli obowiązek udowodnić, że pieniądze zostały zarobione legalnie i że istnieje jakaś przyczyna, dla której ta gotówka leżała w pudłach w opustoszałym mieszkaniu w dzielnicy narkotykowej.

Wypuściliśmy kobietę. Nie popełniła przestępstwa i nie było powodów do zatrzymania jej w areszcie. Czekaliśmy, aż ktoś - ktokolwiek - zadzwoni lub przyniesie pokwitowanie na pieniądze i zażąda ich wydania. N i kt się nigdy nie zgłosił. Dwa miliony dolarów gotówką, skonfiskowane

CZĘŚĆ I. WEJŚCIE DO GRY

ROZDZIAŁ 6, ZAROBIĆ DWA MILIONY DOLARÓW PODCZAS LUNCHU

przez rząd. Jednak to tylko koszty, jakie czasem trzeba ponieść, robiąc interesy w przynoszącym miliardy dolarów przemyśle narkotykowym.

Dwa miliony dolarów to może nie być wiele dla dealera, ale dla FBI to naprawdę dużo forsy. Gotówka trafia do Skarbu Państwa albo do Amerykańskiej Marshals Service*, a potem jest dzielona między wszystkie instytucje publiczne zaangażowane w sprawę. Urzędowy termin to „sprawiedliwy podział przejętego mienia”, ale tak naprawdę wszystko wygląda dokładnie tak jak w mafii - każdy dostaje swoją działkę! No, każdy poza FBI, z powodów, których tak do końca nigdy nie zrozumiałem. Mimo to - całkiem niezła zdobycz, zwłaszcza że przejęliśmy tę sumę w czasie przerwy na lunch, gdy pracowaliśmy nad zupełnie inną sprawą!

To jednak było mniej ważne w porównaniu ze sprawami prowadzonymi przeciwko siatkom narkotykowym, które próbowaliśmy rozpracować. W późnych latach dziewięćdziesiątych Meksykanie przejęli kontrolę nad siecią dystrybuującą narkotyki, szlakiem narkotykowym wiodącym z Kolumbii i innych krajów produkujących narkotyki do Stanów Zjednoczonych. Wcześniej Meksykanie odgrywali niewielką rolę w transporcie narkotyków. Jednak odkryli, jak wiele mogą zarobić na transporcie i dystrybucji kokainy i heroiny, jeśli nie będą pobierać gotówki, lecz procent, często bardzo duży, z każdej dostawy, którą przetransportują z Kolumbii przez Meksyk do Stanów Zjednoczonych.

Meksykanie domagali się - i spełniano ich żądania - aż czterdziestu pięciu procent z każdej dostawy. W ten sposób gwałtownie zwiększyli swoje zyski. Jeśli zapłacę pieniądze za dostarczenie narkotyków, dostawca zarabia przewidzianą sumę za kilogramy, które zobowiązał się dostarczyć. Może zarobić od pięciuset do trzech i pół tysiąca dolarów za kilogram, w zależności od dystansu i szybkości dostarczenia przesyłki. Ale jeśli zapłacę mu kilogramem narkotyków, może on zarobić nawet dwieście-trzysta tysięcy dolarów, rozprowadzając ten kilogram na ulicach. Meksykanie byli teraz ustawieni i wiedzieli o tym. Każdego roku przewozili do Stanów Zjednoczonych kokainę i heroinę wartą setki milionów dolarów.

Rzecz jasna, jeśli transportujesz takie ilości towaru, musisz znaleźć sposób, żeby przewieźć pieniądze z powrotem do Meksyku i Kolumbii. Tak jak już wspominałem, wszyscy dostają swoją część - swoją działkę - poczynając od hodowcy, przez producenta, woźnicę mułów przewożących towar, właściciela domu, który staje się magazynem, transportera, dystrybutora, a kończąc na dealerze na rogu ulicy w twojej dzielnicy. Jednak nawet z tymi wszystkimi gębami do wykarmienia nadal jest mnóstwo pieniędzy, które muszą zostać wyprowadzone ze Stanów Zjednoczonych. I tu wkracza gość piorący brudne pieniądze, który bierze tę gotówkę i najpierw legalnie umieszcza ją w banku, a potem przelewa na konta w innych bankach w kraju i za granicą.

Ta sytuacja mnie niesłychanie irytuje, bo banki muszą coś wiedzieć o tym, jakie miliony dolarów przesyłają w imieniu dealerów do krajów, z których narkotyki pochodzą. A mimo to przysmykają na to oczy, bo się im płaci. Ciężko jest wypowiadać wojnę narkotikom, kiedy praktycznie wszyscy są przekupieni, czy

to pod stołem, czy - jak w wypadku banków - zupełnie legalnie.

Tu działa ten sam mechanizm co w Badlands - dealer nie może po prostu przynieść miliona dolarów w brudnych, zgniecionych dwudziesto-dolarowych banknotach do banku na rogu i zażądać przelewu pieniędzy do Ameryki Łacińskiej lub Południowej. Musi natomiast znaleźć faceta, który pierze brudne pieniądze i któremu może ufać; kogoś, kto weźmie owe miliony dolarów w gotówce i w sposób magiczny przekształci je w przelewy, które przekroczą granice i wylądują na kontach bankowych karteli, zajmujących się produkowaniem narkotyków. I tu zjawiam się ja.

W latach 1999-2004 pracowałem w Nowym Jorku nad serią akcji znanych jako Telewash I, Telewash II i Telewash III, dla agenta specjalnego Reynaldo „Reya” Tarichego i detektywa NYPD Franka Berbericha. Te sprawy były częścią większej akcji FBI, DEA* i NYPD, zwanej Operation

* DEA, Drug Enforcement Administration - Agencja do Walki z Narkotykami (przyp. tłum.).

Reciprocity (Operacją Wzajemnej Zależności). Dowiedzieliśmy się, że człowiek zwany Amado Carrillo Fuentes prowadzi jeden z czołowych karteli w Meksyku. Carrillo Fuentes wysłał jednego ze swoich zaufanych ludzi do Nowego Jorku, by w jego imieniu kierował imperium kokainy w Stanach Zjednoczonych i ją tam rozprowadzał. Ów typ, Martin Manzo, szybko stał się jednym z największych dystrybutorów kokainy w historii naszego kraju. W rezultacie był jednym z celów dużego śledztwa, które zawiodło nas aż na Wschodnie Wybrzeże. Przetrzęsaliśmy je wzdłuż i wszerz, a nawet ścigaliśmy gangsterów motorówkami na Karaibach.

Zaufany informator powiedział Manzowi, że zna faceta - mnie - który jest wielce szanowanym i godnym zaufania gościem zajmującym się praniem brudnych pieniędzy. Mogłem zamienić każdą sumę pieniędzy w legalne przelewy w pięć lub sześć dni roboczych. Czy Manzo chciałby mnie poznać?

Owszem, chciał. Spotkanie zostało zaaranżowane - mieliśmy spotkać się w lokalu w Washington Heights, narkotykowej dzielnicy północnego Manhattanu. W wyznaczony dzień przyjechałem pod restaurację niezwykle drogim nowym modelem Mercedesa. Manzo sądził, że jestem sam. Nie mógł wiedzieć, że facet siedzący kilka stolików obok naszego, pałaszujący w milczeniu swój lunch, to agent FBI; że chwiejący się na chodniku i pijący z butelki w papierowej torbie facet to inny agent FBI i że pije wodę, a nie alkohol; że inni agenci FBI i policjanci znajdowali się w odległości kilkuset metrów od nas i że słyszą całą naszą rozmowę, ponieważ pod ubraniem miałem ukryty podsłuch. Manzo sądził, że rzeczywiście pierzę brudne pieniądze - że jestem bogaty i mam duże wpływy. Zastanówcie się na tym. Co miał pomyśleć Manzo - czy jakkolwiek handlarz narkotyków - widząc faceta, który przyjeżdża do niebezpiecznej dzielnicy cholemiem drogim samochodem, parkuje przed restauracją, wychodzi ubrany w świetne, drogie ciuchy, ma solidnego, złotego rolexa, złotą biżuterię, naszyjnik Santerii, w ogóle wygląda jak gangster, jest cholemiem pewny siebie i nic sobie z niczego nie robi? Moja mantra jako tajnego agenta brzmiała: „Myśl, że jesteś wielki, a będziesz wielki! Jak będziesz myślał, że jesteś mały, będziesz mały!”

Większość handlarzy narkotyków, kiedy ma kogoś poznać, spodziewa się bezwzględniego twardziela, więc moja strategia to rozbroić ich życzliwą, otwartą osobowością. Wszedłem do restauracji, kołysząc się lekko, jakbym to ja był jej właścicielem. Skomentowałem pogodę: „Do diabła, ten upał mnie zabija! Jak się masz? Co za żarcie tu serwują?”.

Handlarze, którzy zawsze spodziewają się kogoś złego i nieprzystępnego, za każdym razem są zachwyceni, że jestem sympatycznym facetem, kimś, z kim można pogadać. Uwielbiam patrzeć tym gościom prosto w oczy. Nikt tego nigdy nie robił. W ten sposób od razu można było ich zdominować. Więc zaczęliśmy rozmawiać, a ja utwierdzałem Manza w przekonaniu, że jestem niezwyciężony.

Wiedziałem, co Manzo myśli. „Co to za facet? Powinien się bać przyjeżdżać do mojej dzielnicy takim samochodem!” Ale ja nie okazywałem cienia strachu. Miałem wokół siebie dobrą ochronę i wiedziałem, że gdyby coś poszło źle, jestem w stanie z tego wybrnąć. Wiedziałem, że Manzo uwierzył we wszystko, co mu zapodałem. Oczywiście, gdybym musiał pokazać swoją drugą, złowrogą naturę, zrobiłbym to. Jeśli ktoś zachowywał się jak dupek, ja zachowywałbym się jak jeszcze większy dupek. Ale nie zaczynałem od pokazywania, jaki jestem zły. Chciałem, żeby gangsterzy stali się moimi kumplami. Nigdy bym nie okazał tym facetom, że imponuje mi ich bogactwo czy renoma, niezależnie od tego, jak wielkie gangi świata przestępczego reprezentowali. Ostatecznie miałem za sobą bogatego wujka - Stany Zjednoczone. - Jesteś Kubańczykiem, prawda? - zapytał Manzo.

Latynosi zawsze pytali, czy jestem Kubańczykiem, i zawsze odpowiadałem, że tak. Zdradzał mnie akcent. To mi niezmiernie odpowiadało -gdybym brzmiał jak Meksykanin, natychmiast zaczęliby badać

moje zaplecze, wypytywać, z której części Meksyku jestem, kogo znam i tak dalej. Tak więc w tych okolicznościach kubańskie korzenie to błogosławieństwo. Następnie zaczynałem pracować na to, by umocnić zaufanie, podkreślić fakt, że ręczy za mnie nasz wspólny przyjaciel.

Rola osoby, która ręczy za faceta piorącego brudne pieniądze, jest nie do przecenienia. Pomyślcie: dealer narkotykowy - generalnie nienależący do ludzi ufających ludzkości - daje od pół do dwóch milionów dolarów w gotówce człowiekowi, który - jeśli się nad tym zastanowić - jest kompletnie obcą mu osobą. Oczekuje się, że ten kompletnie obcy facet będzie trzymał pieniądze przez najbliższych pięć do sześciu dni roboczych, czyli tydzień lub półtora, a następnie w sposób magiczny przerobi owe pieniądze na przelewy. To wysoki próg zaufania. Co jeśli ucieknę? Co jeśli dealer mnie nigdy więcej nie zobaczy? Nie będą szukać mnie. Będą szukać pośrednika. Tak więc jeśli ktoś ręczy za inną osobę, musi ona naprawdę być w jego oczach niezwykle wiarygodna i pewna. Jego życie dosłownie wisi na włosku.

- Nasz wspólny przyjaciel - zacząłem, gdy zdecydowałem, że czas pogadać o interesach - mówi, że masz gotówkę, z którą chcesz coś zrobić.

Najwyraźniej spodobałem się Manzo i chciał ze mną robić interesy.

- Mam zaufanego gościa, który może wyprać dla ciebie forszę - powiedziałem mu szeptem. - Muszę tylko wiedzieć ile.

Z tymi facetami zawsze wolałem zaczynać od niewielkich sum, po to by im udowodnić, że potrafię to robić. Patrząc zaś na sprawę z prawnego punktu widzenia, FBI nie chce pracować więcej pieniędzy, niż to konieczne! Musimy udawać, że dopuszczamy się pewnych przestępstw, by wsadzić gangsterów do więzienia, ale pranie brudnych pieniędzy to nie nasza specjalność. Tak więc nigdy nie paliło nam się do dużych transakcji.

Innym razem, gdy odgrywałem rolę faceta zajmującego się praniem brudnych pieniędzy, w centrum handlowym w Queens poznałem gościa, który dał mi - jak sądził - milion dolarów. Zabrałem forszę do biura i policzyliśmy wszystko. Okazało się, że to trzy miliony! Wiedzieliśmy, że ten facet pewnie ma teraz atak serca, bo zorientował się, jaką dał nam sumę. Oczywiście kwadrans później zadzwonił do mnie, błagając i zaklinając, żebym oddał mu forszę. Nie da rady, powiedziałem mu. Nie powiedziałem mu, że jestem z FBI i że nie ma mowy, żebyśmy pozwolili, by dwa miliony z tych trzech wróciły do obiegu w narkotykowym świecie. Powiedziałem, że pieniądze już poszły w obieg, że nie ma się o co martwić i że przelew będzie opiewał na całą kwotę. „Daj mi swój numer telefonu, a zadzwonię, jak tylko wszystko będzie załatwione”.

Cóż, facet dał mi swój numer telefonu i teraz mogliśmy go już podsłuchiwać. Mogliśmy śledzić jego ruchy, wszystkich, z którymi się kontaktował, i lokalizować jego operacje narkotykowe. Byliśmy w stanie zdjąć jego samego i jego gang i przejęliśmy grubo ponad trzy miliony dolarów pochodzących z handlu narkotykami. Pracowaliśmy nad tą sprawą z policją Nowego Jorku. Oni dostali dziesięć czy dwadzieścia procent forsy - tak to działa.

Nawiasem mówiąc, kiedy rozmawiamy z tymi facetami, nigdy nie podaje się sum przez telefon. Setki tysięcy dolarów to zaproszeni „goście” lub „bilety”. Na przykład:

- Mam zaproszenia na przyjęcie.

- Ach tak? Ile ludzi przychodzi?

- Trzystu.

To oznacza, że facet chce wyprać trzysta tysięcy dolarów. Jeśli mówi, że ma trzysta biletów na mecz, to oznacza to samo.

Kiedy Manzo i ja uzgodniliśmy, że robimy interes, musieliśmy się dogadać odnośnie do procentu, który pobieram jako opłatę za moje usługi. Zawsze zaczynam z górnej półki - podaję, że biorę około ośmiu procent. Potem zwykle się targujemy, aż uzgadniamy pięć lub sześć procent, co jest standardem w przypadku prania pieniędzy pochodzących z handlu narkotykami. Jedyne pytanie, jakie miał do mnie Manzo, to czy mam jakieś referencje - miałem mu podać kogoś ze swoich klientów, by mógł sprawdzić moją wiarygodność!

Spojrzałem na niego jak na idiotę.

- Referencje? - warknąłem. - Chcesz referencji... ode mnie? Nie wiesz, z kim masz do czynienia? Pozwól, że o coś cię zapytam. Powiedzmy, że jutro rano usiądę tu z innym dealerem i on będzie chciał referencji. Co mam zrobić, podać mu twoje nazwisko? Tego chcesz?

Manzo uświadomił sobie, że popełnił błąd, i odstąpił od żądania. Przeszliśmy do następnego tematu - do moich ludzi. Gdy udaję, że zajmuję się praniem brudnych pieniędzy, zawsze wyjaśniam dealerom, że nigdy nie dotykam forsy ani narkotyków. Nie chcę robić czegoś, co może mi grozić aresztowaniem. Staram się też umocnić w oczach dealera moją pozycję niekwestionowanego przywódcy prowadzonego przeze mnie gangu.

- Widzisz tego gościa? - powiedziałem, wskazując na tajnego agenta FBI Diega Rodrigueza, siedzącego kilka stolików dalej. Dopiero teraz pierwszy raz wspomniałem Manzowi, że znam Diega. - On przeprowadzi dla mnie transakcję. Spotka się z tobą lub twoim człowiekiem w miejscu, które wyznaczysz do przekazania forsy.

W świecie narkotyków ludzie nie mają określonych funkcji do spełnienia. Dla Manza to Diego mógł być nie tylko kurierem narkotykowym, ale i zabójcą działającym na własnych zasadach. Wygląd Diega z pewnością budził strach i respekt. Gdy Manzo zobaczył go siedzącego na drugim końcu restauracji, jego szacunek do mnie gwałtownie wzrósł. Zdał sobie sprawę, że z takim facetem jak ja nie ma żartów. Skoro mam pod sobą ludzi typu Diega...

- Może w barze Ramada Inn w New Rochelle? - zaproponował Manzo. - Jutro wieczorem? Wyślę mojego człowieka. Nazywa się Tony.

Ironia losu, bo w hotelu, który wskazał, mieściło się okręgowe biuro FBI, które miało rewir Westchester County Nie mogło być lepiej.

- W porządku - powiedziałem.

Pożegnaliśmy się. Rzuciłem na stół studencki banknot za dwie kawy i wyszedłem.

Ale nie zawsze wszystko idzie jak powinno.

Następnego wieczoru o wyznaczonej porze Diego odszukał człowieka o imieniu Tony w barze Ramada Inn. Spotkali się i Diego wyjaśnił mu, że on, Diego, dostarczył mu samochód ze specjalną tajną skrytką, żeby odebrać forszę. Tony chętnie na to przystał, więc Diego wręczył mu kluczyki do volkswagena jetty należącego do FBI, który posiadał nie tylko tajną skrytkę, ale także monitoring GPS i wyłącznik silnika samochodu, pozwalający zdalnie zgasić silnik z odległości stu metrów.

Śledziliśmy Tonyego od momentu, gdy odjechał spod restauracji jetą FBI, nowym samochodem, na który Biuro wydało siedemnaście tysięcy dolarów. Pech chciał, że Tony domyślił się, że ma ogon, natychmiast po oddaleniu się spod hotelu. Pozwolił, żebyśmy go śledzili, gdy krążył po Westchester County i Bronxie, wokół Co-op City i City Island. Zniknął w sklepie spożywczym prowadzonym przez Latynosów, gdzie kupił piwo. W tym momencie zaczęliśmy się denerwować. Co, jeśli facet zacznie pić, jednocześnie prowadząc samochód należący do FBI, po czym potrąci jakiegoś niewinnego pieszego? No i chcieliśmy odzyskać nasz samochód! Dopiero co wydaliśmy na niego siedemnaście tysięcy dolarów i nie chcieliśmy tak po prostu oddać go handlarzom narkotyków!

Więc zaczęliśmy go ścigać. To było niemal żalodne. Facetowi siedziało na ogonie z dziesięć samochodów FBI i NYPD. Ponownie zadziałało prawo Murphyego - nawalił system GPS i na jakiś czas go zgubiliśmy. Przyszło nam do głowy, że może on myśli, że stracił ogon i zmierza do Diega, by podrzucić pieniądze. Po jakimś czasie znowu wysledziliśmy Tonyego w Bronxie, zmierzającego z powrotem do hotelu, gdzie czekał na niego Diego.

Zdecydowaliśmy: „W porządku. Musimy wyłączyć silnik i zmusić samochód, by się zatrzymał”.

Chcieliśmy okrążyć faceta ze wszystkich stron i przejąć forszę, zanim trafi do Diega. Więc uruchomiliśmy wyłącznik samochodu... i nic się nie stało.

Wyłącznik nawalił.

Samochód nadal się poruszał jak nakręcany zając. Tony minął hotel i jechał na północ w kierunku Connecticut. Zdecydowaliśmy, że najlepiej będzie zatrzymać go na drodze - przypomnijmy, pijący facet za kółkiem samochodu FBI to nie jest dobra recepta na sukces. Tak więc zatrzymaliśmy go za pomocą drogówki do rutynowej kontroli. Powiedzieli mu, że coś jest nie tak z rejestracją samochodu i muszą go zatrzymać. Facet po prostu odszedł, idąc wzdłuż autostrady, po czym znalazł wyjście ewakuacyjne i zniknął między drzewami. Nigdy więcej go nie zobaczyliśmy. Transakcja była porażką. Cała nasza ciężka praca, by wystawić Manza, poszła na marne.

Przynajmniej chwilowo.

Przyjęliśmy strategię obwinienia Manza za cola, hiszpańskie słowo oznaczające „ogon”, powiedzieliśmy mu, że to on musiał ściągnąć ogon,

a nie my. Jak już wspominałem, w ten sposób handlarze narkotyków reagują na takie sytuacje. Zawsze zrzucają winę na kogoś innego. Musieliśmy wypaść w oczach Manza wiarygodnie, bo nie minęło wiele czasu, a znowu był gotów ubić z nami interes.

Mogliśmy brnąć dalej w pranie brudnych pieniędzy lub zainstalować podsłuch w telefonie Manza. W ciągu kilku tygodni przejęliśmy dwa miliony dolarów ukryte w ciężarówce jadącej w stronę Meksyku, o której dowiedzieliśmy się z podsłuchu Manza. Doszliśmy do wniosku, że to były pieniądze, które mieliśmy wyprać, gdyż była to właśnie suma, którą uzgodniliśmy początkowo. Tak więc sprawa znowu wróciła na wokandę.

Wkrótce za poręczeniem Manza inni podejrzani chcieli korzystać z moich usług: prania brudnych pieniędzy i pośrednictwa w handlu narkotykami. Na końcu operacji Manzo został zaaresztowany, skazany i wysłany do więzienia. Współpracował z FBI i podał nam wiele cennych informacji, które doprowadziły do zaareztowania i skazania innych ludzi z jego kartelu narkotykowego. W rezultacie jego wyrok został zredukowany do jedenastu lat. Jednak dokładnie wtedy, gdy pisałem te słowa, dowiedziałem się z wiadomości telewizyjnych, że Manzo został ponownie aresztowany za narkotyki, postawiono mu zarzuty i znów okazał się winny. Tych facetów po prostu nie da się powstrzymać. Dla nich to nie jest tylko biznes - to sposób na życie.

W sprawach narkotykowych miałem do czynienia z wieloma różnymi podejrzanymi jako facet, który para się praniem brudnych pieniędzy, lub jako przewoźnik. Odnosiliśmy duże sukcesy w przechwytywaniu zarówno ogromnych sum pieniędzy, jak i dużych ilości narkotyków. Piękno pracy z handlarzami narkotyków polega na tym, że choć mój wygląd jest niezmiernie charakterystyczny, nigdy się nie połapali, gdyż wszystkie kartele narkotykowe są bardzo rozczłonkowane. Pod koniec Operation Reciprocity mieliśmy trzydzieści pięć podsłuchów w różnych miastach. Operacja była wymierzona w ogromny gang narkotykowy prowadzony przez Amado Carrillo Fuentes, a mający swoje komórki w Stanach Zjednoczonych. Przejęliśmy jedenaście milionów dolarów w gotówce, 7,4 tony kokainy oraz 1,08 tony kilogramów marihuany. W sumie zostało aresztowanych pięćdziesięciu trzech podejrzanych. Ta operacja poważnie zaszkodziła przemytowi narkotyków prowadzonemu przez Carrillo Fuentes, i była głównym powodem tego, że poddał się on operacji plastycznej, by zmienić wygląd. Jako tak wielka szycha w świecie narkotykowym nie mógł przyjechać na operację do Stanów Zjednoczonych. Udał się więc do lekarzy w Meksyku, którzy być może nie mieli w tej branży wystarczającego wykształcenia lub zbyt dużego doświadczenia. Amado Carrillo Fuentes, który przeżył liczne i niezmiernie krwawe wojny gangów w Meksyku, by dostać się na sam szczyt potężnego kartelu narkotykowego, zmarł na stole operacyjnym*.

* Wkrótce po tym zdarzeniu wszyscy lekarze zamieszani w tę sprawę zostali zamordowani, a ich ciała znaleziono porzucone na nieuczęszczanych drogach.

Omawiane tu śledztwa miały na celu czasowo zakłócić, a w dalszej perspektywie zablokować napływ narkotyków do Stanów Zjednoczonych. Dzięki naszej pracy jako tajnych agentów oraz umieszczeniu bardzo wielu podsłuchów to śledztwo stało się w społeczności organów ścigania modelowym sposobem pracy nad najważniejszymi sprawami związanymi z blokowaniem działalności gangów narkotykowych. W owym czasie zaangażowałem się na południu Florydy w sprawę, która przyczyniła się do ukrócenia jeszcze większego biznesu narkotykowego. Całe to doświadczenie pomogło mi odgrywać godnego zaufania gangstera, kiedy przyszło mi zetknąć się z Gregiem DePalma.

Rozdział 7

„Pamiętasz Pulp Fiction? Jestem Wolf!”

W pierwszych latach, które spędziłem w Nowym Jorku, byłem zaangażowany także w śledztwo w Miami. Od czasu do czasu jedno lokalne biuro FBI „pożyczało” tajnego agenta z innego biura do pracy nad konkretną sprawą. Ta sprawa dotyczyła dwóch grubych ryb przemysłu narkotykowego, Willy’ego Falcona i Sala Magluty, „Los Muchachos”, po hiszpańsku „chłopców”. Byli to najbardziej prężnie działający i najbardziej brutalni dealerzy narkotykowi w historii południowej Florydy. A to naprawdę wiele mówi.

Ci kubańscy imigranci i najlepsi przyjaciele poznali się w liceum w Miami, porzucili szkołę, by wkroczyć w przemysł narkotykowy w Miami, a następnie go zdominować. Według organów ścigania Willy i Sal wykorzystywali swoje hobby - wyścigi motorówek - by rozprowadzić w Miami ponad siedemdziesiąt pięć ton kokainy wartą dwa miliardy dolarów. Mówi się, że ich bogactwo i imperium narkotykowe zainspirowało pierwszą serię telewizyjnego hitu Policjanci z Miami. Żyli jak królowie, mieli rezydencje w Miami Beach i otaczał ich cały splendor wiążący się z ogromnym bogactwem, a w Miami byli traktowani jak bohaterowie ludowi. Oczywiście wytoczono przeciwko

ROZDZIAŁ 7. „PAMIĘTASZ PULPFICITION1 JESTEM WOLF!”

nim śledztwo, a prokuratorzy federalni w Miami postawili im mnóstwo zarzutów.

Był tylko jeden problem. Najwięksi gwiazdorzy wśród dealerów narkotykowych w południowej Florydzie z cieszącego się największym zainteresowaniem procesu sądowego w historii miasta wyszli cało. Mimo stosów dowodów, piętrzących się niemal tak jak góry kokainy, którą tych dwóch handlowało, ława przysięgłych uznała ich za niewinnych. Reakcje różnych osób w trakcie owego procesu były niezwykle.

Główny prokurator był tak przybity, że z gmachu sądu poszedł prosto do pobliskiego klubu ze striptizem, gdzie wydał około dziewięćset dolarów, wdał się w awanturę i rzekomo pobił jedną z tancererek.

Willy i Sal wydali uroczyste przyjęcie, podczas którego odbył się między innymi koncert Bee Gees i Miami Sound Machine.

Adwokaci prowadzący obronę wyznali, że są zaskoczeni. Roy Black jeszcze w czasach poprzedzających sprawę OJ. Simpsona stał na czele „dream teamu” najdroższych adwokatów, w tym Alberta Kriegera, który bez powodzenia reprezentował Johna Gottiego, Martina Weinberga i Franka Rubino, który miał reprezentować dawną panamską szychę Manuela Noriegę. Blackowi się nie śniło, że jego klienci mogą zostać uznani za niewinnych, jednak to nie obrona gwiazd adwokatury w Miami sprawiła, że Willy i Sal nie zostali skazani.

Nikt z organów ścigania nie rozumiał, jak sędziowie mogli zapoznać się z materiałem dowodowym przeciwko tej parze i wypuścić ich wolno. Nie pomógł fakt, że część spośród świadków w procesie zaczęła w Miami ginąć. Niektórzy cudem wywinęli się śmierci, gdy płonęły ich samochody i miejsca pracy. I wtedy jeden z sędziów przysięgłych, odważny weteran wojny w Zatoce Perskiej, pierwszy wysunął przed prokuratorami podejrzenie, że decyzja sędziów została kupiona i opłacona przez... Willa i Sala.

FBI rozpoczęło własne śledztwo. DEA nie chciała pracować nad sprawą, ponieważ już raz ją przegrała i była zawstydzona porażką. Tak więc agenci specjalni FBI Mario Tariche i Michael Anderson wraz z agentem

IRS* Dennisem Donnellem zaczęli pracę. Szybko okazało się, że podejrzani to: przewodniczący ławy przysięgłych, pracownik międzynarodowego portu lotniczego w Miami Miguel Moya, który w owym czasie zarabiał trzydzieści sześć tysięcy dolarów rocznie jako kierowca samochodu dowożącego schody do samolotów, oraz dwóch innych członków ławy przysięgłych, u których odnotowano nagle duże wydatki. Czemu Moya był głównym podejrzanym?

Może z powodu pięknego nowego domu, który kupił we Florida Keys.

A może dlatego, że stać go było na bilety na cały sezon do łoża dla VIP-ów na stadionie Florida Marlins.

Może zwróciły uwagę jego wycieczki do Vegas, gdzie w grach hazardowych stracił tony pieniędzy.

Może nowy rolex, z którym się obnosił.

A wszystko to z pensji wynoszącej trzydzieści sześć tysięcy dolarów rocznie.

Było oczywiste, że Moya gwałtownie się wzbogacił i że jego głos jako jednego z przysięgłych został kupiony za sumę, którą szacowaliśmy na od pół do miliona dolarów. Niesamowite, że Moya był jednym z zaledwie trzech członków ławy przysięgłych, których przekupił gang Willy’ego i Sala. Organa ścigania odkryły, że Moya namówił dwie inne przysięgłe, Latynoski, by sprzedały swój głos, obiecując każdej z nich milion dolarów. Jedna uzyskała kwotę zbliżoną do owej sumy, druga -zaledwie dwadzieścia tysięcy. Okazało się, że Willy i Sal byli tak samo bezlietni, wywierając nacisk na ławę przysięgłych, jak wówczas

gdy handlowali narkotykami.

* IRS, Internal Revenue Service - amerykański urząd skarbowy (przyp. tłum.).

Jak bardzo twardzi byli Willy i Sal? Typowa historia z ich kariery jako dealerów narkotykowych powinna wystarczyć, by to pokazać. Adwokat zrobił coś, co nie spodobało się temu tandemowi, więc wysłali kolumbijskich cyngli, żeby go zabili. Rzecz jasna, sekretarka owego adwokata również była w biurze, kiedy wpadli Kolumbijczycy, i była świadkiem morderstwa swojego szefa. Zaszokowana zastygła bez ruchu i po prostu patrzyła, a oni zastanawiali się, czy i ją zabić. Ostatecznie zdecydowali, że nie mają żadnych ku temu powodów, skoro im za to nie zapłacono. Zabrali jej prawo jazdy i powiedzieli: „Wiemy, gdzie mieszkasz i gdzie pracujesz. Jeśli kiedykolwiek piśniesz choć słowo, będziesz następna”.

Tacy właśnie byli Willy i Sal. Zdobyłcie głosów trzech członków ławy przysięgłych to dla nich jeden dzień pracy.

Nawiasem mówiąc, owa sekretarka miała później możliwość zeznawania przeciwko gangowi Willyego i Sala. Jeden z uzbrojonych bandytów, aresztowany za inne przestępstwo, pękł i przyznał się do tego, co zrobił. Oskarżyciele poprosili sekretarkę, by potwierdziła historię zabójcy, który przedzierzgnął się w informatora, ale ona nie chciała mieć z tym nic wspólnego.

Pewnie podjęła właściwą decyzję.

Jeśli chodzi o Moyę, problem oskarżycieli był następujący: mieli dowody na to, że Moya wydawał o wiele więcej pieniędzy, niż byłby w stanie zarobić na lotnisku. Pytanie brzmiało, jak zmusić go, by się przyznał, że dostał pieniądze od Willyego i Sala, kiedy takie przyznanie się oznaczało albo skazanie na wiele lat więzienia federalnego, albo śmierć z rąk ludzi Willyego i Sala.

FBI i oskarżyciele z południowej Florydy wpadli na genialny pomysł: wyślą agenta działającego jako tajniak, który spotka się z Moyą po tym, jak skończy on swoją zmianę na lotnisku. Zamiast konfrontacji i przyznania się do winy, które byłoby dla Moi równoznaczne z podpisaniem na siebie wyroku śmierci, FBI podejdzie go od innej strony. Agent poda się za członka gangu Willyego i Sala. Powie, że jest w posiadaniu wykradzonego z biura oskarżyciela dokumentu stwierdzającego, że jako członek ławy przysięgłych Moya ma zostać oskarżony o przekupstwo i wzięcie łapówki.

Innymi słowy, agent nie zapyta: „Dlaczego to zrobiłeś?”. Zamiast tego ma powiedzieć coś takiego: „Słuchaj, Miguel. Wiemy, że masz kłopoty i my, ludzie z gangu Willyego i Sala, chcemy ci pomóc. Tylko powiedz, czego potrzebujesz, a pomożemy ci z tego wybrnąć. Nie opuścimy cię w potrzebie”.

Na-

Cała nadzieja w tym, że wobec tak przygotowanego planu Moya przyzna się, że wzięła łapówkę. Teraz pojawiło się pytanie: który agent to zrobi?

Jeden z agentów z Miami pracujących nad sprawą, Mario Tariche, miał brata w oddziale FBI w Nowym Jorku, Reya Tarichego. Mario powiedział Reyowi o sprawie i zapytał, czy zna kogoś, kto by się nadawał. Wiek pasował - miałem czterdzieści pięć lat - byłem Kubańczykiem, dokładnie tak jak Willy i Sal, no i oczywiście kompletnie nie wyglądałem na agenta. Tak więc przyjechałem do Miami i włączyłem się w sprawę. Uknuliśmy plan. Miałem pożyczyć cadillaca i wjechać na parking, gdzie Moya trzymał swój samochód, po czym spotkać się z nim. Wczesnym rankiem miał tam zjawić się van należący do FBI i stanąć kilka metrów od samochodu Moi. Kolejny pojazd FBI miał dla mnie zająć następne miejsce w pobliżu i usunąć się w samą porę, bym mógł swobodnie zaparkować tuż przed tym, jak Moya wyjdzie z pracy. W vanie miało być sporo agentów FBI, kamera i sprzęt podsłuchowy, a ja miałem mieć ze sobą sprzęt nagrywający

Nadszedł ów dzień. Rano Moya zjechał na parking, a samochody FBI ustawiły się po obu stronach jego auta. Wydawało się, że wszystko gra. (Rzecz jasna, wierzę w prawo Murphyego). Tuż przed tym jak Moya miał kończyć zmianę, wjechałem na zarezerwowane dla mnie miejsce pożyczonym cadillakiem (wyposażonym w sprzęt nagrywający i kamerę, na wypadek gdyby zamiast w upale, jaki panował wtedy w Miami, Moya wolał rozmawiać w wygodnym, klimatyzowanym aucie). Następnie czekałem, aż Moya wyjdzie z pracy.

Był tylko jeden problem: nie było Moi.

Gdzież on się podziewał? Czy ktoś dał mu cynk? Nikt nie wiedział. Wszyscy zaczęliśmy się wściekać - zawsze wyjeżdżał z parkingu o tej samej porze, zawsze przyjeżdżał do pracy o tej samej godzinie i tak

dalej. Mimo to nikt z nas go nie wypatrzył.

Moja największa obawa związana z byciem tajnym agentem - oczywiście pomijając strach, że zostanę zamordowany - to, że sprzęt nagrywający nie zadziała. Więc mimo iż jeszcze nie widziałem Moi, włączyłem sprzęt, licząc, że wszystko pójdzie jak najlepiej.

Jakiś czas później jak spod ziemi pojawił się nagle Miguel Moya i już miał wsiadać do swojego wozu. Szybko wysiadłem z samochodu i zacząłem rozmowę.

- Nie wiesz, kim jestem - powiedziałem do niego po hiszpańsku. - Jestem człowiekiem Willyego i Sala. Mam przeciek, że FBI szykuje śledztwo w twojej sprawie.

Pokazałem mu dokument, który zrobiliśmy w biurze i który obejmował wszystkie haki, jakie na niego zgromadziliśmy.

Rzecz jasna Moya był w szoku. Z dokumentem w dłoni argumentowałem dalej.

- Willy i Sal są po twojej stronie - zapewniłem go. - Nie będziemy siedzieć obok z założonymi rękoma, aż wysuną oskarżenie. Zrobimy dla ciebie, co tylko będzie w naszej mocy.

Moya musiał się zastanawiać, co to za wielki facet dostarcza mu tak szokujących informacji. Najwyraźniej sądził, że się wywinął i nikt nie oskarży go o popełnienie przestępstwa, a teraz, gdy się dowiedział, że prokuratorzy depczą mu po piętach, był załamany. Lecz ja musiałem wydobyć od niego wyznanie, co zrobił z pieniędzmi, bo w ten sposób siłą rzeczy przyznawał, że wziął łapówkę.

- Pamiętasz Pulp Fiction! - zapytałem go. - Jestem Wolf. Odkręcam różne rzeczy, ale muszę wiedzieć wszystko. Co zrobiłeś z forszą? Dałeś ją swojej żonie?

Tak się zdarzyło, że żona Moi odeszła od niego wkrótce po całej aferze przekupstwa i podjęła pracę jako dyspozytorka w - o ironio! - policji Miami.

- Dałem pieniądze rodzinie - powiedział.

Mieliśmy go. Pod warunkiem że działał mój sprzęt nagrywający. Rozmowa szybko się skończyła.

Moya wyjechał z parkingu, a ja poszedłem do swojego samochodu ze sprzętem nagrywającym w dłoni. Serce biło mi jak szalone. Jeśli ten niewielki podsłuch nie zadziałał, cały plan legnie w gruzach.

Spojrzałem na sprzęt i ujrzałem wspaniałe czerwone światelko. Wiedziałem, że wygraliśmy sprawę.

B6

17

W rozmowie ze mną Moya przyznał, że wziął łapówkę od Willyego i Sala, wystarczająco jasno, byśmy mogli oskarżyć go, a następnie innych członków ławy przysięgłych. Willy i Sal zostali skazani za wywieranie nacisków na ławę przysięgłych. Moya i jego adwokaci próbowali bronić się w sądzie, twierdząc, że Moya przyznał się w trakcie rozmowy ze mną, bo był przeze mnie zastraszony - byłem taki wielki i straszny. Puściliśmy kasetę wideo oraz nagranie z podsłuchu w sądzie i sędziowie przysięgli mogli zobaczyć i usłyszeć, że byłem daleki od zastraszania go, że zaoferowałem mu jedynie pomoc jako członek gangu Willyego i Sala.

Obrona Moi: zarobił te pieniądze jako dealer narkotykowy sześć lat temu. Tak się dziwnie składa, że tego rodzaju przestępstwa przedawniają się po pięciu latach. To naprawdę szczywany typ i jego pierwszy proces skończył się tym, że ława przysięgłych nie była zdolna do podjęcia decyzji. Ponowiono zarzuty i tym razem Moya zmienił swoją linię obrony, i powiedział, że pieniądze pochodziły z hazardu, i znowu było to na tyle dawno, by nie móc postawić mu kolejnych zarzutów. Ława przysięgłych tego nie kupiła. Został skazany i dostał wyrok - siedemnaście lat i sześć miesięcy więzienia.

Co się stało z Willym i Salem? Spędziłem kilka dni na nowym procesie Sala Malguty. Chodziło o działalność przestępczą, jaką podjął wraz z bratem, by wyrzucić nacisk na sędziów podczas pierwszego procesu dotyczącego handlu narkotykami. Tym razem sędziowie przysięgli byli izolowani, znajdowali się pod stałym nadzorem policji przez cztery miesiące i mieli odwagę, by wydać werdykt - winny. Ostatecznie Sal został skazany na dożywocie. Po owym procesie Willy przyznał się do winy.

Wkrótce po tym jak wsadziliśmy Willyego i Sala, Biuro dostało telefon od właściciela klubu ze striptizem w Bronxie, że potrzebna mu jest ochrona organów ścigania. Na skutek tego telefonu niedługo potem miałem możliwość infiltrować rodzinę Gambino.

Rozdział 8

Wołanie o pomoc z Bronxu

Najstynniejszy klub ze striptizem w Nowym Jorku nazywa się Scores. Jeśli kiedykolwiek słuchaliście Howarda Sterna, wiecie o tym klubie wszystko - prestiżowa lokalizacja w środku miasta, przepych, klientela z najwyższej półki, piękne dziewczyny. Ludzie, którzy są właścicielami Scores, spełniają oczekiwania biznesmenów z firmowymi kartami kredytowymi, ludzi, którzy nic sobie nie robią z tego, że wyrzucają tysiące dolarów w klubie w ciągu zaledwie jednej nocy. Czemu nic sobie z tego nie robią? Po prostu dlatego, że to nie ich pieniądze. Ale jeśli sądzicie, że to właśnie ci ludzie mają w Scores najlepszą zabawę, poznajcie tych, którzy naprawdę umieją tam zaszaleć. Mafię.

Jak każdy klub ze striptizem, Scores oferowało La Cosa Nostra niekończące się możliwości zarabiania pieniędzy, począwszy od pobierania opłat za wstęp, przez alkohol i jedzenie. Mafiosi posuwali się nawet do brania pieniędzy od dziewcząt za prawo do rozbierania się przed nieznanymi mężczyznami. Jeśli chodzi o jedzenie i picie, mafia brała dwa razy - opłatę od dostawców oraz część tego, co płacili klienci.

Mafia od początku miała w Scores swoje macki. Wymuszano pieniądze od właścicieli klubu. Robiło to wielu członków rodziny przestępczej

Gambino: John Gotti junior, Mikey „Sears” DiLeonardo i - postać dla nas najważniejsza - Greg DePalma oraz jego syn Craig. Zwłaszcza Greg, capo w rodzinie Gambino, wyciągał z klubu tysiące dolarów za noc. Zarabiał pieniądze na wszelkie możliwe sposoby. Lokal był niezwykle popularny - każdej nocy pękał w szwach. To nie był klub należący do mafii, ale mafia nieustannie wyciągała zeń każdy grosz. Nie przesadzimy, mówiąc, że w zimie sama opłata za szatnię wynosiła tysiące dolarów za noc - wszystko to były pieniądze, na których Greg i rodzina Gambino trzymali łapę.

Tancerki zrobiłyby wszystko, żeby tam pracować, z powodu forsy, jaką mogły zarobić. Klienci kupowali fałszywki o wartości będącej wielokrotnością stu dolarów, płacąc osobistymi lub firmowymi kartami kredytowymi; za sto dziesięć dolarów kupowało się sto dolarów, które faceci dawali tancerkom za taniec erotyczny. Przy wymianie talonów na prawdziwe pieniądze tancerki musiały płacić dziesięć lub dwadzieścia procent wartości talonu. Klub był złotą żyłą dla DePal-my i rodziny Gambino, choć u Howarda Sterna nigdy nie usłyszałbyś

o tym ani słowa.

Nie wszystkich stać na taki lokal jak Scores - rozumował DePalma. Wobec tego ten sam system ogromnych opłat wprowadził także w podobnych klubach ze striptizem w Bronxie - te same ekskluzywne meble

1 wyposażenie, ta sama ogromna przestrzeń, ten sam rozkład pomieszczeń, z barami, prywatnymi pokojami i ogromną sceną, na której tańczyły dziewczyny. Jednak klientela była inna - klasa pracująca Bronxu, która nie miała kart kredytowych od firmy, a tylko swoje ciężko zarobione pieniądze. Gromadami przychodzili do klubu Naked Truth*, razem z jakimś zbłąkanym dyrektorem, który w drodze do domu w Green-wich zjechał z autostrady, żeby się zabawić po dniu ciężkiej pracy na Wall Street.

Mężczyźni, którzy chodzą do tych klubów, są spragnieni kontaktów z pięknymi kobietami, ale jest coś, czego chcą jeszcze bardziej -

* Naked Truth [naga prawda (przyp. tłum.)] - nazwa klubu została zmieniona.

anonimowość. Ostatnia rzecz, której pragną, to zobaczyć swoje nazwisko w gazecie lub, jeszcze gorzej, uczestniczyć w strzelaninie lub bójce. Tak więc kluby płacą zorganizowanym grupom przestępczym tysiące dolarów tygodniowo za ochronę. A wszystko po to, by uniknąć jakiegokolwiek przemocy, która zniechęcałaby klientów i oczywiście niekorzystnie wpłynęła na biznes.

W późnych latach dziewięćdziesiątych Greg DePalma oraz jego syn trafili za kratki za to, że wyludzali ze Scores pieniądze. Klub Scores działał nadal, ale Naked Truth ostatecznie zamknięto. W 2002 roku biznesmen z Bronxu, którego będziemy nazywać Jerry Spogliari, zdecydował, że odnowi lokal i ponownie go otworzy. Zatrudnił wszystkich, którzy byli właścicielami, pracowali w tym klubie lub w inny sposób byli związani z Naked Truth, i na nowo go otworzył. Koniec końców wszystko skończyło się sukcesem.

Spogliari pilnował swoich interesów, korzystając z usług powiązanych z mafią dostawców żywności i napojów. Nie licząc tego ostatniego, był zwykłym, postępującym zgodnie z prawem obywatelem. Jednak któreś nocy wpadł w poważne kłopoty. Jedna z etnicznych zorganizowanych grup przestępczych w Nowym Jorku, przed którą otwierała się niezła kariera, Albańczycy, obrała sobie jego klub za cel i chciała czerpać z niego zyski. Co najmniej trzydziestu członków gangu Albańczyków pojawiło się, by roznieść klub na drobne kawałki i pobić każdego, kto wpadł im w ręce. Oczywiście to nie było coś, nad czym dyrektor z Greenwich lub mechanik samochodowy z Fordham Road łatwo mogli przejść do porządku dziennego. Było oczywiste, że póki Spogliari nie załatwi sprawy Albańczyków, nie będzie żadnego interesu. Spogliari miał wybór: zacząć przekazywać Albańczykom co tydzień ogromne sumy w gotówce lub przyjść do nas.

Po cichu i bardzo niechętnie przyszedł do nas, do FBI.

- Nie chcę im płacić za ochronę, ale faktem jest, że jej potrzebuję -mówił. - Jestem tylko biznesmenem. Chodzi mi tylko o to, żeby trochę zarobić. Nie chcę stracić interesu z powodu tych facetów.

FBI początkowo postrzegało tę sprawę jako szansę, by zamknąć albańskich zbirów. Ale kiedy Spogliari prowadził rozmowy z FBI, odwiedzili go członkowie kryminalnej rodziny Gambino, inni niż ci, którzy pasożytowali na Scores i Naked Truth w poprzednich latach. Owa nowa grupa Gambino zaoferowała ochronę przed Albańczykami. Zapewnili Spogliariemu, że jeśli będzie im co tydzień płacił za ochronę, zajmą się nimi. Oczywiście w najwcześniejszym stadium tej sprawy nic nie wskazywało, że FBI będzie miało szansę na to, by tajny agent zaczął infiltrować rodzinę przestępczą Gambino, chociaż tak się właśnie stało później. W tamtym czasie wyglądało to na bardzo prostą operację dla tajniaka: wpuścić w środowisko klubu agenta, by móc wsadzić do więzienia trochę zbirów z gangu Albańczyków i kilku członków rodziny Gambino. W ten sposób się wszystko zaczęło.

Okręgowe biuro FBI w Nowym Jorku potrzebowało tajniaka, który mógłby odegrać rolę nowego partnera Jerryego Spogliariego: faceta, który inwestuje w klub, być może płaci za jego ulepszenie oraz płaciłby mafii i/lub Albańczykom.

Innymi słowy - mnie.

Był tylko jeden szkopuł.

W swojej pracy tajniaka stykałem się z pojedynczymi przestępcami i całymi ich organizacjami, dealerami narkotykowymi, z piorącymi brudne pieniądze, wyludzaczami lub innymi gangsterami, którzy działali w imieniu własnym lub karteli narkotykowych. Wobec owych Kolumbijczyków, Rosjan, Dominikańczyków, Portorykańczyków i tak dalej zawsze grałem rolę outsidera. Zawsze byłem twardzielem - szefem, który przed nikim nie odpowiada. Odgrywałem rolę kubańskiego dealera narkotykowego, udawałem włoskiego dealera przy Azjatach, Rosjanach i latynoskich przestępcach i zawsze mi się to dobrze udawało. Teraz jednak miałem wkroczyć w świat całkowicie dla mnie nowy: świat zorganizowanej przestępczości, świat mafii, a zwłaszcza świat rodziny Gambino z Nowego Jorku. Miałem grać Włocha pomiędzy Włochami. To zupełnie inna - i znacznie bardziej niebezpieczna - gra.

Cofnijmy się na chwilę. Wiem, że wciąż istnieją ludzie, którzy nie wierzą w istnienie mafii. Przestańcie wątpić. Mafia naprawdę istnieje i jest tak potężna jak zawsze. Szybki rzut oka na historię: wojny pomiędzy różnymi rodzinami przestępczymi o sycylijskich korzeniach zasadniczo dobiegły końca w Ameryce w latach trzydziestych. Wtedy ustalił się schemat, który trwa do dzisiaj. Na samym szczycie jest Komitet, który obejmuje szefów lub ojców chrzestnych pięciu rodzin przestępczych w Nowym Jorku: Gambino, Lucchese, Genovese, Bonnano i Colombo. Każda rodzina jest zorganizowana w następujący sposób: szef zajmuje się polityką rodziny i rozwiązuje problemy na najwyższym szczeblu, dotyczące jego własnej oraz innych rodzin. Zastępca szefa jest jego bezpośrednim asystentem. Consigliere (pamiętacie Roberta Duvalla jako Toma Hagena w Ojcu chrzestnym) to doradca. Poniżej trójki na samym szczycie znajdują się capo, inaczej kapitanowie, dowodzący przestępczymi gangami, które składają się z osób mianowanych na członków mafii (zwanych także żołnierzami) oraz współpracowników, którzy dążą do tego, by przyznano

im status żołnierzy. Jak dostać się na szczebel wyżej? Zdobyc mnóstwo forsy dla rodziny, zabijając wystarczającą liczbę ludzi albo zabijać tych, którzy zajmują pozycję nad tobą.

W porządku, a więc w ten sposób awansujesz. Przede wszystkim jednak jak się dostajesz w szeregi mafii?

Musisz pochodzić z dzielnicy, w której dorastali gangsterzy. Henry Hill, główny bohater Chłopców z ferajny, dorastał w Brooklynie i obserwował mafiosów na postoju dla taksówek pod swoim blokiem. Zнали go od małego. Sammy „the Bull” Gravano, zastępca szefa Johna Gottiego w rodzinie Gambino, dorastał w Bensonhurst w Brooklynie, dzielnicy włoskiej, w której ludzie są z sobą bardzo mocno związani. Mafiosi znali go z waleczności w bójkach jako jeszcze wyrostka.

Ja urodziłem się na Kubie. Nikt mnie nie znał.

Jak miałem sprawić, żeby mnie pasowali na członka załogi? Na gangstera? Na Włocha? Na mafiosa?

Pracowałem w wydziale narkotykowym połączonych sił FBI i NYPD, najwspanialszej komórce, do jakiej mógł trafić agent organów ścigania. Nigdy nie widziałem komórki, która zajmowałaby się tyloma skomplikowanymi, długotrwałymi sprawami najwyższej rangi naraz, i miałem honor i przyjemność pracować przy niemalże wszystkich jako tajny agent.

92

93

Agenci pracujący nad sprawą klubu ze striptizem najwyraźniej potrzebowali szybko myślącego, doświadczonego tajnego agenta i nie musieli szukać zbyt daleko, bo byłem na miejscu, gotowy do pracy.

Z tym że teraz pierwszy raz w życiu miałem odgrywać Włocha wśród Włochów.

W wypadku tej sprawy taktyka, by przedstawić tajnego agenta jako Włocha, miała sens, ponieważ staraliśmy się pozyskać zaufanie członków mafii, którzy również próbowali pasożytować na klubie. Początkowo Biuro miało wątpliwości w związku z wyborem mojej osoby po prostu dlatego, że nie jestem Włochem. Co wiem o włoskim jedzeniu? Cały mój stosunek do jedzenia można streścić w jednym zdaniu: dajcie mi jakieś pastelitos (ciasto francuskie z nadzieniem z wołowiny, gwaawy lub kokosa) i ropa vieja con moros y maduros (poszatkowana baranina, kubańska czarna fasola, ryż i banany) i jestem zadowolony.

Z tym że lubię także włoskie jedzenie - lubię każdego rodzaju jedzenie. Z wagą stu trzydziestu kilo ze sporym okładem jak mógłbym nie lubić? Ale wiedziałem bardzo niewiele o tym, jak zachowują się mafiosi. Ta operacja polegała na tym, że miałem infiltrować zorganizowaną organizację przestępczą, i to nie jakąkolwiek grupę, lecz samych Gambino, najpotężniejszą i wzbudzającą największy strach rodzinę spośród pięciu rodzin mafijnych w Nowym Jorku. Jeśli FBI miało mnie wykorzystać jako tajniaka, musiałem pójść do szkoły i nauczyć się, jak odegrać tę rolę.

Do szkoły mafii.

I właśnie taką możliwość stworzyło mi FBI.

FBI zasadniczo ma strukturę trypoziomową. Po pierwsze, jest tajny agent, który pracuje nad sprawą. Nad nim lub nad nią jest agent prowadzący sprawę, czyli przewodnik, który jest odpowiedzialny za organizację sprawy dzień w dzień i ma stały kontakt z tajnym agentem. Następnie ponad agentem prowadzącym sprawę lub przewodnikiem są zwierzchnicy, znajdujący się w okręgowym biurze lub w Waszyngtonie. Sprawują oni kontrolę nad tym, które sprawy się otwiera, które zamyka i tak dalej.

W śledztwie nad sprawą Naked Truth zostałem przydzielony niezwykle doświadczonemu agentowi Natowi Parisiemu. Całą karierę zawodową Nat spędził w Nowym Jorku oraz w okręgowym biurze FBI w White Plains, rozpracowując zorganizowaną przestępczość i handel narkotykami. Stworzył program edukacyjny, który miał mnie przekształcić z tajnego agenta, mającego na swoim koncie niemal sto tajnych spraw, w jednostkę, której wiarygodności nie zakwestionują nawet znani z podejrzliwości członkowie La Cosa Nostra. Oczywiście nie było to łatwe zadanie. Od czasu Donniego Brasco - tajnego agenta FBI podszywającego się pod gangstera - mafia wpadła w paranoję, nieustannie obawiając się infiltracji ze strony organów ścigania. Dostanie się do mafii wymagało przejścia przez śledztwo badające środowisko gangstera. Śledztwo było tak dokładne, że mogłoby niemalże konkurować ze śledztwem FBI. Jak zupełnie obcy człowiek ma przekonać ostrożnych, mających na koncie długoletnie odsiadki kryminalistów, że można mu ufać? To było wyzwanie, jakie stanęło przede mną i agentem Parisim, gdy rozpocząłem naukę w szkole mafii.

Szczerze mówiąc, paranoja mafii dotycząca infiltracji jest niemal komiczna. Członkowie przestępczej rodziny Bonnano mieli zwyczaj kazać rozebrać się do naga facetom, którzy mieli dostać odznakę pełnoprawnych członków mafii, czyli mieli zostać mianowanymi członkami mafii. Proszę wybaczyć, ale jeśli obawiacie się, że facet, którego chcecie wpuścić w szeregi mafii, może mieć podsłuch podczas swojej własnej ceremonii mianowania na jej członka, to czy naprawdę chcecie go w La Cosa Nostra?

Jednym ze skutecznych środków ostrożności, jakie zastosowała mafia, było zaprzestanie mianowania swych członków w piwnicach prywatnych domów, co nakazywała tradycja ciągnąca się od wielu dekad. Mafiosi wiedzieli, że organa ścigania mogą zakładać podsłuch w prywatnych domach. Teraz ceremonie inicjacyjne odbywały się w pokojach hotelowych, które wynajmowano na jeden dzień, po czym załatwiano sprawę i wynoszono się. Ale co tacy ludzie robili przez cały dzień? Czy ich życie przypominało epizody z filmu Rodzina Soprano, czy kompletnie się od nich różniło?

Z wyżej wymienionych względów szkoła mafii w LBI polegała na tym, by stworzyć postać, wymyślić dla niej zaplecze oraz przekazać jej osobistą wiedzę o tym, jak zachowują się mafiosi, tak by pozostałym nigdy nie przyszło do głowy, że może być agentem organów ścigania. Właściwie najmniej martwiłem się o to, że odkryją, że jestem agentem federalnym. Mafiosi nigdy nie zabijają agentów FBI. Nie chcą rozgłosu. Prawdziwe niebezpieczeństwo polegało na tym, że wezmą mnie za kapusia. Gdyby pomyśleli, że jestem kretem - prawdziwym gangsterem, który przeszedł na drugą stronę i donosi na nich do FBI lub jakiegokolwiek innego rodzaju organów ścigania - zabiliby mnie, nie mrugnawszy okiem.

Gdyby Kolumbijczycy odkryli kreta - tajnego agenta lub informatora - zrobiliby mu „kolumbijski krawat”. Poderżnęliby gardło i wyciągnęli język przez ranę w rewanżu za to, że gość rozmawiał z władzami. Mafia dałaby mu dwie kulki w tył głowy lub wcisnęłaby do ust pieniądze albo kanarka i zostawiłaby kapusia w bagażniku jakiegoś ukradzionego samochodu na przylotniskowym parkingu z możliwością długoterminowego parkowania.

Dla mnie szkoła mafii zaczęła się od stworzenia nowej osobowości. Nie mogłem po prostu na poczekaniu zmyślić jakiejs historyjki czy dorabiać sobie fikcyjnego rodowodu, albo wstawiać im dowolnego kitu, jak to robiłem przy naszych poprzednich akcjach. Potrzebowałem konkretnej historii, którą mogliby sprawdzić, ponieważ prawie na pewno będą chcieli zbadać moją wiarygodność. Zaczęliśmy od wybrania nowego nazwiska, co oznaczało, że musimy zdecydować o moich korzeniach. Mieliśmy do wyboru dwie opcje - albo miałem być pełnej krwi Włochem, który dorastał na Kubie za rządów Batisty, kiedy mafia - właściciele kasyn - panowała nad Hawaną, lub miałem być pół Włochem, pół Kubańczykiem. Zdecydowaliśmy, że podejmiemy decyzję, kiedy już zaangażuję się w sprawy w Bromcie.

Musiałem wybrać nazwisko. Zdecydowaliśmy, że będzie to Falcone. Takie nazwisko nosił dzielny sycylijski sędzia, który wraz ze swą żoną i trzema ochraniającymi policjantami został zamordowany przez mafię kilka lat wcześniej. Wtedy dyrektor FBI Louis Freeh uhonorował sędziego Falcone brązowym popiersiem w Akademii FBI w podzięce za jego oddanie w walce z włoską mafią. Jak się okazało, niektórzy gangsterzy, których poznałem, gdy usłyszeli moje nazwisko, marszczyli brwi i zastanawiali się na głos, czy jestem spokrewniony z tym nikczemnym facetem. Jack Falcone to była moja nowa tożsamość stworzona na potrzeby działalności w mafii.

Ze względu na nową tożsamość potrzebowałem nowego numeru ubezpieczenia i szybko zorientowałem się, jak łatwo można to załatwić na ulicach Nowego Jorku. Dostałem sfałszowany numer, a z nim mogłem iść do wydziału komunikacyjnego w White Plains i odebrać prawo jazdy z moim nowym nazwiskiem. Potem złożyłem wniosek o kartę kredytową i otrzymałem ją. Ciągle dzwoniłem, by zwiększyli mi możliwość kredytową, aż dostałem złotą, a następnie platynową kartę American Express. Codziennie obciążałem kartę wydatkami typu benzyna czy zakupy, aż zdobyłem dodatkowe punkty.

Później, kiedy mafiosi pytali mnie, czemu mam kartę American Express, mówiłem im, że mój księgowy powiedział mi, że muszę dokonywać wydatków, by mój biznes - powiedziałem im, że dla picu prowadzę agencję nieruchomości - był wiarygodny. Kupili to wyjaśnienie. Pytali, bo gangsterzy z mafii nie noszą ze sobą kart kredytowych. Zwykle mają gruby plik banknotów przewiązany gumką recepturką, taką, jaką widuje się w supermarketach na łodygach brokułów. Plik banknotów nazywany jest sękiem (jak sęk w desce drewnianej podłogi), zawsze też na samej jego górze jest banknot studolarowy. Im grubszy jest twój plik, tym lepiej ci się powodzi. Nigdy nie zobaczycie szanującego się gangstera z portfelem. Wszyscy oni noszą pieniądze w pliku przewiązanym gumką ze sklepu warzywnego. Jeśli chodzi o dokumenty tożsamości, najprawdopodobniej noszą z sobą jedynie prawo jazdy, zwykle już nieważne lub mocno zniszczone. Musiałem się tego nauczyć. Najmniejsza wpadka ujawniłaby moją prawdziwą tożsamość i gra byłaby skończona.

Wrz z fałszywymi dokumentami potrzebowałem także wiarygodnej historii. Wymyśliłem, że jestem

facetem z Miami, gdzie miałem gang kubańskich świrów, którzy napadali dla mnie na domy i kradli biżuterię, handlowałem również narkotykami. Na Florydzie było kilku (iambino, ale nie mieli oni żadnego kontaktu z kubańskimi dealerami narkotykowymi, a jeśli mieli, to bardzo nikły. Kamraci Gambino na Florydzie nie byliby w stanie mnie sprawdzić na zlecenie rodziny z Nowego Jorku. Zmyślona historia z Miami miała sens, bo spędziłem tam sporo czasu, pracując jako tajniak nad różnymi akcjami. Znałem wszystkie najlepsze kluby i restauracje, doskonale orientowałem się w topografii i rozkładzie miasta. Mogłem zmyślać ciekawe i wiarygodne historie o moich doświadczeniach w tym mieście.

Jeśli chodzi o rodzinę, moja bajka głosiła, że nie mam rodzeństwa, a rodzice nie żyją. Mój ojciec był Włochem, w latach pięćdziesiątych pracował w kasynie w Hawanie, a moja matka miała być albo Włoszką, albo Kubanką - myśleliśmy, że na dośpiwanie tej historii przyjdzie jeszcze pora w odpowiednim czasie. Urodziłem się w 1952 roku, a kiedy w 1959 roku Castro przejął władzę, moja rodzina przeniosła się do Miami. Jako dziecko wcześniej osierocone przez rodziców popadłem w złe towarzystwo, kilka razy byłem aresztowany za różne przestępstwa, ale nigdy nie trafiłem do więzienia. Stworzyłem dla Jacka Falcone fałszywe akta związane z jego życiem przestępczym, które mógłbym pokazać moim nowym znajomym, gdybym chciał lub gdyby oni sami znaleźli sposób, by do nich dotrzeć. Ważne, by w aktach nie figurowało, że siedziałem w więzieniu. To dlatego, że gangsterzy w całym kraju mają rozbudowaną sieć znajomych w więzieniach. W sumie członek rodziny mafijnej może spędzić nawet dwadzieścia lat za kratkami w więzieniach federalnych w całym kraju. Sprawdzenie mojej więziennej przeszłości byłoby zbyt łatwe - wystarczyłoby, żeby zapytali, czy ktokolwiek znał Jacka Falcone, który odsiadywał wyrok w konkretnym więzieniu w konkretnym czasie. Lub skojarzyliby, że konkretny gangster siedział w tym samym więzieniu w tym samym czasie co ja i zaczęliby mnie przepytawać.

Jakkolwiek FBI bardzo mi pomagało i wspierało w kreowaniu nowej tożsamości, wiedziałem, że to nie wystarczy i muszę iść o krok dalej. Ostatecznie moje zaangażowanie było o wiele większe niż pozostałych. Gdyby powinęła nam się noga i jakiś element mojej sfabrykowanej historii sprawił, że Gambino domyśliłby się oszustwa, następnego ranka ludzie z Biura wstaliby, wypiliby kawę i poszli do pracy. Tymczasem ja byłbym już martwy. W czasie wolnym, gdy byłem z żoną na wakacjach na Florydzie, chodziłem po tamtejszych cmentarzach, aż znalazłem małżeństwo Falcone, którego daty śmierci zgadzały się z moją historią. W ten sposób, gdyby ktoś z mafii powiedział: „Jedźmy na wycieczkę na Florydę. Pokażesz mi, gdzie są pochowani twoi rodzice”, odpowiedziałbym mu: „Żaden problem, jedźmy”. Musiałem dopilnować, by każdy aspekt mojej historii dało się sprawdzić.

Tak więc Jack Falcone miał teraz przeszłość finansową, kryminalną i rodzinną. Ale życie w mafii nie opiera się wyłącznie na przeszłości; dzieje się tu i teraz. Dla gangsterów tu i teraz oznacza szlajanie się po restauracjach i barach. Ci, którzy oglądali Rodzinę Soprano, Chłopców z ferajny i Ojca chrzestnego oraz wszystkie pozostałe tego rodzaju filmy, pewnie mają to samo wyobrażenie o mafii, jakie miałem ja - że mafiosi są nastawieni na działanie, że ciągle do kogoś strzelają lub kogoś biją. Rzeczywistość jest inna. Oczywiście robią także i to, ale ich codzienność kręci się wokół jedzenia i gadania o tym, jakie zadania mają do wykonania w przyszłości.

Jeśli chciałem jadać z gangsterami, musiałem znać się na ich potrawach. Tak więc kolejne etapy poznawania mafii opierały się na jedzeniu i piciu. Nikt nie musi mnie dwa razy zapraszać na obiad, więc ta część treningu naprawdę mi się podobała. Jeśli trzeba coś zjeść, mafiosi wiedzą, do której restauracji pójść, by zjeść konkretne danie. Na przykład jeśli chcesz homara arrabbiata - homara na ostro - idziesz do F. illi Pontes na West Side Highway. Jeśli chcesz zjeść klopsiki, idziesz do Raos we wschodnim Harlemie. Jeśli masz ochotę na ładny kawałek cielęciny, idziesz do Il Mulino's w Village. Nie chodzi o to, że pozostałe restauracje nie potrafią przyrządzać tych potraw. Chodzi o to, że mafiosi wiedzą, kto potrafi przyrządzać je najlepiej. Jeśli nie wiesz tego rodzaju rzeczy, co z ciebie za gangster?

Mój przewodnik Nat zabrał mnie do włoskich restauracji i nauczył wszystkiego o włoskim jedzeniu - jak zamawiać, jak próbować potraw, czego szukać, jak wymawiać słowa tak jak to robią gangsterzy. Nauczyłem się mówić „prosciutf”, a nie „prosciutto”; „manicot”, a nie „manicotti”.

Nauczyłem się wszystkiego o homarze arrabbiata, sosach z restauracji Raos we wschodnim Harlemie, jakie są potrawy regionalne - wszystkiego. (Nawiasem mówiąc, płaciliśmy za te posiłki z własnej kieszeni - Biuro nie płaciło za ten etap mojej edukacji!)

Kiedy już nauczyłem się, jak zamawia prawdziwy gangster, uzupełniałem edukację, oglądając Food Channel. Polubiłem zwłaszcza Molto Mario z Mario Batalim, Lidias Family Table z Lidią Bastianich i Every-day Italia z Giada De Laurentiis. Te programy działają jak pornol dla żołądka, sprawiają, że stają się taki głodny! Koncentrowałem się nie tylko na przygotowaniu posiłków, lecz na wymawianiu słów tak, jak to robią Włosi. Zabierałem także żonę i naszych przyjaciół do włoskich restauracji, gdzie testowałem swoje

umiejętności zamawiania jedzenia. Że przypomnę - dla takiego faceta jak ja to nie stanowiło najtrudniejszej części zadania.

Na domiar wszystkiego gangster nigdy w życiu nie spogląda w menu. Wchodzi do restauracji kołyszającym się krokiem, nieledwie jakby był właścicielem lokalu, wita się z kelnerem i gospodarzem restauracji jak z dawno nie widzianymi krewnymi i mówi jowialnie: „Hej! Co to ja dzisiaj zjem!”.

Kelner może wysunąć kilka propozycji, które zręczny gangster zignoruje.

Zamiast tego powie: „Hej, wiecie co? Powiem wam, co zamówię. Zróbcie mi trochę tego i trochę tamtego, trochęprosciutt'z'p'armeggiano reggiano i trochę antipast', odrobinę polenta z gorgonzola i kielbasą, a kiedy skończę, przyniesiesz mi linguine z sosem z małży. Co ty na to?”.

Kelnerzy to uwielbiają!

Nauczyłem się także, co to jest „włoski medal wojenny”. Tak mafiosi nazywają plamienie się sosami i innymi śladami włoskich posiłków podczas jednej z wielu orgii obżarstwa, jakie urządza sobie mafia. Jednak ów medal nie budził szacunku, bo odbierał ci godność i zadbany wygląd. Kiedy jednak otrzymałeś medal, wszyscy znali sposób, by go usunąć. Zawsze przekonywałem się, że najlepiej zastosować wodę sodową, a potem gdy plama wyschnie, użyć talku, żeby usunąć tłuszcz.

Obowiązywały również reguły dotyczące picia. Gangster nigdy nie wchodzi do baru i nie pyta: „Jakie macie piwo?”. Tak mówią nieudacznicy. W Philly* nauczyłem się, że prawdziwy gangster nieustannie pokazuje swoją władzę, nawet kiedy zamawia coś do picia. „Hej, dajcie mi tu John-nie Walkera Black z lodem. Albo dajcie mi Ketel One z lodem”. Gangster zawsze pamięta, kim jest, i co pije. Nie ma czasu na bzdury. Uczono mnie, bym okazywał właśnie taki stosunek do życia. Mafiosi są także niewiarygodnie hojni. Czemuż by nie mieli być? To nie ich pieniądze! Ukradli je!

Nie sugeruję tutaj, że gangsterzy należą do najłatwiejszych klientów. Uwielbiają się popisywać, mieszając ludzi z błotem; lubią pokazywać ludziom pracy, gdzie ich miejsce. Takie zachowanie zawsze mnie brzydziło. Kiedy mafiosi zwracali się do ciężko pracujących latynoskich kelnerów i ich pomocników, ludzi utrzymujących rodziny, którzy chcieli tylko zarobić kilka dolarów, jakby należeli do jakiegoś podrzędnego gatunku, uważałem, że to ohydne i niepotrzebne. „Hej, kim jesteś, Meksykaninem czy Meksykantem?”** - mówili, gdy pomocnik kelnera przynosił im dodatkowy chleb czy wodę z opóźnieniem. Kiedy tylko widziałem tego rodzaju zachowanie, przywoływałem do siebie pomocnika kelnera -oczywiście, gdy moi kumple z mafii nie patrzyli - dawałem mu dziesięć, dwadzieścia, a czasem sto dolarów i mówiłem, żeby nie brał tego do siebie, bo mój przyjaciel nie mówił poważnie. Faceci z mafii potrafili być hojni i jednocześnie trudni jako klienci.

* Philly - zdrobniale o Filadelfii (przyp. tłum.).

** W oryginale gra słów: „Mexi-can or Mexi-can't” - Meksy-może czy Meksy-nie może (przyp. tłum.).

Ta hojność najbardziej dawała o sobie znać, jeśli chodzi o zachowanie mafiosów wobec innych gangsterów w święta Bożego Narodzenia. John Gotti senior, niegdyś szef Gambino, był znany z dawania w prezencie wyjątkowego gatunku koniaku - Remy Martin, Louis XVIII, którego butelka kosztowała tysiąc pięćset dolarów. Oczywiście Gotti również za niego nie płacił, miał go pewnie od jakiegoś gościa, na którym pasożytował, a może koniak „spadł z ciężarówki”. To były naprawdę świetne butelki, kryształ Baccarat i alkohol najwyższej jakości. Znowu, łatwo jest być hojnym, gdy nie chodzi o twoje pieniądze.

A kiedy na koniec posiłku przychodzi rachunek, zawsze całość pokrywa jedna osoba. Mafiosi nigdy nie mówią: „Okej, zobaczmy. Ty miałeś spaghetti, a ja kurczaka”. Zawsze któryś pokazuje, jaki ma gest, i zabiera rachunek, a kiedy inni przy stole protestują, mówi: „Dajcie spokój. Wy zapłacicie następny”. W tym wszystkim chodzi o pokazanie się jako wspaniały, hojny człowiek.

W rzeczywistości ci ludzie nie są wspaniali i nie są hojni. Greg DePalma ciągle mi powtarzał, że dla mianowanego członka mafii jego kryminalna rodzina jest ważniejsza niż jego prawdziwi krewni. Często mówił mi, że gdyby dziecko kogoś takiego leżało na stole operacyjnym i miało zaledwie dziesięć sekund życia, a jego szef by zadzwonił i wezwał go do siebie, gość musiałby natychmiast opuścić szpital i stawić się do złożenia raportu. Potem mógłby przesłać kwiaty na pogrzeb dziecka. Ta sama informacja pojawia się w Underboss, fascynującej opowieści Petera Maasa o życiu zastępcy szefa Gambino Sammyego „the Bull” Gravano. A więc albo to była tradycja obowiązująca wśród gangsterów i przekazana DePalmie, albo Greg czytał książkę o Gravano. Nie ulega wątpliwości, że mafiosi przykładają dużą wagę do tego, jak są opisywani w kulturze masowej. W latach siedemdziesiątych wszyscy oglądali Ojca chrzestnego. Później nie opuszczali żadnego odcinka Rodziny Soprano. Bardzo niewiele przestępstw wydarzyło się w niedzielę między dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą (pomijając fakt, że większość gangsterów kradła sygnał kablówki).

Mafiosi często też całowali się w policzek. Przyzwyczajenie się do tego zajęło mi sporo czasu. Czemu

nie mogą po prostu uściśnąć sobie na powitanie dłoni? Naprawdę przeżyłbym bez całego tego całowania.

Jak na gości, którzy niewiele sobie robili z nadwagi, gangsterzy bardzo dbali o swój wygląd zewnętrzny. Zawsze jeździli na manicure i pedicure. Nigdy nie lakierowali paznokci - można było je co najwyżej polerować. Kiedy pierwszy raz poszedłem z chłopakami na manicure, długo otrząsałem się z szoku, gdyż zrobiłem coś, co jest postrzegane jako niemęskie. Szczerze mówiąc, to było wspaniałe! Nic dziwnego, że kobiety regularnie chodzą na tego typu zabiegi i wolą to chować w tajemnicy przed nami, facetami. Kilka razy miałem nawet masaż twarzy i jedyne, co mogę powiedzieć, to marron! Co za piękna sprawa!

Musiałem też regularnie się golić i chodzić do fryzjera, bo mafiosi oraz ci, którzy chcą nimi zostać, muszą być gładko ogoleni i ufryzowani. Broda czy wąsy nie są dozwolone, bo mafiosi uważają, że nie mają nic do ukrycia i że przed nikim się nie muszą ukrywać. Uważają także, że wąsy lub brodę zapuszczają się po to, by mieć wygląd twardziela i by onieśmielać innych - a oni nie muszą sobie tego sztucznie zapewniać, bo mają to tak czy inaczej. Może ów brak zarostu miał ich także odróżniać od starszego pokolenia gangsterów - ich dziadków i rodziców, którzy ze względu na zarost byli nazywani Moustache Petes (Wąsatymi Piotrkami). W każdym razie w owym czasie takie panowały pośród mafiosów zasady dbania o wygląd zewnętrzny.

Mafiosi przykładają dużą wagę do luksusu. Doskonale znają się na biżuterii. Blask i szlif diamentu na sygnetach, jakie noszą zawsze na małym palcu, pokazują ich status społeczny. Kochają każdy rodzaj biżuterii: spinki do mankietów, rzucające się w oczy bransoletki, złote naszyjniki, firmowe złote zegarki i zapinki do krawatów wysadzane diamentami. Kolczyki nie są dozwolone - pewnie według nich nie są męskie.

Znają się też na najlepszych krojach ubrań, potrafią rozpoznać garnitury Brioni czy Zegna i odróżniają je od gorszych marek. Ich ulubione garnitury miały tradycyjny krój i były szyte z włoskich materiałów, noszono do nich jedwabne krawaty i pasujące chusteczki, które uzupełniały wygląd miastowego mafiosa. „Włoskie smokingi” były bardzo popularne wśród tych facetów. To właśnie je nazywali zabójczą Filą albo zabójczym Sergio Tacchini. Najczęściej wkładali je na zwykłe ordynarne podkoszulki, bywało też, że obnosili się z okazałym złotym łańcuszkiem z krzyżykiem. Ostatnim elementem tego stroju były buty sportowe z najwyższej półki. Na co dzień noszono marynarki welurowe, przy uroczystych okazjach - jedwabne, a w lecie - nylonowe lub z poliestru.

Musieli mieć także właściwe buty - marki Ferragamo, Bally lub Gucci. Przepadli za butami z krokodylęj skóry i noszenie tego rodzaju butów czarnych, brązowych, a nawet niebieskich - oznaczało wysoki status. Jeśli chodzi o skarpetki, mogły być nylonowe lub kaszmirowe. Taka elegancja od stóp do głów była niezwykle istotna, by faceta zaklasyfikowano jako morte d'jam - w przeciwnym wypadku uznawano go za cieniasa. To byłaby katastrofa. Noszenie dobrych ubrań, rolexa i najlepszej biżuterii jest oznaką tego, że się na to wszystko zarobiło, widoczną oznaką sukcesu w mafii.

Nat mnie nauczył, że gangsterzy są bardzo wyczuleni na wartość, jaką przedstawiają poszczególne części garderoby czy biżuterii. W rezultacie wystarczy, by zerknęli na zegarek, a już wiedzą, czy jest prawdziwy. Potrafią to stwierdzić szybciej niż ekspert z Tourneau Corner. Umieją zaklasyfikować diament szybciej niż gemmolog u Cartiera czy Tiffanego. We wszystkich tych dziedzinach mają taką samą wiedzę jak eksperci. Z tego powodu ja również musiałem stać się ekspertem. Musiałem znać się nie tylko na różnych markach i modelach drogich zegarków, ale również być w stanie wycenić diament. Musiałem umieć rozpoznawać, która biżuteria pochodzi z Jacob and Company, a która z Harry Winston lub innej firmy. Oprócz rozpoznawania biżuterii różnych firm musiałem znać jej wartość i ramy cenowe: wartość detaliczną, cenę, w razie gdyby biżuteria była trefna albo kradziona, używana albo nowa, musiałem wiedzieć, jak nieobecność numerów seryjnych i metek w wypadku drogich zegarków wpływa na cenę.

Nie mogłem być paserem kradzionych zegarków i wyceniać na dziesięć tysięcy zegarka, który na ulicach jest sprzedawany za cztery i pół lub pięć tysięcy. Doksztalcałem się więc w zakresie różnic między markami Audemar Piguet, Chopard, Patek Philippe, Breitling, a przede wszystkim poznawałem rolexy. Posiadanie ładnego rolexa ze stali nierdzewnej to jedno, ale jeśli nie miałeś najnowszego modelu osiemnastokaratowego solidnego złotego rolexa, jak inni gangsterzy mogli cię brać na poważnie?

Nawiasem mówiąc, mafiosi nigdy nie kupowali rzeczy w sklepach. Jeśli mieli na sobie jakąś ładną drogocenną biżuterię, to spadła ona z ciężarówka albo ją wyłudziła, albo ktoś im ją podarował. Pewnie słyszeli od jakiegoś gościa z dzielnicy: „Buchnęliśmy zegarki. Chcesz przyjść i obejrzeć?”. Albo zaszaleli na zakupach, wykorzystując ukradzioną jakiemuś przechodniowi kartę kredytową. Ale ten stary żart Woodyego Allena, że za największy grzech w jego rodzinie uchodziło kupowanie w sklepie, dotyczy też gangsterów.

Uświadomiłem sobie, że nie chodzi tylko o to, jak się prezentuję. Gangsterzy przykładają dużą wagę

także do tego, z kim są widywani. Powiedzmy, że chcesz spędzić cichy wieczór z dziewczyną, twoją gumara (wymawia się to goomod). Lepiej weź z sobą „ogon” - faceta, który będzie włókł się za wami z tyłu w restauracji czy w klubie. W ten sposób, gdyby ktoś, kto zna twoją żonę, zobaczył cię lub gdyby FBI cię nagrało, twój kumpel mógłby twierdzić, że ta dziewczyna była z nim, a nie z tobą.

Kolejna sprawa, którą się zajęliśmy w naszej szkole mafii, dotyczyła mojego osobistego bezpieczeństwa - kto znał moją prawdziwą tożsamość? Kto ze świata gangsterów w Bronxie mógł mnie rozpoznać i stworzyć problem? W końcu tu nie chodziło o Badlands w Philly, gdzie nie znałem żywej duszy. Wychowałem się w Bronxie. W liceum grałem tutaj w football. Byłem bramkarzem w nocnych klubach w Nowym Jorku, w Secondo Floor, Pemoes, Glen Island Casino i w paru innych niezwykle popularnych miejscach. Doszedłem do wniosku, że najlepszym sposobem na splawienie kogoś, kto podejrze do mnie w restauracji czy klubie, to powiedzieć mu, że się pomylił; że nie mam pojęcia, o czym mówi, po czym należy odejść. Byłem pewny, że potrafię sobie z tym poradzić. Zdziwiająco, ale jest sporo wielkich facetów podobnych do mnie, więc wiele razy ktoś mnie pomylił z Vinnym lub Tonym z Brooklynu. Zdaje się, że wszyscy na tym świecie mają jakiegoś sobowtóra! Ale ponieważ wychowałem się w Bronxie, było dwóch konkretnych gangsterów, których znałem i którzy wiedzieli, że jestem agentem FBI. Obawiałem się jakiegokolwiek kontaktu z nimi.

* Whale - wieloryb (przyp. tłum.).

Jeden facet był znany jako Gigi the Whale*. Widywałem go przesiadującego w barach w Bronxie. Pewnego razu podszedł do mnie i uściśnął mi dłoń.

- Gdybym nie wiedział, nigdy bym w to nie uwierzył - powiedział do mnie. - Jesteś największym agentem, jakiego widziałem w życiu.

- Co masz na myśli? - zapytałem, zdumiony, że wie, kim jestem. Ja wiedziałem, kim on jest. Ale jak on mnie rozgryzł?

Okazało się, że nasz wspólny przyjaciel powiedział mu o mnie. Nadal jednak Gigi chciał być moim przyjacielem.

- Gigi - powiedziałem do niego ze wstrętem - handlujesz narkotykami. Sprzedajesz heroinę. Jesteś dealerem. Siedziałeś dwadzieścia cztery lata w więzieniu. To pewnie w określonym środowisku budzi szacunek, ale jeśli o mnie chodzi, nie jestem zachwycony. Nie prowadź interesu na moich oczach, a wszystko będzie między nami dobrze. Złapię cię na handlu narkotykami i osobiście zakuję cię w kajdanki. Rozumiemy się?

I wszystko między nami było w porządku, ale jeśli Gigi the Whale kiedykolwiek ujrzy mnie z DePalma lub innym mafiosem, z którym się spotykałem, będzie to oznaczało koniec gry. Gigi należał do Purple Gang*, bezlitosnej bandy dealerów narkotykowych z okolicy Pleasant Avenue we wschodnim Harlemie. Mówiło się, że ich nazwa bierze się stąd, że kiedy mięso gnije, robi się fioletowe. Wszyscy członkowie mafii, jakich kiedykolwiek poznałem, uwielbiali i szanowali Gigiego, który pełnił chyba wszelkie możliwe funkcje w tej organizacji. Zginął, kiedy byłem tajnym agentem, i na szczęście nasze drogi nigdy się nie zetknęły, choć raz niewiele brakowało.

* Purple Gang - fioletowy gang (przyp. tłum.).

Drugi gangster, który mógł mnie zidentyfikować jako agenta FBI, nazywał się Randy Pizzolo. Sądził, że jest twardzielem. Był na zwolnieniu warunkowym, ale zawsze rozstawiał ludzi wokół siebie po kątach, czy byli to mężczyźni, czy kobiety. Ktoś powiedział Randy'emu, że jestem agentem. Randy był takim facetem jak John Gotti - zawsze miał manicure, dwurzędowy garnitur, jeździł mercedesem S 500 z królową piękności u boku. Któregoś razu wszedł do restauracji i zobaczył, że siedzę tam z grupą ludzi. To było na długo przed tym, jak zacząłem pracę tajniaka jako Jack Falcone. W progu powiedział na cały głos:

- Stawiam drinka wszystkim z wyjątkiem agenta!

Kelner spojrzał na mnie, niepewny, jak się ma zachować. Powiedziałem Pizzolowi, że może sobie wsadzić swoje drinki w tyłek i postawiłem drinki moim znajomym.

- Masz problem? - zapytałem go. - Głupi jesteś czy co? Jesteś na warunkowym i mogę cię zamknąć za samo złamanie godziny policyjnej! Nigdy więcej nie rób takiej żenady na oczach moich przyjaciół!

Niedługo potem zobaczyłem go w innej restauracji i wyciągnął do mnie rękę.

- Bez urazy - powiedział do mnie.

Nadal mi nie przeszło po tym, jak obraźliwie mnie potraktował w restauracji.

- Bez urazy? - powiedziałem, odmawiając podania mu dłoni. - Uważaj na siebie, Randy! Któregoś dnia swoją niewyparzoną gębą napytasz sobie biedy!

To była ostatnia rada, jaką mu dałem, ale zdaje się, nie wziął jej sobie do serca. Znalaziono go

martwego, z czterema kulkami w głowie. Wykończył go capo rodziny Bonnano, a powodem była jego niewyparzona gęba. Jednak kiedy wkraczałem w świat mafii z Bronxu, tych dwóch mężczyzn nadal tam było, nadal prowadzili swoją działalność i istniało zagrożenie, że któryś z nich może mnie zdemaskować.

Dzięki moim postępom w szkole mafii mogłem się teraz nosić jak gangster i miałem wiarygodną historię. Musiałem się także nauczyć mówić tak, jak mówią mafiosi. Chodziło przede wszystkim o przekonanie ludzi, że mam włoskie korzenie. Powiedzmy, że chcę zwrócić komuś uwagę, że popełnia błąd. Nie idziesz do capo i nie mówisz mu prosto z mostu, że robi coś źle. Istnieje specjalny język, którego musisz użyć. Nat nauczył mnie, by mówić coś w tym rodzaju: „Hej, posłuchaj. Nie chcę okazywać braku szacunku. Jesteś moim szefem i jeśli powiesz, że tak ma zostać, to jeśli o mnie chodzi - tak zostanie. Ale słyszałem, że można z tego wyjść inaczej”.

Czułość gangsterów była duża, bardzo duża, a było tak z powodu Donniego Brasco. Prawdę mówiąc, omert?, zmowa milczenia, która w dawnych czasach była naruszana raz na pokolenie przez renegatów takich jak Joe Valachi, teraz była żartem, należała do przeszłości. Mafia przypominała ptaszarnię. Kiedy któryś z mafiosów pakował się w kłopoty, natychmiast wszystko wyśpiewywał. Nie chodziło już o honor, o odsiedzenie wyroku w nadziei, że rodzina się o ciebie zatroszczy. Mafia ewoluowała w organizację, gdzie każdy dbał o siebie. Nie mówcie mi o honorze, gdy chodzi o złodziei. Mafiosi zatrudniają nawet prywatnych detektywów, którzy niegdyś należeli do organów ścigania, by zbadali przeszłość i środowisko współników kręcących się przy mafii, takich jak ja. To dla mnie niepojęte, jak ludzie mogą przechodzić z jednej strony na drugą, ale było ich wystarczająco wielu, by można się było spodziewać gruntownego sprawdzenia mojej osoby.

Musiałem się także nauczyć, jak radzić sobie w delikatnych sytuacjach. Powiedzmy, że znalazłem się gdzieś w piwnicy, a dealerzy narkotykowi przykładają mi pistolet do głowy i mówią: „Jesteś agentem - wciągaj tę kokainę albo nie żyjesz”.

Cóż, moja oburzona reakcja na ten scenariusz, który wymyślili szefowie z Biura, była taka: „Nieważne, co bym zrobił. Ważniejsze, jak mogłem dopuścić do takiej sytuacji”.

Jeśli będę sprytny i będę wystarczająco siebie chronił, nigdy nie wpakuję się w takie kłopoty. Czasem trochę mnie frustrowało zachowanie kilku wysokich rangą urzędników FBI, którzy pracowali nad tą sprawą. Odnosiłem wrażenie, że nie są wystarczająco cwani, jeśli chodzi o mafię. Zawsze miałem przygotowane jakieś wyjście awaryjne: w przypadku, gdybyśmy mieli urządzić obławę i mordobicie, lub gdyby oczekiwano ode mnie, żebym kogoś zastrzelił, miałem zamiar udawać zawał serca. Przewróciłbym się, chwycił się za klatkę piersiową i krzychał: „O, cholera! Mam zawał!” Pomogliby mi, zawieźli mnie do szpitala i przesunęli obławę na następny dzień, dając FBI czas, żeby ochronić i ukryć potencjalną ofiarę. Ale tutaj mogę się mylić. Ostatecznie, kto by dźwigał faceta, który waży sto osiemdziesiąt kilogramów! Pewnie wszyscy by mnie zostawili, żebym tam umarł! Zdaje się, że już nigdy się nie dowiem, jak naprawdę by to wyglądało.

Jedno jest pewne: nie musiałem nikogo zabijać, żeby zostać wprowadzonym do mafii. Kilka dekad temu, kiedy obowiązywała jeszcze zasada omert?, by dostać się do mafii, musiałeś „odwalić brudną robotę” - zabić kogoś na zlecenie swoich zwierzchników. Teoria głosiła, że jeśli twoje ręce są zbrukane krwią, nigdy nie przejdziesz na drugą stronę, nie staniesz się informatorem policji i nie okażesz się agentem federalnym. Jednak w rzeczywistości tylu ludzi mordowało dla mafii, a potem stawało się informatorami, że kolejne pokolenie wiedziało, że nic nie przychodzi z tego, że każe się gościowi kogoś zastrzelić lub udusić. Zdaje się, że mafiosi pogodzili się z tym, że określony procent wprowadzonych ostatecznie i tak przejdzie na stronę organów ścigania. Nadal mogłeś dostać rozkaz zabicia kogoś lub uczestniczenia w obławie, ale to już nie była sprawa automatyczna. O wiele mniej się dla nich liczyło, kogo zabiłeś, niż to, ile zarabiałeś pieniędzy.

Moją wiedzę o sprawach mafii poszerzyłem także dzięki przeczytaniu artykułów Jerryego Capeciego Gang Land na jego stronie internetowej www.ganglandnews.com oraz na stronie www.AmericanMafia.com stworzonej przez detektywa Ricka Porello. To prawdziwe skarbnice wiedzy na temat mafii, obfitujące w fakty i autentyczne historie.

Nie minęło wiele czasu, a zacząłem myśleć jak gangster. Byłem niemal gotów, by wkroczyć w świat Naked Truth. Kiedy zacząłem się uczyć w szkole mafii Nata Parisiego, byłem urodzonym na Kubie agentem FBI. Kiedy ją kończyłem, byłem gotów zostać człowiekiem Gambino. Ale czy Gambino zaakceptują mnie jako złodzieja biżuterii z Miami i dopuszczą do swego świata?

Rozdział 9

Łapówka w Naked Truth

Okazało się, że pomysł, żebym odgrywał rolę nowego inwestora w klubie ze striptizem, był świetny, ponieważ pomógł mi zbudować wiarygodną postać i zaaklimatyzować się w tym miejscu, a także zapoznać się ze stałymi klientami, tancerkami i obsługą Naked Truth. Tancerki były bardzo miłe i gadatliwe. Były prostytutkami, które nieustannie nagabywały mnie, żebym kupił taniec erotyczny. Mówiłem: „Słuchaj, jestem tu w interesach. Nie, dzięki”. A wtedy musiałem poznać ich prawdziwe historie - problemy z pieniędzmi, problemy w domu. Byłem zdziwiony, odkrywając, że wiele z tych dziewcząt chodzi jeszcze do szkoły. Rozbieranie się stanowiło dla nich sposób na zarobienie pieniędzy dla swoich rodzin - nic więcej. To była ciężka praca - było mnóstwo szumowin, które chciały je wykorzystać. Przy okazji naszego zadania wyrzuciliśmy kilku gości, którzy poczynali sobie z nimi trochę zbyt zuchwale.

Zdecydowałem, że dla zwiększenia bezpieczeństwa muszę wciągnąć także drugiego tajniaka, w razie gdyby Albańczycy wrócili, żeby zniszczyć klub. Chciałem również mieć pewność, że nie będziemy mieli problemów z gangsterami w dniach, kiedy będziemy płacić łapówkę za protekcję. Zarząd FBI się zgodził i chciał wskazać drugiego tajniaka, który miał ze mną pracować jako wsparcie. Niestety, gość, którego wybrali, by odegrał tę rolę, tak kompletnie się do tego nie nadawał, że musiałem się rozeźmiać. Bez obrazy, ale to był facet, który sam żelował sobie buty. Miał fryzurę a la lata siedemdziesiąte i zawsze nosił białe skarpetki do ciemnych poliestrowych garniturów i spodni. Nosił także koszule z krótkim rękawem i krawaty w pasy które wkładali już chyba tylko komiwojażerowie. Miał beznadziejną opinię w Biorze. Mówiono, że to samochwała i człowiek w gorącej wodzie kąpany Zapracował sobie na przydomek „Tick Tick”, ponieważ był tak nerwowy że wyglądał, jakby miał eksplodować. Miał lekki wąsik, jaki często noszą gwiazdy filmów porno lub ministranci. Czy możecie sobie wyobrazić szanującego się gangstera, który sam żelowałby sobie buty lub traktował poważnie kogoś, kto to robi?

Nie mogłem uwierzyć, że próbują mi wcisnąć tego nieudacznika. Potrzebowałem kogoś, kto - nawet gdyby nie cechował się nadmierną elegancją - potrafiłby zachowywać się jak gangster. Mój wybór padł na Jimmiego Gagliano, absolwenta West Point, żołnierza piechoty morskiej i członka elitarnego oddziału FBI do odbijania zakładników. Ten facet miał tatuaże na tatuażach, ogoloną głowę i zachowywał się jak twardziel - był też niezmiernie pewny siebie. Miał obycie na ulicy i duże doświadczenie w walce ze zorganizowaną przestępczością. Pracował dla komórki zajmującej się Gambino dowodzonej przez agenta Bruce'a Mouwa w czasach Johna Gottiego juniora. Jimmy miał być moją siłą i chciałem z nim pracować. Jednak nie wytrzymał przy tej sprawie zbyt długo, ponieważ okazało się, że niektórzy z naszych głównych podejrzanych mogliby go rozpoznać dzięki wcześniejszym sprawom. Ale przez ten okres, kiedy ze mną pracował, był świetny.

Jimmy i ja zaczęliśmy pokazywać się w klubie. Udawał mojego kuzyna. Znakomicie nadawał się do tej roboty bo wiedział, kiedy trzymać gębę na kłódkę. Niektórzy tajni agenci po prostu za wiele gadają. Może się denerwują, a może sądzą, że muszą pokazać, że wszystko wiedzą, by sobie zasłużyć na szacunek innych. Ale nie Jimmy Świetnie znał i rozumiał swoją rolę. Wiedział, kiedy ma tylko stać i budzić postrach samym wyglądem. Właśnie takiego gościa potrzebowałem.

Nie poznawałem wyłącznie członków rodziny Gambino. Kluby ze striptizem przyciągają gangsterów ze wszystkich rodzin, więc poznałem także facetów z rodzin Genovese, Bonnano i Colombo. Nie mogę

powiedzieć, że się nie bałem - szczerze mówiąc, wszystko, czego się dowiedziałem o nowej mafii, nowym typie gangsterów tej ery, która nastąpiła po Gottim, po prostu mnie przerażało. W dawnych czasach ci faceci kierowali się honorem i chciwością, właśnie w takiej kolejności. Przede wszystkim byli lojalni wobec mafii. Przestrzegali zasad, które wyraźnie wskazywały, kto może być zabity, kiedy, z jakiego powodu i w jaki sposób. Dawniej w mafii funkcjonowało coś takiego jak praca zespołowa, mafia miała poczucie misji, czy też jeśli wolicie - poczucie dumy z tego, co robi. To było jak Narodowa Liga Futbolowa - może być wiele oddzielnych drużyn, ale wszystkie mają jeden cel. Stawiają interes mafii jako całości ponad własne osobiste potrzeby, ponieważ wiedzą, że jeśli każdy mafioso będzie tak myślał, wszyscy na tym skorzystają.

Nie to co współcześni gangsterzy. Przede wszystkim wielu dzisiejszych mafiosów bierze narkotyki. Wciągają kokainę, co nie zdarzało się pokolenie wcześniej. Ci faceci są tak naćpani, że nigdy nie wiadomo, co robią. Zabijają człowieka w mgnieniu oka - są o wiele bardziej brutalni i niebezpieczni niż ich poprzednicy, a to już wiele mówi. Każda nieudana transakcja może się skończyć strzelaniną. Takie zagrożenie z pewnością wiązało się z dostarczaniem pieniędzy do klubu w dniach, kiedy mieliśmy dawać łapówkę. Nawet twardego Jimmy'ego Gagliano nie mógłby mi wiele pomóc, gdyby Albańczycy lub inni gangsterzy chcieli coś mi zrobić. Moje obowiązki były jednak jasne. Musiałem przyjechać do klubu, spotkać się z ludźmi Louisa Filippello, odegrać swoją rolę nowego klubowego inwestora, który przyjechał z Florydy, i przekazać im wyludzone pieniądze. To było moje zadanie i zamierzałem je wykonać.

W dniu przekazania pieniędzy, a było to 18 grudnia 2002 roku, Jimmy i ja mieliśmy się spotkać we włoskiej restauracji Spaghetti Western niedaleko Naked Truth. Poszedłem tam wcześniej, ale Jimmy już na mnie czekał. Razem czekaliśmy tam na telefon od barmana z Naked Truth, który miał nas powiadomić, gdy Louis Filippelli przyjdzie do klubu.

Wierzę, że poczucie czasu gangsterów i dealerów narkotyków różni od poczucia czasu przeciętnych śmiertelników. Jeśli facet mówi, że jawi się o piątej po południu, równie dobrze może przyjść o północy o trzeciej rano. A ty musisz po prostu siedzieć i czekać. Obaj spieszymy się do restauracji, żeby być na czas tylko po to, by siedzieć i czekać. W końcu zdecydowaliśmy, że wpadniemy do Naked Truth na kilka inków. Ja piłem zawsze bacardi z colą, odpowiedni napój dla faceta Florydy. I zawsze precyzowałem markę alkoholu. Nie minęło wiele czasu, a nasza cierpliwość została wynagrodzona, właściciel klubu wszedł z Chrisem Sucarato, jednym z członków rodziny Gambino z najbliższego otoczenia Louisa. Ku mojemu zdziwieniu Chris nie był ubrany w tradycyjny strój odnoszącego sukcesy gangstera - żadnego garnituru Brioni, butów z krokodylęj skóry, żadnego sygnetu z diamentem. Wyglądał, jakby właśnie zszedł z placu budowy - miał na sobie dżinsy, podkoszulek i ciężkie buty. Był wobec mnie bardzo serdeczny. W ogóle był sympatycznym gościem, wyglądał na około trzydzieści siedem, trzydzieści osiem lat.

Chris był współpracownikiem jednej z grup przestępczych rodziny Gambino dowodzonej przez Alphonsea „Funziego” Siscę i bliskim przyjacielem żołnierza rodziny Gambino - Filippello. Siska był zaufanym przyjacielem Arnolda Squitieriego, szefa rodziny Gambino. Do grupy Siski należeli Filippelli i Chris. Squitieri był na warunkowym zwolnieniu w związku ze swoim poprzednim wyrokiem za handel narkotykami, musiał być naprawdę ostrożny i nie mógł pokazywać się z przestępcami. Zadawanie się z kryminalistami poskutkowało natychmiastowym powrotem za kratki. Tak więc sprawował władzę nad rodziną poprzez triumwirat Funziego Siski, Louisa Filippello i Chrisa Sucarato. Oni byli jego oczami i uszami na ulicach i umożliwiali szefowi rodziny Gambino pozostawanie w cieniu.

Zanim został mianowany członkiem mafii, Filippelli nigdy nie był w więzieniu. Jak dowiedzieliśmy się później, w oczach niektórych członków rodziny Gambino Filippelli tak naprawdę nie spełnił swoich powinności - nie przeszedł próby aresztowania, procesu, prokuratora, który tylko patrzy, żeby cię zamknąć - i odsiadki. Jednak niektórzy postrzegali go jako człowieka o rzadkich cnotach. Członkowie rodziny Gambino najpewniej zwyczajnie zazdrościli mu bliskiej relacji, jaka łączyła go z szefem, Squitierim.

Właściciel klubu, Jerry Spogliari, mój człowiek Jimmy, Chris i ja wymieniliśmy uprzejmości, po czym Chris i ja weszliśmy do pokoju na tyłach, żeby pogadać. Usiedliśmy naprzeciw siebie na kanapie w pokoju dla VIP-ów zarezerwowanym dla grubych ryb, dla których dziewczyny wykonywały prywatne pokazy.

- Rozwiązaliście nasz problem z Albańczykami - powiedziałem Chrisowi, gdy zostaliśmy sami. - Jesteśmy tobie i Louisowi naprawdę wdzięczni. Ta forsa to wyraz wdzięczności.

Podaliśmy mu kopertę z gotówką. Po otwarciu koperty Chris rzucił mi zmieszane, nieszczęśliwe spojrzenie, bo w kopercie nie było piętna stu tysięcy dolarów, których się spodziewał. Zamiast tego było tam tylko pięć tysięcy.

Wzruszyłem ramionami.

- Rozejrzyj się po lokalu - powiedziałem, rozkładając ręce. - Od tej historii z Albańczykami panuje tu kompletna martwota. Nikt nie chce przychodzić. Ani nasi stali klienci, ani szefowie firm wracający do dołów w Greenwich. Nawet dziewczyny nie chcą już tu tańczyć. Wszyscy się boją, że zostaną zabici, gdy wrócą Albańczycy. Po prostu plajtujemy. Na pewno to zauważyłeś.

- Rozumiem - powiedział Chris, kiwając głową.

- Ta forsa to dopiero początek - ciągnąłem. - Jeśli dzięki wam nasz problem z Albańczykami zniknie, jestem pewien, że klub znowu ruszy, zwłaszcza gdy ludzie będą wiedzieli, że wszystko już jest w porządku. Wtedy ty i twoi ludzie będziecie mieli więcej forsy.

Czekałem z rezerwą, aż Chris przetrawi ten plan. Czy go kupi? Czy byłem dla niego godny zaufania jako gość, który pracuje na ulicy? A może zaraz wyciągnie spluwę i mnie załatwi?

Chris przeliczył pieniądze w kopercie, którą mu dałem. W końcu skinął głową.

- W porządku - powiedział. - Obiecuję, że nie będzie żadnych problemów z Albańczykami.

Poczułem ulgę, jednak nie mogłem dać tego po sobie poznać. Uśmiechnąłem się i ucisnęliśmy sobie dłonie, cementując początek relacji, co do której obaj chcieliśmy, aby przedzierzgnęła się w piękną - i lukratywną - przyjaźń. Trzeba oddać Chrisowi sprawiedliwość - Albańczycy już nigdy nie wrócili. Oznaczało to albo że mafia jest wystarczająco silna, by zastraszyć Albańczyków, albo że Włosi i Albańczycy pracowali razem i złapali na haczyk kolejną rybę, czyli nas. Właśnie tak się ten interes kręcił. W końcu jeśli prowadziłeś klub ze striptizem lub jakkolwiek inny biznes, który przynosił dużą gotówkę, jakie miałeś wyjście? Zadzwoń po gliny? Nie mogą przecież monitorować klubu całą dobę! Jeśli chciałeś ochrony, oznaczało to zwrócenie się do zorganizowanej grupy przestępczej czy też, by nazwać rzeczy po imieniu, grzeszne siedzenie i czekanie, aż to oni zwrócą się do ciebie.

Teraz miałem wystarczająco dużo dowodów, żeby - gdybym tylko chciał - zamknąć Chrisa, bo przyjmowanie łapówek za ochronę jest nielegalne. To wymuszenie. Ale nam nie zależało na Chrisie. Chcieliśmy mieć wtyczkę w klubie i przekonać się, co jeszcze może z tego wyniknąć. Zabawne, że kiedy wróciłem do biura i powiedziałem o tym pozostałym, kierownicy komórki FBI nie chcieli wierzyć, że Chris, Louis Filippelli i Alphonse „Funzi” Sisco są członkami rodziny Gambino. W końcu nie byli na oficjalnej liście FBI obejmującej mafiosów, a przecież listy FBI nie kłamią, nie?

Nie mogłem w to uwierzyć. Ci faceci zaklinali się, że ich listy były aktualizowane i najlepsze. Że stanowiły jedyne sprawdzone źródło informacji o rodzinie Gambino, źródło, któremu można było ufać. Najwyraźniej wierzyli we własne spisy, odkąd zamknęli Johna Gottiego. Tyle tylko, że problem z ich listami polegał na tym, że mnóstwo informacji pochodziło od ludzi siedzących w więzieniach. Lista jest nie lepsza niż wywiad zrobiony na ulicy. Mafia zmienia się z dnia na dzień. Nieustannie adaptuje się do nowych okoliczności. Jej członkowie uczą się na błędach. Faceci w więzieniach mogą nie wiedzieć o połowie rzeczy, które

CZĘŚCI. WEJŚCIE DO GRY

się aktualnie dzieją na ulicach. Gangsterzy są jak kameleony, nieustannie zmieniają się, by stać się niezauważalni. To, że nie ma ich na liście, nie oznacza, że nie działają w mafii. Chciałem dostarczyć nowych, aktualnych informacji z ulicy, wiadomości z pierwszej ręki - tak, byśmy my, pracownicy Biura, naprawdę rozumieli, przeciwko komu i czemu występujemy.

Przy tej okazji warto nadmienić, że w swoim czasie John Gotti sam jeden zniszczył mafię, nalegając, by wszyscy jej członkowie zjawiali się raz w tygodniu w Revenite Social Club, by go ucałować. Z czegoś, co powinno odbywać się prywatnie, w ukryciu, zrobił publiczne widowisko i w rezultacie komórka w FBI odpowiedzialna za sprawę Gambino mogła sporządzić kompletne listy członków, które w pełni odzwierciedlały potężne powiązania mafii i tożsamość różnych członków rodziny przestępczej. Ale tak było kiedyś, a teraz jest zupełnie inaczej. Teraz grupa facetów, których nie było na liście, prowadziła sprawy mafii, a ja zajmowałem w tym wszystkim miejsce centralne.

Powoli wyrobiłem sobie reputację Wielkiego Jacka, przyjaznego faceta z Florydy, właściciela części klubu, kogoś, na kogo zawsze można liczyć.

Dobrze się bawiłem w towarzystwie gangsterów i wkrótce nie bałem się z nimi wychodzić. W mafii wszystko kręci się wokół jedzenia. Ci faceci mogli - lecz nie musieli - popełniać przestępstwa cztery razy dziennie, ale z pewnością jadałi suto posiłki trzy do pięciu razy dziennie. Każdego wieczoru wspominali o innej włoskiej restauracji w obrębie Nowego Jorku, którą chcieli wypróbować. Na przykład mówili: „Jedźmy do Port Chester. Jest tam nowa pizzeria, której właścicielami i gospodarzami są Joey Potsandpans i Vinnie Bagadonuts”. „Masz apetyt, to znaczy, że wybierasz się w podróż” - to mogłoby stanowić ich motto.

Spotykałem się z gangsterami, jadałem z nimi kolacje i nawiązałem mnóstwo trwałych przyjaźni. Nie robiłem z nimi interesów. Na to było trochę za wcześnie. Naszymi celami nadal byli Louis, Chris i Funzi.

Spotykałem się z ich kumplami, mając nadzieję, że plotki o mnie dotrą do ich uszu - że w ten sposób dowiedzą się, że ja też jestem przestępcą i mam za sobą przeszłość kryminalną na Florydzie.

ROZDZIAŁ 9. ŁAPÓWKA W NAKED TRUTH

Nie minęło wiele czasu, a zostałem przyjęty do ich grupy. Nie byłem nowym dzieciakiem w bloku. Byłem postrzegany jako gangster, sta-wyga. Nikt nigdy nie pomyślał, że należę do organów ścigania. Często słyszałem: „Hej, Jackie, chodź z nami!”. Przedstawiali mnie swoim plom. Mój krąg znajomych kryminalistów rósł i rósł. Imprezowano siedem dni w tygodniu - non stop, a przyjęcia trwały późna w nocy. To było naprawdę bardzo trudne zadanie - być tam, ó taką rolę w otoczeniu takich ludzi. Nie zapominajmy ani na chwilę, czego gangsterzy się utrzymują. To byli profesjonalni przestępcy i za-jcy i gdyby podejrzewali, że jestem informatorem, szybko nadszedłby ój koniec i nie byłby on zbyt piękny. Tak więc emocjonalnie i psychicznie przebywanie z tymi facetami było trudnym wyzwaniem. Jednocześnie oczekiwano ode mnie, że będę się meldował w biurze każdego dnia i informował siedzących tam ludzi o tym, co robię. Miałem także żonę i córkę, które w miarę jak sprawa Gambino nabierała rozmachu, widywały mnie coraz rzadziej.

Na początku chodziłem do biura wcześniej rano, odwalałem całą papierkową robotę, szedłem do domu, ucinałem sobie drzemkę, a następnie szedłem do pracy w klubie i potem spędzałem wieczór na mieście z gangsterami. Po jakimś czasie zabroniono mi przychodzić do biura. Połączony wydział narkotykowy FBI i NYPD oraz komórka zajmująca się Gambino dzieliły praktycznie ten sam korytarz. Sala przesłuchań gangsterów znajdowała się tuż obok naszej komórki. W każdej chwili mogłem zostać rozpoznany przez jakiegoś pechowego mafiosa, który został aresztowany dzień wcześniej.

Istniała jeszcze jedna przyczyna, dla której miałem już nie przychodzić, a wiązała się ona z częstym zjawiskiem niechęci niektórych agentów FBI do agentów, którzy pracowali jako tajniacy. Poza Joe Pistoneem i mną po prostu nie było takiego zjawiska jak „tajny agent FBI”. Istnieją agenci FBI, którzy od czasu do czasu pracują jako tajniacy, ale w zasadzie Biuro nie ma takich, którzy robią to cały czas. W rezultacie zwykli agenci traktują tajniaków z pogardą. Tajniacy są postrzegani jako oszuści, wożący się ogromnymi, drogimi samochodami, jadający suto posiłki

w ekskluzywnych restauracjach, podczas gdy „prawdziwi agenci” stołu ją się w McDonaldach i Burger Kingach. Ci agenci po prostu nie zdai[^] sobie sprawy, że tajniacy są na pierwszej linii ognia i ryzykują tak samo jak reszta.

Nieważne. Z powodu wypuszczenia na wolność jednego konkretni' go członka rodziny Gambino moje życie miało się diametralnie zmienić. Ten gość nazywał się Greg DePalma.

INTERLU DIUM 1

Royal Charm

Kiedy zajmowałem się rozpracowaniem mafii w Naked Truth, brałem również udział w czterech innych dużych sprawach oraz różnych akcjach przeprowadzanych przez komórkę antynarkotykową i związanych z nalotami w trakcie transakcji narkotykowych - tajny agent kupuje narkotyki od podejrzanego, który z miejsca zostaje zaarrestowany. Oto historia pierwszej z dużych spraw, nad którymi pracowałem w czasie śledztwa w sprawie Gambino.

FBI dowiedziało się, że grupa przemytników z Azji przywozi do Stanów Zjednoczonych podrobione papierosy popularnych firm, torebki od Louisa Vuittona i podróbki wszystkiego, co tylko można sobie wyobrazić. Jakby tego było mało, przemytnicy powiedzieli tajnemu agentowi FBI, że dzięki krewnemu, który pracował jako dostawca uzbrojenia dla wojska, mają też dostęp do broni. Powstrzymanie napływu podróbek do kraju było ważne. Uniemożliwienie nielegalnego handlu bronią było sprawą pierwszej wagi. Jeśli ów krewny był gotów sprzedawać broń ludziom mafii, to komu jeszcze mógłby sprzedawać swój towar?

Tak więc zabraliśmy się do nich.

Wyjaśniliśmy, że będziemy pośrednikami w handlu bronią z ramienia Kolumbijczyków walczących o wolność, którzy odwdzięczą się, sprzedając nam kokainę w bardzo dobrej cenie. Dlatego by zdobyć pełne zaufanie oraz wzmocnić relacje, pomogliśmy tym ludziom w nielegalnym imporcie podróbek papierosów do Stanów Zjednoczonych. Miało to zaowocować handlem bronią.

Przy tej sprawie pracowało dwóch tajnych agentów z biura Newark. Jeden to Lou Calverese, drugi - Tom Zyckowski, znany także jako Z-Man. Odgrywali gangsterów, którzy mają swojego człowieka w porcie w Elizabeth w New Jersey. Ten „swój człowiek” miał być nieuczciwym urzędnikiem służby celnej. Lou i Z-Man powiedzieli przyjaciółom z Azji, że ów facet może oznaczyć kontenery na statku, a dzięki temu nie zostaną one przeszukane i papiery wyjdą bez szwanku. Oczywiście za dużą kasę, ale w zamian nasi ludzie mieli wziąć kontenery, dostarczyć je do bezpiecznego magazynu w South Jersey i zorganizować dystrybucję zawartości.

Kiedy wszystko szło jak z płatka, z biurokratycznych powodów Z-Man został odsunięty od sprawy. Zanim zniknął, przedstawił mnie pierwszemu podejrzanemu w sprawie, drobnej Azjatce w wieku około pięćdziesięciu lat, którą będziemy nazywać Mei-Lin, i jej mężowi Chrisowi. Ja i Mei-Lin z miejsca przypadliśmy sobie do gustu. Po odsunięciu Z-Mana od sprawy Lou Calverese objął pozycję pierwszego tajnego agenta, a ja zostałem drugim.

Oto jaki przebieg miała transakcja. Mei-Lin i jej mąż importowali kontenery o długości dwunastu metrów, a w nich niemal tysiąc olbrzymich kartonów papierosów, samych podróbek. Każdy taki karton zawierał pięćdziesiąt normalnych kartonów papierosów. Mówimy tu o setkach tysięcy dolarów czystego zysku z każdego kontenera.

Tak więc pracowaliśmy nad sprawą. Papierosy przyplływały, agent FBI udający współpracownika mafii przewoził cały towar do magazynu-kryjówki. Następnie ludzie Mei-Lin zabierali towar. Czasami jeździliśmy do New Jersey czy Filadelfii, by pozbyć się papierosów, ale scenariusz był zawsze ten sam: pomagaliśmy jej sprzedać papierosy, a ona nam za to płaciła. Ale za każdym razem, gdy pytaliśmy o broń, Mei-Lin miała jakąś wymówkę. Pora nie była odpowiednia. Nie może teraz, ale wkrótce to załatwi. To było naprawdę denerwujące.

Mniej więcej w tym samym czasie agentka, która zainicjowała tę sprawę, Jodi Petracci, zmarła na raka. Cała sprawa była realizacją jej wizji, a my po prostu szliśmy szlakiem, który ona nam wyznaczyła. Pomagaliśmy sprowadzać papierosy i zachęcaliśmy Mei-Lin, by pertraktowała w sprawie broni, która dla nas była sednem sprawy.

Jednak podróbki również nie były sprawą bagatelną. Jak się dowiedziałem, w Chinach fabryki produkujące dla amerykańskich firm koszulki polo sąsiadują z fabrykami wykonującymi podróbki owych koszulek. Dostawcy dostarczają surowe materiały - tkaniny, nici i wszystko, co niezbędne - do głównej

fabryki, a następnie dostarczają jeszcze więcej materiału do drugiej fabryki. Wedle mojej opinii jako agenta FBI podróbki stanowią nieodłączny element chińskiej gospodarki. Mei-Lin powiedziała nam, że cokolwiek sobie wymyślimy, ona może nam dostarczyć podróbki tego czegoś; podróbki, której od oryginału nie odróżnią nawet wymagający klienci. Krążył dowcip, że gdybyś stał wystarczająco długo przy jednej z owych fabryk, Chińczycy zrobiliby - i byłiby gotowi sprzedać - sześć nowych kopii twojej osoby!

Mei-Lin chciała mieć także jakąś wtyczkę na Zachodnim Wybrzeżu, więc zapewniliśmy jej tajnego agenta z Los Angeles, pracującego nad portem w Long Beach. Nasza operacja nazywała się Royal Charm (Królewski Urok), a ta w Los Angeles - Smoking Dragon (Ziejący Smok) - jak na standardy FBI były to bardzo dobre nazwy. Teraz sprowadzaliśmy papierosy z obydwu wybrzeży, ale nadal naszym celem była broń. Mei-Lin i jej ludzie nadal wzdrali się przed pośrednictwem w handlu bronią. Musieli dojść do wniosku, że świetnie im idzie - na fałszywych papierosach zdobywali fortunę, po co więc komplikować wszystko z powodu broni?

Nadal chcieliśmy się spotkać z handlarzem bronią - chcieliśmy, żeby przyjechał do Stanów Zjednoczonych i z nami porozmawiał. Nie ma mowy. Bał się przyjechać do Stanów. Tak więc zwołaliśmy spotkanie z Mei-Lin i Chrisem.

- Koniec z papierosami - powiedzieliśmy im. - Jeśli nie zamierzacie nam pomóc w sprawie broni, nie załatwimy wam transportu ani jednej paczki. Tracimy tu czas.

Do Mei-Lin i Chrisa nareszcie dotarło.

W końcu Chris przedstawił nam jednemu ze swoich współpracowników, który mógł pomóc w sprawie broni. Nazwijmy owego współnika Ken. Po przemyczeniu kontenerów papierosów dla Kena w końcu poruszyliśmy ten temat.

- Co możesz dla nas zrobić? - pytaliśmy. - Mąż Mei-Lin mówi, że zajmujesz się też bronią.

- Mogę to załatwić - odrzekł Ken spokojnie. - Mogę załatwić podróbkę Viagry. Mogę załatwić wszystko. Mogę też was przedstawić ludziom, którzy zaopatrują w broń armię, możecie wtedy zacząć handel. Ale będziecie musieli polecieć do Tajlandii. Ten facet nie może przyjechać do Stanów.

- Żaden problem - powiedział Lou.

Na miejsce spotkania zostało wyznaczone Phuket, które później, w święta Bożego Narodzenia w 2005 roku, zniszczyło tsunami. Lou, główny tajny agent w sprawie, powiedział mi:

- Jack, pakuj się. Jedziemy do Tajlandii nawiązać nowy kontakt w sprawie broni.

Moje oczy zaokrągliły się ze zdziwienia.

- My? - zapytałem. - Co ty, zwariowałeś? Nie lecę do żadnej Tajlandii! Dwudziestoczworgodzinny lot? Nie ma mowy!

- Czemu miałbyś nie lecieć? - zapytał Lou, zdziwiony moim gwałtownym sprzeciwem.

- Nie mogę tak długo być w samolocie! - wykrzyknąłem. - Spójrz tylko na mnie! Gdzie pójde do łazienki? Będziesz potrzebował specjalnego sprzętu, żeby mnie wyciągnąć z toalety!

- Musisz lecieć! - naciskał.

- Nie lecę! - odpowiedziałem kategorycznie.

Przez jakiś czas toczyły się między nami tego rodzaju rozmowy. Kiedy już przekonałem Lou, że jednak nie lecę, ustaliliśmy, że dla bezpieczeństwa zabierze on z sobą innego agenta. Osoba, którą wybraliśmy, Melissa Shields, także miała wystąpić w roli tajnej agentki. Lou i ja zdecydowaliśmy, że rozsądnie jest zabrać z sobą kobietę. Tajlandia była światową stolicą handlu żywym towarem. Jeśli jeden lub dwóch tajnych agentów płci męskiej udałoby się tam samotnie, bez kobiety, podejrzani niemal na pewno podesłaliby im do pokoju dziewczynę, a może nawet sześć, i kto wie, co jeszcze. Rzecz jasna, w pokoju byłaby ukryta kamera wideo i próbowaliby cię nagrać z prostytutką. To oczywiste, że skończyłoby się to katastrofą. A więc żeby nic takiego się nie stało, Lou i Melissa odgrywali kochającą się parę, udającą się na romantyczny urlop na wybrzeże Tajlandii.

Pojechali i odwalili kawał dobrej roboty. W Tajlandii Lou spotkał się z Kenem i jego kontaktem, mężczyzną, którego będziemy nazywać lohnny. W owym czasie Melissa udała się na „zwiedzanie”. Oboje wrócili podekscytowani - nie tylko mieliśmy zdobyć broń, ale też metamfeta-minę w czystej postaci - niezwykle w owym czasie popularny narkotyk. Powiedzieliśmy, że jesteśmy zainteresowani również narkotykami, ale nie było to coś, czego tak naprawdę chcieliśmy. Problem z narkotykami polega rzecz jasna na tym, że nie możesz pozwolić, by dostały się na ulicę. Narkotyki leżały w polu naszego zainteresowania, ale nie były aż tak ważne jak zamknięcie działającego nielegalnie dystrybutora broni mającego podejrzaną azjatyckie powiązania. To było dla nas niezwykle interesujące. I wtedy sprawa przybrała jeszcze ciekawszy obrót.

Kiedy pytaliśmy Kena, jakie jeszcze podróbki jest nam w stanie zaferować, mimochodem zapytaliśmy,

czy podrabiają także pieniądze.

- Tak, robimy też pieniądze - odparł Ken. Zaczął dzielić się informacjami - miał podrobione banknoty z Korei Północnej.

Papierosy i broń budziły nasze zainteresowanie, ale fałszywe banknoty z Korei Północnej? Uwierzcie mi, w tym momencie w pełni zaangażowaliśmy się w tę sprawę.

Po powrocie Lou i Melissy z Tajlandii spotkaliśmy się z Kenem w Atlantic City, gdzie przekazał nam próbkę - studolarowy banknot. W trakcie mojej trwającej dekadę pracy w FBI widziałem wiele fałszywych pieniędzy, ale nigdy nie widziałem niczego, co wyglądałoby tak prawdziwie jak ten banknot.

- Człowieku, ten banknot to oryginał! - wykrzyknąłem.

- Nie, nie - zapewnił nas Ken. - To fałszywka!

- To naprawdę świetna robota - zachwycąłem się. - Za ile chcesz go sprzedać?

Długo się targowaliśmy, aż ustaliliśmy cenę trzydziestu centów za dolara. Pytanie brzmiało, ile chcieliśmy na początek.

Zanim zobowiązaliśmy się do kupna fałszywych banknotów, chcieliśmy zabrać próbkę do biura i dać ją do zbadania ekspertowi. Posłaliśmy pieniądze na ekspertyzę do służb specjalnych i okazało się, że to prawdziwa bomba. To były owe cieszące się złą sławą Supemotes - fałszywe pieniądze drukowane w Korei Północnej, z wykorzystaniem tego samego atramentu i tego samego papieru, których używa Departament Skarbu Stanów Zjednoczonych. W oczach służb specjalnych te banknoty były równie dobre jak prawdziwe dolary.

By potwierdzić tę opinię, wykonaliśmy także test na własną rękę. Sprawdziliśmy banknoty u szefów prowadzących kasyna i w bankach w Atlantic City. Wiedzieliśmy, że oni są największymi specami świata w rozpoznawaniu fałszywych pieniędzy. Nie stwierdzili, że to fałszywki.

Jeśli chodzi o bezpieczeństwo narodowe, fałszywe pieniądze są większym zagrożeniem niż jakiegokolwiek inny przemysł. Gdyby Korea Północna zaalała Stany Zjednoczone fałszywymi banknotami, to mogłoby zagrozić całej amerykańskiej gospodarce. Te banknoty były aż tak dobre! Więc złożyliśmy zamówienie i zapłaciliśmy trzydzieści tysięcy dolarów gotówką, aby zdobyć wartość sto tysięcy dolarów fałszywki.

Operacja Royal Charm finansowała się sama - za każdym razem, gdy ułatwialiśmy Mei-Lin przemysł podróbek papierosów, pobieraliśmy od gangsterów pięćdziesiąt tysięcy dolarów za to, że kontener nie zostanie przeszukany przez urzędników kontroli celnej. Tak więc trzydzieści tysięcy dolarów za Supemotes nie pochodziło z kieszeni podatników. Te pieniądze pochodziły z sumy, którą „zarobiliśmy”, pomagając Mei-Lin w przemyśle papierosów.

Pieniądze przyplęły w jednym z kontenerów, tak jak podróbki papierosów. Banknoty były ponumerowane. Były w idealnym stanie. Nie mogliśmy uwierzyć, że są tak świetne! Ken powiedział nam, że Johnny, azjatycki dostawca broni, którego Lou poznał w Tajlandii, przyjeżdża do Stanów, żeby się z nami spotkać. Miał pewne pytania i kwestie do omówienia, skoro chcieliśmy kupować od nich fałszywe pieniądze na większą skalę. Byłem zachwycony. Jeśli Johnny miał jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, czy robić z nami interesy, kiedy mnie ujrzy, uspokoi się, bo ja po prostu kompletnie nie wyglądam na agenta FBI.

Przyjechał Johnny i umieściliśmy go w przyjemnym hotelu z kasynem w Atlantic City. Azjatyccy kryminaliści uwielbiają hazard. Musieliśmy ich praktycznie wyciągnąć z kasyna, żeby z nimi porozmawiać. W końcu rozmowa się odbyła. Angielski Johnnynego nie był idealny, ale z pewnością lepiej mówił po angielsku niż my po chińsku.

- Jesteśmy zainteresowani Supemotes - powiedzieliśmy mu. - Ale chcemy być wyłącznymi dystrybutorami. Nie chcemy, żeby goście ze Wschodniego lub Zachodniego Wybrzeża i z całego kraju również rozprowadzali banknoty Chcemy wyłączności.

- Żaden problem - powiedział nam. - Możemy to załatwić.

Jakiś czas negocjowaliśmy, a w końcu złożyliśmy zamówienie na wartość milion dolarów fałszywe banknoty. Johnny powiedział nam, że jest skłonny dorzucić jeszcze trochę. Kiedy przyplęnął kontener z gotówką, okazało się, że to nie milion dolarów Supemotes - to były prawie trzy miliony. Byliśmy przygotowani, by zapłacić za to trzysta tysięcy, bo teraz mogliśmy zablokować napływ Supemotes do kraju. Jednak wtedy wróciliśmy do sprawy broni.

- Owszem, mamy dostęp do broni - powiedział nam.

- Chcemy pociski ziemia-powietrze - odrzekliśmy.

- Zrobi się - odpowiedział Johnny. - Możemy zorganizować, co tylko sobie życzyście.

Zasugerował, że broń pochodzi albo z Chin, albo z Korei Północnej. Następnie widząc, że jesteśmy klientami chętnymi na dosłownie wszystko, co oferują, zapytał nas:

- A co z heroiną? Mogę załatwić herę, ecstasy, kokainę, amfetaminę i inne. Wszystko, co chcecie. Zdaliśmy sobie sprawę, że muszą mieć sieć rozprowadzającą chińską heroinę, którą moglibyśmy przejąć na koniec sprawy. Podróbki papie rosów to jedna rzecz, ale nie mogliśmy wypuścić narkotyków na ulicę. Gdybyśmy sprowadzili heroinę do Stanów, musielibyśmy z miejsca zamknąć śledztwo. Nie chcieliśmy tego robić, zanim nie przejęliśmy Su-pernotes i broni.

- Możemy zawieźć narkotyki do Włoch - powiedział nam Johnny. - Możemy je przeszmugłować przez Europę.

- Jak to zrobicie? - zapytałem ostrożnie.

- Poprzez wielu przyjaciół w zagranicznych ambasadach, którzy z łatwością mogą wykorzystać swój bagaż dyplomatyczny, żeby ją przemycić - powiedział takim tonem, jakbyśmy rozmawiali o transporcie stali, fajek, płaskich ekranów telewizorów lub jakichś innych legalnych produktów. To było niesamowite.

- Skąd mogę wiedzieć, jaką bronią dysponujecie? - zapytałem. - Macie katalog?

- Jasne, wyślemy wam.

Zakończyliśmy spotkanie i obiecaliśmy, że szybko wrócimy, kiedy już ustalimy, co chcemy kupić.

Nie sądziliśmy, że kiedykolwiek dostaniemy katalog, ale faktycznie kilka tygodni później pocztą nadeszła książeczka, w której były wszystkie rodzaje broni, jaką ludzie Mei-Lin mogli dla nas załatwić. Katalog zawierał pociski ziemia-powietrze, helikoptery, pancernownice, AK-47 i M-60. Kiedy dostaliśmy katalog z takim mnóstwem śmiertelnej broni, pomyśleliśmy: kurczę, to biznesmeni, którzy sprzedadzą ci wszystko.

Opracowaliśmy strategię - mieliśmy kupić Supernotes, by potem zdobyć broń. Zamówiliśmy kilka jej rodzajów, jednak dostawa opóźniła się. Tamci utrzymywali, że atak terrorystyczny w Londynie wzmocnił system bezpieczeństwa w portach na całym świecie i obawiali się, że broń nigdy nie dotrze na miejsce. W końcu doszliśmy do wniosku, że broń nigdy się nie pojawi. Johnny wysłał także trzy miliony dolarów w Supernotes i trochę metamfetaminy - wszystko do sprzedaży konsygnacyjnej - jako gest dobrej woli, ale teraz zaczynał naciskać, żebyśmy mu zapłacili. Tak więc agent prowadzący i nasz zwierzchnik zdecydowali, że musimy zamknąć sprawę.

Musielśmy wymyślić sposób, by zgromadzić wszystkich gangsterów w jednym miejscu w tym samym czasie. Melissa wpadła na pomysł wysłania zaproszeń ślubnych wszystkim podejrzanym w sprawie, których chcieliśmy aresztować, zarówno tym ze Stanów, jak i spoza granic kraju. Wszyscy oni znali Lou i Melissę, tajnych agentów, jako ową uroczą, zakochaną w sobie parę, tak więc ślub był dla nich czymś oczywistym i nie budzącym podejrzeń. I tak właśnie zrobiliśmy: wydrukowaliśmy piękne zaproszenia ślubne ogłaszające, że Lou Calverese żeni się z Melissa, a ja miałem być drużbą. Wszyscy ci ludzie zostali zaproszeni do Atlantic City - ci, którzy przemycali papierosy; ci, którzy próbowali sprzedać nam narkotyki; ludzie związani z Supernotes; nawet ci, którzy zajmowali się transakcją kupna broni, która niestety nigdy nie doszła do skutku.

To nie miało być zwykłe skromne wesele. To miała być impreza trwająca cały weekend. Najpierw była kolacja w Morton's Steakhouse w Caesar's Pałace. Włączyliśmy nawet Z-Mana z powrotem do sprawy na jej wielki finał. Cóż to było za wspaniałe przyjęcie! Wszyscy siedzieliśmy w jednej sali - wszyscy elegancko ubrani zjadaliśmy steki, piliśmy najlepsze wino. Całe przyjęcie było finansowane z zysków z przemytu podróbek papierosów.

Wszyscy świetnie się bawili. Lou i Melissa byli szczęśliwą parą, a ja wznosiłem toasty jako drużba. Gangsterzy dali Lou i Melissie w prezencie ślubnym dwa złote rolexy, które - jestem przekonany po dziś dzień - były podróbkami. Mnie dali „kubańskie” cygara. Cóż, wiem wszystko o kubańskich cygarach! Nie ma mowy, żeby tamte były kubańskie! Były takie sobie, z pewnością nie były prawdziwe. Lou, Z-Man i ja paliliśmy nasze cygara, patrzyliśmy na tłum gangsterów, których mieliśmy aresztować następnego dnia. Myśleliśmy: ci ludzie nie mają pojęcia, nie mają bladego pojęcia, że to ich ostatnia noc na wolności i że spędzą w więzieniu długie lata, a może dekady. Patrzyłem na nich, dobrze się bawiąc na tym przyjęciu, świętując ten lipny ślub Lou i Melissy. Ani jeden z obecnych na sali nie miał cienia złych przeczuć. Nie podejrzewali niczego. To była chwila jak z Hollywood.

Następnego dnia przysłaliśmy po gości - naszych podejrzanych - limuzyny, aby zawieźć ich na ślubne przyjęcie, które miało się odbyć na nieistniejącym jachcie u wybrzeża Atlantic City. Jacht nazwaliśmy Royal Charm, co było oficjalną nazwą całej sprawy. Jednak limuzyny nie zabrały naszych gości na wybrzeże. Zawiozły ich prosto do biura FBI w Atlantic City, gdzie wszyscy zostali aresztowani w swoich frakach i sukienkach. Nigdy nie zapomnę tej sceny - tych ludzi stojących w totalnym szoku, trzymających swoje prezenty ślubne, pytających: „Ale co z Lou i Melissą? Czy oni mimo wszystko wezmą ślub?”.

Nazajutrz w gazecie Atlantic City ukazał się nagłówek: „Miłość, honor i więzienie”. Przejeliśmy

podrabiane papierosy warte ponad trzydzieści milionów dolarów oraz fałszywe banknoty na kwotę pięciu milionów dolarów. Ogólnie rzecz biorąc, odwaliliśmy dla FBI kawał dobrej roboty.

CZĘŚC II

GROMADZĄC DOWODY W SPRAWIE

ROZDZIAŁ 10

Spotkanie z Dziadkiem Munsterem

28 lutego 2003 roku niegdysiejszy capo rodziny Gambino Greg DePalma wyszedł z więzienia. Na początku ów fakt nie wywarł większego wpływu na nasze śledztwo. Później Greg miał stać się najważniejszym celem tego śledztwa i moją przepustką do świata przestępczego, jednak wtedy nikt z nas nie mógł tego przewidzieć. Na ile się orientowaliśmy, DePalma to była przeszłość. Jasne, że swego czasu był blisko z Paulem Castellano, a następnie z Johnem Gottim, legendarnym szefem Gambino w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. W latach siedemdziesiątych DePalma stworzył i prowadził Westchester Premier Theater. To było miejsce wzorowane na Westbury Music Fair na Long Island. Teatr przyniósł mafii dziesiątki milionów dolarów podczas jego tworzenia, budowy i prowadzenia. DePalma również znajduje się na słynnym zdjęciu, na którym widnieje Frank Sinatra oraz Carl Gambino, Castellano i inne mafijne grube ryby. To zdjęcie pochodzi ze złotego okresu teatru.

Zdjęcie zostało zrobione, kiedy Sinatra wystąpił w teatrze. Było to wtedy, gdy liczni członkowie La Cosa Nostra zjechali się do Nowego Jorku, aby omówić ogólnokrajowe sprawy „rodziny”. Wśród obecnych

wtedy członków mafii byli Jimmy „the Weasel”¹ Fratianno z San Francisco, Mike Rizzitello z Los Angeles, Tony Spilotro z Las Vegas, Russell Bufalino ze Scranton i kilku innych współpracowników szefa w Filadelfii Angela Bruna. Oni także chcieli „złożyć uszanowanie” Aniellowi „Nei-lowi” Dellacroemu i Carmine Galantemu, których w 1977 roku czasopismo „Time” nazwało „czołowymi poplecznikami Carla Gambino jako następnego szefa szefów mafii”.

W Westchester Premier Theater robiono genialne i przynoszące olbrzymie zyski przekręty. Na przykład w kasie biletowej sprzedawano bardzo dużo miejsc siedzących za gotówkę. Owe miejsca nie widniały na żadnym spisie. Pieniądze za ich sprzedaż stanowiły czysty zysk mafii i nigdy nie były wliczane do księgowości teatru. Zanim Westchester Theater zbankrutował, przyniósł członkom zorganizowanej rodziny przestępczej w Nowym Jorku ponad dziewięć milionów dolarów. Sam DePalma zgarniał dzięki teatrowi setki tysięcy dolarów.

Zanim zaangażował się w teatr, DePalma prowadził rozliczne sprzeczne z prawem interesy. Był paserem, miał swoją siedzibę na Canal Street i specjalizował się w sprzedawaniu kradzionej biżuterii. Był także lichwiarzem udzielającym niebotycznych pożyczek zdesperowanym biznesmenom i zdegenerowanym hazardzistom. Miał też „ukryty interes” w Westchester w modnej dyskotekce o nazwie Fudgies. DePalma sprowadzał do klubu wielu celebrytów, aby nagłośnić lokal i zdobyć więcej klientów. Kiedy Greg miał „ukryty interes” w klubie, tak naprawdę znaczyło to, że w sposób typowy dla mafii pasożytował na prawowitym właścicielu.

Po Westchester Theater kolejnym widocznym i lukratywnym przedsięwzięciem DePalmy był klub Scores na Manhattanie. On i jego syn Craig wyciągnęli stamtąd miliony dolarów. Greg DePalma, Craig DePalma i John Gotti junior za działalność na tym polu w końcu trafili do więzienia.

Kiedy DePalma został wypuszczony na wolność, nie było powodów, by podejrzewać, że nadal będzie działał w sferze zorganizowanej przestępczości. W końcu Greg miał już ponad siedemdziesiąt lat, jego syn znajdował się w stanie śpiączki i wymagał całodobowej opieki, dawni szefowie i protektorzy w rodzinie Gambino odeszli lata temu, a na to wszystko nakładała się jeszcze sprawa Nicky'ego LaSorsy.

LaSorsa był gangsterem, którego Greg najpierw wciągnął do rodziny Gambino, a potem chciał zabić. W rezultacie DePalma miał słuszne powody, by po wyjściu na wolność obawiać się o własne życie: niektórzy z Gambino chcieli go zabić w zemście za samowolną próbę zgładzenia LaSorsy.

Jednak Greg DePalma nie miał ochoty odchodzić na emeryturę. Natomiast ostro zabrał się do rzeczy. Natychmiast dotarł do Jerry'ego Spogliariego z Naked Truth i powiedział: „To był mój klub i odbijam go. Jeśli masz płacić za protekcję, będziesz płacił mnie”.

Greg zażądał gotówki w kopercie - haraczu - od Spogliariego. Z różnych komórek FBI zaczynały dochodzić od informatorów słuchy, że Greg chce wznowić swoje wpływy w Bronxie i Westchester County, a więc w północnej części miasta. Podejrzewaliśmy, że prędzej czy później ktoś po prostu zabije DePalme: LaSorsa, nowe pokolenie Gambino, które wcześniej przejęło klub, Albańczycy lub ktoś inny. Jednak nieustępliwy DePalma nadal kręcił się po całym swoim dawnym terytorium, odzyskując niegdyśszą władzę i wpływy. Inni informatorzy donosili, że Greg stara się uzyskać porozumienie z nowym wiceszefem Gambino Anthonym Megalem, znanym jako „the Genius”2 i „Mac” (skrót od Machiavelli). Dowiedzieliśmy się, że Greg stara się rozwiązać swoje problemy, spotykając się z wyżej od siebie ustawionymi Gambino, jednak jego życie wciąż wisi na włosku.

Kiedy organa ścigania dostaną klarowną informację, że komuś grozi śmierć, nawet jeśli jest to przestępca, mamy obowiązek udać się do owego osobnika i poinformować go o tym. I tak zrobiliśmy. Nat Parisi udał się do DePalmy. To nie było aż tak trudne do zorganizowania, bo DePalma był na zwolnieniu warunkowym, a więc Parisi skontaktował się z kuratorem sądowym.

- Mamy informację, że pośród Gambino są ludzie, którzy chcą cię zabić z powodu Nickyego LaSorsy - powiedział Parisi do DePalmy.

DePalma, teraz już siedemdziesięciodziesięcioletni, gangster twardy jak głaz, potrząsnął głową.

- Nic na ten temat nie wiem - odrzekł. - Dzięki za informację. Życzę miłego dnia.

To było tak, jakby powiedział do Parisiego, żeby ten nie trząskał drzwiami, gdy będzie wychodził.

Rzecz jasna wolelibyśmy usłyszeć od DePalmy: „Macie rację. Mam duży problem. Gambino chcą mnie zabić. Jeśli obejmiecie mnie programem ochrony świadków, mogę udzielić wam wielu informacji”. Muszę przyznać, że postawa Grega budziła mój podziw - był prawdziwym ho norowym gangsterem. Jeśli miał problem, chciał rozwiązać go sam, nie chciał pomocy z zewnątrz. Według zasad panujących w świecie przestępczym jego zachowanie było godne uznania.

W trakcie swojej kariery Greg był aresztowany coś koło dwudziestu-trzydziestu razy. Niemal zawsze miał proces sądowy, nigdy nie wydawał współników i zawsze odsiadywał wyrok. Był prawdziwym honorowym gangsterem. Szanował mafię, żył dla mafii, zawsze oddawał szefom działkę z zarobionych pieniędzy - w gangsterskim świecie był prawdziwym samurajem. DePalma był tak nieustępliwy, że było jasne, że odzyska daw ną potęgę. Moi zwierzchnicy i ja zdecydowaliśmy, że poznam DePalme i sam wybadam sprawę na temat jego przyszłości w mafii.

Gdybym to ja był na jego miejscu, powiedziałbym całemu światu: „To już koniec. Mam siedemdziesiąt jeden lat. Nie chcę znowu wracać do więzienia, chcę się tylko zająć synem. Zechcecie mnie wesprzeć kilka ma dolarami, to super. Ale moje życie jako kryminalisty to przeszłość”. Ale to nie byłoby w stylu DePalmy. Chciał odzyskać swoje dawne życie i zdawało się, że nie minie wiele czasu, jak dopnie swego.

W każdej chwili ktoś mógł załatwić Grega - któryś z Gambino, Al-bańczycy, LaSorsa. A kto wie, kto jeszcze miał mu za złe coś, o czym wszyscy już dawno zapomnieli. Jednak w pewnym momencie stało się oczywiste, że lada chwila DePalma znowu stanie się w rodzinie Gambino potęgą, z którą trzeba będzie się liczyć. Musiałem go poznać. Pytanie brzmiało tylko: kiedy i gdzie.

4 marca 2003 roku, sześć dni po tym, jak Greg DePalma wyszedł z więzienia, otrzymaliśmy informację,

że będzie jadł kolację w Spaghetti Western. Miał biesiadować z grupą gangsterów z różnych rodzin, niektórych spośród nich teraz już bardzo dobrze znam. Posiłek miał się odbyć późnym wieczorem, gdy pozostałe restauracje są zamykane, a wszyscy pracownicy wracają do domu. Ustaliliśmy, że będę uczestniczył w tej kolacji.

- Będę miał na sobie podsłuch, prawda? - zapytałem. Nat potrząsnął głową.

- Czemu nie? - zapytałem. - Czemu nie mogę?

- DePalma ma fatalną kartotekę - wyjaśnił Nat - i dlatego nie chce poznawać nowych ludzi. Nie chce znowu wylądować za kratkami.

- Ależ ja zawsze mam z sobą podsłuch - nalegałem. Nat był uparty.

-Nie.

- Mogę stracić jakieś świetne dowody.

- Nieważne - powiedział mi Nat. - To wykluczone.

Tak więc byłem bez podsłuchu. Nigdy nie zapomnę chwili, gdy wszedłem do restauracji na szybkiego drinka. Na przeciwległym końcu opustoszałej sali przy dużym stole siedziało dziesięciu jedzących i pijących gangsterów. Greg DePalma zajmował miejsce honorowe. Natychmiast go rozpoznałem, bo widziałem wcześniej jego zdjęcia. Nie byłem przygotowany tylko na jego nową, dziwaczną fryzurę, która sprawiała, że wyglądał jak Dziadek z serialu The Munsters.

Natychmiast przypomniałem sobie dochodzące do nas słuchy o tym, jak DePalma obchodzi się z ludźmi, których podejrzewa, że go okradają. Spogliari powiedział mi, że w Naked Truth DePalma facetowi, którego podejrzewał o kradzież, przystawił do głowy wiertło; innym razem widział, jak DePalma używa elektrycznego pastucha, którego przystawił komuś do jąder („torby na fasolki”, jak mówi się na ulicy). Sam Greg mówił mi także, że ostrzelał samochód, w którym siedział jakiś facet - bez żadnego powodu, tylko po to, żeby go nastraszyć. Tę ostatnią historię słyszałem również od samej ofiary.

Gdy pierwszy raz przyglądałem się Gregowi, pamiętałem o tym, że mamy wiarygodne informacje, że DePalma może zostać zamordowany w każdej chwili. Ta restauracja równie dobrze się do tego nadawała jak każde inne miejsce. Wiedziałem również, że DePalma szczerze nienawidzi FBI, bo za jego sprawą został skazany, a następnie skonfiskowano mu wszystko, co posiadał, począwszy od domu, przez samochody, na kolekcji dzieł sztuki skończywszy. Zabrali mu wszystko. Gdyby więc kiedykolwiek wpadł na to, że jestem z FBI, mógłby mnie zabić z miejsca, nie zważając na „zasady” mafii, które zabraniają zabijania agentów organów ścigania. Ostatecznie, pojawiam się nagle prosto z ulicy - i kim do cholery jestem? Kimże jestem, żeby zasiadać z nim do stołu, w takim okresie jego życia, w którym nie może sobie pozwolić na żadne ryzyko?

Stałem w wejściu, obserwując scenę, i nie będę kłamał: obok innych emocji w tej chwili odczuwałem także strach. Ale kochałem to. Kochałem posmak niebezpieczeństwa, z którym ta sytuacja się wiązała. Kiedy wchodziłem do gry, byłem nawet bardziej pewny siebie niż zwykle, bo wiedziałem, że jestem w stanie sobie poradzić. A gdyby ci faceci chcieli mnie przeszukać, niczego by nie znaleźli. Może Nat miał rację, pomyślałem. Wszystko to wzmocniło moją pewność siebie, gdy szedłem do stolika. Gdy przy nich stanąłem, byłem już zupełnie wyluzowany.

Głośny, przepity głos Grega niósł się echem w pustej restauracji. DePalma cały czas nawijał, że koniecznie musi zarobić pieniądze, opowiadał, jak znowu usiłuje zarabiać i jak mu ciężko. Dzięki tylu nocom spędzonym na mieście znałem z widzenia połowę facetów przy stole. Zobaczyłem kilku gości, których znałem osobiście, w tym Jerryego Spogliariego, właściciela Naked Truth. Ucałowałem tych, których znałem, w policzek na powitanie, a oni odwzajemnili się tym samym. Opłaciło się całe to budowanie przyjaznych relacji. Nie zostałem przedstawiony Gregowi ani nawet na niego nie zerknąłem, ale wyczułem - wiedziałem - że na mnie patrzy, że zastanawia się, „co to za gość, u diabła”. Zacząłem głośno rozmawiać ze znajomymi facetami, którzy przyciągnęli krzesło od drugiego stołu i wcisnęli mnie między siebie. Kątem oka zerkąłem na DePalmę, który palił camele bez filtra, jakby jutro miał iść na krzesło elektryczne. Naprawdę wyglądał jak Dziadek Munster, ze swoimi rzadkimi włosami, zaczesanymi z tyłu głowy na czoło. Był chory na cukrzycę, miał raka gardła i wiedziałem, że ma już tylko połowę płuca. Mimo tego, a także innych problemów zdrowotnych, brylował. Tak naprawdę wyglądał lepiej i był bardziej pewny siebie niż ja! Rozmowa nakierowała się na to, jak bardzo nienawidzi FBI.

- Federalni to banda fiutów - wyrzucał z siebie. - Wzięli moją biżuterię, moje dzieła sztuki, wszystko. Sukinsyny. Skurwiele.

Siedziałem naprzeciw niego i rozmawiałem z ludźmi Lucchese i Genovese - facetami, których znałem, podobnie jak Spogliariego. Inni przystawali i podrzucali DePalmie koperty - udział w zyskach. Kiedy ktoś z rodziny wychodził z więzienia, wszyscy w mafii mieli obowiązek podzielić się z nim pieniędzmi, by pomóc

mu stanąć na nogi. DePalma nieprzerwanie gadał o tym, jak bardzo potrzebuje pieniędzy: musiał iść do dentysty, chciał kupić samochód, chciał znowu zacząć jakiś interes. Siedziałem z kumplami, uważając, by nie okazać zbyt gorliwego pragnienia zapoznania się z DePalma. Takie zachowanie mogłoby mnie zdradzić.

DePalma zapalił kolejnego papierosa. Jeden z facetów siedzących przy nim powiedział z przejęciem:

- Greg, znowu palisz? Przecież to może cię zabić!

- Chrzanię to! - wykrzyknął DePalma. - Będę palił, kiedy tylko będę miał na to ochotę!

Wskoczył na temat, jak drogie są papierosy. Przez wysokie podatki paczka papierosów kosztowała owego czasu osiem dolarów. Dla DePalmy to była ostateczna zniewaga, jaką wyrządził mu rząd. Nie tylko wszystko mu odebrali, teraz także zarabiali na jego ulubionej słabości.

Prawa ręka DePalmy i jego kierowca w jednej osobie, facet o szczurzym wyglądem, w wieku około czterdziestu lat, o nazwisku Joe Moray, obszedł stół, by ze mną pogadać i sprawdzić mnie w imieniu DePalmy.

Wiedziałem, że to dla mnie świetna okazja.

- Mogę wam załatwić podróbki papierosów - powiedziałem Morayowi.

- Tak? - zapytał, lustrując mnie podejrzliwym wzrokiem. Skinąłem głową.

- To nie mój biznes, ale mogę załatwić cały duży karton papierosów za czterysta dolarów. W takim wielkim kartonie jest pięćdziesiąt zwykłych kartonów, więc wychodzi jedynie osiem dolarów za zwykły karton.

Moray zamrugnął gwałtownie.

- Osiem dolarów za karton? - zapytał podejrzliwie. - Płacimy osiem dolarów za paczkę!

Skinąłem głową.

- Mam jakieś w samochodzie - powiedziałem nonszalancko. - Mogę je przynieść.

Moray zastanowił się przez chwilę, zerknął na DePalme, który spojrzał na mnie. Albo mi się zdawało, albo wszyscy przy stole umilkli.

- Idź - powiedział do mnie niemal szeptem Moray.

Wstałem i DePalma patrzył, jak moje potężne ciało się podnosi. Wyszedłem z restauracji i szybko myślałem. Miałem nadzieję, że nie przesadziłem. Wiedziałem, że z pewnością o mnie rozmawiali, gdy wyszedłem.

Tak się złożyło, że rzeczywiście miałem podróbki papierosów w samochodzie, bo pracowałem nad Royal Charm w Atlantic City. Wziąłem z samochodu paczkę marlboro lights i marlboro reds i przyniosłem je do restauracji. Żadna istota ludzka nie była w stanie wskazać różnicy pomiędzy moimi chińskimi podróbkami a prawdziwymi marlboro. Może ktoś mógłby to stwierdzić po smaku, ale na pewno nie po wyglądzie. Moje kartony nie miały akcyzy, ale jeśli pominąć ten fakt, były absolutnie nie do odróżnienia od tego, co możecie kupić w markecie.

Wróciłem do restauracji i podrzuciłem papierosy Morayowi, który znowu siedział teraz obok DePalmy. Między mną a DePalma nadal nie padło ani jedno słowo i dopiero teraz pierwszy raz nawiązaliśmy kontakt wzrokowy. Patrzył na mnie uważnie, wziął jedną paczkę, otworzył ją, wytrząsnął papierosa, zdjął z niego filtr i resztę wsadził sobie do ust, smakując tytoń, jakby był znawcą z Wirginii. Następnie zapalił go i zaciągnął się.

Wszyscy zgromadzeni przy stole czekali na jego werdykt.

- Nie są złe - powiedział do mnie. - Możesz mi załatwić camele?

- Mogę zapytać - powiedziałem nonszalancko. Tylko udawałem spokój. Złapałem DePalme na haczyk w możliwie najbardziej niewinny sposób. A z relacji, która się między nami dzięki temu zadzierzgnęła, czerpałem korzyści przez najbliższe dwa i pół roku.

W końcu kolacja dobiegła końca i wszyscy wstaliśmy. Greg nie pożegnał się ze mną. W końcu czemu miałyby to robić?

Udało mi się wkręcić na kolację gangsterów i nikt nie podejrzewał, że jestem agentem FBI. To było niezłe osiągnięcie jak na jeden dzień. Miałem teraz misję: zdobyć camele dla DePalmy.

I w ten sposób narodziła się przyjaźń.

ROZDZIAŁ 11

Greg chwyta przynętę

Kolejnego dnia jak zwykle krążyłem po Naked Truth, kiedy facet, którego poznałem na wczorajszej kolacji, podszedł do mnie i powiedział:

- Moray chce się z tobą widzieć.

Moray i DePalma byli nierozłączni, dopóki jakaś sprawa między nimi nie spowodowała ich rozstania. Najprawdopodobniej poszło o pieniądze. Według wiedzy FBI nigdy więcej z sobą nie rozmawiali.

Byłem podekscytowany - wymyślony na poczekaniu podstęp zainicjował rozmowę. Właśnie tego chciałem. Nie chciałem dać po sobie poznać, że jestem podekscytowany, więc powiedziałem gościowi, że właśnie miałem pójść na kolację.

- Gdzie jest Moray? - zapytałem.

- Jest w drodze. Będzie tu za pół godziny.

- Lepiej, żeby tak było - powiedziałem nonszalancko. - W innym wypadku mnie tu nie będzie.

Gość wyszedł i wykonał telefon, następnie wrócił podenerwowany.

- Moray będzie tu za pięć minut - powiedział.

- Będę w okolicy - odrzekłem.

Moray przyjechał natychmiast i zapytał, czy moglibyśmy pogadać. Ruszyliśmy do pokoju dla VIP-ów.

- Stary jest zainteresowany papierosami - powiedział mi Moray.

- W porządku - odrzekłem. - Załatwię wam całą dostawę. Pomogę tobie i Staremu. Ale to nie jest moja działka. Mogę załatwić wielkie kartony za czterysta dolarów. W wielkim kartonie jest pięćdziesiąt zwykłych kartonów, po dziesięć paczek każdy. Ale to podróbki. Pochodzą z Chin.

Moray starał się wynegocjować niższą stawkę.

- Pieniądze naprawdę się teraz dla Starego Uczą - powiedział mi. - Przy okazji, nigdy nie wspominaj, że chodzi o Grega DePalmę - na ulicy, przez telefon, w żadnej sytuacji. Zamiast tego posługuj się ksywą „Stary”, dobra?

- W porządku - powiedziałem. Ale cwaniacy, pomyślałem. Co za głupkowata i oczywista ksywa.

Długo negocjowaliśmy. Nie chciałem przesadzić w chęci zrobienia im przysługi, ale chciałem, żeby wiedzieli, że udało im się zrobić świetny interes. Wykorzystałem umiejętności negocjacyjne, jakie zdobyłem, obracając się pośród handlarzy narkotyków.

- Nie zarabiam na tej transakcji - powiedziałem. - Mogę wam sprzedać wszystkie papierosy za trzysta dziewięćdziesiąt dolarów. Policz to sobie: każdy duży karton zawiera pięćdziesiąt zwykłych. Możecie je sprzedać po dwadzieścia dolarów za karton, kiedy normalnie płaci się czterdzieści.

Dwadzieścia razy pięćdziesiąt daje ile? Tysiąc dolarów! Naprawdę sporo na tym zarabiacie! To dla was świetny interes.

Od razu spostrzegłem, że liczenie przychodziło Morayowi z trudem, ale z pewnością był zainteresowany.

- Możesz sprowadzić nam tego więcej? - zapytał.

- Jasne - odrzekłem. - Ale to nie jest interes, który chcę prowadzić na stałe. Zajmuję się tym od czasu do czasu, kiedy nadarzy się okazja. Masz, weź te kartony.

Dałem mu karton marlboro lights i marlboro reds. Choć papierosy nie miały akcyzy, było wiadomo, że łatwo je rozprowadzić. Łatwo sprzedawało się je do barów i małych sklepów spożywczych. Moray rzucił, że za jakiś czas do mnie wróci, i się ulotnił.

Tymczasem wielu informatorów potwierdzało plotki - DePalma udało się wrócić do dawnych łask w rodzinie Gambino. Znowu uczestniczył w planowaniu i obmyślaniu grubszych spraw. Brał udział we wszelkiego rodzaju działalności przestępczej, w tym i owym. Był wszędzie. Gdziekolwiek spojrzeliśmy, tam był DePalma, zawsze w akcji. 18 marca wydarzyły się dwie rzeczy. Po pierwsze, z samego szczytu rodziny Gambino dotarła do nas informacja: „Greg odzyskał tę samą pozycję, którą miał niegdyś”. W ten sposób dawało się światu do zrozumienia, że DePalma odzyskał dawną potęgę, swoją pozycję jako capo, czyli wysoki rangą kapitan w rodzinie Gambino. Trzeba oddać DePalma sprawiedliwość - w mniej niż trzy tygodnie z niechcianego, splukanego pasera stał się siłą, z którą trzeba było się liczyć.

Drugim wydarzeniem tego dnia była wiadomość od Moraya - za dwa dni DePalma chciał się ze mną spotkać.

Teraz ludzie prowadzący sprawę z ramienia FBI i ja mieliśmy dylemat. Czy nadal trzymamy się tych trzech - Louisa, Chrisa i Funziego? Czy sprzymierzamy się z DePalma? DePalma chciał czerpać zyski z Naked Truth, ponieważ usiłował odzyskać swoją potęgę w sferach, które kontrolował przed aresztowaniem i skazaniem za sprawę Scores. Wtedy wraz ze swoim synem Craigiem miał w klubie swój udział. Dlatego sądził, że udział w klubie ze striptizem, ktokolwiek będzie jego właścicielem, jakoś mu się należy, nieważne, ile pieniędzy zostało wpompowanych w klub podczas długich lat jego nieobecności. Musieliśmy podjąć decyzję: kto ma dostawać forsy za protekcję - Filippelli i jego współpracownicy czy DePalma? Stary nie zaszył się w kącie ani nie usunął na boczny tor. Rzucił się w sam środek akcji i musieliśmy zdecydować, co w takim razie robimy. Pomyśleliśmy, że spotkanie z DePalma może pomóc nam rozwiązać ów problem.

W następnny czwartek znowu poszedłem do restauracji Spaghetti Western w Bronxville na kolejne spotkanie z DePalma. Jeden z gości w Naked Truth dał mi cynk, że Moray i DePalma będą w restauracji, ale kiedy tam dotarliśmy, jeszcze nikogo nie było, więc usiadłem przy barze i czekając, gawędziłem z właścicielem.

Przyszedłem do restauracji, bo miałem pewien pomysł. Zamiast próbować robić z DePalma interesy, zdecydowałem, że dam mu prezent - dziesięć wielkich kartonów papierosów. To będzie mój podarunek na powitanie po wyjściu z więzienia. Natowi Parisiemu, prowadzącemu tę sprawę w FBI, powiedziałem, że DePalma lubi papierosy, więc zrobimy wielki krok do przodu. Odkąd DePalma wyszedł z więzienia, wszyscy dawali mu koperty. Ja dam mu papierosy. Przed owym spotkaniem z Gregiem rozmawiałem też z Jerrym Spogliarim. Jerry i ja zgodziliśmy się, że te papierosy będą najlepszym prezentem powitalnym dla DePalmy od klubu.

Restauracja zaczęła się wypełniać ludźmi, których widywało się w Naked Truth, a my zdecydowaliśmy się wziąć duży stół na jej tyłach. Nie minęło dużo czasu, aż zjawili się Moray i DePalma. Odciągnąłem Moraya na bok.

- Chcę dać Staremu prezent na powitanie - wyjaśniłem po cichu. - Dziesięć dużych kartonów papierosów jest dla mnie warte cztery tysiące dolarów. Mógłbym je sprzedać za dziesięć razy tyle, ale to nie moja branża. Wolę dać te papierosy Gregowi jako daninę i oznakę mojego szacunku.

Moray patrzył na mnie uważnie. Czy ten facet mówi serio? Co to za gość, do cholery? - musiał się zastanawiać.

Słyszałem, że DePalma koniecznie chciał kupić samochód, a dokładniej chryslera PT Cruiser. To mnie zdziwiło. DePalma całe życie jeździł mercedesami lub jaguarami - po co mu był, u diabła, chrysler PT Cruiser? Ale właśnie taki samochód postanowił kupić i na tym koniec dyskusji.

Joe Moray rozważył propozycję i wyciągnął do mnie rękę z wdzięcznością.

- To by było wspaniale - powiedział mi, a następnie szeptem wyjaśnił wszystko Gregowi. Greg spojrział na mnie.

- Doceniam twoją hojność - powiedział z poważnym wyrazem twarzy.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekłem. - Szczegóły dostawy uzgodnię z Morayem.

I wtedy nagle zachowanie Grega zupełnie się zmieniło i stał się wesoły. Zaczął rozmawiać z facetami z Genovese siedzącymi przy stole.

Atmosfera spotkania wyraźnie się ociepliła - zmieniło się to w coś w rodzaju spotkania kolegów ze szkoły po latach. Jednak zamiast byłych kolegów byli tam oczywiście faceci, którzy siedzieli w pace. Gadali o tym, jak było w Lewisburgu, Fort Dix, Allentown i innych miejscach, gdzie mieli odsiadkę. Zaczęli wspominać swoje przyjaźnie z więzienia: „Tak, siedziałem z Joe Potsandpansem w Fort Dix! Jak on się miewa?”.

Ta scena wydała mi się niezwykła. Więzienie było ich szkołą mafii. Jak już wspominałem, nigdy nie

udawałem, że byłem notowany, z tego prostego powodu, że łatwo byłoby im sprawdzić moją wiarygodność. Trzymałem głowę na kłódkę i z podziwem słuchałem, jak Greg opowiada, jak to potrafił załatwić darmowe bilety na Broadway oraz posiłki dla skorumpowanych strażników więziennych w zamian za przeszmu-glowanie mu czegoś.

Greg długo monologował o tym, jak wielkim zaszczytem było dla niego opiekowanie się Johnem Gottim, kiedy ten był w więzieniu federalnym i chorował na raka. DePalma codziennie przygotowywał mu wyjątkowe włoskie dania - czegokolwiek Gotti zapragnął. Udało mu się przenieść wraz z Gottim do pomieszczeń szpitalnych, gdzie było lepsze jedzenie, mikrofalówki i całe wyposażenie kuchenne. Karmił Gottiego i opiekował się nim, a nawet go kąpał. Jeśli Gotti chciał dostać cienki makaron, DePalma go załatwiał. Jeśli chciał kurczaka capriella, DePalma mu go przyrządził. Pielęgnowanie Gottiego znaczyło dla DePalmy bar dzo wiele, bo Gotti był jego szefem. W oczach Grega jego szef był honorowym gangsterem. To było dla mnie fascynujące.

Kolejna udana kolacja dobiegała końca i mogłem stwierdzić, że DePalma miał wobec mnie stosunek serdeczny, choć niesprecyzowany. Ostatecznie byłem dla niego kimś zupełnie obcym, a moja kryminalna wiarygodność nie została sprawdzona. Lecz teraz mówiłem językiem, który on kochał najbardziej - językiem pieniędzy. Pieniądze były dla niego wszystkim i fakt, że dałem mu je, sprawił, iż w jego oczach stałem się prawdziwym kontrahentem, facetem, który wiedział, jakie znaczenie ma oddawanie daniny ludziom zajmującym pozycje wyższe od naszych. Wieczór był całkowitym sukcesem.

Kilka dni później Joe Moray doniósł mi, że jego człowiek miał duże trudności ze zbyciem papierosów z powodu rzekomej cierpkości smaku. Cóż ja wiedziałem o tym, jak smakują papierosy? Zrezygnowaliśmy więc z nich jako daniny i zamiast tego na moim trzecim spotkaniu z DePalma, znowu w Spaghetti Western, podałem mu kopertę wypełnioną pięćdziesięciodolarowymi banknotami.

- Sprzedaliśmy dla ciebie papierosy - powiedziałem mu. - I nie byłem w stanie wiele zarobić, ale tutaj są trzy kafle (w slangu oznacza to trzy tysiące dolarów).

DePalma spojrzał na mnie z wdzięcznością. Na własne oczy widział, że uprawiam działalność przestępczą. Od początku pokazałem mu, że nie jestem tylko żółtodziobem, amatorem czy pajacem.

- Siedziałeś za mnie w pace - powiedziałem z szacunkiem do Grega. - Przesiedziałeś trzydzieści lat. Ja mam na koncie wiele przekrętów, ale jeszcze nigdy mnie nie zapuszkowali. A więc siedziałeś tam też i za mnie. To oznacza, że mam wobec ciebie dług wdzięczności. Inny facet na twoim miejscu rozleciałby się jak domek z kart.

Kiedy wystawiłem DePalmie taki panegiryk, największy, o jakim można mówić w mafii, jego oczy naprawdę napełniły się łzami. W tej chwili zaczęło się moje uwodzenie DePalmy.

Rozdział 12

Uwodzenie Grega DePalmy

Facet chce poznać kobietę. Dobrze ją traktuje. Kupuje jej kwiaty. Niby przez przypadek wpada na nią w miejscach, gdzie ona bywa. Ja robiłem dokładnie to samo, tylko że z Gregiem DePalma. Chciałem, żeby mnie polubił.

Wiedziałem, że nie chce nikogo nowego w swoim życiu. Grał bardzo ostrożnie - był na zwolnieniu warunkowym i łatwo mógł zostać zgarnięty, gdyby tylko zobaczono go ze znanymi gangsterami. Zawieranie nowych znajomości było dla ludzi w sytuacji DePalmy naprawdę niebezpieczne. Wiedział, że federalni obrali go za cel i choć zaczął ósmy krzyżyk, miał powody, by sądzić - jak się okazuje, słusznie - że FBI nadal będzie go śledzić. Moje zadanie polegało więc na tym, by robić z nim interesy, nie wywołując u niego uczucia zagrożenia.

Musiałem balansować na cienkiej linii - uważać, by nie udawać grubej ryby wśród gangsterów, co mogłoby wzbudzić jego podejrzenia. Mógłby się zastanawiać: czemu nigdy wcześniej nie gadałem z tym Jackiem Falcone ani o nim nie słyszałem? Drugim ekstremum byłoby zaprezentowanie się jako człowiek, który nie ma mu nic do zaoferowania. Gdybym nie znalazł sposobu na przynoszenie mu pieniędzy lub gdybym

ROZDZIAŁ 12. UWODZENIE GREGA DEPALMY

nie odgrywał roli odnoszącego sukcesy gangstera, spojrzalby na mnie i powiedział: „Kim jest ten palant? To cholerny śmieć, nul, amator! Jest do niczego! Nie ma mi nic do zaoferowania!”.

Mafia interesuje się kimś tylko wtedy, kiedy ów człowiek ma do zaproponowania coś przynoszącego zyski. Kluczowe pytanie, jakie zadałby sobie DePalma, brzmiało: czy jestem w stanie wyciągnąć forszę od tego gościa? Bo kiedy mafia raz zagnie na ciebie parol, wyssie z ciebie wszystko. Mafiosi zaczną robić z tobą interesy, uśmiercą twój biznes i przejmą twój rewir, a dla ciebie nie zostawią niczego. Mafiosi dbają tylko o siebie i o rodzinę, do której należą. Powtórzmy, tu nie chodzi wyłącznie o zabijanie ludzi. Chodzi o zarabianie pieniędzy. Strzelają do ludzi tylko wtedy, kiedy ktoś nie płaci lub źle się zachowa wobec rodziny.

Uważałem, że dostosowanie się do zupełnie innych warunków będzie wspaniałym wyzwaniem. Tak naprawdę odgrywanie roli niejako służalczego gangstera było dla mnie mocno stresujące. Zwykle byłem tym, który kontroluje, grubą rybą, facetem sprawującym jakąś władzę. Jeśli byłem zaangażowany w handel narkotykami, byłem albo naprawdę poważnym przewoźnikiem, który ma przewieźć dużą ilość towaru, albo dealerem i miałem sprzedać wiele kilogramów narkotyków. Tutaj na początku musiałem zachowywać się o wiele dyskretniej. Nie chodziło o zdobycie władzy. Tutaj istniała widoczna na pierwszy rzut oka „hierarchia” i nie mogłem się szarogęścić. To byłoby niebezpieczne. Musiałem więc być skromny.

Propozycja podróbek papierosów i trzy tysiące dolarów na powitanie z więzienia umożliwiły akces do drużyny. Wszyscy zrzuciliśmy się, żeby kupić DePalmie nowy samochód. Prezent z pewnością zwiększył jego wdzięczność wobec mnie.

Jednak wszystkie moje starania musiały iść w dwie strony. Chciałem sprawić wrażenie miłego, przyjemnego w obcowaniu gościa - miałem dopracowany wizerunek i przekonująco odgrywałem swoją rolę. Inni gangsterzy i ich wspólnicy mnie akceptowali. Musiałem jednak dojść do tego, by nie być dłużej polującym, lecz by zapolowano na mnie. Greg DePalma powinien być zapragnąć, żebym się pojawił, lub powinien zacząć mnie szukać - to było celem mojego uwodzenia. Gdyby mnie traktował jako ofiarę, wykorzystałby mnie. Nie chciałem tego. Chciałem natomiast, żeby się zastanawiał, kim jestem i jak ma się do mnie zbliżyć.

Dzięki naszym obserwatorom wiedzieliśmy, gdzie przebywa DePalma praktycznie cały dzień, wiedzieliśmy także, z kim się spotyka. Od face tów z klubu dowiedziałem się, że zaczyna mnie sprawdzać. Inni zaczęli się rozpytywać w imieniu Grega: „Kim jest facet z Florydy? Co robi?”. To sprawiło mi przyjemność. Wiedziałem, że Stary bada teren i szacuje, ile może ze mnie wyciągnąć - zadawał typowe pytania gangsterów: „Kim jest ten nowy i jak mogę go oskubać?”.

Typowy dzień podczas tego etapu zalotów zaczynał się od mojego telefonu do biura. Pytałem mojego prowadzącego, Nata: „Gdzie jest teraz DePalma?”

On odpowiadał, że DePalma jest w tej czy innej restauracji lub że jest na spotkaniu gdzieś na Manhattanie. Więc ubierałem się tak jak noszą się gangsterzy z Miami - chciałem, żeby DePalma uwierzył, że jestem jednym z nich - i pojawiałem się niby to przez przypadek w restauracji, w której akurat DePalma tego dnia jadał. Oczywiście nie robiłem tego każdego dnia, ale wystarczająco często, by podtrzymać jego zainteresowanie moją osobą. Chciałem trwale zaistnieć w jego świadomości.

Jeśli nie był to dzień zacieśniania relacji z DePalma, dzwoniłem do innych facetów związanych z

klubem. Pytałem, co robią, gdzie się wybierają, do której idą restauracji i pojawiałem się tam.

Przyjeżdżałem do restauracji i zjadałem tam posiłek. Dla moich towarzyszy to byłoby obraźliwe, gdybym przyszedł i niczego nie zamówił. Wchodziłem, a oni mówili: „Zamów sobie coś. Zamów sobie zupę. Koniecznie zjedz zupę! Pasta efagioli jest tutaj przepyszna! Nie wprowadzaj nas w zakłopotanie, zamów coś!”.

Mnie to idealnie pasowało, bo nigdy nie trzeba mnie namawiać do jedzenia. A z tymi facetami zaczynało się od śniadania, potem był lunch, kolacja, później szło się do klubu, następnie o drugiej nad ranem ktoś mówił: „Chodźmy do takiego a takiego miejsca na City Island, umieram z głodu - chodźmy coś zjeść!” Tak więc jadło się ogromną kolację

0 drugiej w nocy, a od rana następnego dnia wszystko zaczynało się od nowa.

Kiedy pracowałem nad tym, by złapać Grega na haczyk, dowiedzieliśmy się od informatorów, że on sam próbuje ześlizgnąć się z haczyka i wywikłać z pewnej sprawy. Spędzał wiele czasu na spotkaniach z Anthonym „the Genius” Megalem, zastępcą szefa w rodzinie Gambino, i starał się wywikłać z tamtej sprawy - próby zgładzenia LaSorsy.

Konflikt między LaSorsą a DePalma pierwszy raz powstał wtedy, gdy Greg był w więzieniu z powodu sprawy Scores. Greg ręczył za Nicky’ego, kiedy ów wchodził do rodziny Gambino. Lecz teraz, kiedy Greg znalazł się za kratkami, Nicky zażądał, by biznesmen, na którym wcześniej pasożytkował w imieniu DePalmy, płacił jemu samemu dwa i pół tysiąca dolarów.

Najgorszym wrogiem Grega DePalmy był... sam Greg DePalma. Telefonując z więzienia, DePalma rzucił groźby, które rzecz jasna nagrano

1 przekazano organom ścigania. Kiedy usłyszał, że inny gangster przejmuje jego teren, to przelało czarę. Greg powiedział: „Mam nadzieję, że to nie Nicky. W przeciwnym razie go załatwię”. Z przerażającymi szczegółami opisał, co zrobi z genitaliami LaSorsy, kiedy już go dorwie. Następnie obmyślił naprawdę dziwną intrygę, by zabić LaSorsę. Jak później twierdził, na to morderstwo dostał przyzwolenie od Johna Gottiego, choć sprawiało to wrażenie raczej bujdy i CYA (czyli cover your ass - chroń własny tyłek) niż prawdy.

DePalma, który nie cieszył się wtedy najlepszym zdrowiem, zwrócił się do drugiego niedomagającego gościa, poruszającego się na wózku inwalidzkim gangstera również siedzącego w pace i wydał rozkaz zgładzenia Nicky’ego. Problem w tym, że w mafii panuje niekwestionowana zasada, że mianowany członek mafii może zlecić zamordowanie innego członka mafii tylko za zgodą szefów. Chyba że jest wystarczająco bezczelny, by zlecić morderstwo potajemnie - bez akceptacji kogoś z góry. W odwecie Nicky zlecił zabójstwo DePalmy. LaSorsa, przemytnik samochodów i gangster w jednej osobie, nie miał się czego obawiać. Spisek na jego życie zaaranżowany przez DePalmę był raczej komiczny. Jednakże Stary miał wszelkie powody, by bać się rozjuszonego LaSorsy. Nawiasem mówiąc, facet na wózku przyznał się do swego uczestnictwa w planowanym zamachu. DePalma został oskarżony o zlecenie zabójstwa i jak przystało na prawdziwego gangstera, pojawił się na procesie. Jednak jakimś cudem się z tego wybronił. Kiedy okazało się, że werdykt brzmi: niewinny - był po prostu zdumiony!

Teraz, kiedy DePalma wrócił na ulicę i odzyskiwał władzę jako capo, często uczestniczył w posiedzeniach z udziałem najwyższych rangą członków rodziny Gambino. Ci z samego szczytu rodziny Gambino próbowali rozwiązać problem samowolnego zlecenia zabójstwa. Joe Moray odszedł od Grega, więc zacząłem zabierać DePalmę na spotkania i nieustannie słyszałem od informatorów Nata o innych spotkaniach, w jakich uczestniczył Greg. Podstawowym tematem owych spotkań było to, jak rozwiązać sprawę zlecenia zabójstwa LaSorsy, który do tego czasu awansował w rodzinie Gambino na stanowisko capo i działał na własnych prawach.

Szukając rozwiązania sprawy LaSorsy, Greg jednocześnie pracował nad odzyskaniem dawnej potęgi i pomagał rodzinie Gambino wrócić do dawnej formy po ekscesach Johna Gottiego. Greg był sprytny - choć niezmiernie kochał dawnego szefa, miał świadomość, że jego upodobanie do przebywania w blasku jupiterów drogo kosztowało rodzinę. Mafia straciła sporo forsy oraz tak niezbędną dla swego działania brudną robotę. Tak więc Greg zorganizował żołnierzy pracujących dla niego w oddzielne gangi, działające niemal jak niewielkie grupy terrorystyczne. Jeden gang nigdy nie wiedział, czym się zajmuje drugi ani nawet jaki jest jego skład. Tylko Greg wiedział wszystko i miał wszystko w głowie. W ten sposób dawał wyraz swojej wierze w przywództwo - można by to nazwać ubezpieczeniem od zabójstwa. Greg DePalma dokonał w mafii czegoś niewyobraźnego. Wrócił do swoich wpływów sprzed lat. Miał władzę. I choć wtedy jeszcze nie zdawałem sobie z tego sprawy, jego plany co do przyszłości mafii... obejmowały także mnie.

Rozdział 13 Wspólnik

Do tej pory ludzie mówili: „Big Jack, ten nowy facet - jest w porządku. Jest w paczce Grega DePalmy”. Choć Greg oficjalnie nie przyjął mnie w swoje szeregi - nie uczynił z naszej relacji sprawy oficjalnej - ludzie ze świata przestępczego zaczęli wiązać nas ze sobą. Tak naprawdę to wiedziałem, że już go złapałem na haczyk. Kiedy raz dałem mu pieniądze, niby to pochodzące ze sprzedaży papierosów, moja sytuacja się zmieniła. Z polującego stałem się tym, na którego się poluje. Wiedziałem to i mogłem to wyczuć. To była tylko kwestia czasu. Moja osoba wzbudzała jego zainteresowanie.

W ostatnich dniach kwietnia 2003 roku znowu byliśmy w Spaghetti Western na lunchu. Niespodziewanie Greg zapytał:

- Hej, Jackie, chcesz ubezpieczenie zdrowotne? A może masz już jakieś?

Dla mafii ubezpieczenie to naprawdę duża rzecz. Bardzo niewielu gangsterów wykonuje jakiś legalny zawód, więc wykupienie dobrej, niedrogiej opieki zdrowotnej dla siebie i swojej rodziny jest ważne. Greg powiedział mi, że zna jednego gościa ze związków zawodowych, z którym mam się spotkać, a on załatwi mi ubezpieczenie.

- Chętnie bym w to wszedł - powiedziałem. - Znasz jakieś sposoby, żebyśmy mogli je dostać?

- O to się nie martw - odrzekł Greg. - Ustawię to dla ciebie niebawem.

Następnych kilka tygodni nadal przypocholebiałem się gangsterom, zarówno w Naked Truth, jak i w restauracjach w Nowym Jorku - wszędzie tam, gdzie tego dnia coś się działo. Podróżowałem także do Atlantic City, Miami i innych miast, zajmując się sprawami, które opisuję w innych rozdziałach, uczestnicząc w sprawach związanych z handlem narkotykami i innych mniejszych akcjach.

Zacząłem mówić ludziom, którym Greg ufał, że mam kradzione zegarki, które chcę upłynnić za dobrą cenę. Rzecz jasna, złapał przynętę i 17 maja dostałem telefon. W trakcie tej rozmowy telefonicznej nie rozmawialiśmy otwarcie o biżuterii. Powiedziałem tylko Gregowi, że właśnie wróciłem z Miami i że przywozłem z sobą coś więcej niż tylko opaleniznę.

Spotkaliśmy się dwa dni później w restauracji w Westchester County o nazwie La Villetta. Pokazałem Gregowi zegarki i pierścionek z diamentem. Gdyby był tym zainteresowany, może mógłby je rozprościć i zarobić trochę pieniędzy. Zdecydowanie był zainteresowany. W sumie pokazałem Gregowi sześć zegarków i jeden pierścionek z diamentem - wszystkie zaprezentowałem jako ukradzione rzeczy pochodzące z Florydy. To były rolexy President, corumy, piagety, wszystkie ze szczerego złota, pięknie zrobione. W rzeczywistości były to rzeczy zupełnie nowe, przejęte przez FBI w innych śledztwach. Greg zapytał mnie, ile za nie chcę, a ja odrzekłem, że dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Rzecz jasna, Greg musiał się targować o niższą cenę.

- Marroni! - wykrzyknął, jeszcze raz oglądając biżuterię. - To bardzo dużo pieniędzy! Przecież to stare rzeczy!

- Co? Chyba sobie ze mnie żartujesz? - zapytałem pogardliwie. Musiałem pokazać, że wiem, o czym mówię, albo postrzegalby mnie jako kogoś, kogo można wyrolować. - To czyste złoto - protestowałem. - Piękne, niemal nowe!

- Nie sądzę - odparł Greg z lekceważeniem.

- Słuchaj - powiedziałem do niego. - Mam potencjalnego kupca, ale chciałem sprawdzić, czy byłbyś w

stanie sprzedać to za więcej i po drodze zarobić trochę fazools [pieniędzy]. Jeśli jesteś zainteresowany, popytaj i dowiedz się, jaką cenę możesz za nie uzyskać.

Chciałem się z nim trochę podrażnić, żeby zobaczyć, czy połknie haczyk. Następnego dnia zadzwonił do mnie.

- Jackie, chłopcze - zaczął z podnieceniem w głosie. - Umówiłem cię na spotkanie z tym facetem ze związków w sprawie ubezpieczenia.

- Naprawdę? - odpowiedziałem zachwycony. Naprawdę łapał przynętę.

- Tymczasem chętnie znowu obejrzę te cudenka.

- Mówisz - masz, Greg - odrzekłem.

Miałem spotkać się z Gregiem u krawca w Westchester. Ten konkretny krawiec dawniej musiał być świetny, bo jego sklep był cały udekorowany zdjęciami Joego DiMaggio i innymi gwiazdami sprzed lat, ubranymi w jego garnitury. Jednak wizyta w jego sklepie była jak podróż w czasie. Robił garnitury o jasnych kolorach i starych krojach. Nie były dla mnie. Miał także niewielki dział ze skrojonymi na nowoczesną modłę całkiem przyzwoitymi garniturami. Greg kupił od niego dwadzieścia garniturów i chciał, bym i ja zamówił sobie jeden.

Nie chciałem garnituru z kilku powodów. Po pierwsze, miałem na sobie podsłuch, więc nie chciałem, żeby mnie mierzone. W dodatku nie kwapiłem się, żeby Greg zamówił u krawca garnitur dla mnie, bo wiedziałem, że Greg maksymalnie z faceta zedrze.

Greg był uparty.

- Chodź, daj się zmierzyć - powiedział do mnie. - To będzie na mój rachunek.

- Nie bierz tego osobiście - odrzekłem - ale mam wystarczająco dużo garniturów i nie podoba mi się jego styl. Może kilka lat temu był świetnym krawcem, ale czas trochę mu się dał we znaki. Mam faceta, który robi dla mnie garnitury, więc tak czy inaczej dziękuję, Greg.

-

-

W rzeczywistości chciałem, żeby Greg wiedział, że nie jestem skłonny przyjmować wszystkiego, cokolwiek zaproponuje, i że nie chcę mieć wobec niego długu wdzięczności. Oczywiście gdyby nalegał, zgodziłbym się. Ale sprawy miały się tak, że Jacka Falcone, gangstera z Miami, z pewnością było stać na to, żeby sam sobie kupował garnitury. Greg powiedział mi, że bym spotkał się z nim następnego dnia, by załatwić sprawę ubezpieczenia.

Greg i ja spotkaliśmy się z prezesem sterowanego przez mafię związku zawodowego, gościem, którego będę nazywał Teddym. Teddy powiedział, bym wypełnił formularz - miałem napisać swoje imię i nazwisko, podać numer ubezpieczenia socjalnego i datę urodzenia. Miałem dostać ubezpieczenie medyczne, stomatologiczne, okulistyczne, pokrycie kosztów lekarstw, a w przyszłości nawet pobierać emeryturę. Jak na ironię, spotkanie miało miejsce w restauracji-jadłodajni, tuż koło sklepu prowadzonego przez związek zawodowy. Kiedy byłem w college'u, pracowałem tam przez krótki okres jako chłopak na posyłki. Mój najlepszy przyjaciel miał tu wesele. A teraz oto siedziałem tutaj jako gangster, który załatwia sobie ubezpieczenie zdrowotne od skorumpowanego urzędnika.

Jako swoje imię i nazwisko wpisałem Jack Falcone. Wpisałem także mój fałszywy numer ubezpieczenia socjalnego, podobnie jak datę urodzenia i inne informacje. Dałem mu czek i bingo - byłem ubezpieczony! Kto powiedział, że mafia nie ma swoich przywilejów? W pewnym momencie obróciłem się do Grega i zapytałem, czy to wszystko jest legalne.

- Nie martw się o to, Jackie! - Greg roześmiał się. - Oczywiście, że to legalne. To świetne ubezpieczenie medyczne. Będziesz naprawdę za dowolony!

Sądzę, że prawdziwym powodem tego, że Greg załatwił mi ubezpieczenie, nie była jego troska o to, czy stać mnie na nowe okulary czy fizjoterapię. Myślę, że chciał mieć wymówkę dla sprawdzenia mojego numeru ubezpieczenia społecznego, mojej daty urodzenia i innych danych osobowych - to był dalszy ciąg sprawdzania mojej wiarygodności. Było to z jego strony całkiem sprytnie posunięcie. Jestem niemal pewien, że mnie sprawdził. Ale ponieważ spędziliśmy w Biurze sporo czasu nad dopracowaniem każdego szczegółu mojej fałszywej tożsamości, wiedziałem, że zdam ten egzamin śpiewająco.

Dwa dni później wpadłem na Grega w Raceway Diner w Yonkers. Z jego punktu widzenia to był szczęśliwy przypadek, że znalazłem się we właściwym miejscu o właściwej porze. Zastałem go sfrustrowanego.

- Co się stało? - zapytałem, siadając i biorąc kartę menu.

- Nie ma Moraya - narzekał Greg. - A ja muszę pojechać do miasta. Umilkł na chwilę, a następnie zapytał:

- Mógłbyś mnie tam podwieźć?

- Żaden problem, Greg - odrzekłem. - Z przyjemnością. Właśnie dlatego pojawiłem się w tej restauracji. Greg kazał mi jechać

do pewnego biurowca na Madison Avenue. On tam wszedł, a ja po prostu siedziałem w samochodzie jak jakaś ofiara losu. Kiedy pracowałem jako tajny agent, zawsze zgrywałem wielkiego waźniaka. Musiałem długo się przyzwyczajać do bycia traktowanym jak kierowca wielkiego mafiosa. Później, w Biurze, dokładnie zbadaliśmy adres spotkania - sprawdziliśmy wszystkie firmy w budynku i doszliśmy do wniosku, że Greg miał spotkanie z powiązaniem z mafią prawnikiem.

Godzinę później Greg opuścił budynek. Wyjechaliśmy z miasta, a ja nie powiedziałem ani słowa. To nie byłoby roztropne - ani nie mieściłoby się w konwencji - by niski rangą facet pytał capo, co to było za spotkanie. Ale dla tak gadatliwego gościa jak Greg milczenie było ciężarem, którego nie mógł znieść. W drodze powrotnej odrobinę się otworzył.

- Sprowadzili mnie tutaj, żebym rozwiązał sprawę Nickyego - powiedział do mnie. - Poza tym w rodzinie będzie obowiązywać kilka nowych zasad. Wiesz, takie tam interesy rodziny Gambino.

- Ach, tak? - powiedziałem, nie odrywając oczu od drogi.

Nie zadawałem więcej pytań, bo nie byłoby to z mojej strony mądre. Byłem bardzo ostrożny, jeśli chodziło o zadawanie jakichkolwiek pytań; prawdziwi gangsterzy o nic nie pytają. Nie chciałem, żeby DePalma zaczął żywić wobec mnie jakiegokolwiek podejrzania - natychmiast zapytałby by mnie (i słusznie!): „Czemu u diabła tak bardzo interesuje cię, z kim się widuję?”

Nasze następne spotkanie miało miejsce 3 czerwca. Poszliśmy na obiad. Greg ufał mi już o wiele bardziej niż wcześniej. Z pewnością sprawdził mój numer ubezpieczenia socjalnego i i test musiał wypaść pozytywnie. W mojej obecności - siedziałem na wprost niego - mówił, że rozmawiał z „facetem numer dwa i numer trzy” - wieszefem oraz consigliere rodziny (Anthonyem Megalem i Josephem „J0J0” Corozzem) aby rozwiązać sytuację związaną z LaSorsa.

- To się wymyka spod kontroli - powiedział, a następnie długo ga dał, jakim to skurwielem jest LaSorsa.

Jadłem i słuchałem. Doszedłem do wniosku, że Gregowi nadal grozi atak ze strony Nickyego LaSorsy - dlatego wszyscy szefowie próbują znaleźć wyjście z tej sytuacji. Nicky mógł dostać pozwolenie na zdjęcie DePalmy w każdej chwili, a gdyby tak się stało, należało zakładać, że usunąby także i mnie. Jest takie sławne zdjęcie Carminea Galantego, szefa mafii, który został zastrzelony na dziedzińcu włoskiej restauracji w chwili śmierci nadal trzymał w zębach cygaro. Ludzie, którzy z nim wtedy jedli obiad, wyszli na tym nie lepiej. Nie chciałem być elementem zdjęcia z miejsca zbrodni, na którym zamordowano by DePalmę, jednak podejmowałem takie ryzyko. Z mojej perspektywy każde nowe spotka nie Grega z szefostwem stanowiło dobrą wiadomość - im częściej wi działałem, że Greg spotyka się z szefami, tym bardziej było prawdopo dobre, że sprawa zostanie załatwiona polubownie.

Greg i ja stawaliśmy się sobie coraz bardziej bliscy. Pięć do dziesięciu razy dziennie rozmawiałem z moim zwierzchnikiem i prowadzą cym sprawę z ramienia FBI, Natem Parisim. Uzgodniliśmy, że muszę przynosić mafii zyski - muszę robić coś, co potwierdzi moją tożsamość jako gangstera. Jednocześnie musiałem umożliwić Gregowi zarobienie na mnie pieniędzy. Tak więc zdecydowaliśmy, że będę sprowadzał dla Grega skonfiskowaną przez FBI biżuterię i mówił mu, że towar po chodzi z mojego źródła. Wykonywano dla nas ekspertyzę, więc wie działałem dokładnie, jakiego rodzaju diamenty posiadamy i ile wszyst ko jest warte. Zawsze kiedy przynosiłem nowy towar, Greg wyciągał swoją jubilerską lupę - facet nosił z sobą jubilerską lupę na wypadek kich właśnie sytuacji - i opowiadał mi, jak prowadził handel biżu-rią na Canal Street.

- Nie masz pojęcia, ile towaru tam rozprowadziłem - przechwalał się.

Niezależnie od tego, jakiej wartości diament bym mu pokazał, zawsze mówił, że wyrób jest niedoskonały, straszny, spaprany - zawsze próbował mnie wystrychnąć na dudka. Albo przynosiłem mu rolexa President i mówiłem, że chcę za niego jedyne cztery i pół tysiąca dolarów, wiedząc, że Greg będzie w stanie sprzedać zegarek za sześć tysięcy. Taka już natura gangstera - musi zarabiać pieniądze każdego dnia. Dla Grega i każdego innego nie miało znaczenia, czy zarabiali pieniądze na rozprowadzaniu biżuterii, sprzedawaniu chleba, Cheez Doodles, płyt DVD, bijąc jakiegoś faceta czy ściągając długi - robili to wszystko, jeśli na tym zarabiali.

- Skąd bierzesz ten towar? - zapytał Greg, odkładając lupę i patrząc na mnie uważnie.

- Znam gości, którzy obrabiają dealerów i biznesmenów w Miami - powiedziałem do niego. - Mam tam pasera, ale niektóre towary to tak świeża sprawa, że mój facet nie chce ich brać. Ale jeśli chcesz, Greg, możesz je wziąć i upłynnić je dla mnie tutaj, w Nowym Jorku.

Greg skinął głową - to wyjaśnienie mu wystarczyło. Nie zadawał więcej pytań.

Biżuteria to był wielki hit, jeśli chodziło o DePalmę. Miał niepohamowany popęd do rozprowadzania biżuterii. Teraz razem zarabialiśmy pieniądze, miałem ubezpieczenie zdrowotne, a nasza przyjaźń się pogłębiała.

Kilka dni później znowu się spotkaliśmy w Spaghetti Western i DePalma powiedział mi najbardziej złowieszcze słowa, jakie jeden gangster może powiedzieć do drugiego: „Słuchaj, jedziemy na przejażdżkę”.

Na przejażdżkę? Trochę mnie to zbiło z pantałyku! Co to, u diabła, znaczy? Czy coś poszło nie tak? Czy domyślił się, kim jestem, i na czym polega moja praca? Czy chcieli mnie sprawdzić? Nie miałem pojęcia. Ale jaki miałem wybór? Wsiadłem do samochodu.

Chcieli, żebym siedział z przodu, ale jestem zbyt wielki, żeby zmieścić się na przednim siedzeniu PT cruisera. Tak więc prowadził Joe Moray,

Greg siedział na siedzeniu pasażera, a ja wcisnąłem się w siedzenie z tyłu. Wcale mi się to nie uśmiechało, bo nie miałem kontroli nad sytuacją. Gdziekolwiek jechaliśmy, mogliśmy wpaść na kogoś, kogo aresztowałem, a nawet na kogoś, kto kojarzył mnie jeszcze z liceum. Łatwo mogłem zostać zdemaskowany. Na domiar wszystkiego, mogło być tak, że po prostu biorą mnie w jakieś odosobnione miejsce, żeby mnie zdjąć. Nie miałem bladego pojęcia, dokąd jedziemy. Nie miałem broni i miałem na sobie podsłuch. Jeśli cokolwiek miało się zdarzyć, byłoby jeszcze gorzej, gdyby znaleźli na mnie podsłuch. Czy chcą mnie zabić, bo doszli do wniosku, że jestem kretem, a nie przypuszczali, że mogę być tajnym agentem? Miałem gonitwę myśli.

Wyjechaliśmy z Bronxville i jechaliśmy dalej, niewiele mówiąc po drodze. Okazało się, że jedziemy do jakiegoś jubilera w Westchester. DePalma wysiadł z samochodu, wszedł do jubilera i wrócił z wielkim, jarmarcznym, wysadzonym diamentami sygnetem na mały palec.

Był dla mnie.

- Nigdy nie należałeś do żadnego gangu, prawda? - zapytał DePalma.

- Nie, tylko do Kubańczyków - odrzekłem. Nie miałem pojęcia, do czego zmierza.

- Cóż, od tej chwili należysz do moich ludzi i do naszej rodziny - powiedział.

Rozpierała mnie radość, ale bardzo się starałem jej nie okazywać. To oznaczało, że przeszedłem pomyślnie wszelkie testy, jakie dla mnie przygotował. Teraz Greg chciał mnie mieć na własność. Miałem z nim pra cować i żaden inny gangster nie miał prawa do mojego czasu, do moich zysków czy mojej lojalności. Byłem człowiekiem Grega.

- W porządku - powiedziałem powściągliwie, nie chcąc zdradzić ekscytacji i innych emocji, jakie w tej chwili odczuwałem.

- Wiesz, co to oznacza, prawda? - zapytał.

- Jasne - odrzekłem, grając głosem w ten sposób, by dać poznać, że nie miałem pojęcia, ale jestem zbyt dumny, by to przyznać. Chciałem, żeby to powiedział, i chciałem mieć te słowa na taśmie, którą nagrywałem.

Greg wyjaśnił mi wszystko.

- Nikt nie może ci robić problemów, nikt nie może ci podskoczyć. Żaden gangster, nikt. Nic mnie nie obchodzi, czy chodzi o szefa albo wiceszefa innej załogi. I pomyśleć, że do zeszłego tygodnia nie znałem nawet twojego nazwiska! Falcone, prawda?

- Jestem naprawdę wdzięczny - powiedziałem, dogłębnie poruszony zaufaniem, jakie DePalma we mnie pokładał.

- Oczywiście - powiedział Greg z uśmiechem. - Nie chrzań! Jesteś teraz pod naszym parasolem. - Pokazał mi sygnet. - To jest znak mojej przyjaźni. Jesteś teraz jednym z naszych wspólników. Żaden inny gangster nic do ciebie nie ma. Nikt ci nie podskoczy.

Tak więc oficjalnie stałem się członkiem grupy przestępczej DePalmy. Byłem w rejestrze rodziny Gambino. Byłem oficjalnym członkiem La Cosa Nostra.

Atlantic City - przyjaciele na wysokich stanowiskach

Kiedy pracowałem nad Royal Charm, w lokalnym biurze FBI w Atlantic City wpadłem na Jima Eckela i Eda Corrigan - agentów, których znałem od wielu lat. Biura FBI są podzielone na komórki zajmujące się najczęściej występującymi na owym terenie przestępstwami. Ja pracowałem dla komórki zajmującej się zorganizowanymi grupami przestępczymi, a oni dla komórki zajmującej się korupcją służb publicznych.

- Co ty tu robisz? - zapytał Jim, zaskoczony moim widokiem.

- Pracuję nad Royal Charm - odrzekłem.

- Właśnie wpadłem na świetny pomysł! - wykrzyknął podekscytowany. - Masz chwilę? Chodźmy do sali konferencyjnej!

- Jakie masz plany na dalszą część dnia, stary? - zapytali mnie.

- Och, mam mnóstwo pracy - powiedziałem, widząc, dokąd to wszystko zmierza.

- Zdajemy sobie z tego sprawę - odrzekł Jim - ale może masz kilka minut, żeby przynajmniej posłuchać tej historii.

- Zawsze mam czas na wysłuchanie ciekawej historii. A oni zdecydowanie mieli taką w zanadrzu.

- Mamy faceta w przemyśle budowlanym, świetnego świadka współpracującego - zaczął Jim. - Naprawdę bardzo dobre źródło. Czarnoskóry. Zna pewnego biznesmena, który tutaj, w Atlantic City, robi szemrane interesy. Wiemy, że ten drugi facet daje łapówki pracownikom samorządów lokalnych i politykom. Chcieliśmy wykorzystać jakiegoś czarnoskórego tajnego agenta, żeby zapoznał się z tym facetem. Ale teraz przyszło nam do głowy, że ty mógłbyś to zrobić. Przypuśćmy, że byłbyś Kubańczykiem z Miami czy Nowego Jorku, dealerem narkotykowym szukającym sposobu, by wyprać brudne pieniądze?

- Jak by to miało wyglądać? - zapytałem zaintrygowany.

- Zaprzyjżnisz się, a po jakimś czasie zrobisz z nim interes, a on być może wtajemniczy cię w swoje metody działania - odrzekł Jim. - Razem dacie łapówkę politykom, żeby przepchnąć kontrakt w Atlantic City. Gość właśnie otrzymał licencję przedsiębiorcy z mniejszości etnicznej, więc podejrzewamy, że będzie dawał czadu.

Stany i rząd federalny mają programy, które dają członkom mniejszości etnicznych specjalne przywileje przy uzyskiwaniu rządowych kontraktów. Aby mieć takie przywileje, firma musi otrzymać certyfikat rządowy, że rzeczywiście jest własnością jakiejś mniejszości. Nasz facet właśnie taki certyfikat otrzymał. Zawsze ciężko mi przychodziło odmawianie.

- Posłuchaj, Jim - powiedziałem. - Zrobię to dla ciebie. Ale będę musiał jakoś to godzić z moją inną pracą. Dzisiaj wieczorem mam spotkanie jako tajny agent w sprawie Royal Charm.

- Więc może jutro? Co ty na to? - zapytali.

- W porządku - powiedziałem i nagle miałem kolejną sprawę, jakby mi nie było dosyć wszystkich pozostałych.

Następnego ranka spotkałem się ze współpracującym świadkiem, naprawdę miłym gościem, który natychmiast mnie polubił. Uzgodniliśmy, że spotkamy się następnego dnia na śniadaniu, a on przedstawi mnie pewnemu gangsterowi, którego będziemy nazywać Speed. Miałem zostać przedstawiony jako Manny, kubański dealer narkotykowy na emeryturze, który ma mnóstwo brudnej forsy. W scenariuszu,

który obmyślił, nie miałem powiązań z mafią, ale rozprawdzałem mnóstwo narkotyków na Florydzie i w Nowym Jorku. Teraz, kiedy już odszedłem od narkotyków, szukałem okazji, by w coś zainwestować i być może otworzyć interes w Atlantic City, który by mnie uwierzytelnił jako biznesmena.

Następnego ranka spotkaliśmy się we trzech w Denny's. Speed był wysokim, umięśnionym czarnoskórym facetem - niemal mojego wzrostu. Z jego zachowania wywnioskowałem, że jest twardym graczem, ostrym zawodnikiem. Jednocześnie był bystry i ostrożny. Miał ujmującą osobowość i był lubiany

w afroamerykańskiej społeczności w Atlantic City. Później, kiedy jeździliśmy razem, widziałem, jak ludzie machali do niego, jakby był lokalną gwiazdą, i wołali: „Hej, Speed, co słychać!”.

Podczas pierwszego śniadania każdy z nas badał tego drugiego. Nie wtajemniczałem go w swój życiorys.

- Ręczy za mnie ten facet tutaj - powiedziałem, wskazując na nasze źródło - który ręczy też za ciebie.

- Czego ci trzeba? - zapytał Speed.

- Szczerze mówiąc, chcę się już ustatkować. Chcę dokonać legalnej inwestycji. Mój problem polega na tym, że muszę wyprać swoją forszę.

- Jak chcesz to zrobić? - chciał wiedzieć Speed.

- Potrzebuję gotówki - wyjaśniłem - wysłanej z banku na specjalne konto, które otworzyłem w Los Angeles i Nowym Jorku, nie wzbudzając podejrzeń. Potrzebuję także gotówki, żeby ją zamienić na legalne czeki.

Speed ucieszył się.

- Cóż, mogę to zrobić!

Wiedzieliśmy, że to jedna z rzeczy, którymi się zajmował. Zaczęły się negocjacje.

- Za ile?

- Za piątkę - odrzekł.

To znaczyło, że za każdą wypraną stówę bierze pięć dolarów prowizji. Stawka była dobra, więc powiedziałem:

- W porządku.

- Ile tego chcesz? - zapytał.

Nigdy nie jest rozsądne pochopne łądowanie się w interesy z tymi facetami.

- Ja nie znam ciebie, ty nie znasz mnie - powiedziałem. - Powolutku. W tej chwili mam innego faceta, który pierze mi forszę, ale zawsze wolę mieć kilka kontaktów. Nie chcę, żeby jeden gość znał cały mój biznes, więc wolę mieć jeszcze drugie źródło. Przywykłem też korzystać z usług jednego faceta, kiedy robię interesy z moimi przyjaciółmi z Kolumbii. Ale gdybym znalazł dla nich kogoś innego, komu mogliby zaufać, toby się ucieszyli - i ja też. Dobrze bym na tym wyszedł, bo płacę osiem Kolumbijczykom, a ty liczyłbyś mi po pięć.

Speedowi podobało się wszystko, co mu zapodawałem. Wyjaśniłem, że ostatnio zgamałem trochę kasy z dobrego źródła, sprzedając sporo kokainy. Teraz muszę wysłać forszę moim kolumbijskim dostawcom. Jim otworzył konto bankowe, tak by Speed mógł przelać pieniądze. Zaczęliśmy od pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

- Dam ci forszę - powiedziałem do Speeda, a następnie wskazałem na nasze źródło. - Ten facet za ciebie ręczy. Kilka razy już mnie wystawiono. Nie chcę, żeby coś złego przytrafiło się mojej kasie. Rozumiemy się?

- Słuchaj, chłopie - zaczął przekonywać mnie Speed. - Mam tu świetne zaplecze. I mocną pozycję w świecie biznesu.

- Ile ci to zajmie?

- Najwyżej tydzień - odrzekł. - Przeleję forszę w ratach.

Jeśli o mnie chodzi, byłem zadowolony. Pranie pieniędzy pochodzących z nielegalnego źródła jest sprzeczne z prawem. A więc teraz go mieliśmy.

Następnego ranka na parkingu Denny's dałem mu walizkę wypełnioną gotówką. Powiedziałem, że jeśli nie przyjedzie na czas, nie będę czekał - zniknę i już nie wrócę. Pokazywałem swój autorytet, władzę, kontrolę - czy jak chcecie to nazwać - od samego początku.

Wszystko poszło świetnie. Pieniądze, które mu dałem, wróciły na konto pomniejszone o pięć procent. Część pieniędzy nadeszła także w formie czeku, którego pochodzenia nie dało się ustalić. Rzecz jasna, chcieliśmy wiedzieć, kim jest nadawca. Na kolejnym spotkaniu wyjaśniłem Speedowi, że to, że jakaś trzecia osoba jest zamieszana w całą sprawę, nie podoba mi się, i że chcę poznać tego faceta. Okazało się, że to poszukiwany gangster powiązany ze zorganizowaną rodziną przestępczą z Filadelfii - nie był to mianowany członek mafii. Zapoznaliśmy się z nim i wkrótce potem przekazałem Speedowi do wyprania sto tysięcy dolarów.

Celem tego śledztwa nie było aresztowanie Speeda za pranie brudnej forsy. Chodziło o to, żeby dobrać się do podejrzanych o korupcję urzędników miasta, którzy - jak słyszeliśmy - brali od Speeda łapówki. Speed bardzo się w moją sprawę zaangażował - zaczął do mnie dzwonić o każdej porze, chcąc wyprać

dla mnie jeszcze więcej kasy. Kiedy byłem w samochodzie z Gregiem, zadzwonił telefon. Był to Speed. Nie odebrałem.

- Kto to? - pyta Greg.

- Taki jeden dupek - odpowiadałem. - Ciągłe mu powtarzam, żeby do mnie nie dzwonił.

Nawiasem mówiąc, to samo mówiłem Gregowi, kiedy dzwonił do mnie jakiś agent FBI.

Speed nie był nam potrzebny do wyprania kolejnej sumy - złapaliśmy go już na tym przestępstwie. Chodziło teraz o to, by dobrać się do skorumpowanych urzędników. Tak więc Speed i ja mieliśmy konflikt interesów - ja próbowałem zacząć z nim interes w branży budowlanej, tak byśmy brali udział w przetargu miasta na jakiś projekt i wręczyli łapówkę członkowi rady miejskiej czy komu trzeba. On był nakierowany na zarabianie forsy dzięki praniu dla mnie brudnych pieniędzy.

I wtedy Speed wpadł na pomysł - zacznie biznes transportowy. Będzie przewoził narkotyki w specjalnych skrytkach w samochodach i ciężarówkach (caletas i clavos, jak nazywaliśmy je w Badlands).

Speed wiedział, że choć chciałem odejść z handlu narkotykami, nadal mam wiele wspólnego z tą branżą, więc chciał, żebyśmy ubili interes po legając na transporcie. Sądził także, że skoro mogłem zarobić pieniądze na sprzedawaniu narkotyków, on mógł stworzyć dla siebie niszę, przez wożąc je, a następnie piorąc dla mnie pieniądze pochodzące ze sprzedaży. Chciał na mnie zarobić w dwójnasób lub - inaczej mówiąc - zbierać forsy na obu końcach tego samego interesu. Próbowałem go przekonać, że sprzedawanie narkotyków to najgorsza rzecz na świecie. Mówiłem mu, że jestem niemal na emeryturze i nie chcę wracać do interesu.

Nie mogłem mu wyjawiać prawdziwej przyczyny - że, jak nauczyłem się w Badlands, narkotyki nie mogą pójść w świat. Gdyby Speed zaczął przewozić narkotyki, chciałby kilka kilogramów dla siebie jako marżę. Moglibyśmy zorganizować paczki podróbek narkotyków i dać mu je do przewiezienia. Ale to oddaliłoby nas od prawdziwego celu śledztwa - dojścia do skorumpowanych polityków. Gdyby Speed zaczął sprzedawać prawdziwe narkotyki, musielibyśmy go za to zgarnąć, a nasze śledztwo dotyczące polityków w Atlantic City wzięłoby w łeb. Speed nagabywał mnie o pranie brudnych pieniędzy, ja nie mogłem go przekonać, aby zaczął ze mną biznes w budownictwie, a teraz wpadł jeszcze na swój genialny pomysł, aby przewozić narkotyki.

Speed był cholernie uparty. Któregoś dnia przyjechał do mnie i podzielił się ze mną wiadomością, której naprawdę nie chciałem usłyszeć: miał jechać na Florydę, aby wykonać próbną jazdę i przewieźć narkotyki. Miał zamiar przewieźć niewielką ilość, parę kilo z Florydy do Atlantic City w specjalnie wyposażonej ciężarówce. Pomyślałem: co, u diabła, chce, żebym z tego powodu się cieszył? Był o krok od zrujnowania całego śledztwa. Ale nic nie mogłem poradzić.

- Speed, nie chcesz się w to pakować - powiedziałem do niego z całą powagą, na jaką mnie było stać. - Zaufaj mi. Nie wchodź w to.

Oto ja, dealer narkotykowy, próbowałem przekonać faceta, by nie angażował się w handel tym towarem, ponieważ kiedy już zaczynamy mieć z tym do czynienia, sprawa kończy się marnie. Że powtórzę: narkotyki nie mogą iść dalej!

Ale nie. Speed pojechał na Florydę swoim nowym, zmodyfikowanym samochodem i schował w nim towar. Wyglądało na to, że cała ciężka praca, którą FBI włożyło w tę sprawę, ma rozwiać się z dymem, a w tym wypadku - wybuchnąć.

Cóż, Speed był uparty jak zwykle i co kilka godzin dzwonił do mnie, żeby powiedzieć, gdzie jest.

- Jestem w Północnej Karolinie - świetnie mi idzie!

Agenci prowadzący sprawę urządzili naradę wojenną.

- Jeśli naprawdę przewozi te cholerne narkotyki - ustaliliśmy - musimy go zdjąć.

Tak więc zebraliśmy się, by wykonać zadanie. Kilka godzin później znowu zadzwonił telefon.

- Jestem w Wirginii!

Zbliżał się coraz bardziej, a nasza sprawa była na granicy rozkładu... i nagle Speed zniknął.

Wszyscy w biurze patrzyliśmy po sobie, myśląc: gdzie, u diabła, jest Speed?

Powiedziałem mu, żeby do mnie zadzwonił, kiedy przyjedzie do New Jersey, tak bym wiedział, że wszystko jest w porządku. W końcu nie mogliśmy już znieść tego czekania i wysłaliśmy agentów do jego domu. I ku naszemu zdziwieniu odkryliśmy, że Speed został aresztowany... przez policję w New Jersey i DEA! Byli na jego tropie od samego początku.

Ten cholerny skurwiele! - pomyślałem. To my powinniśmy go aresztować i przechwycić towar, ponieważ wtedy moglibyśmy jeszcze reanimować sprawę polityków z Atlantic City. Zaczęliśmy się gorączkowo zastanawiać, co teraz.

Tak więc agent Jim Eckel nawiązał kontakt z okręgową policją w New Jersey oraz DEA.

- Cześć, chłopaki - powiedział - pracujemy nad tą sprawą. Czy możecie odroczyć oskarżenie, czy możemy tu coś pokombinować? Próbuje dorwać polityków z Atlantic City, a on może się nam bardzo przydać.

Dowiedzieliśmy się także, jak DEA odkryło, że Speed ma przewieźć narkotyki. Mieli swoją wtyczkę - faceta, który wiedział o skrytkach zrobionych w ciężarówce Speeda. Wiedzieli też, że Speed ma przetransportować dużą ilość narkotyków, około pięciuset kilogramów, dla faceta o imieniu Manny. Oczywiście to była jazda próbna Speeda - bynajmniej nie miał on pięciuset kilogramów narkotyków! DEA wstrzymało dla nas sprawę, bo byli rozczarowani pięciokilogramowym ładunkiem. Skoro towaru było tak niewiele, ich stosunek do sprawy był taki: jeśli FBI chce wnieść oskarżenie przeciwko Speedowi, to bawcie się dobrze.

Tak więc Jim poszedł do aresztu, gdzie był Speed, którego namówił do współpracy. Speed szybko się zgodził.

- Wstydzę się za siebie - powiedział Jimowi Speed. - Nie powinienem być tego robić. Będę współpracował. Proszę was tylko o jedno: musicie mnie chronić przed Mannym! To narkotykowa gruba ryba - i Ku-bańczyk - zabije mnie, jeśli się dowie, co się stało! Będę współpracował, dam wam, czego chcecie, chłopaki. Ale proszę... załatwcie mi ochronę przed Mannym!

Jim się roześmiał.

- Wiesz, dla kogo pracuje Manny? - zapytał.

- Dla kartelu Kolumbijczyków? Jim potrząsnął głową.

- Drużyna Ameryki! - powiedział mu. - Jest tajnym agentem FBI!

- O kurde! Niemożliwe, do cholery!

W tym momencie z pewnością kamień spadł mu z serca. Nie bał się odsiadki w więzieniu, policji, DEA czy FBI. Bał się mnie! Tak więc teraz mieliśmy Speeda na takich warunkach, na jakich chcieliśmy. Jeśli chciał pomóc sam sobie, musiał pomóc nam. To poetyckie ujęcie sprawiedliwości. Jeśli wziąć pod uwagę, jak bardzo mnie nagabywał, żebym prał u niego pieniądze, powinienem dostać Oscara za wczucie się w rolę. Wymyślałem historyjkę za historyjką - jadę na Florydę, mój kot zdechł, dziecko mi zachorowało, moja ciotka Maria musi mieć wstawione sztuczne biodro - wymyślałem, ile wlezie. Jednak teraz, kiedy Speed zmienił front i dołączył do Drużyny Ameryki, zmieniliśmy cały scenariusz.

Dlatego jest dla mnie takie ważne, by nie przesadzać z wizerunkiem twardziela, kiedy jestem tajnym agentem. Jasne, że musisz wzbudzać szacunek i strach. Ja dążę do tego, by wzbudzać szacunek i - być lubianym. Kiedy mnie lubią, strach przede mną przychodzi im naturalnie. Zaczynasz od łagodnych tonów, a jeśli sytuacja tego wymaga, pokazujesz, że masz twardą rękę. Nie możesz zacząć od zgrywania twardziela, a potem się spoufalać. Zwykłem mówić do dealerów: „Nigdy nie mylcie mojej sympatycznej gęby ze słabością!”.

Wymyśliłem nowy scenariusz. Speed został przydzielony do Jima Eckela jako jego nowy świadek współpracujący. Miał mnie przedstawić politykom z Atlantic City jako Mannyego, potężnego handlarza narkotykami, z kupą forsy do zainwestowania. Zaproponowałem, że przedstawimy także innego agenta, Michaela Grimma, znanego także jako Mikey Suits, który włączyłby się w sprawę jako mój bliski współpracownik, facet, który pierze brudne pieniądze. Mikey miał grać inwestora z Wall Street, powiązanego z mafią i gangsterami takimi jak ja. Speed natychmiast zaczął ustawiać spotkania z członkami Rady Miasta w kasynie w Atlantic City.

Najpierw spotkaliśmy się towarzysko z przewodniczącym Rady. Urządziliśmy spektakularne show. Poszliśmy do restauracji Old Home-stead w hotelu Borgata, dobrze się bawiliśmy, odprężeni pokazaliśmy się to tu, to tam, paplaliśmy o finansach, polityce, dziewczynach, sporcie, o wszystkim. Na kolejnym spotkaniu Mikey Suits wziął urzędników miejskich na stronę.

- Mam wielu wybrednych klientów - powiedział im. - Ten tutaj, Manny, jest jednym z nich.

Skinąłem tylko głową. Mike był moją wizytówką - odwalił za mnie całą tę gadkę.

- Chcemy zainwestować w Bader Field - powiedział im Mikey, a oni zaczęli ze zrozumieniem kiwać głowami.

Bader Field to stare lądowisko w Atlantic City, bardzo pożądana posiadłość, która miała być zagospodarowana.

- Problem polega na tym, że Manny nie zna nikogo w tym mieście - wyjaśnił Mikey - A chce się włączyć w interes. Chciałby mieć przyjaciół we władzach miasta, którzy by pilnowali, żeby przetarg poszedł po myśli. Tego właśnie chcemy.

Wszyscy rozumieli, o czym mówił Mikey. Zniknąłem na jakiś czas, a Mikey zapłacił Craigowi Callawayowi, członkowi Rady Miasta w Atlantic City i urzędnikowi w Camden w New Jersey, oraz

Ramónowi Rosario, radnemu w Camden. Podczas całego trwania sprawy, zawsze przeprasząc, ułatwiałem się, kiedy Mikey Suits im płacił, a następnie razem szliśmy na kolację. Zbliżyliśmy się do siebie z Ramónem - on jest Dominikańczykiem, a ja odgrywałem Kubańczyka, więc wszystko poszło gładko.

Nie minęło wiele czasu, a wyjaśniliśmy Craigowi sytuację. Powiedzieliśmy mu, że to była pułapka, jaką przygotowało FBI, a on zgodził się współpracować i mieć na sobie podsłuch w spotkaniach z pozostałymi. W ten sposób Mikey Suits i ja sięgnęliśmy jeszcze głębiej w sprawy Rady Miasta Atlantic City i zgarnęliśmy jeszcze kilku innych urzędników, którzy łamali prawo, choć zostali wybrani, by go przestrzegać.

Callaway okazał się bardzo trudny do prowadzenia jako współpracownik. W pewnym momencie bez naszej wiedzy zaaranżował nagranie sekstaśmy, która była pułapką na jego kolegę z Rady Miasta. Zadał sobie trud, by wynająć pokój w motelu, załatwił ukrytą kamerę i zatrudnił młodą kobietę, która zwabiła owego radnego do motelu, gdzie odbyła z nim stosunek, co w pełni i wyraźnie nagrała kamera wideo. Według adwokata owego drugiego radnego, celem zrobienia nagrania i groźby że się je upubliczni, było zmuszenie jego klienta do rezygnacji z zasiadania w Radzie Miasta.

Wątki tej pięknej sprawy ciekawie się z sobą splatały i mogła ona nabrać jeszcze większego rozmachu. Tyle tylko, że zdarzyła się przykra niespodzianka: Prokuratura Generalna Stanów Zjednoczonych zaczęła wywierać presję, by sprawę zamknąć. Według mojego rozeznania w temacie powiedziano FBI: „Na tym koniec. Osiągnęliście wszystko, co mogliście”.

My mówiliśmy im: „Nie! Zamiast zamykać tę sprawę, możemy złapać także innych - wsadzić więcej facetów”.

Jedna uwaga o Jimie Eckelu - był tak świetnym agentem, że udawało mu się namawiać kolejnych podejrzanych, by współpracowali z FBI -robił to z mistrzostwem godnym wytrawnego kucharza, który rzuca na talerz kolejne naleśniki. Ale z jakichś powodów Prokuratura Generalna doszła do wniosku, że na tym koniec. Być może chcieli, by gazety zaczęły się rozpisywać o skazaniu ludzi, którzy już wtedy byli pogrążeni. A może to po prostu polityka i biurokracja, czyli to, co zwykle. Kto wie? Tak czy inaczej sprawie ukrecono łeb.

Rezultaty sprawy: wszyscy oskarżeni dostali wyroki skazujące i trafili do więzienia. Rzecz, która nie daje mi spokoju, to nie tylko fakt, że byli skorumpowani, lecz to, że byli w tym tak bezwstydni. Nie urządzaliśmy tajnych spotkań w kryjówkach pod osłoną nocy. Skorumpowani politycy, z którymi Mikey Suits i ja robiliśmy interesy, spotykali się z nami w miejscach takich jak hotel Borgata, gdzie wszyscy mogli zobaczyć, że najważniejsi politycy miasta dzielą się chlebem z ludźmi, którzy nie mogą być nikim innym jak tylko gangsterami.

Nie chodziło tylko o to, że urządziliśmy zasadzkę na kilku umoczonych polityków. Próbowaliśmy wstrząsnąć społecznością kryminalną, jaka istniała w Atlantic City. W ten sposób kilku bandziorów trafiło w owym czasie do paki, a my zmieniliśmy polityczny krajobraz miasta.

ROZDZIAŁ 14

„Jakbyśmy w cmentarz zainwestowali, toby ludzie przestali odwalać kitę”

Prezent w postaci sygnetu oraz informacja, że jestem teraz współnikiem Starego, sprawiły, że nagle stałem się osobą powiązaną z mafią. Niektórzy całe życie pragną czegoś takiego doświadczyć. Przypomina mi to początek Chłopców z ferajny. Henry Hill był dzieckiem, które dorastając w Brooklynie, zobaczyło gangsterów elegancko ubranych, jeżdżących fantastycznymi samochodami, mających furę pieniędzy i nigdy niero-biących niczego, co chociaż przypominałoby pracę. Kiedy Henry stał się nastolatkiem, jego największym pragnieniem było znaleźć się pośród owych gangsterów. I tak właśnie

potoczyły się jego losy. Hill nie jest jedynym takim przypadkiem. Na świecie istnieje mnóstwo ludzi, którzy dorastając, marzą że któregoś dnia zostaną przyjęci pod skrzydła jakiegoś mafiosa, że będą należeli do mafii.

To naprawdę tak, jakby się wygrało na loterii. Jeśli spaprzesz lub ukradniesz coś, co należy do jakiegoś innego gangstera, nikt nie powinien cię za to sprzątnąć czy choćby spuścić ci lania. Możesz powiedzieć: „Jestem z Gregiem DePalma”. To oznacza, że DePalma będzie prowadził rozmowę w twoim imieniu - rezultat jest taki, że póki wszyscy zarabiają pieniądze, niezależnie od tego, co byś złego zrobił, niemal zawsze można to naprawić!

Gdybym był prawdziwym gangsterem pracującym na swą kryminalną kartotekę, czułbym się bezpiecznie. Powiedzmy, że kradnę ciężarówkę i nagle okazuje się, że należy ona do firmy transportowej, która jest pod parasolem Vinny'ego Bagadonutsa, kapitana w rodzinie Lucchese. W porządku, sparałem sprawę. Ale zamiast bicia lub zabójstwa pomiędzy Gregiem a Vinnym odbywa się narada. Rezultat: mogę podzielić się ładunkiem lub sumą pochodzącą ze sprzedaży z Vinnym lub oddać mu ciężarówkę w całości. Oczywiście Greg zabrałby sobie jakąś część, bo jest moim kapitanem. Gdyby ciężarówka zawierała skradziony towar wart sto tysięcy dolarów, powiedzielibyśmy Vinnemu, że sprzedaliśmy go za mniejszą sumę i moglibyśmy wziąć do kieszeni resztę. Kto chce się kłócić o takie gówno? Przecież nikt nie pójdzie do sądu i nie złoży skargi ani nie pojawi się w Sędzi Judy3, by analizować problem.

Zawsze będę pamiętał, co powiedział mi Greg: „Gangsterzy nie pozywają innych gangsterów, gangsterzy ich zabijają!”. Każdy chce dostać jak najwięcej. Złodzieje są złodziejami, zwłaszcza wobec siebie nawzajem. Dlatego właśnie system nasiadówek jest tak ważny dla mafii - dzięki nim wymyśla się sposoby, by rozwiązać problemy, których nie można zgłosić na policję. Na przykład jeśli facet nie płaci tego, co jest winien, lub nie płaci tego, co narosło od zaciągniętego długu, albo gdy ktoś w swojej działalności kryminalnej przekracza wytyczone granice - kapitanowie mogą zwołać posiedzenie i po przyjacielsku się naradzić, a następnie dalej koegzystować i... zarabiać pieniądze. Pośród złodziei nie ma takiego pojęcia jak honor. Jeśli jeden gangster powie, że coś sprzedał za dwadzieścia tysięcy dolarów, możesz założyć, że sprzedał to za pięćdziesiąt tysięcy. Ten drugi gangster też wie, że to kłamstwo. Nieważne. Wszyscy i tak dostają swoją działkę.

Z perspektywy organów ścigania w fakcie, że związałem się z mafią, pięknie było to, że mogłem porzucić swoją poprzednią rolę ofiary mafijnych wyludzeń i stałem się członkiem gangu. Nie dziaiałem już w klubie i nie czekałem na to, co się zdarzy, lecz miałem najlepszy ogląd tego, co porabiają DePalma i jego wspólnicy. Mój status tajnego agenta pozwalał mi zidentyfikować mianowanych członków mafii, którzy nie widnieli jeszcze w kartotekach FBI. Mogłem powiedzieć Biuru, kto pełni funkcję kapitanów, kto jest członkiem drużyny, kto z kim rozmawiał i o czym. W ten sposób zaczęliśmy kolejne sprawy przeciwko mafiosom, z którymi się spotykałem, oraz przeciwko tym, którzy pojawiali się w ich rozmowach nagranych dzięki podsłuchowi.

Oczywiście chciałbym, aby było jasne, że nigdy nie czerpałem żadnych dochodów z żadnego faktycznego przestępstwa ani też nie byłem obecny przy tym, jak kogoś zabito lub poćwiartowano, ani przy żadnej z owych typowo hollywoodzkich wyssanych z palca bredni. Nigdy nie przekroczyłem tej granicy w sprawie Gambino czy jakiegokolwiek innej, w której pracowałem jako tajny agent podczas mojej długoletniej działalności w Biurze.

Teraz, kiedy byłem już jednym z nich, mogliśmy także założyć podsłuch, który umożliwił nam śledzenie działań owych kryminalistów lepiej niż kiedykolwiek. W ten sposób Biuro mogło stwierdzić, czy grozi mi jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, i to był wielki plus. Założyliśmy podsłuch pod stolikiem DePalmy w Pasta Per Voi, restauracji w Port Chester w stanie New York, blisko granicy z Connecticut, gdzie Greg często spotykał się z Anthonym Megalem, wiceszefem Gambino. Właścicielem restauracji był Joe Fornino, związany z Gambino od dawna, ktoś, kogo Greg brał pod uwagę jako mianowanego członka mafii. Nazywano go również „Joe Machines”, ponieważ umieścił wiele maszyn do gry w restauracjach na obszarze Nowego Jorku. Kiedy Greg był w więzieniu, Joe dostarczał mu żywności, a nawet gotowych posiłków dla Johna Gottiego lub skorumpowanych strażników, którzy dla uwięzionych mafiosów łamali panujące w więzieniu zasady. Jedząc w restauracji należącej do Joe, Greg nie tylko „pozwalał zarobić rodzinie”, ale nigdy nie musiał płacić za lunch.

Nagrania, które zrobiliśmy w Pasta Per Voi, były bardzo kiepskie, ponieważ - i postępowali tak wszyscy sprytni mafiosi - ilekroć rozmawiano

0 czymś ważnym, puszczano głośno muzykę, aby uniemożliwić nagranie i sprawić, że stanie się ono niezrozumiałe.

Jednak to nie powstrzymało nas przed założeniem podsłuchu na telefonie DePalmy. Sąd dał nam ograniczony dostęp do jego rozmów - mogliśmy odsłuchiwać jedynie rozmowy związane z jego działalnością kryminalną. Rozmowy prywatne nie wchodziły w zakres podsłuchu. To pokazuje, jak sąd wysiła się, by chronić prawa osoby, która spędziła całe życie na działalności przestępczej i nadal miała konszachty ze znanymi kryminalistami. W przeciwieństwie do tego, co pisały gazety, nigdy nie zakładaliśmy podsłuchu w pokoju syna Grega w domu opieki.

Niektóre dni były naprawdę bardzo dobre - udawało nam się uchwycić ważne rozmowy: słuchaliśmy o ściąganiu długów, łamaniu nóg

1 wszelkiego rodzaju działalności przestępczej. Bywały dni, kiedy nie zdołaliśmy uchwycić rozmowy, bo Greg i jego towarzystwo zostawiali telefon w samochodzie i rozmawiali poza wozem. To charakterystyczne dla pracy w organach ścigania - „raz na wozie, raz w nawozie”. Inny agent pracujący nad tą sprawą zwykł mawiać: „Mamy dziś takiego pecha, że jakbyśmy w cementarz zainwestowali, toby ludzie przestali odwalać kitę”. Ale wytrwaliśmy. Przechwyciliśmy wiele rozmów z telefonu Grega i teraz mieliśmy o wiele większy dostęp do jego planów.

Podsłuch zamontowany w telefonie Grega przyniósł nam bardzo dużo informacji, jednak był pewien szkopuł: Greg łatwo wpadał w złość i będąc człowiekiem gwałtownym, ilekroć usłyszał coś, czego nie chciał słyszeć, rzucał telefonem. Za każdym razem, kiedy tak się działo, na mnie spoczywał obowiązek dopilnowania, by na nowym telefonie komórkowym Grega również znalazł się podsłuch. Do czasu, aż zamknięto sprawę, tak zaznajomiłem się ze sprzedawcą telefonów, że mówiliśmy sobie po imieniu.

Nat i ja pracowaliśmy nad nowymi sposobami wykorzystania mojej relacji z gangsterami. Na przykład wszyscy w Nowym Jorku wiedzą, że istnieje zjawisko ogromnych fałszerstw przetargów w przemyśle budowlanym. W istocie nikt w całym mieście nie może kiwnąć palcem, a nawet kichnąć, żeby mafia nie dowiedziała się o tym i nie podjęła działań.

Chcieliśmy otworzyć firmę budowlaną, tak by stworzyć sprawy dotyczące fałszowania przetargów przeciwko gangsterom. Jednak zwierzchnicy - ludzie w hierarchii w FBI znajdujący się nad agentem pracującym nad sprawą oraz nad prowadzącym sprawę - powiadomili nas, że odpowiedź brzmi: nie. Za duża odpowiedzialność.

- Odpowiedzialność? - zapytałem, zdumiony. - O jakiego rodzaju odpowiedzialności mówicie?

Oto, jaka nadeszła odpowiedź: „A co będzie, jeśli wasza betoniarka zderzy się z autobusem szkolnym, nastąpi wybuch i wszyscy zginą? W takim wypadku odpowiedzialność spocznie na Biurze”.

- Czy dobrze słyszę? - zapytałem. - Jakie jest prawdopodobieństwo, że betoniarka zderzy się z autobusem? Nie sądzę, żeby FBI właśnie o to się martwiło!

- A co jeśli wasz cement nie będzie spełniał kryteriów i ktoś wytoczy wam proces sądowy albo jeśli ktoś będzie miał wypadek lub zginie?

W Nowym Jorku cement nazywają włoskim złotem. Mafia nigdy nie oszczędza na cemencie, bo w ten sposób tylko by zwróciła na siebie uwagę. Czy zdarzyło się, aby jakiś cement niskiej jakości dostał się na budowę? Oczywiście, że się zdarzało. W historii świata wszystko się zdarzało. Ale od tego są informatorzy i tajni agenci - moglibyśmy ich wykorzystać do tego, by pilnowali takich spraw. Przejechanie na czerwonym świetle i wpakowanie się w szkolny autobus? Cement niespełniają-cy wymogów? Dajcie spokój, chłopaki! Czemu po prostu nie powiecie: „Nie, bo nie”, i nie przejdziecie do swoich spraw?

Mimo iż nie zapowiadało się, byśmy w najbliższej przyszłości mogli otworzyć firmę budowlaną, moje życie zaczynało się naprawdę komplikować. Aby pokazać jego szaleństwo w tamtym czasie, podam przykład. Pewnego dnia spotkałem się i jadłem lunch z Gregiem w Westchester. Następnie pojechałem do Atlantic City na kilka spotkań w sprawie Royal Charm. Kiedy tam byłem, pracowałem także nad Steal Pier - sprawą skorumpowanych polityków, którą opisałem w poprzednim rozdziale. Następnie otrzymałem telefon z Miami dotyczący pewnych renegatów w policji w Hollywood na Florydzie i zarezerwowałem lot z Newark Liberty

Airport, gdzie zostawiłem swój samochód. Po kilku dniach w Hollywood zarezerwowałem lot z powrotem na lotnisko Kennedyego, gdzie zwykle lądowałem. Kiedy przyleciałem, zdałem sobie sprawę, że zostawiłem samochód w Newark! Wynająłem samochód z kierowcą, który zawiózł mnie do domu. Następnego dnia moja żona odwiozła mnie do Newark, żebym mógł odzyskać samochód, urządzając mi awanturę i podając szereg argumentów, dlaczego powinienem już odejść z tej wariackiej pracy.

- Zobacz, co robisz! - mówiła. - Zamęczasz się na śmierć! Nie wiesz nawet, gdzie jest twój własny samochód! Nie wiesz, kim w danym dniu jesteś!

Miała rację. Żonglowałem tożsamościami związanymi z każdą ze spraw, najczęściej znajdując się daleko od żony i córki i zawsze się narażając. Wielu chłopaków wykonuje pracę tajniaków - ale nikt nie robił tego, pracując równocześnie nad kilkoma sprawami. Dlatego mówię, że agenci są świetni, ale to ich żony i dzieci są prawdziwymi bohaterami. To one poświęcają najwięcej.

To ciekawe - zawsze jestem bardzo ostrożny i zanim przystąpię do sprawy, przygotowuję się. Dowiaduję się wszystkiego o ludziach, z którymi mam pracować, dobrze rozumiem sytuacje, w jakich mam się znaleźć, z kim mam się spotkać i jak mam się zaprezentować. Jedyne sytuacje, w których zapomniałem o wymyśleniu wiarygodnego kłamstwa o sobie, zdarzały mi się w prawdziwym życiu. Ludzie pytali mnie: „Czym się zajmujesz?”.

Cóż, kiedy im mówiłem, że jestem agentem FBI, wszyscy wywracali oczami i mówili: „Och tak, jasne!”. Jednocześnie nie chciałem, żeby wszyscy na tej planecie wiedzieli, że jestem agentem FBI, bo nie wiedziałem, kim są ich przyjaciele lub komu mogą to powtórzyć. Tak więc po prostu wymyślałem coś na poczekaniu. Jednemu sąsiadowi powiedziałem, że pracuję w przemyśle budowlanym. Innemu, że pracuję w nieruchomościach. Trzeciemu, że jestem właścicielem restauracji. Mówiłem, co mi akurat wpadło do głowy.

Któregoś dnia moja żona miała do mnie sprawę: „Kiedy podwoziłam córkę do szkoły, spotkałam pewną kobietę - przedstawiłaś jej jedną wersję i teraz nie wiem, co mam zrobić. Powiedziałaś jej, że jesteś Włochem. Tyle tylko, że jej mężowi powiedziałeś, że jesteś Kubańczykiem! Musisz sprzedawać ludziom jedną wersję!”.

Jednocześnie moja córka chciała, żebym poszedł do jej szkoły i opowiedział kolegom z klasy, czym się zajmuję, jak zrobili to wszyscy tatusiowie. Nie wchodziło w grę, bym to zrobił, i było jej naprawdę przykro. Na domiar złego, póki nie skończyła sześciu lat, nie znała nawet mojego prawdziwego imienia. Słyszała, jak rozmawiam przez telefon. Przedstawiałem się jako Hector, Antonio, José, Manny i tak dalej - ona wiedziała tylko, że jestem jej tatusiem. Wkładałem dużo energii w role, z jakimi przyszło mi się zmierzyć w pracy tajnego agenta - powinienem był przeznaczyć jej trochę na stworzenie dla siebie roli w prawdziwym życiu. Kiedy mieszkaliśmy na Manhattanie, moi sąsiedzi dowiedzieli się, że jestem w FBI z powodu pewnego incydentu. Moja żona i córka - wtedy jeszcze niemowlę - zostały napadnięte przez bezdomnego niedaleko siedziby ONZ. Tutaj, na przedmieściach, gdzie teraz żyliśmy, bałem się, że moi sąsiedzi powiedzą komuś: „On jest w FBI”.

Ale moi sąsiedzi musieli mówić: ten facet to największy bajarz na ziemi! Sądziłem także, że należę do programu ochrony świadków z powodu tego, jak wyglądałem i jak się zachowywałem, oraz z uwagi na mój rytm dnia. Byłem jak Steve Martin w Blue Heaven - po prostu nie pasowałem do reszty. Teraz sąsiedzi mówią do mojej żony: „Zawsze sądziliśmy, że coś jest nie tak z twoim mężem - jednego dnia jest Włochem, następnego Kubańczykiem, a kiedy indziej jest w połowie Włochem, a w połowie Kubańczykiem”.

Nie miałem czasu się tym martwić, bo kiedy DePalma wziął mnie pod swoje skrzydła, prowadzona przez nas sprawa radykalnie zmieniła bieg. Na początku zwyczajnie chodziło o to, by się przekonać, jacy gangsterzy przychodzą do klubu ze striptizem i może wywieść się, co dałoby się zrobić, by aresztować kilku z nich za różne przestępstwa. Jednak teraz sprawy przybrały nowy obrót. Jako współnik DePalmy miałem być wtajemniczony w niektóre - z pewnością nie we wszystkie - jego rozmowy dotyczące kryminalnej spółki rodziny Gambino. Docierały do

mnie różnego rodzaju informacje dotyczące mafii i tak naprawdę niebyło wiadomo, do czego mogło to nas doprowadzić. W FBI zadawali śmy sobie następujące pytanie: jak spowodować, by cała sprawa nabrała jeszcze większego znaczenia?

W owym czasie nie byłem oficjalnie „mianowany” na członka mafii. „Współpracownik” może służyć przez całe życie i nie zostać mianowanym członkiem mafii. Jeśli jest lojalny i przynosi wystarczająco duże dochody, może dostać propozycję oficjalnego członkostwa. Wiem, że to ABC mafii, ale poruszam tę kwestię, bo Greg DePalma mógł mnie te raz przedstawiać innym gangsterom jako „swojego przyjaciela”. To było o poziom wyżej od ostrożnej serdeczności, która doprowadziła naszą relację do obecnego etapu. Jednak nadal to nie to samo co bycie mianowanym członkiem mafii. Gdybym nim był, Greg mógłby mnie przedstawić innym mianowanym członkom jako „naszego przyjaciela” („amico nostro”). Różnica między „moim przyjacielem” a „naszym przyjacielem” była olbrzymia, ponieważ jeden mianowany członek mafii mógł otwarcie mówić z drugim w obecności trzeciego. Jeszcze nie doszedłem do tego etapu. Szczerze

mówiąc, nigdy nie oczekiwałem, że dostanę propozycję członkostwa. Nie miałem złudzeń ani oczekiwań, że mogę zostać drużym człowiekiem pełniącym służbę w organach ścigania, po Joe Pistonie, któremu zaproponuje się członkostwo w La Cosa Nostra.

Fakt, że zostałem członkiem drużyny Grega, zmienił mój plan dnia. Greg czuł się w obowiązku codziennie sprawdzać swoich ludzi. Zawsze chciał wiedzieć, gdzie byliśmy poprzedniej nocy, zawsze bał się, że zgarnęto nas FBI i że poszliśmy na współpracę, co wpakowałoby jego i całą rodzinę Gambino w niebezpieczne położenie. Uznawał, że dopóki każdego wieczoru kontaktuje się ze swoimi chłopakami, może czuć się bezpieczny.

Moje kontakty z Gregiem stały się częstsze i rozmawialiśmy przy najmniej raz dziennie. Stawało się to coraz bardziej stresujące, bo Greg chciał upłynnić coraz więcej biżuterii. W trakcie rozmów telefonicznych na biżuterię mówił „trofea”.

- Jackie, chłopcze - mówił. - Potrzebuję więcej trofeów! Kiedy, u diabła, załatwisz mi więcej trofeów? Doprowadzało mnie to do szału.

Naked Truth było doskonałą bazą dla mojej roli w sprawie, ponieważ klub stworzył mi warunki do otarcia się o mafiosów ze wszystkich pięciu rodzin, nie tylko Gambino. To było świetne tło dla innych spraw kryminalnych, jakie prowadziło Biuro. Na przykład aby wykorzystać możliwości, jakie stwarzała moja relacja z Gregiem, moi prowadzący i ja chcieliśmy włączyć do sprawy drugiego agenta. Tym agentem był Mike Grimm, znany także jako Mikey Suits, który odgrywał także dużą rolę w śledztwie dotyczącym skorumpowanych władz miasta w Atlantic City. Mike wygląda jak z reklamy mody męskiej, typ faceta z Wall Street, począwszy od garniturów od Armaniego po buty Ferragamo. Chodzi na manicure i zawsze ma idealną fryzurę. Kobiety kochają tego faceta. Jest świetnym tajnym agentem. Wiedziałem, że może bardzo pomóc w mojej sprawie i przy okazji będzie mógł uwiarygodnić swój wizerunek w oczach podejrzanych w innym śledztwie, którym się aktualnie zajmował, gdy będzie widywany w towarzystwie chłopaków Gambino, jak Greg DePalma czy Jack Falcone. W tym czasie Mikey był tajnym agentem w operacji Wooden Nickel, dużym śledztwie dotyczącym korupcji w handlu obcymi walutami na Wall Street. Tak więc powiedziałem DePalmie:

- Mam pewnego faceta, jest młodym gangsterem, jest dobry. Ma wielu przyjaciół. Mogliby tu przyjść i wpompować w klub dużo pieniędzy.

- W porządku. Poznajmy tego gościa! - powiedział DePalma. - Przyprowadź go tutaj!

Mikey Suits przywiózł limuzynami koło trzydziestu handlarzy obcą walutą z Wall Street do klubu w Bromcie. Zapowiedział im, że mają dobrze wyglądać.

- Poznacie pewnych ludzi powiązanych z Gambino - powiedział Mikey ludziom, którzy stanowili cele jego śledztwa. - Dziewczyny, alkohol, cokolwiek chcecie, dostaniecie to. Ale zapamiętajcie sobie: nie jesteście już w Nowym Jorku. Jesteście w Bronxie! Tu ludzie trzymają się razem, więc nikogo nie obrażajcie. Zobaczycie tu wiele szemranych typów. Zachowujcie się albo komuś może stać się krzywda.

Greg był w euforii, bo było oczywiste, że ci goście wydadzą w klubie dużo pieniędzy. Faceci byli zachwyceni, że nagle znaleźli się w knajpie pośród ludzi mafii. Nie mieli pojęcia, że znaleźli się również wśród agentów FBI. Wydawali pieniądze na prawo i lewo i DePalma był ze mnie niezmiernie zadowolony.

- Świetna robota, lackie! - powiedział mi. Przedstawiłem mu Mike'a. Powiedziałem:

- Mike, oto Greg DePalma.

Mike okazał mu głęboki szacunek, podziękował Gregowi za możliwość urządzenia tutaj imprezy i wrócił do swoich kumpli. Grał doskonale. W rezultacie zrobił świetne wrażenie. Wycieczka w teren z chłopakami z Wall Street nadała dobry obrót jego sprawie i zdecydowanie miała korzystny wpływ na nią.

Niebawem stałem się powiernikiem Grega. Jego niewyjaśnione zerwanie z Morayem pozostawiło lukę do wypełnienia - brakowało mu kierowcy, partnera w interesach, najlepszego przyjaciela - i ja przejąłem wszystkie te role. Niektóre zadania były względnie proste. Na wczesnym etapie Greg próbował zorganizować gratisową wycieczkę do Las Vegas dla szefów mafii. Wysyłał także i mnie, abym rozejrzał się w klubach, na których chciał pasożytować. Tylko że wtedy pojawił się pierwszy prawdziwy kłopot. Pewnego razu kazał mi przestrzelić jednemu gościowi kolana, bo nie zwrócił on pieniędzy Gregowi na czas.

Rozkaz przestrzelenia facetowi kolana pojawił się, kiedy pewnego dnia odwiedziłem Grega w domu opieki, gdzie w śpiączce leżał jego syn.

Najtrudniejsze do zniesienia podczas moich dwóch i pół roku z Gambino było robienie interesów przy pogrążonym w śpiączce Craigu DePalmie. Jako nastolatek Craig należał do Tanglewood Boys, młodego przychówku mafii składającego się z synów mafiosów, którzy dorastali razem w północnym Nowym Jorku. Te dzieciaki dopuszczały się wszelkiego rodzaju przestępstw i urządzały burdy. W końcu stały się

mianowanymi członkami mafii działającymi na swoich prawach. Niektórzy spośród gangsterów, których znałem, mówili, że Craig nie był z natury takim twardzielem jak pozostali i żeby się go bano, musiał mieć wsparcie czy to Tanglewood Boys, czy mafii. Craig był jak dziecko, które poszło w ślady ojca i - w przeciwieństwie do Starogo - wkroczyło w rodzinny interes bez większego przekonania.

W połowie lat dziewięćdziesiątych John Gotti zaproponował Craigowi DePalmie członkostwo w mafii. W tym samym czasie mianowanymi członkami mafii zostali Mikey „Sears” DiLeonardo i Nicky LaSorsa - należeli oni do tej samej „klasy adeptów”. Podczas ceremonii wejścia Craiga w nowe życie w La Cosa Nostra wydarzyła się zabawna rzecz. Tradycyjnie jest tak, że kiedy zjawiasz się, by odebrać swoją odznakę, zawsze pytają cię: „Wiesz, z jakiego powodu tu jesteś?” I etykieta obowiązująca w mafii nakazuje powiedzieć „nie”. Cóż, John Gotti zadał Craigowi DePalmie to standardowe pytanie, a Craig spojrział na niego i powiedział: „Jasne! Przyszedłem, żeby odebrać swoją odznakę!”.

Greg zawsze się z tego śmiał. Mówił coś w rodzaju: „Ha, ha, mój syn, co za oryginał!”.

Gotti i inni potrzęsali głowami, patrząc po sobie, jakby mówili: „Co jest nie tak z tym chłopakiem?”.

W 1999 roku Craig DePalma, jego ojciec oraz John „Junior” Gotti zostali skazani za handel narkotykami i wyłudzenia, a następnie osadzeni w więzieniu federalnym. W 2002 roku Craig zgodził się współpracować z rządem, lecz w ostatniej chwili się z tego wycofał. Kiedy Greg dowiedział się o zgodzie syna na współpracę, jakimś sposobem przekazał Craigowi, jak wielką hańbę sprowadził na rodzinę Gambino. Przekazał mu, że nie dorósł do przysięgi, którą złożył, kiedy został mianowany członkiem mafii, i tak dalej. Craig, który poza wszystkim nie miał żadnego interesu, by znaleźć się w mafii, tak bardzo wstydził się, że zawiódł ojca, że usiłował się powiesić w swojej celi. Z owej próby samobójczej ledwie uszedł z życiem, pograżył się jednak w nieodwracalnej śpiączce, w rezultacie której leżał nieprzytomny w więziennym szpitalu w Atlancie.

Mijały miesiące, a Greg wydzwaniał, do kogo się dało, starając się załatwić Craigowi zwolnienie na podstawie prawa do opieki. Sześć miesięcy po tym, jak zacząłem swoją pracę nad sprawą Gambino, Greg - uparty jak zawsze - odniósł zwycięstwo. Miał problem, gdzie umieścić Craiga.

Świat nie roi się od długoterminowych instytucji opiekuńczych chętnie widzących u siebie mafiosów oraz ich synów. Greg brał pod uwagę różne miejsca w Nowym Jorku i na Florydzie i w końcu zdecydował się na United Hebrew Geriatric Center w New Rochelle. Administracja owego domu opieki nie chciała tam Craiga, ale Greg nalegał.

- Nie chcę tu oglądać parad mafiosów! - powiedział do Grega dyrektor centrum.

- Już nie należymy do mafii - zapewnił go Greg tonem pozorującym szczerość i skrucę. - Odkąd to przytrafiło się mojemu synowi, nie mam nic wspólnego z życiem przestępczym. Obiecuję panu, że będziemy wzorowymi obywatelami. Nigdy nikogo nie będziemy niepokoić.

- Nie chcę, żeby kręcili się tu ludzie mafii. - Dyrektor był nieugięty. - Mamy tu starszych pensjonariuszy i oni chcą mieć spokój!

- Nie mam już nic wspólnego z kryminalistami - zapewnił go ponurym głosem Greg. - Jedynymi odwiedzającymi będę ja sam i moja żona. Nie sprawimy państwu najmniejszego kłopotu. Daję panu moje słowo.

Cóż, dyrektor ustąpił, czego miał później niezmiernie żałować. Nie minęło dużo czasu, a dla Grega w tym samym czasie pracowało około ośmiu czy dziewięciu gangsterów. Spotykaliśmy się i robiliśmy interesy w obecności Craiga. Albo prosił się, by umieszczono go na wózku, i wieźliśmy go do zakładowego „ogrodu”, by pooddychał świeżym powietrzem. Pokój Craiga stał się biurem Grega - tutaj spotykał się ze wszystkimi ludźmi Squitieriego i Megalego, z szefem i wiceszefem Gambino, z członkami własnej załogi, włączając Louisa Filippello, Roberta Vaccaro i mnie. Nawet Squitieri, który nigdy nie spotykał się z nikim publicznie, pewnego dnia przyszedł do ośrodka, mając na sobie czapkę z daszkiem i okulary. Mimo jego kamuflażu i tak zrobiliśmy mu zdjęcie z kamery monitorującej. To była najbardziej niesmaczna i niepokojąca część mojej pracy. Nie znośłem chodzenia w to miejsce, jednak musiałem to robić niemal codziennie.

W tymże domu opieki wręczono Gregowi wiele łapówek pochodzących od właścicieli firm budowlanych i innych ludzi. Załatwiano interesy przy nieprzytomnym Craigu. Sam Greg to dawał rozkazy i wytyczne otyczające rozmaitych przestępstw swoim ludziom, to znów okazywał nowi współczucie. Mówił: „Synku, chłopcze, wygodnie ci? Chcesz, by ci włączyć wideo? Widzisz tego tu, Wielkiego Jacka? Już wkrótce dzie jeden z nas”.

Rozglądałem się i myślałem w duchu: cóż to za życie? Leży tu Craig ePalma, mianowany na członka mafii przez samego Johna Gottiego, cet, który był w grupie Johna Gottiego juniora - a mimo to żaden gangsterów nigdy nie przyszedł go odwiedzić? Przychodzili tylko po o, żeby ubić interes z Gregiem. Gdzie owe bliskie więzy, jakie rzekomo łączyły członków mafii? Opierało się to jedynie na wspólnym sie-eniu w restauracji, nalewaniu chianti i objadaniu się cielęcina. Tak aprawdę każdy jest skazany na samego siebie. Chodzenie do owego środka i patrzeć, jak Greg robi tam interesy, było naprawdę straszne, idziałem starych ludzi, którzy byli chorzy, w strasznym stanie, ale dla rega to nie miało znaczenia.

Czemu jakiś gangster miałby chcieć narażać własnego syna na życie rzestępcze? Greg powinien trzymać go z dala od tego. Zamiast tego obił wszystko, by jego syn został mianowanym członkiem mafii. Ludę mogliby mówić: „Jaki dobry ojciec! Codziennie odwiedza syna”, dnak prawdziwy dobry ojciec przede wszystkim nigdy by nie dopuś-ł, by to się stało.

Zona Grega obwiniła go o to, że zachęcał syna do włączenia się do afii. „Zniszczyłeś mu życie!” - mówiła mu w obecności mojej i mnó-a innych osób. Chodziło o to, że gdyby Greg tego nie zrobił, ich syn ie leżałby w śpiączce w United Hebrew Geriatric Center. Ilekroć wisiałem Grega okazującego czułość Craigowi, zastanawiałem się, czy bił to, ponieważ Craig był jego synem, czy dlatego, że należał do mafii. Tak czy inaczej, na podstawie tej konkretnej wizyty w domu opieki, ogłem stwierdzić, że Greg gotuje się ze złości. Gdy jeszcze szedłem oryтарzem w stronę sali Craiga, słyszałem głos Grega: „ten kutas to, nten skurwiel tamto”.

Wszedłem do pokoju i zastałem Grega stojącego z Neilem Delieto, współpracownikiem Gambino, właścicielem firmy budowlanej.

- Cześć, Greg. Wszystko w porządku? - zapytałem, podchodząc do Grega i całując go w policzek, jak zawsze.

- Ten skurwiel Joe Blow wisi mi pieniądze - powiedział Greg. Greg miał jakiś układ z Joe w interesach związanych z budowlanką.

Joe musiał płacić Neilowi, z czego część miał otrzymać Greg. Nie znałem szczegółów, bo współpracownicy mafiosów nie zadawali swoim szefom niedyskretnych pytań.

- Jack, chcę, żebyś przestrzełił temu skurwielowi kolana - wyrzucił z siebie Greg.

Wiedziałem, że jest zdenerwowany - ilekroć widziałeś go w takim stanie, monologującego ze złością, wiedziałeś, że komuś stanie się krzywda.

- Greg, co ty mówisz? - zapytałem, starając się nie okazywać, że włączył mi się alarm.

Bałem się, ale jednocześnie dobrze pamiętam, jak byłem zadowo lony, że Greg ufał mi na tyle, by zlecić mi taką robotę. To była inna od reszty świata subkultura - jeśli kapitan daje ci rozkaz, musi mieć swoje cholerne ku temu powody. Przypomnijcie sobie Lucę Brasiego w Ojcu chrzestnym - on jedynie kiwał głową, po czym szedł i zabijał tego, kogo mu wskazano.

W swojej roli współpracownika Grega, członka jego gangu, nigdy nie zrobiłbym dwóch rzeczy - ani nie skrzywdziłbym nikogo, ani niko go bym nie zabił. Ale gdybym odmówił lub próbował się wykręcić od zbyt wielu takich poleceń, mogłoby się to źle dla mnie skończyć i mieć negatywny wpływ na całe śledztwo.

- Chcę, żebyś strzełił sukinsynowi Joe Blowowi w jego cholerne kolana! - wyrzucał z siebie Greg. - Jest nam winien kupę forsy!

Wiedziałem, kim jest loe Blow. Poznałem go wcześniej. Był jedynie młodym biznesmenem, nieszkodliwym facetem. Zwykłym obywatelem.

- W porządku, Greg - powiedziałem. - Co tylko chcesz. Odwlekałem to, aż w końcu musiałem spotkać się z tym gościem.

Okazało się, że firma Joe nie była winna budowlancowi, który nazywa się Neil Delieto, a który działał pod parasolem Grega, żadnych pieniędzy. Greg posługiwał się następującym, typowym dla mafii rozumowaniem: skoro Joe nie uwzględnił Neila w jakimś zleceniu budowlanym, był winien Neilowi trzydzieści tysięcy dolarów, które Neil by zarobił, gdyby wykonał dla Joe owo zlecenie. To właśnie był ów „dług” Joe.

Któregoś dnia dowiedziałem się od chłopaków w klubie ze stripti-zem, że Joe Blow jada lunch w konkretnej restauracji w Yonkers. Nie mogłem go postrzelić ani uderzyć. Musiałem znaleźć sposób, by rozwiązać problem, nie uciekając się do przemocy... i nie wzbudzając u Grega podejrzeń.

Kiedy Joe zobaczył, jak wchodzę do restauracji, od razu wiedział, dlaczego się tam zjawiłem. Ludzie wiedzieli, że trzymam z Gregiem. Zbladł. Wyobraźcie sobie, że przychodzę do was, żeby was postrzelić lub połamać wam nogi. Nawet mafioso może stracić apetyt, widząc, że idę w jego kierunku ze złowrogim wyrazem twarzy!

Ale zamiast go bić czy strzelać mu w kolana, powiedziałem do niego:

- Hej, posłuchaj, mamy tu problem. Jak rozwiążemy tę sytuację z Gregiem? Nadepnąłeś mu na odcisk. Lubię cię. Wiem, że nie jesteś w to zamieszany. Wiem, że nie jesteś tego typu facetem. Joe, który z ulgą przyjmował fakt, że nadal oddycha, odpowiedział:

- Nie jestem winien Delieto żadnych pieniędzy.

- Cóż - odrzekłem - Greg sądzi, że jest inaczej. Więc co zrobimy, żeby pozbyć się tego problemu?

- Nie poleciłem Delieto, bo nie spodobał się mojemu partnerowi. Przy okazji, brat mojego partnera jest agentem FBI.

Tylko to chciałem usłyszeć. To była dla mnie świetna wymówka. Jeśli masz powiązania z FBI, w świecie mafii jesteś nietykalny.

- Miej się na baczności - ostrzegłem go. - Jest, jak jest. Powiem o tym Gregowi i postaram się go uspokoić.

Poszedłem do DePalmy.

- Rozmawiałeś z tym skurwielem, Joe Blowem? - zapytał. Skinąłem głową.

- Okazuje się, że jego partner ma w rodzinie agenta FBI.

- A to kupa gówna - powiedział Greg lekceważąco.

- Chcesz ryzykować z FBI? - zapytałem.

Oczywiście Greg ryzykował z FBI przez samo to, że zadawał się ze mną, choć wtedy nie miał o tym pojęcia!

Nie wspominał mi już ani słowem o tej sprawie, co stanowiło dla mnie wielką ulgę. Jednak sześć miesięcy później z zadowoleniem powiedział mi, że jego zbiry spuściły Joe Blowowi łomot na placu budowy.

- Nieźle dali po głowie temu skurwielowi - powiedział mi Greg z wielką satysfakcją.

Innym razem powiedział mi, żebym pojechał z nim pobić „tego gno ja, który mnie pomawia o fałszowanie ubezpieczeń”.

Tak więc Greg i ja nawiedziliśmy gościa w salonie samochodowym, gdzie pracował. Tu zaczynały się schody - gdyby Greg chciał go pobić, ja musiałbym powstrzymać bijatykę. Jako agent FBI nie mogę pozwolić, by przy mnie stała się komuś krzywda. To mogłoby położyć sprawie kres. Na szczęście wtedy go nie było. Był jedynie jego syn. Według mnie, to był palec boży. Greg przez chwilę krzyczał na syna, ale przynajmniej go nie walnął.

- Dopilnuj, żeby twój stary przeprosił Grega - powiedziałem młodemu mężczyźnie w sposób możliwie najbardziej przerażający.

I na tym, dzięki Bogu, się skończyło.

Przy innej okazji Greg rozkazał mi, żebym potraktował kijem baseballowym konkretnego faceta, który nie współpracował w sposób, jaki zadowoliliby kapitana rodziny Gambino.

- Jack - powiedział Greg - facet jeździ taką a taką bryką, na tej siłowni ćwicz, a tą drogą wraca do domu. Weź kij baseballowy i mu dowal.

W jakiś sposób udało mi się zapobiec również i temu pobiciu. Czy był to swego rodzaju sprawdzian? Czy po prostu, skoro już znalazłem się w ich grupie, dawali mi polecenia do wykonania? Nigdy się tego nie dowiem. W takich sytuacjach zawsze mówiłem Gregowi, że facet do stał nauczkiem albo że udało mu się zwać. Greg jakoś nie drażył tematu.

Jak wszyscy w mafii, Greg był hipokrytą, jeśli chodzi o narkotyki. W pewnym momencie powiedział mi:

- Jack, musisz mi obiecać, że nie zaangażujesz się w handlowanie towarami. Cokolwiek będziesz robił, tego ci nie wolno. To sprzeczne

/ zasadami. Zrozum, przez to świństwo ty i ja możemy zostać zabici. Handlujesz narkotykami?

- Kiedyś to robiłem, Greg, ale...

- Gówno mnie obchodzi, co wcześniej robiłeś - przerwał mi. - Chodzi o to, co robisz teraz.

Dałem mu słowo, że rzuciłem ten biznes dawno temu i że teraz nie mam nic wspólnego z narkotykami, ale obaj wiedzieliśmy, że kłamię. Jakże mogłem zarabiać taką forszę, jak pokazywałem, że zarabiam - inaczej niż handlując towarami? Bujda na resorach.

Kolejną kwestią było to, czy Greg dostanie „awans” i z capo stanie się wiceszefem. Wiceszef Megale został aresztowany pod zarzutem handlowania narkotykami w podobnym śledztwie prowadzonym przez oddział FBI w Bridgeport w Connecticut. Od tamtego wydarzenia Greg ciągle gadał o tym, że może zostanie wiceszefem rodziny.

Greg był rozdarty. Przez całe życie nigdy nie awansował wyżej niż na stanowisko capo i oto miał teraz siedemdziesiąt trzy lata. Jako wiceszef zarabiałby o wiele więcej pieniędzy, ponieważ o wiele więcej ludzi dzieliłoby się z nim zarobkami: wszystkich dwudziestu sześciu capo w rodzinie Gambino (tylko dwudziestu

jeden, jeśli zaufać kartotekom FBI), wszyscy żołnierze, i wszyscy wspólnicy. Z drugiej strony obawiał się, że jeśli się zgodzi na objęcie tej pozycji, znajdzie się na drodze wiodącej prosto do więzienia.

- Nie mają aż tylu doświadczonych ludzi - powiedział mi Greg, wyjaśniając, że nie ma wielu rywali do tego stanowiska - ale ja nie chcę tego robić. Zbyt rzuciłbym się w oczy. Nie chcę wrócić do mamra. Bawię się tą myślą tylko dlatego, że takie śmieci teraz przyjmują.

Innymi słowy, niska jakość współczesnego gangstera tak przygnębiła Grega, że brał pod uwagę wystawienie samego siebie na ryzyko uwięzienia tylko po to, by podnieść poziom nowych członków mafii.

Tymczasem nagrywane rozmowy, w których uczestniczyłem, razem z taśmami z podsłuchu, który mogliśmy założyć dzięki mojej pracy tajnego agenta, pozwoliły nam budować sprawę za sprawą przeciwko kolejnym członkom rodziny Gambino, od Squitieriego i Megalego, przez

kapitanów, żołnierzy po współpracowników. Mieliśmy nagrania moich rozmów z Gregiem i innymi mafiosami, mieliśmy podsłuchy w różnych miejscach, w których się zbierali, i na ich telefonach komórkowych. To była prawdziwa kopalnia obciążających wypowiedzi i zebrań. Sprawa przybrała tak duże rozmiary, że Nat sprowadził drugiego prowadzącego, który miał z nim pracować - był to Chris Munger, niezmordowany agent prowadzący liczne sprawy w FBI, na jego koncie znajduje się między innymi śledztwo w sprawie Tanglewood Boys. Chris także tutaj dokonał niebywałej pracy. Nat i Chris wraz z Prokuraturą Generalną pracowali niezmordowanie, aby nagrania, które robiliśmy, zamienić na sprawy przeciwko gangsterom.

Lista mafiosów, których mieliśmy aresztować, coraz bardziej się wydłużała. To była najlepsza sprawa, nad którą kiedykolwiek pracowałem - cały czas zwiększała się liczba gangsterów, przeciwko którym gromadziliśmy niepodważalne dowody. Pytanie brzmiało, czy FBI będzie miało odwagę, by nie zamykać jej tak długo, aby móc z niej wyciągnąć maksymalne korzyści... i czy moja tożsamość pozostanie tajna wystarczająco długo, bym mógł przeżyć w społeczności gangsterów, do której trafiłem.

Rozdział 15

„Masz kopalnię, to masz i złoto”

Jak mafia zarabia pieniądze? Pozwólcie, że wymienię jej metody.

Jedną z jej ulubionych ponadczasowych metod jest przemysł budowlany. To następstwo prawa powszechnego ciężenia Newtona: w obrębie miasta Nowy Jork, cokolwiek wznosi się w górę lub cokolwiek się burzy, dzieje się tak tylko wtedy, gdy opłaceni są gangsterzy.

Greg DePalma uwielbiał pył i brud. Jako gangster i biznesmen rozumiał, że pieniądze zarabia się wśród pyłu i brudu. Na budowie musisz wydobyć z ziemi ileś pyłu i brudu, a następnie przetransportować je gdzie indziej. Jeśli możesz zrobić jedno i drugie, możesz zarabiać podwójnie. W rezultacie inwestycje budowlane były nieustającym tematem rozmów z Gregiem. Zawsze dyskutował o wielkich i małych projektach, gdzie mógłby wydobywać ziemię, sprzedawać ziemię, przechowywać ziemię; gdzie mógłby umieszczać swoich ludzi na dyskretnych posiadłościach w związkach zawodowych, sprzedawać materiały lub po prostu ściągać dwuprocentową opłatę dla mafii. Gdyby ktokolwiek podsłuchiwał którąś z naszych rozmów podczas lunchu lub kolacji, pomyślałby, że jesteśmy budowniczymi, a nie kryminalistami.

To właśnie sukces, jaki Greg odniósł w przemyśle budowlanym, do prowadził go do awansu na capo.

John Gotti, cieszący się złą sławą szef Gambino, awansował Grega do stopnia kapitana w latach dziewięćdziesiątych. Greg otrzymał ów zaszczyt jako nagrodę za pasożytowanie na DeFoe Corporation, wielkiej potędze w budowie autostrad na obszarze stanu New York, a mówiąc inaczej, Greg wciągnął tę organizację na listę płacących haracze rodzinie Gambino. Greg często otrzymywał koperty pełne gotówki od Johna Amicucciego, prezesa DeFoe, którego DePal ma nazywał „Kaczor Duffy”. DeFoe było wcześniej związane z rodziną Genovese, jednak DePalmie udało się ich namówić, by przenieśli się do obozu Gambino. Za to Greg otrzymał status capo. Podobno Greg zaprosił nawet Amicucciemu członkostwo w rodzinie Gambino, lecz ten podziękował za ten zaszczyt. Amicucci został oskarżony o zatrudnienie robotników na czarno. W 2006 roku odbył się proces w Sądzie Federalnym na Manhattanie i po dwóch dniach narad ława przysięgłych oczyściła go ze wszystkich zarzutów.

Jeden z największych projektów Grega wiązał się z polem golfowym w Van Cortlandt w Bronxie. (Jeśli graliście w golfa w połowie lat dziewięćdziesiątych, możecie pamiętać porzuconego buicka, na lewo od siódmego toru wodnego). Miasto planowało zbudować tam podziemną oczyszczalnię wody. Ziemia miała być wywieziona, oczyszczalnia wody postawiona, a potem ziemia miała wrócić na miejsce. Jeśli chodzi o Grega DePalme, nie mogło być lepiej.

Jednak Grega nie opuszczał pech - aktywiści społeczni oprotestowali projekt. Starsi skarżyli się, że nie chcą pięć lat czekać, aż znowu otworzą pole golfowe. W trakcie trwania naszej przyjaźni zdarzało się to ciągle projekt praktycznie miał być realizowany, a wtedy jacyś aktywiści społeczni uśmiercali go lub odlewali w czasie. „Człowieku, nie masz pojęcia, ile forsy zarobimy!” - mówił Greg, zacierając ręce z radości, zawsze kiedy okazywało się, że dawno odkładany projekt znowu jest na woku dzie. Później cała sprawa kończyła się wyłącznie na Gregu i na szefostwie Gambino. Koperty krążyły, ale dla grupy Grega nie było nic. Tak właśnie to wyglądało - ci na końcu łańcucha pokarmowego niczego nie dostają.

Przed trafieniem do paki za sprawą Scores Greg żył jak król w swoim pięknym domu w Scarsdale. Kiedy wyszedł z więzienia, wynajął zwyczajny apartament z ogrodem i dwoma sypialniami w Tuckahoe w stanie New York. Musiał rozliczać się ze wszystkiego, ilekroć spotkał się z kuratorem sądowym - czynsz, rachunki telefoniczne, rachunki za prąd. To jedna z rzeczy charakterystycznych dla zwolnienia warunkowego. Nie mógł nawet dobrze się ubrać na przesłuchanie u kuratora, bo od razu padłoby pytanie: „Skąd wziął pan pieniądze na taki garnitur?”. Tak więc on sam był świetnym tajnym agentem - przed policją! Czasami rolę, jaką odgrywał wobec kuratora, grał też w świecie mafii, i Greg płakał rzewnie, jak to jest splukany - nawet przede mną.

Lubiłem się z niego nabijać. Dokuczałem mu z powodu importowanej z Norwegii wody, którą bardzo lubił, żartowałem z tego, że miał pamiątki związane ze sportem (fałszywki) oraz dzieła sztuki (ukradzione) pokrywające praktycznie każde wolne miejsce na ścianach jego domu. W jego kuchni znajdowało się mnóstwo pudeł zawierających wszystko - firmową wodę, wszelkiego rodzaju żywność, wszystko, co kiedykolwiek spadło z ciężarów. Lubił zwłaszcza bardzo drogą arcyżyjską wodę Voss z Norwegii - była to woda najwyższego gatunku i kosztowała ponad czterdzieści trzy dolary za sztukę - skrzynka liczyła dwadzieścia cztery sztuki⁴. Czemu facet, który palił jak komin i jadał jak świnia, upierał się przy picu tak czystej wody? Ponieważ była za darmo.

Dom Grega wypełniony tymi wszystkimi pudłami wyglądał jak magazyn. Pewnego dnia kurator sądowy zadzwonił do żony Grega, która dała mu numer jego komórki. Greg był o to wściekły na żonę - nie powinno go być stać na posiadanie telefonu komórkowego: nie z pieniędzy zarobionych w pracy, o której powiadomił kuratora sądowego. Wiódł bardzo skromne życie jak na faceta zgarniającego kupę forsy jako capo w rodzinie Gambino, w którego wstąpiła nowa energia.

Ile zarabiał? Kiedy pomyślę o wszystkich kopertach, jakie widziałem, o wszystkich przekrętach, jakie robił, haraczach, potajnym hazardzie, ściąganiu długów, działalności w związkach zawodowych i wszystkich innych przedsięwzięciach, w które był zaangażowany, szacuję, że w okresie od sześciu do dziewięciu miesięcy po wypuszczeniu na wolność Greg DePalma zarabiał miesięcznie dwadzieścia pięć tysięcy dolarów wolnych od podatku. To daje sumę około ćwierć miliona dolarów rocznie i pokażuje nieustępliwość Grega, zarówno jeśli chodzi o odzyskiwanie dawnej pozycji w rodzinie Gambino, jak i zarabianie pieniędzy.

Jako kapitan zbierał wynagrodzenia. Każdy, kto pod jego parasolem pracował w budownictwie, płacił mu dwa procent, a dwa procent z zysków z tak wielkiej liczby projektów budowlanych, jakie są w Nowym Jorku, szybko się sumuje. Urzędy organów ścigania szacują, że dwu procentowy podatek dla mafii,

pochodzący z realizacji budowlanych w Nowym Jorku, oznaczał w budżecie rodziny Gambino ponad dwieście milionów dolarów.

Im więcej czasu spędzałem z DePalma, tym bardziej czułem się pewnie w swojej roli. Udawało mi się coś, co wydawało się niewyobrażalne. Pośród prawdziwych gangsterów podawałem się za współpracownika, mafiosa na szkoleniu. W rezultacie byłem coraz bardziej naturalny i szczery. Z natury jestem towarzyski, lubię zabawę i ludzi. Sądzę, że ta cecha mojej osobowości bardzo przyczyniła się do tego, że Stary tak szybko się do mnie przekonał. Nie wiem, czy kiedykolwiek się go bałem. Z pewnością szanowałem go za to, że traktował swoje obowiązki capo w rodzinie Gambino tak poważnie. Ale w miarę jak nasza przyjaźń pogłębiała się, mogłem robić rzeczy, które naprawdę odzwierciedlały moją prawdziwą naturę. Ścisaliśmy go, wygłupiałem się w jego towarzystwie i odrobinę się z nim drażniłem. I wiem, że on to kochał. Wiem, że mnie kochał.

Byłem pod jego parasolem, w jego kręgu, ale nawet w obrębie naszej grupy nadal obowiązywała ustalona hierarchia. Ilekroć rozmawiał z mianowanym członkiem mafii, ten szeptał tylko do niego, tak byśmy nic nie słyszeli. Czasami wyglądało to tak, jakby facet kleił się do Grega

ptał mu do ucha jakieś czułe bzdety! Albo szli do innego stolika lub nawet wychodzili na zewnątrz. Reszta, która siedziała przy stole i nie była zaproszona, czuła się jak piąte koło u wozu. Tak cholernie chcieliśmy się znaleźć w rejestrze mafii! To było nęcące. Kiedy w ten sposób wyłączano nas z rozmowy, myśleliśmy: niczym się nie różni od

tamtých gości! Czemu tamci są tak blisko z Gregiem, a ja nie? Sądziłem, że łączy mnie z nim wyjątkowa więź! Ale to nie miało znaczenia. Póki nie zostałem mianowanym członkiem mafii, pewne rozmowy były dla mnie niedostępne i musiałem się z tym pogodzić.

Greg był mistrzem w manipulowaniu ludźmi. Potrafił płakać, szepać i łkać, mówiąc o stanie swojego syna, o braku pieniędzy, o tym, jak i /ad zabrał mu jego piękny dom w Scarsdale - cokolwiek trzeba było robić, aby złapać kogoś na haczyk. Kiedy już raz wziął kogoś pod swój parasol, gra była skończona. Wyciskał faceta do sucha. Kiedy obserwowałem, jak Greg rozmawia z biznesmenem lub budowniczym, z którym chciał robić interesy, przypominało to obserwowanie, jak rozgrywający drużyny footballowej próbuje wyciągnąć cheerleaderkę na randkę. Był uwodzicielski, serdeczny i atrakcyjny. Był uosobieniem mężczyzny, z którym faceci chcieliby się spotykać. Potrafił wmanipulować każdego we wszystko - widziałem to dziesiątki razy.

Jednocześnie posiadał najgorszy charakter, jaki widziałem kiedykolwiek, i w jednym okamgnieniu z uwodziciela stawał się potworem. W jednej chwili był słodki jak miód, a zaraz potem, gdy ktoś wspomniał nazwisko jakiegoś typa, który nie zachował się wobec Grega w porządku lub nie zapłacił mu pieniędzy na czas, zachowanie Grega zmieniało się jak niebo, kiedy nadchodzi burza. Następowały wtedy pełne przekleństw i złorzeczeń gniewne tyrady: „Pieprzę go, już niedługo dostanie za swoje!”.

Sam zacząłem się uczyć, jak manipulować Gregiem. Wiedziałem, kiedy trzeba go pogłaskać, a kiedy się wycofać. Nauczyłem się tego w trakcie odgrywania różnych ról jako agent FBI. Greg miał świadomość, jak bardzo jestem wrażliwy na jego nastroje, i to jeszcze bardziej umocniło więź, jaka wytworzyła się między nami.

Innym nieustającym tematem, jaki pojawiał się w rozmowach Grega z szefostwem rodziny, był niski poziom nowych członków, których mafia przyjmowała w swe szeregi. Greg wygłaszał tyrady o tych gościach -nigdy nie podobali mu się nowi członkowie lub kandydaci do owego miana. „Widziałem listę facetów, których mają mianować - jęczał. - To same szumowiny, odpady”. Sądził, że nie przeszli próby, że nie wspólnie pracują z mafią wystarczająco długo, by zasłużyć na status członka. Nie było wystarczających dowodów na to, że to prawdziwi gangsterzy, którzy robili, co do nich należy, to znaczy zarabiali dla mafii forszę. Może ci faceci, których proponowano na członków, siedzieli już w więzieniu, a może mieli za mało przekrętów na swoim koncie. Tak czy inaczej, Greg postrzegał ich jako nic niewartych następców owych ludzi hono ru, z którymi współpracował przez dziesięciolecia w mafii. Jako głów niarzy z dzisiejszych czasów.

Prawdę mówiąc, to wiedziałem, o czym mówi - ja miałem ten sam problem z niektórymi zwierzchnikami w FBI, którym brakowało do świadczenia! Moi prowadzący sprawę, Nat Parisi i Chris Munger, byli świetni, ale nieustannie musiałem docierać się ze zwierzchnikami, spo śród których tylko nieliczni w ogóle widzieli z bliska prawdziwe życie kryminalistów. W Biurze mówiło się nawet o zamknięciu całej sprawy. Tego rodzaju gadanie doprowadzało mnie do szału.

Greg potrafił obrócić praktycznie każdą sytuację na swoją korzyść. Na przykład usłyszał, że Louis

Filippelli otwiera restaurację niedaleko Raos. Raos znajduje się na Pleasant Avenue oraz na Sto Czemastej we wschodnim Harleemie, w tradycyjnej włoskiej dzielnicy, i jest to ulubiona dzielnica gangsterów wszystkich czasów; niemal nie sposób dostać tam stolik. Nawet Frankie „No” Pellegrini dostał takie właśnie przewisko, ponieważ ilekroć ktokolwiek pytał, czy mają jakiś wolny stolik lub czy może dokonać rezerwacji, odpowiedź zawsze brzmiała „nie”.

Pomysł otwarcia kolejnej włoskiej restauracji w sąsiedztwie Raos z biznesowego punktu widzenia był sensowny. Greg wymyślił genialny podstęp. Skontaktował się z facetem, którego będziemy nazywać Torńmy i który niegdyś pracował w Scores. Greg poznał Tommy’ego w czasach, kiedy wyłudzał pieniądze od klubu. Nawiasem mówiąc, Tommy również był aresztowany za sprawę Scores. Teraz działał w biznesie radiowym w Nowym Jorku, więc Greg zamierzał załatwić z nim nieodpłatną reklamę nowej restauracji. W ten sposób Louis, otwierając restaurację, miałby dług wdzięczności u Grega, który mógłby mu powiedzieć: „Spójrz, co dla ciebie zrobiłem! Załatwiłem ci tyle wolnego czasu antenowego na reklamę twojej knajpy!”. To właśnie było w stylu Grega DePalmy - ten ruch nic by go nie kosztował, ktoś inny miał zapłacić rachunek, a on sam zyskałby na tym, że okazał hojność; na domiar wszystkiego czuł się uprawniony do jadań w owej restauracji za darmo, kiedykolwiek miał ochotę, co jeszcze bardziej wzmacniało jego pozycję w Gambino.

Jedyny problem polegał na tym, że Tommy nie chciał mieć nic do czynienia z Gregiem, restauracją i nie miał najmniejszej ochoty załatwiać reklamy za darmo. To rozwścieczyło Grega, który pomyślał, że to może źle wypaść w oczach Louisa, któremu - choć tamten go w żaden sposób nie zachęcał - zaproponował pomoc.

- Idź i znajdź tego skurwiela Tommy’ego - powiedział do mnie Greg. - I zlej go kijem baseballowym.

- Już się robi, Greg - powiedziałem mu, przetykając głośno ślinę. - Cokolwiek zechcesz.

Znałem Tommy’ego. To był naprawdę sympatyczny facet. Również Tommy wiedział, kim jestem. Mieliliśmy wspólnych przyjaciół, więc nie było szansy, żebym się do niego zbliżył. Gdyby komukolwiek powiedział, że jestem tajnym agentem, to z miejsca zakończyłoby sprawę. Unikałem go, choć cały czas powtarzałem Gregowi, że jestem na jego tropie.

Greg miał mnóstwo ludzi, którzy dla niego stosowali brutalną przemoc, ale nawet po przekroczeniu siedemdziesiątki on sam nie bał się własnoręcznie kogoś złać. Właściciel firmy budowlanej orznął DePalme na jakiejś transakcji i Greg był wściekły. Pewnego wieczoru Greg zobaczył go jedzącego kolację. Podszedł do niego i wałnął go twarzą. Facet praktycznie płakał: „Greg, proszę, nie rób mi więcej krzywdy!”.

Greg opowiadał o tej historii podczas wielu kolacji, przez całe miesiące!

- Znokautowałem go! - charczał. - Taki facet okazuje mi brak szacunku? Powiedziałem mu, że jest kupą gówna i że i tak zapłaci!

Inny znowuż facet, niegdyś kulturysta, teraz po sześćdziesiątce, z ogromnymi bicepsami, zastraszał każdego, sprawiając, że bali się go wszyscy, na których krzywo spojrział. Nie zrobił na Gregu najmniejsze go wrażenia. Chciał zrobić burdę w klubie nocnym, ale Greg spacyfił go w mgnieniu oka.

Przy całym swoim wizerunku twardziela, Greg miał ogromny szacunek dla zasad panujących w mafii. Jedną z owych zasad głosi, że czegokolwiek zechce szef, dostaje to. Greg często raczył mnie historią o tym, jak niegdyś miał pięknego jaguara XJi2. Pewnego razu on i John Gotti byli razem w Pensylwanii i John zobaczył samochód. John był w owym czasie szefem Gambino, a Greg był tylko kapitanem. Gotti powiedział Gregowi, że samochód bardzo mu się podoba.

- Och, nie! - mówił Greg, kiedy po raz kolejny opowiadał tę historię. - Co ja zrobię? Rzuciłem mu więc kluczyki.

Wedle relacji Grega Gotti zapytał:

- Co to ma być?

- To mój prezent dla ciebie - powiedział DePalma, walcząc ze łzami z powodu utraty swojego ukochanego samochodu.

- Nie, nie mogę tego zrobić - odrzekł Gotti, ale tylko tak mówił. Greg mawiał: „Co niby masz zrobić? Zainkasujesz forszę od szefa?”. Jednak w kontaktach z Gregiem forsa szła zawsze w jedną stronę w górę. Greg zawsze oczekiwał, że pieniądze będą trafiały prosto do szefa. Naciskał zwłaszcza na

przekazywanie pieniędzy, których sam nie zarobił. Cały czas kręcili się przy nim faceci, którzy dawali mu koper ty. Byłem tego świadkiem niezliczoną ilość razy - ktoś podchodził do Grega, wręczał mu kopertę pełną gotówki, pieniędzy za protekcję, części pieniędzy za ściąganie długów albo z operacji bukmacherskich czy za cokolwiek innego. Widziałem wiele takich płatności. Greg nigdy nie wziął nic z tych pieniędzy i nie powiedział: „Hej, Jackie, masz, to dla ciebie”. Zachowywał otrzymane sumy pomniejszone o to, co dawał sze fostwu Gambino.

To bardzo proste - im więcej dany człowiek przynosił pieniędzy mafii, tym większą dla niej przedstawiał wartość. Człowiek przynoszący duże zyski musi naprawdę nawalić - i poważnie naruszyć panujące w mafii zasady - żeby obawiać się egzekucji. Im więcej przynosi pieniędzy, tym bliżej szczytu się plasuje. Jest coraz bliżej capo i staje się zaufanym człowiekiem mafii. Najlepsze porównanie, jakie przychodzi mi do głowy, to futbol w collegeu - gracze w stanie Ohio mają niewielkie znaki na kaskach. Grają po to, by mieć kask cały w nalepkach. Dlaczego? Bo kask cały w nalepkach budzi szacunek. Cóż, capo tacy jak DePalma starają się zdobyć jak najwięcej pieniędzy i przekazać je mafii, ponieważ wiedzą, że któregoś dnia oni sami mogą znaleźć się na ich miejscu i chcą sami dostawać te pieniądze. Chcą mieć władzę i budzić szacunek.

Znajomość z DePalma stanowiła lukratywny biznes. Większość ludzi postrzega to w ten sposób, że osoby związane z biznesem muszą płacić mafii pieniądze za protekcję jako ofiary, jednak faktem jest, że odzyskują te pieniądze, a nawet na tym zarabiają. Po pierwsze, w tej kwestii nie mają wyboru. Co mieliby niby zrobić? Mogliby przestać płacić i wezwać policję, ale nie są głupi. Wiedzą, że powinni wejść w układ z mafią. A kiedy już z mafią wszystko jest załatwione, a przyjaźń scementowana kopertami pełnymi gotówki, płatnicy mogą wykorzystywać owe powiązania, aby zwiększyć rozmiary swojego biznesu. „Widzisz tego tam gościa? - mógłby rzucić ktoś, wskazując na »ofiara« Gambino. - On ma plecy - trzyma z Gambino! Lepiej dajmy mu ten kontrakt, w innym razie, kto wie, co nas spotka!”

W rzeczywistości biznesmen, który płacił Gregowi DePalmie, otrzymywał pod jego opieką wiele przywilejów. Wiele firm bardzo chętnie płaciło „podatek dla mafii” - dwa procent od kontraktu, do którego zawarcia doprowadziła mafia, to zawsze lepiej niż sto procent od niczego. Greg uczynił z pewnego związku mniejszości narodowych kartę przetargową. Jeśli jakiś właściciel firmy lub kontrahent nie robił czegoś tak, jak sobie tego życzył Greg, czyli nie płacił umówionej sumy pieniędzy lub nie płacił wystarczająco szybko, Greg groził mu, że wyśle związek mniejszości, która urządzi pikietę na placu budowy czy centrum handlowego. W przemyśle budowlanym ostatnią rzeczą, jakiej chce biznesmen, to rozjątrzeni pikietujący stojący na placu budowy i blokujący prace. W ten sposób chętnie współpracowano z Gregiem jako z osobą, która potrafiła sprawić, że problemy na placu budowy zniknęły.

Oczywiście potrafił stwarzać jeszcze większe problemy. Kiedy zmo nopolizował kontakt ze związkiem zawodowym, zatrudniał jak najwięcej robotników nienależących do związków, żeby wykonali całą robotę. A pieniądze ze świadczeń związkowych inkasował dla siebie. Mafia do stała pieniądze, a goście sprawdzający na miejscu, czy robotnicy należą do związków, nie przeszkadzali. Płacił im Greg. Gdy mafia angażowała się w projekty budowlane, firma budowlana miała dostęp do robotni ków, związków, materiałów i fałszywych przetargów. Greg uważał, że dwa procent należy mu się za wszystkie te usługi. Dziwiłem się, że mafia nie żąda więcej.

Żadna suma pieniędzy nie zadowalała Grega. Mafiosi są nienasyceń. Jedna firma wywożąca ziemię płaciła mu nie tylko w święta Bożego Narodzenia, ale też kilka razy w roku, a czasem wtedy, kiedy Greg po prostu potrzebował dodatkowej gotówki. Niektóre firmy płaciły co tydzień, inne co miesiąc. Wszystkie były zobowiązane do przekazywania Gregowi gotówki proporcjonalnie do swych zysków. W innym wypadku zaczęłyby się kłopoty. Niektórzy woleli płacić raz do roku, bo nie chcieli być złapani przez FBI.

Oto kolejny przekręt Grega. Wspominałem już o Raos, liczącej wiek włoskiej restauracji na Pleasant Avenue we wschodnim Harleml. Sposób, w jaki przekazywano sobie w Raos stoliki, był podobny do sposobu, w jaki kluby sportowe przekazują sobie puchar. Przy stoliku na osiem osób musi zasiąść osiem osób jedzących kolację - i płacących za nią -co tydzień o tej samej porze. Jeśli tego nie robią, tracą stolik oraz prestiż, który się wiąże z jego posiadaniem. Przez wiele lat John Gotti miał swój własny prywatny stolik w Raos. Kiedy trafił do więzienia, odziedziczył go Greg DePalma. Greg obrócił ową sprawę w przedsięwzięcie przynoszące zyski. W te wieczory, kiedy nie mógł z niego skorzystać, dzwonił do kogoś i mówił: „Wiesz co? Możesz dzisiaj skorzystać ze stolika Johna Gottiego w Raos! Wszystko dla ciebie zorganizowałem!”.

Ofiara lub cel rzecz jasna reaguje pełnym entuzjazmem na myśl o posiłku w tak prestiżowym miejscu. Mam nadzieję, że potrafcie sobie to wyobrazić. To nie było dokładnie to samo co Clinton wynajmujący sypialnię Lincolna wielkim donatorom, ale blisko. Po tym jak ofiara Grega wraz z siedmioma najbliższymi

przyjaciółmi zjadła kolację w Raos, która niewątpliwie kosztowała z kilka tysięcy dolarów, dzwonił Greg i zaczynał jęczeć:

- Hej, jestem kompletnie splukany. Potrzebuję gotówki. Niedawno załatwiłem ci miejsce w Raos. Musisz mi pomóc i dać mi kilka dolców.

Greg DePalma posiadał umiejętność zarabiania pieniędzy absolutnie na wszystkim.

Choć Greg uwielbiał restauracje jako miejsce spotkań, otrzymywania łapówek i miłego spędzania całych godzin na jedzeniu, nie należał do najlepszych klientów z punktu widzenia restauracji. Spędzaliśmy w restauracjach masę czasu - często przyjeżdżaliśmy na lunch i zostawaliśmy aż do kolacji. Greg palił w takich lokalach, choć w stanie New York jest to niezgodne z prawem, powodując, że właściciel się denerwował, ponieważ było to także uciążliwe dla innych klientów. Obecność Grega - ów donośny, groźny, chrapliwy głos, wraz z całą grupą mafiosów otaczających go - wszystko to szkodziło atmosferze restauracji. Ale wszyscy, nie wyłączając właścicieli owych przybytków, bali się powiedzieć Gregowi, by ten przestał palić lub by zachowywał się ciszej. Greg był już po siedemdziesiątce, z perspektywy medycznej był wrakiem, jednak nadal wysoki i o wyglądzie twardziela - wciąż był przerażającą postacią w świecie przestępczym.

Jak każde inteligentne przedsiębiorstwo, pewne konkretne funkcje mafia zlecała pracującym zdalnie freelancerom. A konkretnie, zlecała brutalne pobicia i pewne metody zastraszania, jak wieszanie facetów głową w dół u sufitu ich firm. Freelancerzy, do których mafia zwracała się przy takich okazjach, to była rodzina przestępcza Albańczyków z Nowego Jorku, ci sami ludzie, którzy rozwalili Naked Truth i zapoczątkowali całe moje śledztwo. Wcześniej od zlecanej przez mafię mokrej roboty byli Westies, brutalny gang nowojorskich Irlandczyków, którzy

CZEŚĆ II. GROMADZĄC DOWODY W SPRAWIE

dorastali w Helis Kitchen. Po tym jak banda Westies się rozleciała, ich funkcję przejęli Albańczycy

Cóż, Greg poszedł siedzieć, a Albańczycy przejęli także stół w Raos, który najpierw należał do Gottiego, a następnie do Grega, i stawali się coraz potężniejszą siłą w świecie zorganizowanej zbrodni Nowego Jorku. Na początku byli wykorzystywani jako płatni zabójcy, zlecało się im także okaleczenia. Wiele razy słyszałem, jak Greg mówi: „Jeśli będziemy mieli problem, każemy Albańczykom się tym zająć”. Jednak nie minęło dużo czasu, a Albańczycy zaczęli myśleć: dlaczego ma być tak, żerny jesteśmy mięśniami, a ci faceci mają być mózgiem? I po tym, jak na własne oczy przekonałem się, jak ograniczeni są niektórzy ludzie mafii, zdałem sobie sprawę, że to naprawdę było dobre pytanie.

Albańczycy zdecydowali, że chcą stanowić szóstą rodzinę przestępczą w Nowym Jorku i że ma być ona na tym samym poziomie co pięć pozostałych. Rzecz jasna, nie odpowiadało to Sycylijczykom. Albańczycy weszli do Astorii - na terytorium rodziny Lucchese - i umieścili automaty Joker Poker na kontrolowanym przez Lucchese terenie. Pobili ludzi. Na stałe zajęli terytorium La Cosa Nostra i czerpali zyski z biznesu.

Nie znali strachu. W 1998 roku weszli do Valbella's, uczęszczanej przez celebrytów restauracji na eleganckich przedmieściach Connecticut o nazwie Greenwich. Właściciel rzekomo płacił Gambino pięć tysięcy dolarów miesięcznie za protekcję... a także darmowe posiłki w restauracji. Gangsterzy mieli w Valbellas swój stół i była to złota żyła dla restauracji. Albańczycy to zauważyli i powiedzieli sobie: Czemu to nie my mielibyśmy dostawać te pieniądze? Tak więc poszli do Valbella's i zawiesili właściciela u sufitu, aż zgodził się płacić im zamiast Gambino. Tak więc teraz mieli stół w Raos, pieniądze za protekcję w Valbelli i dokonywali dalszych wtargnięć na nienaruszalne terytorium Gambino.

Greg siedział w więzieniu, nie mógł więc sam rozwiązać tego problemu. Posłał więc Nickyego LaSorsę, aby się tym zajął, tego samego faceta, którego uczynił mianowanym członkiem mafii, a później kazał zamordować. Kiedy LaSorsa dowiedział się o tym, że Albańczycy

ROZDZIAŁ 15. „MASZ KOPALNIĘ, TO MASZ I ZŁOTO”

przejęli Valbellas, powiedział: „Zaraz, zaraz. Pieprzyć ich!” Więc wrócił do Valbellas w z upoważnienia Grega, zakończył płacenie Albańczykom 1 teraz Gambino mogli wrócić do restauracji i cieszyć się darmowymi posiłkami. Kiedy do Grega, który nadal siedział w pace, dotarły nowiny, wściekł się. Jaka korzyść płynie z darmowych posiłków w restauracji, kiedy siedzisz za kratkami? Gdzie są pieniądze? Po

wyjściu z więzienia Greg ponownie zgłosił akces do lokalu i dopilnował, by łapówka obejmowała pieniądze oraz posiłki.

Albańczycy byli na tyle twardzi, na tyle źli i obojętni, że robili, cokolwiek trzeba było zrobić - dlatego właśnie otrzymywali od mafii zlecenia na brudną robotę. Mogli mordować, a potem poćwiartować ciało, robić, co się im zleciło. Według Grega kilku mianowanych członków mafii umówiło się w Bronxie z Albańczykami na obgadanie pewnych spraw, po czym zostali rozebrani do naga i wyrzuceni na zewnątrz w ciemną noc. Mafia nic w tej sprawie nie zrobiła. Zdaniem Grega było to oburzające.

Greg zdecydował, że sam pójdzie do Café Dion, głównej siedziby Albańczyków, by wszystko wyjaśnić.

- Pomóc ci? - zapytałem, podziwiając to, że się niczego nie boi. -
Będę robił za obstawę.

- Nie, nie trzeba - Greg odrzekł lekceważąco.

Potrafił się tym zająć bez mojej asysty. Musiałem przyznać, że facet naprawdę ma jaja. Grał według zasad mafii i oczekiwał, że ci goście również będą ich przestrzegali. DePalma nie bał się niczego. Pojechał do Café Dion i rozwiązał problem stolika w Raos i większość innych drażliwych kwestii między Albańczykami a mafią. Muszę mu oddać sprawiedliwość - miał odwagę, by iść do obozu wroga i zająć się problemem w tradycyjny sposób.

Jednakże nasiadówka Grega i Albańczyków nie rozwiązała wszystkich problemów i relacje między dwoma obozami pogarszały się. Pod koniec września 2005 roku tak bardzo się pogorszyły, że Gambino postanowił urządzić ostateczną rozgrywkę z Albańczykami. Obecny był Arnold Squitieri - sam szef. Wedle Gambino Albańczykom powinno się przytrzeć nosa... i to bardzo.

Jak powiedział mi Greg, konfrontacja miała miejsce na stacji benzynowej w New Jersey Turnpike. To może brzmieć jak jedna z miejskich legend, ale naprawdę się zdarzyło. Squitieri wziął ze sobą posiłki - dwudziestu facetów uzbrojonych po zęby. W międzyczasie zwykli mieszkańcy - ludzie z rodzinami - tankowali benzynę i zastanawiali się, co tu się u diabła dzieje. Albańczycy byli podobnie uzbrojeni. Rozmowa, od początku nie należąca do przyjacielskich, szybko przybrała bardzo gwałtowny przebieg.

- Dostaliście już wystarczająco dużo - zaczął Squitieri - i nie dosta nicie więcej. Albo będziecie mieli problem... rozumiecie?

Albańczycy uśmiechali się z tej groźby - rechotali niczym James Cagney. Szef gangu zwrócił się do jednego ze swych ludzi i powiedział: „Jeśli zaczną do nas strzelać, celujcie w zbiorniki z paliwem. Wszyscy wylecimy w powietrze”.

To była iście hollywoodzka chwila - Albańczycy powiedzieli tym samym: „My też jesteśmy twardzielami. Chcecie się napięrczać? No to już!”.

Konfrontacja mogła skończyć się różnie, ale Gambino mieli tam dwudziestu swoich ludzi, a Albańczycy tylko pół tuzina. Albańczycy pracowali z Gambino wystarczająco długo, żeby żywić szacunek do La Cosa Nostra, i na tej stacji benzynowej pierwsi wymiękli Albańczycy. Tak czy siak - jak opowiadał mi Greg - Albańczycy poszli po rozum do głowy... a przynajmniej przestraszyli się gróźb Squitieriego. Na stacji benzynowej nie było ich na tyle dużo, by zadzierać z Gambino, i musieli zdać sobie sprawę, że Gambino są zbyt wielką potęgą, żeby wypowiadać im wojnę.

Greg powiedział mi, że Albańczycy dostali nauczkę i nigdy nie stali się ową szóstą rodziną przestępczą w Nowym Jorku.

Rzecz jasna, Greg nie poświęcał całego swego czasu na grożenie Albańczykom. Jeden z lekarzy, którego skądś znał, prowadził fundację i co roku organizował zawody golfa, aby pomóc zbierać fundusze na przeszczepy serca dla dzieci. To była ogromna fundacja i nie wiem, jakim sposobem Stary się w to włączył, ale zajmował się i tym. Zbierał całe kolekcje pamiątek sportowych, które były wystawiane na aukcjach.

Greg nie tylko sponsorował owe pamiątki sportowe - przyprowadzał także mnóstwo mafiosów i ludzi biznesu, z którymi robił interesy, po pięćset dolarów za wstęp od osoby. Zabrał mnie z sobą kilka razy i muszę powiedzieć, że była to jedna z najlepiej zorganizowanych uroczystości, jakie widziałem.

Działo się to w ekskluzywnym ośrodku w Westchester County i zaczynało się od świetnego śniadania. Następnie był turniej strzelniczy (w sam raz rozrywka dla gangsterów!). Każdy dołek golfowy miał innego sponsora. Jeśli trafiłeś do pierwszego, wygrywałeś samochód u pobliskiego dealera i tak dalej. Nie jestem golfistą, więc tylko wybrałem się na przejażdżkę po polu golfowym. Później była kolacja z gwiazdami, sławnymi sportowcami i największymi biznesmenami w Nowym Jorku. Odbyła się aukcja pamiątek sportowych oraz pokaz mody, po którym można było kupić na przykład futro. Wystąpił komik, który był przezabawny, a kolacja była po prostu niezemska. To był idealny dzień... pomijając towarzystwo, z jakim tam przyszedłem.

Stary był wystrojony na kolację. Siedziałem obok niego przy stole. Cały wieczór podchodziły do naszego stolika jakieś życzliwe osoby. Wszelkiego rodzaju ludzie - biznesmeni, politycy, sami sobie dośpie-wajcie resztę - podchodzili, niemalże całując Grega w pierścień, tylko po to, by zamienić z nim kilka słów. Traktowali go jak swego rodzaju gwiazdę, a nie kryminalistę, którym był przez całe życie. Nie mogłem w to uwierzyć. Nie mogłem uwierzyć, że wszyscy ci ludzie chcą okazywać publicznie, że coś ich łączy z facetem takim jak Greg. Już samo to, że pośród tych, którzy kupili miejsca siedzące przy naszym stoliku, znaleźli się legalni biznesmeni, było dla mnie szokujące. To byli ludzie, od których Greg aktualnie wyłudzał pieniądze, wyłudzał je w przeszłości, lub były to jego potencjalne ofiary. Pracując nad tą sprawą, nauczyłem się, że kolejka ludzi, którzy chcą kręcić się w orbicie mafii, nie ma końca. To zadziwiające. Całe to doświadczenie było dla Grega „rozbudowywaniem interesu”, ponieważ wyznaczał on sobie nowe ofiary i pokazywał im się od najbardziej czarującej strony.

Mam nadzieję, że skoro nigdy nie potrafiłem dostrzec w nim niczego dobrego - to właśnie było częścią dobra w Gregu, jednak trudno mi uwierzyć, że Greg nie czerpał ze swojej corocznej obecności na owych wydarzeniach takich czy innych korzyści. Czy część z owych pięćuset dolarów opłaty, jakie pobierał za jedno miejsce siedzące przy swoim stoliku, wędrowała do jego kieszeni? A może całość? Czy może po prostu chciał wzbudzić sympatię i poznać nowych ludzi, od których mógłby wyłudzać pieniądze? Czy dostawał swoją działkę zwiększoną o sprzedaż pamiątek sportowych na aukcji? Nawiasem mówiąc, kto wie, czy w posiadanie owych pamiątek wszedł na drodze legalnej? Najprawdopodobniej dostawał je za darmo, wystawiał je na aukcjach w zamian za darmowy stolik, a następnie zganiał pięćset dolarów za miejsce przy stoliku od każdego z nas. Na każdej uroczystości, choćby nie wiem jak milej, miałem wrażenie, że nie pasujemy do reszty. Byliśmy cholemnymi gangsterami! Ale dla Grega to nie miało znaczenia. Każdego roku padało jego: „Jackie, musisz iść! Ile chcesz biletów?”.

Inną rzeczą charakterystyczną dla mafii, obok jedzenia i zarabiania pieniędzy, była absolutna miłość i troska o własne ciała. Oczywiście jedliśmy bardzo dużo, więc żaden z nas nie wyglądał, jakby trenował do maratonu. Ale jeśli można było zrobić coś, by wyglądać lepiej, korzystaliśmy z tego. W pewnym momencie ktoś z Florydy zaopatrzył Grega w świetną treskę, więc nie wyglądał już jak Dziadek Munster, jak wtedy, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy.

Po długich miesiącach posiedzeń Gregowi w końcu udało się rozwiązać sprawę wyroków śmierci, które on i Nicky LaSorsa wzajemnie na siebie wydali. Tych dwóch mężczyzn, najpierw połączonych przez fakt, że to Greg mianował Nickyego LaSorsę członkiem mafii, a teraz przez to, że każdy z nich chciał wykończyć drugiego, w końcu zgodziło się usiąść razem w restauracji w Bronxie i ucałować się na zgodę. A ponieważ chodziło o mafię, pocałunek był brany dosłownie. Wcześniej Greg bez przerwy obgadywał Nickyego - jego ulubiony epitet brzmiał „skurwiel”, ale to nie znaczyło wiele, ponieważ był to jego ulubiony epitet określający wielu ludzi. Teraz Greg mówił nam, jakim świetnym facetem jest tak naprawdę LaSorsa. To był rozkaz z góry - chodziło o to, by unikać tarć.

Choć Greg tak bardzo kochał pieniądze, była jedna oferta finansowa, której nawet on nie mógł przyjąć. Lenny Minuto był czterdziestosześcioletnim pieczeniarem, który kręcił się przy Gambino od dziesięcioleci. Zrobił fortunę na chronionym przez mafię przyjmowaniu zakładów i na lichwie. Nieustannie błagał Paulie Castellana, szefa Gambino, którego później zamordował John Gotti i przejął po nim władzę, aby pozwolił mu wkupić się w szeregi mafii.

Castellano nie zgodził się przyjąć sumy między pięćdziesiąt a sto tysięcy dolarów, które oferował Minuto, choć, jak głoszą plotki, wielu facetów płaciło za swoją odznakę. Wszyscy wiedzieli, którzy to, i nikt ich nie szanował, ponieważ zamiast zapracować na swoje członkostwo, zapłacili za nie. Jednak Paulie ignorował Minuta, podobnie robił Gotti i wszyscy szefowie, aż po Arnolda Sautieriego. Zgodnie z tym, co mówił Greg, Minuto był błaznem i palantem, który nie miał na tyle odwagi, by być prawdziwym żołnierzem. Do czasu aż zacząłem pracować nad sprawą, Minuto zwiększył swoją ofertę do okrągłego miliona dolarów - chciał zapłacić siedmiocyfrową sumę, by stać się członkiem mafii.

Greg żartował, że można by wziąć od niego pieniądze, a potem tylko się z niego śmiać, ale o ile wiem, sam nigdy nie przyjął od Minuta pieniędzy. Ten jeden raz skrupuły wobec mafii przeważyły nad jego niewyobrażalną chciwością. Kiedy sprawa Gambino dobiegła końca, Lenny i jego syn zostali zaaresztowani i oskarżeni o strzelanie do samochodu świadka. Minuto skończył jako współpracownik rządu. Okazało się, że Greg miał co do niego całkowitą rację. (Prawnik Minuta zaprzeczył, jakoby skazany hazardzista usiłował kupić sobie członkostwo w rodzinie Gambino. „Jedyny wniosek, do którego doszedłem, słuchając taśm - mówił prawnik - jest taki, że to plotka, mafijna plotka, a sądząc na podstawie źródeł, trzeba zdezwuować informacje, które wywodzą się od osób tak twierdzących”).

Greg był najtrudniejszą osobą, z jaką przyszło mi przestawać we wszystkich latach mej pracy tajnego

agenta. Praca przy tej sprawie była dla mnie bardzo trudna. Już samo przebywanie w jego towarzystwie było dużym obciążeniem. To był sprawdzian tego, jak wiele mogę od niego wydobyć informacji i ile mogę nawiązać kontaktów, podczas gdy on zawsze starał się sprawdzić, ile pieniędzy może wyciągnąć ze mnie.

Nigdy nie szanowałem go jako osoby, ale muszę mu oddać sprawiedliwość jako mafiosowi - zawsze działał zgodnie z zasadami.

I to samo wyczuł u mnie. Nawet gdy sprawdził już mój numer ubezpieczenia socjalnego i środowisko, z którego się wywodzę, nadal był zajęty sprawdzaniem mojej osoby. Chciał, żebym spotkał się z szefami i żeby oni też mnie sprawdzili.

Dlaczego? Bo nosił się z zamiarem mianowania mnie na członka mafii. Chciał uczynić mnie pełnoprawnym żołnierzem. Greg chciał, żebym należał do mafii, chciał mi dać odznakę, chciał, bym był mafiosem. Pełnoprawnym amico nostro - naszym przyjacielem.

Interludium 3

Rozpracowywanie Hollywood

W grudniu 2002 roku, niedługo przed tym, jak zapisałem się do szkoły mafii prowadzonej przez Natę, dostałem telefon od agenta Kevina Luebke z Miami. Słyszał o mnie - znał krążącą o mnie opinię, po tym jak prowadziłem tam kilka znaczących spraw.

- Mamy możliwość włączenia cię do sprawy dotyczącej paserstwa - wyjaśnił Kevin. - Dowiedzieliśmy się od gościa, który liczył na to, że okażemy mu pobłażliwość, że jest pewien jubiler, któremu można przywozić towar do upłynienia. Właściciel sklepu sprzedaje kradzioną biżuterię razem z legalną.

- A więc na czym polega sprawa? - zapytałem. - Dlaczego miałoby się tym zajmować FBI?

- Właśnie miałem do tego dojść - powiedział Kevin. - Właściciel sklepu z biżuterią zatrudnia wielu policjantów. Zajmują się paserstwem kradzionej biżuterii i są wmieszani we wszystko - od przekrętów związanych z ubezpieczeniem aż po samą kradzież.

To mi wystarczyło, więc złapałem samolot i dołączyłem do sprawy. Ronnie to był ów facet siedzący w więzieniu i udzielający nam informacji, a ja miałem odgrywać rolę jego wujka. Ronnie zwykł być często

chodzić do jubilera, zarówno jako klient kupujący kradzioną biżuterię [< jak i po to, by sprzedać ukradzione rzeczy właścicielowi. Zajmując tym, zaprzyjaźnił się z wieloma policjantami, którzy po godzinach do rabiali na boku, oferując ochronę podczas wystaw. Policjanci musieli wiedzieć, że właściciel sprzedaje kradzione rzeczy. Ronnie był tak za przyjaźniony z policjantami, że kupił od nich kamizelkę kuloodporną i inny policyjny sprzęt i mógł robić napady z bronią w ręku wyposażony jako policjant. Nie tylko uprawiał paserstwo, ale też kradł biżuterię. Policjanci sami sprzedali nawet część tej biżuterii.

Ostatecznie Ronnie trafił do aresztu za członkostwo w grupie, która zajmowała się włamaniami i specjalizowała w kradzieży pieniędzy, biżuterii i innych cennych rzeczy z prywatnych domów. Wtedy zdecydował się na współpracę w zamian za pobłażliwość. Opowiedział agentom federalnym o nieuczciwych glinach w Hollywood, którzy krążyli wokół sklepu jubilerskiego, i to przyciągnęło uwagę FBI. Biuro potrzebowało agenta, który pracowałby jako tajniak w tej sprawie, zaprzyjaźnił się z właścicielem sklepu, którego będziemy nazywać Freddy i który miał by się zbliżyć do nieuczciwych policjantów.

W pewien letni gorący dzień postanowiłem, że wejdę do sklepu jubilerskiego prosto z ulicy i zapoznam się z Freddyem. Tego dnia pojawiłem się w sklepie ubrany jak gangster z Nowego Jorku, który przebywa na urlopie w Miami - jedwabna koszula, dobre spodnie, drogie buty, rolex Président ze szczerego złota na

nadgarstku i obligatoryjny sygnet z diamentem charakterystyczny dla mafii - słowem, wygląd był dopracowany w szczegółach. Podjechałem nawet nowym cadillakiem Escalade, którego wynająłem na lotnisku.

Cechą charakterystyczną każdej owocnej operacji, którą prowadzi tajny agent, jest delikatność. Zamiast natychmiast starać się zrobić z Freddy'ego interes lub wyciągnąć od niego forszę, powiedziałem tylko: „Jestem Big Jack, wujek Ronniego. Jestem z Nowego Jorku. Słyszałem o tobie same dobre rzeczy od niego i wiem, że robiłeś z nim różne interesy. Ronnie zaliczył odsiadkę, ale ma się dobrze i chciał, żebym ci przekazał pozdrowienia. Mówił, że jesteś jednym z tutejszych facetów, którzy są w porządku”.

Z jego mowy ciała widać było, że miał się na baczności. Ale ja nie mówiłem o kradzieży ani o nieuczciwych glinach. Mówiłem tylko, że przyjechałem z Nowego Jorku i słyszałem, że jest uczciwym facetem i że chciałem się przedstawić. Spokojnie. To było całe moje przesłanie. Nigdy nie chciałem przestraszyć gościa, z którym dopiero przyszedłem się zaznajomić.

Wróciłem do sklepu Freddy'ego kilka tygodni później. W międzyczasie zacząłem sprawę Naked Truth i pracowałem również nad sprawą skorumpowanych polityków i azjatyckich producentów podróbek z Atlantic City, nie wspominając o mniejszych transakcjach, podczas których robiliśmy naloty; były także jeszcze inne sprawy. Tak więc miałem naprawdę dużo na głowie jako tajny agent.

- Słuchaj - rzuciłem do Freddy'ego - jest taka sprawa. Chciałbym kupić coś mojej dziewczynie. Szukam jedynie jakiegoś świecidełka, czegoś ładnego.

Jak się okazało, Freddy miał coś, co idealnie odpowiadało moim potrzebom - fajną biżuterię, bez wątplenia kradzioną, którą zaferował mi za osiemset dolarów.

- Piękna rzecz - powiedziałem. - Wyciągasz mnie z opałów. Dzięki.

- Nie ma za co - odrzekł Freddy. - Nawiasem mówiąc, również robimy biżuterię. Może kiedyś zrobimy coś fajnego dla twojej dziewczyny. - Wyciągnąłem plik banknotów przewiązany gumką z brokułów i wyciągnąłem osiemset dolarów.

- Może - rzuciłem i wyszedłem.

Podczas kolejnego pobytu w Miami wróciłem do jego sklepu, tym razem nie po to, by coś kupować, lecz by lepiej poznać Freddy'ego i zacieśnić więzy między nami. Zaprosiłem go na drinka. Kokietowałem go i mogłem stwierdzić, że czuje się w moim towarzystwie coraz bardziej pewnie. Dał mi do zrozumienia, że podejrzewa, że jestem gangsterem z Nowego Jorku. Mówił coś w rodzaju:

- Musisz mieć tutaj przyjaciół - na pewno znasz takiego a takiego faceta - i rzucał nazwisko tego czy innego gangstera, którego naprawdę nie znałem.

- Nie - odpowiadałem mu. - Nie znam go. Tak naprawdę to nil znam tu nikogo. Nie mam żadnych przyjaciół. Nikt mnie nie lubi. Jesteś jedynym facetem, którego tu znam! Mam przechlapane!

Freddy wybuchnął śmiechem. To nie układało się dla niego w Ki giczną całość - osoba tak towarzyska i sympatyczna jak postać, którą zaczynał poznawać, nie ma żadnych przyjaciół w południowej Florydzie. Wiedział, że jeśli mafioso mówi coś takiego, robi to po to, by on nie zadawał żadnych pytań.

Zwykle w takich sytuacjach noszę na sobie podsłuch. Ale w tym wypadku chodziło o sklep jubilerski, który był wyposażony w wykrywać/ metalu - zawsze, kiedy wkraczałem do sklepu lub czegoś w tym rodzaju, musiałem przejść przez bramkę, która wykryłaby mój podsłuch. Wkrótce zresztą Freddy stwierdził, że nie muszę przez nią przechodzić - sądził, że nie stanowią zagrożenia. Po prostu zaprzyjaźniałem się z Fred dym. Chciałem zrobić dobre wrażenie na całym jego zespole. Robiłem im drobne niespodzianki, na przykład kupowałem całe pudełko cannoli i przynosiłem je obsłudze.

- Hej, zobaczcie, co dla was mam! - wołałem jowialnie, robiąc wo kół siebie dużo szumu.

To trwało tak długo, aż poczułem, że mogę wejść tam kiedykolwiek i po prostu pogadać z Freddy'ym jak przyjaciel z przyjacielem. Następnie nade szła chwila, kiedy wiedziałem, że mogę go w dosłownym sensie wodzić na pokuszenie - przekroczyć granicę, która dzieliła przyjaźń od działalności kryminalnej. Nie da się stwierdzić z zewnątrz, kiedy nadchodzi taki moment - to agent podejmuje decyzję. Ta intuicja wykształca się po latach pracy. W którymś momencie słuchania, co podejrzany mówi, gdy wieczorami pijesz z nim drinki, spotykasz się z nim, pojawia się przekonanie, że to właśnie ta chwila. Podstawowa sprawa to ta, by facet polubił tajnego agenta.

Taki właściwy moment nadszedł, a wtedy okazałem, że ufam Freddy'emu.

- Słuchaj - powiedziałem. - Taka sprawa. Nie zadawaj zbyt wielu pytań. Wiem, że robiłeś pewne akcje z moim siostrzeńcem. Chcę wiedzieć, czy możesz coś dla mnie zrobić.

Widziałem to w jego oczach - natychmiast obudziła się w nim chciwość.

- O co chodzi? - zapytał.

To jest ta chwila, która sprawia, że ludzie pytają, czy aby nie stosujemy prowokacji policyjnej. W tym rzecz. Gdyby facet nie był zainteresowany, powiedziałby: „Nie obchodzi mnie to - spadaj”, a ja nalegałbym i naciskał: „Musisz to dla mnie zrobić. Potrzebuję twojej pomocy. Proszę. Pomóż mi”.

Jeśli próbujesz złamać osobę, której nie interesuje działalność kryminalna, to jest to prowokacja. Ale zwykle złożenie komuś propozycji -lo legalne działanie organów ścigania. Jeśli ów człowiek nie wzdraga się przed działalnością kryminalną, a my stwarzamy mu ku temu okazję, to nie mamy do czynienia z prowokacją. Jeśli nie jest tym zainteresowany, a my ciągle składamy mu propozycje, wtedy owszem. Nie musiałem Freddy'ego do niczego namawiać. Od początku zaświeciły mu się oczy. Miałem go już, kiedy rzuciłem: „Słuchaj”.

Miałem z sobą brązową torbę zawierającą sporo biżuterii, którą FBI przejęło w trakcie różnych śledztw, większość tej biżuterii pochodziła od handlarzy narkotykami. Wśród nich był na przykład pierścionek ze szczerego złota z napisem „SEXY”, wielki krzyż, wielkie imiona na naszyjnikach, jak „Foxy” - najbardziej jarmarczne rzeczy, jakie można sobie wyobrazić, ale było to szczerze złoto.

- Człowieku, spójrz tylko na to gówno! - wykrzyknął Freddy. - Nie mogę upłynnić tego towaru. Muszę to stopić.

- Doskonale to rozumiem - odrzekłem. - Po prostu daj mi równowartość wagi.

Kiedy zbyt trudno paserowi upłynnić biżuterię, trzeba ją zważyć, stopić i sprzedać na wagę według aktualnej ceny złota. I to właśnie chciał zrobić Freddy. Miał specjalną wagę i razem zważyliśmy złoto. Zaproponowałem mi cenę, którą uznałem za absurdalnie niską.

- Zabijasz mnie! Tylko tyle oferujesz mi za uncję? Mógłbym uzyskać więcej od mojego człowieka w Nowym Jorku - ale chciałem upłynnić ten towar tu, na Florydzie, bo na północy robi się gorąco.

Targowaliśmy się długo, aż w końcu ustaliliśmy cenę pięciu tysięcy dolarów za całość. Freddy powiedział mi, że ma przy sobie tylko kilka tysięcy i poprosił, żebym przyszedł nazajutrz i da mi resztę pieniędzy - wszystko w studolarówkach. Dziwne, że spodobał mu się jeden z łańcuchów, który był w torbie. Założył go i widziałem go na nim do końca sprawy.

- Jestem wdzięczny - powiedziałem.

- Nie ma sprawy. Jak będziesz kiedyś miał taką brązową torebkę, daj mi znać - powiedział.

W tym momencie moglibyśmy go aresztować za paserstwo, jednak nic to było celem sprawy. Prawdziwy cel stanowili nieuczciwi policjanci, któ rych Freddy zatrudniał. Nie minęło wiele czasu i rzecz jasna Freddy zaczął mi opowiadać o gliniarzach, z którymi pracuje, tymi, którzy mu pomagają ją. Właśnie to chciałem usłyszeć. Tak więc opowiadał mi te niesamowite historie - któregoś razu udał się do Wydziału Policji w Hollywood, aby zrobić inventaryzację przejętej biżuterii. Mówił, że widział gliniarzy krad nących biżuterię ze schowka na materiały dowodowe i że robili to na jego oczach. Teraz dobrnęliśmy do punktu, o który mi chodziło od początku.

- Słuchaj. Raz na czas mogę potrzebować ochrony. Być może będę musiał przewieźć coś ciężarówką na północ, a kierowca pewnie będzie musiał się przespaciać kilka godzin w drodze. Nie chcę, żeby złodzieje lub gliny skorzystały z okazji i przejęły towar.

- Mam kilku ludzi - odrzekł.

- Kogo masz? - zapytałem.

- Przyjdź jutro - odpowiedział. - Tylko pamiętaj, że ci goście nie chcą wiedzieć i nie dbają o to, co jest w ciężarówce. Oni tylko będą jej pilnować. Więc nic im nie mów, a oni nie będą zadawać pytań!

Faceci, o których mówił, to gliniarze z Wydziału Policji w Hollywood. Jednak nie mogłem zaakceptować tego, że policjanci mają nie wiedzieć, co jest w ciężarówce. Ochrona ciężarówki, kiedy nie wiesz, że chodzi

o kontrabandę, nie jest przestępstwem.

- Muszą wiedzieć, co w niej jest - sprzeciwiłem się. - Nie mogę po zwolnić, żeby w ostatniej chwili się nawrócili, zechcieli mnie aresztować

1 przejąć towar!

- Żaden problem - zapewnił mnie Freddy. - Oni tego nie robią, i tych facetów. Powiesz mi, na kiedy ich tu chcesz. Nie będą cię pro-o dokumenty dotyczące ładunku, list przewozowy czy o cokolwiek. Tak więc dogadaliśmy się. W następnym tygodniu miałem przyje-ć swoją ciężarówką. Miała być pusta i opieczętowana, żebym mógł edzieć, czy ktoś zaglądał do środka. Gdyby gliniarze ją otwarli, powie-iałbym: „Nie ufałem im, Freddy, i tylko ich sprawdzałem”. Tak więc przyjechałem ciężarówką i na dwadzieścia cztery godziny parkowałem za sklepem Freddyego. Umundurowani funkcjonariusze ydziału Policji w Hollywood pilnowali mojej pustej ciężarówki przez dobę. Ustaliliśmy, że zapłacę im za to trzydzieści

dolarów za godzinę, ale policjanci powiedzieli mi, że chcą trzydzieści osiem za godzinę - w ten sposób będą mogli zgłosić to jako swój zysk i zapłacić podatek. Więc jeśli coś miałoby się przydarzyć, i tak będą mogli na tym zyskać - wolno im pracować po godzinach. Ale co w sytuacji, gdy ktoś, tak jak ja, jest w sposób oczywisty kryminalistą?

Kiedy pojawiłem się na scenie, zobaczyłem umundurowanych policjantów trzymających straż przy mojej półciężarówce, która stała na parkingu. Byłem w czarnym cadillacu Escalade. Byłem ubrany jak przestępca - koszula guayabera, biżuteria, włosy nażelowane i zaczesane do tyłu, a na nadgarstku zegarek rolex President ze szczerego złota! Co u diabła? - myślałem. Noszę się jak gangster, gadam jak gangster - przecież to oczywiste, że jestem gangsterem. Ci gliniarze nie byli głupi. Wiedzieli, jak wygląda kryminalista, jak się zachowuje. Pilnowanie półciężarówki na zdewastowanym parkingu. Dajcie spokój! A jednak traktowali mnie, jakbym był działającym legalnie biznesmenem, który potrzebował ich legalnych usług.

Osobą, która odgrywała kierowcę półciężarówki, był inny agent z biura w Miami. Miał długie włosy i poprosiłem go, żeby się przez trzy dni nie golił. Przyproceedziłem go do tych policjantów i powiedziałem: - To mój kierowca. Chcę, żeby się tej nocy przespał, bo jutro ma przed sobą daleką trasę. Chciałbym, żebyście popilnowali mojego wozu, żeby mógł się przespać.

Nikt nie pytał o żadne dokumenty, licencję czy list przewozowy. I to był Wydział Policji w Hollywood! Zacząłem gadać z gliniarzami, kupiłem im kawę; nie mówiłem do nich niczego znaczącego. Mój szósty zmysł podpowiadał mi, że bym nie czynił tego kroku - jeszcze nie nadeszła na to pora. Po prostu pracowałem na swoją wiarygodność na poczet przy szłych interesów, jakie miałem z nimi robić.

Pod koniec owej doby półciężarówka ruszyła w dalszą drogę „na pół noc”, a ja zapłaciłem tym facetom.

Freddy ciągle powtarzał, że gliny nie chcą wiedzieć, że towar znajdujący się w ciężarówce może być nielegalny. A ja ciągle powtarzałem: „Chcę, żeby wiedzieli, co tam jest, bo im nie ufam”. Freddy nie prowadził interesu sam. Miał brata, faceta, którego będziemy nazywać Stevie. Stevie był prawdziwym graczem, cwany jak cholera, chciał być gangsterem. Był zafascynowany przestępcami, jednak to był tylko chuligan. Zawsze próbował się ze mną mierzyć, zachowywał się, jakby był równy mnie, jakby również był związany z mafią. Uwielbiał mnie i chciał być taki jak ja, a równocześnie chciał mi zaimponować. Kilka razy miałem ochotę dać mu w pysk, aż któregoś dnia pojawił się z podbitym okiem. Biorąc pod uwagę jego zachowanie, nie byłem zaskoczony.

- Mówiłem ci, że ktoś cię w końcu zleje! - zbeształem go.

Tak więc oto byłem ja, Freddy i Stevie i oto nadszedł moment, aby zrobić kolejny krok naprzód.

- Mam problem - powiedziałem któregoś dnia do Freddy ego. - Pewien facet jest mi winien pieniądze. Chcę zabrać z sobą gościa, który będzie stanowił skuteczny środek odstraszający. Może wziąłbym z sobą faceta w mundurze? Wiedzieliby, że mam powiązania. Bo te gnidy mogą chcieć mnie zdjąć i być może będę musiał posłużyć się tym gościem.

- W porządku - powiedział Freddy. - Znam kogoś takiego, jest taki sam jak ty. Nazywa się Kevin Companion. Jest detektywem w Wydziale Policji w Hollywood.

- Świetnie - odrzekłem. - Chodzi o to, żeby był ze mną w restauracji Mamma Mia jutro w południe. To była niezła włoska knajpa niedaleko sklepu jubilerskiego.

Nagraliśmy to w ten sposób: przy barze miał pojawić się inny tajny agent, Hiszpan, który wyglądał jak dealer narkotykowy. To był bardzo bry tajny agent. „Mam prośbę - powiedziałem. - Kiedy wejdiesz do stauracji, podejdź do baru. Ja podejdę do ciebie, odegram zdenewowanie, walnę pięścią w kontuar, trochę na ciebie nakrzyczę”. Ów tajny agent doskonale wszystko zrozumiał. Tak więc nazajutrz kwadrans przed dwunastą poszedłem do sklepu z biżuterią i zastałem tam Kevina, gliniarza oraz dwóch braci. Sympatyczny brat, Freddy, został na miejscu, a brat zgrywający twardziela, Stevie, poszedł z nami. Kevin miał na sobie letni mundur policjanta z Hollywood - białą koszulkę polo z napisem „POLICJA” na plecach, odznakę i broń. Ja byłem ubrany w czarną koszulę i czarne spodnie: wygląd charakterystyczny dla gangstera z Nowego Jorku.

- W porządku, teraz słuchaj - zwróciłem się do Kevina. - Nie wiem, co mogłoby z tego wyniknąć, ale jeśli ty tu będziesz, wszystko będzie okej. Muszę tylko pogadać z tym gościem, Hiszpanem. Kiedy wejdzie, zobaczymy, czy robi coś nie tak.

- Dopilnuję, żebyś miał ochronę - zapewnił mnie Kevin. Przyjechaliśmy do restauracji i zajęliśmy stolik naprzeciwko baru.

Kevin niczego nie podejrzewał. Zachowywał się, jakby to był zwykły lunch. Nic wielkiego. Tymczasem ja nie mogłbym bardziej przypominać gangstera, nawet gdybym próbował.

Usiedliśmy przy barze, czekając, aż nadejdzie drugi tajny agent i zgadnijcie, kto zjawił się w restauracji!

Szef policji i czterech czy pięciu kapitanów. Przyszli do tej cholemej restauracji na lunch! Nie znałem żadnego z tych facetów, bo byłem z Nowego Jorku. Ale Kevin znał ich dobrze.

- O, w mordę! - wykrzyknął. - Mój szef tu jest!

Sądziłem, że to koniec operacji. Kevin ucieknie jak szalony. Nie mógł zostać zauważony przez szefa w towarzystwie gangstera takiego jak ja, prawda? Tymczasem jak zachował się Kevin? Przedstawił mnie szefowi i innym policjantom! Nie mogłem w to uwierzyć! Jakbym był znajomym Kevina i jakbyśmy po prostu umówili się na lunch!

Szef zwrócił się nawet do Steviego:

- Być może zajdę do was w tym tygodniu. Muszę kupić prezent. Nie mogłem w to uwierzyć.

Szef zajął stolik jakieś sześć metrów od nas i wiedziałem, że to za czyną robić się coraz bardziej interesujące.

- Słuchaj, spieprzamy stąd! - powiedziałem do Kevina.

- Nie martw się tym - uspokajał mnie.

- Mam się tym nie martwić? - powtórzyłem z niedowierzaniem.

- Tak, wszystko w porządku - odrzekł Kevin.

- Jak możesz się tym nie martwić?! - zapytałem, ale zanim Kevin mógł cokolwiek odpowiedzieć, nagrany przeze mnie tajny agent wszedł do restauracji.

Rzuciłem Kevinowi i Steviemu spojrzenie mówiące, że to ten facet i że powinni zostać przy stoliku. Podeszedłem do tajnego agenta i zerknąłem na nasz stolik. Kevin patrzył na mnie. Musiałem przyznać, że świetnie wykonywał swoją pracę, pilnując mnie.

Potrząsnąłem tajnym agentem, jakbym był na niego wkurzony. Pro wadziliśmy ostrą rozmowę - a przynajmniej ja do niego mówiłem pode nerwowym tonem. Dla Kevina i kogokolwiek, kto mnie obserwował, wyglądało to tak, jakbym mówił: „Lepiej ze mną nie zadzieraj, kolego”.

Tajny agent dał mi kopertę, po czym się zmył. Wróciłem do Kevina i Steviego i ponownie zacząłem jeść.

Kevin był zadowolony - nie musiał się włączać. Wszystko poszło jak z płatka. Cóż, to oczywiste, że nie musiał się angażować. Chodziło właśnie o to, by go zatrudnić w mundurze, jako opiekuna transakcji narko tykowej. I poszło bardzo dobrze.

A oto najlepsza część - kiedy dostaliśmy rachunek, powiedziałem:

- Ja się tym zajmę.

- Dopilnuj, by dali ci zniżkę - rzucił Kevin. - Zawsze dają nam dwa dzieścia procent zniżki.

- Cholera, świetna sprawa! - wykrzyknąłem. Niegdyś policjanci jadali za darmo w każdej restauracji. Tak było, ale w obecnych czasach policjantom zabrania się przyjmować darmowe posiłki czy zniżki.

- Tak, wszystkie restauracje dają nam zniżki - odrzekł Kevin.

Zapłaciłem, a Kevin pożegnał się ze swoimi zwierzchnikami z wyiału w Hollywood. Następnie poszliśmy do mojego samochodu, który ł na ulicy naprzeciwko restauracji. Stevie ruszył w swoją stronę. Odwoziłem Kevina z powrotem do sklepu jubilerskiego i zapłaciłem mu dwieście dolarów, na które się umówiliśmy. Kiedy Kevin przyjmował pieniądze, rozejrzał się ostrożnie.

- Następnym razem przekaz pieniądze Steviemu. Na wypadek gdyby federalni robili zdjęcia.

Z punktu widzenia organów ścigania już tu i teraz mieliśmy sprawę przeciwko Kevinowi. Co mógłby zakładać, że ochrania, jeśli nie transakcję narkotykową? Ale to był dopiero początek operacji. Chcieliśmy sięgnąć tak głęboko, jak to możliwe, w to bagno korupcji, które zaczęło się ukazywać naszym oczom. Chcieliśmy zobaczyć, dokąd to nas doprowadzi.

Był to także początek mojej przyjaźni z Kevinem. Muszę powiedzieć, że był to najbardziej sympatyczny i najzabawniejszy facet, jakiego kiedykolwiek chcielibyście poznać. Potrafił chwycić cię za jaja i jednocześnie sprawić, że głośno się śmiejesz. Fascynowała go też zorganizowana przestępczość. Po prostu kochał o tym mówić. Niezmiernie podobało mu się, że zna takiego gościa jak ja. Mógł i często to robił - wyrecytować dla mnie całą scenę z Człowieka z blizną czy Ojca chrestnego. Dialogi z tych filmów miał wykute na blachę, a akcent opanował do perfekcji. Mówił na przykład:

- Złożyłem mu propozycję nie do odrzucenia!

- Kevin, co ty u diabła robisz cały dniami - siedzisz i cały czas oglądasz to gówno? - mówiłem do niego.

Śmiał się i nieustannie urządzał show. Detektyw Companion uwielbiał wszystko, co miało związek z Włochami, posunął się nawet do tego, że miał na swoim samochodzie zawieszoną flagę włoską i wykorzystywał na swojej komórce głosy Deana Martina i Franka Sinatry - w automatycznej sekretarce. Lubił nawet wmawiać ludziom, że przyjechał do Kalifornii, by uczestniczyć w pogrzebie swojego idola - Franka Sinatry.

Tak więc teraz Kevin i ja byliśmy przyjaciółmi, i jeśli chodziło o śledztwo w sprawie korupcji w wydziale policji, mogliśmy dokonać cudów.

Póki nie wróciłem do biura.

SAC - aktualny głównodowodzący agent specjalny w biurze w Miami - stwierdził, że ta sprawa rozwija się zbyt powoli.

Nagle, zamiast zwalczać nieuczciwych policjantów, wróciłem do starej sprawy walki z biurokratami.

- Co rozumiesz przez to, że sprawa posuwa się za wolno? - zapytałem z niedowierzaniem. -

Rozwija się bardzo dobrze. Korupcja opa nowała wszystkie szczeble wydziału policji! Słyszeliśmy z wielu źródeł, jak bardzo skorumpowani są ci faceci. Nie można po prostu złapać ich wszystkich na jedną wędkę. Sprawa takiego pokroju wymaga czasu, by przynieść rezultaty.

Agentem głównodowodzącym bynajmniej nie wstrząsnęły moje argumenty.

- Posuwa się zbyt wolno - upierał się. - Jeśli teraz nie powiesz im, żeby przewieźli dla ciebie ładunek narkotyków, zamknę całą sprawę!

Próbowałem mu wyjaśnić, że zaufanie gangstera można zdobyć bardzo powoli... a z nieuczciwymi policjantami idzie jeszcze wolniej! Ale nasze argumenty do niego nie trafiały. Głównodowodzący zamknął sprawę. Przez następne półtora roku, kiedy zadawałem się z Gregiem DePalma, od czasu do czasu Freddy nagrywał mi się na sekretarkę lub dzwonił, pytając, czy mam jeszcze do sprzedania biżuterię. Czy mam jeszcze jakąś robotę dla policji? Kevin pytał o ciebie! To było niewiarygodnie frustrujące. Taka doskonała sprawa, zamknięta przez biurokratów z FBI, którzy zwykle mają niewielkie lub żadnego doświadczenia z ulicą i nie nadają się do tego, by prowadzić tak ważne sprawy!

Kiedy półtora roku później w Miami zmienił się SAC, zaczął forsować otwarcie większych i lepszych spraw. Agent specjalny Mario Tariche, ten sam facet, który prowadził sprawę Willyego Falcona i Sala Magluty, stał się naszym zwierzchnikiem. Tak jak był świetnym agentem, tak samo dobry był jako zwierzchnik. Jego pierwszym rozkazem było ponowne otwarcie sprawy dotyczącej skorumpowanych policjantów z Hollywood na Florydzie. Mario Tariche i Kevin Luebke zadzwonili do mnie, pytając, mógłbym wznowić śledztwo i przeprowadzić infiltrację Wydziału Policji w Hollywood. Tak więc spakowałem walizki i uderzyłem do Hollywood, gdzie znowu spotkałem się z Freddyem, paserem biżuterii, evinem Companionem, nieuczciwym policjantem. Nie minęło wiele czasu, a było tak, jakbym nigdy nie wyjechał - wspólnie rozmawialiśmy wszystkim, co ma związek z przestępczością.

Z powodu intensywnej pracy nad sprawą Gambino, Royal Charm, teal Pier i ważną sprawą narkotykową spoza Nowego Jorku, nie miałem czasu, żeby oddać się sprawie Hollywood. Tak więc przedstawiłem, jako swoją załogę, tajnych agentów z FBI, facetów, którym ufałem i dla których miałem najwyższy szacunek: moich przyjaciół i partnerów w pracy tajnego agenta: Mikeya „Suitsa” Grimma i agentów FBI Dave’a i Joe. Aby wyjaśnić, dlaczego zlecam część swoich obowiązków tym rzekomym gangsterom, powiedziałem kryminalistom z Hollywood, że awansowałem na funkcję capo. Nadal pojawiałem się na ważnych spotkaniach, na których dokonywaliśmy zapłaty i na których prosiłem Kevina Companiona, aby włączył do pracy kolejnego policjanta.

Zgodnie z moimi oczekiwaniami, Companion, cała reszta glin z Hollywood w jego załodze i faceci, którzy byli właścicielami sklepu jubilerskiego, w pełni zaakceptowali owych trzech tajnych agentów FBI. Moi ludzie przekazali skorumpowanym policjantom „ukradzione” diamenty, dzieła sztuki i papiery wartościowe, które policjanci zawieźli do Atlantic City. Nasi faceci cały czas mówili, że towar jest kradziony - że wszystko to kontrabanda. To nie przeszkadzało policjantom, bo z każdej wyprawy mieli pieniądze.

Cały czas zlecaliśmy im kolejne transporty, bo za każdym razem mówiliśmy Kevinowi, by angażował do przedsięwzięcia nowego człowieka. Chcieliśmy wykurzyć wszystkich skorumpowanych gliniarzy z Wydziału Policji w Hollywood. Czy była to prowokacja? Oczywiście, że nie! Co powinien powiedzieć policjant, gdy proponuje mu się, by wywiózł ze stanu kradzione rzeczy? Powinien powiedzieć: „Pieprzę cię, jesteś aresztowany!” To nie była prowokacja. To działanie organów ścigania.

Pewnego razu powiedziałem Companionowi:

- Bardzo nam pomożesz. Jeśli kiedykolwiek będzie taka szansa, b) 1 może mógłbym cię do nas wciągnąć.

Innymi słowy, mówiłem mu, że w pewnym momencie może dostać propozycję członkostwa w mafii. Gdzie nauczyłem się gadać jak capo mafii? Od samego mistrza: od Grega DePalmy. Powtarzałem jedynie Kevinowi dokładnie słowa, które skierował do mnie Greg.

- Nigdy nie wiadomo - powiedział do niego.

- Byłbym zaszczycony. - Companion się praktycznie rozplywał z radości. - Zrobię dla ciebie wszystko. Będę dla ciebie prowadził twoich ludzi na Florydzie. Pojadę do Nowego Jorku i tam będę dla ciebie

pracował.

Nie miał pojęcia, że pracuje na to, by spędzić długie lata w więzieniu, a nie na nominację do mafii. Jeden z pozostałych umoczonych gliniarzy, Tommy Simcox, który później zgodził się współpracować z FBI, uświa domił nam, jak głęboko Kevin wierzył w to, że zostanie mianowanym członkiem mafii. Simcox zeznał agentom FBI prowadzącym sprawę, że Kevin powiedział jemu i innym policjantom, że Jack uczyni go mianowanym członkiem mafii. Jakie szaleństwo panowało w tym wydziale po licji! Najwyraźniej nikomu nawet powieka nie drgnęła na niesamowite wieści Kevina o jego gangsterskiej przyszłości.

- Mam mnóstwo facetów, którzy by do nas dołączyli, ale nie chcą wiedzieć, co transportują i że to jest kradzione - mówił Kevin.

- To niedobrze - odpowiadałem. - Nie chcę, żeby ci goście nagle się nawrócili i żeby padło na mnie. Jeśli są z nami, muszą być z nami w stu procentach.

Kevin ciągle pytał, dlaczego on i pozostali policjanci nie zarabiają na tym, co robią, więcej forsy.

- Jeśli chcecie zarabiać więcej - powiedziałem mu - będziecie musieli mieć styczność z prochami. To oznacza, że muszą się włączyć w pomoc przy przewożeniu heroiny z Florydy do Nowego Jorku. Kevin potrząsnął głową.

INTERLUDIUM 3. ROZPRACOWYWANIE HOLLYWOOD

- Wolę nie tykać prochów, wolę nie jechać tym samym autem, co ne - powiedział. - Jeśli ktoś by nas zatrzymał i je znalazł, nawet nasze dznaki nas nie uratują.

- Kto mówi o tym, że prochy mają być w waszym samochodzie? - drzełem. - Możecie po prostu je eskortować.

Jedyne, co miał zrobić, to zapewnić bezpieczeństwo i ochronę towaru. W jego oczach pojawiły się błyski.

- Eskortować? To żaden problem! Możemy to zrobić! I zrobili to.

Umoczeni gliniarze patrzyli, jak tajny agent Joe ładuje walizki zawierające dziesięć kilogramów heroiny do samochodu innego tajnego agenta FBI, który odgrywał rolę kolumbijskiego dostawcy. Następnie Joe, Dave i ja wsiedliśmy do mojego wypożyczonego hummera H2 i obserwowaliśmy gliniarzy jadących czterema pożyczonymi samochodami jako eskorta z północnego Miami do Hollywood, do punktu załadunkowego na tyłach magazynu. Kevin dał nam krótkofalówkę. Nagraliśmy wszystkie ich działania i byliśmy w kontakcie przez cały czas, kiedy eskortowali samochód do Hollywood.

Na podstawie dwudziestoletniej pracy związanej z narkotykami mogłem stwierdzić, że jeśli chodzi o taktykę, gliniarze działali bez zarzutu. Jeden z nich zjechał na poboczne autostrady, żeby się przekonać, czy nikt ich nie śledzi. Zachowywali się jak sezonowi przewoźnicy narkotyków. Kiedy zajmują się sprawami związanymi z narkotykami, zwykle włączam się w tym punkcie, kiedy dostarczają narkotyki, nie jestem zaangażowany w ich transport. To było dla mnie dziwaczne - widzieć, jak policjanci perfekcyjnie odgrywają rolę gangsterów (jednocześnie agenci FBI także odgrywali rolę gangsterów - rzecz jasna, na niby).

Kiedy gliniarze udali się do hotelu w Hollywood, aby się z nami spotkać i odebrać zapłatę, tajni agenci Dave i Joe zabrali ich do mojego pokoju. Siedziałem tam z plikami pieniędzy składającymi się ze studolarówek i zapłaciłem każdemu gliniarzowi z osobna... a wszystko to nagrała kamera wideo. Wszyscy oni sądzili, że eskortowali dziesięć kilo heroiny. Zgodnie z życzeniem Asystenta Prokuratora Generalnego, pełniącego rolę oskarżyciela w tej sprawie, powiedzieliśmy im, co dokładnie eskortowali przed wyjazdem i po jego ukończeniu, i ani jeden z nich nie podniósł głosu sprzeciwu.

Co jeszcze bardziej zaskakujące, pamiętam, jak w pokoju hotelowym powiedziałem do Kevina Companiona:

- Dajemy temu gliniarzowi osiem tysięcy dolarów. A on odrzekł:

- Nie, daj spokój, po prostu daj mu sześć. Pieprzyć go. Powtórzmy - wszystkie zapłaty nagrała kamera wideo i mieliśmy

już bardzo mocne dowody przeciwko policjantom, jednak dla organów ścigania to był bardzo przygnębiający dzień. W końcu chodziło o policjantów... cieszących się z tego, że „gangsterzy” płacą im za pomoc w przewiezieniu prawdziwej heroiny! Heroina zabija! Zbudowaliśmy dużą sprawę... jednak to nie było miłe doświadczenie.

Podczas całej tej sprawy Kevin gadał o tym, że chciałby zostać mianowanym członkiem mafii i prowadzić dla mnie grupę nieuczciwych gliniarzy. Jak już mówiłem, lista ludzi gotowych całować gangsterów w tyłek, chcących zostać mafiosami, aplikujących - czy jak chcecie na zwać ludzi zafascynowanych mafią - nie ma końca. Ale to byli policjanci! I to byli ci „porządni”, którymi chcą zostać małe dzieci, kiedy dorosną?

Czterem policjantom z Wydziału Policji w Hollywood zostały postawione zarzuty sprzedaży i wywożenia

ze stanu ukradzionej własności, ochraniają hazardu o wysokie stawki, kradzieży załadunku, transportu heroiny i ochrony kradzionych obligacji. Kiedy postawiono mu zarzuty, Kevin Companion pracował jako policjant od ponad dwudziestu lat. Trzech pozostałych miało za sobą odpowiednio: piętnaście, dwadzieścia cztery i osiem lat służby. Łączna suma łapówek wręczanych policjantom Wydziału Policji w Hollywood sięgała prawie stu tysięcy dolarów na wszystkich czterech facetów. Oto dokładne sumy: Kevin Companion - czterdzieści dwa tysiące dolarów, Jeffrey Courtney - dwadzieścia dwa tysiące dolarów, Thomas Simcox - szesnaście tysięcy dolarów, oraz Stephen Harrison - dwanaście tysięcy dolarów. Za te względnie niewielkie kwoty każdy z owych czterech facetów miał spędzić resztę życia w więzieniu.

Epilog tej sprawy okrył (o ile to możliwe) jeszcze większą hańbą Wydział Policji w Hollywood. FBI szepnęło słówko o tym śledztwie szefowi policji w Hollywood - oczywiście było to ściśle tajne. Zanim zamknęliśmy Simcoxa, ustawiliśmy spotkanie z Kevinem. Planowaliśmy je w celu ustalenia szczegółów następnej eskorty kontrabandy z pomocą kolejnych policjantów, jednak Kevin nie odbierał naszych telefonów. W ciągu kilku kolejnych dni dowiedzieliśmy się, że nie oddzwania, ponieważ wraz z Jeffryem Courtneyem zrezygnowali z pracy w wydziale i wypełnili dokumenty dotyczące emerytury, aby chronić swoje pensje. Najwyraźniej ktoś dał im cynk, kim naprawdę jesteśmy. W Wydziale Policji w Hollywood musiał być przeciek.

Dzięki Bogu, że ci policjanci to nie mordercy, którzy zabijają z zimną krwią, bo mogliby jednak pojawić się na umówionym spotkaniu i uniemożliwić nam dalsze zeznania przez włożenie nam kulek w tył głowy.

W jaki sposób dowiedzieli się o sprawie? Jak ustaliliśmy później, szef nie powiedział o śledztwie FBI więcej niż ośmiu osobom, w tym burmistrzowi, administratorowi miasta i członkom swojej załogi, w tym głównodowodzącemu wydziałem. Major powiedział porucznikowi, który powiedział swojemu podwładnemu... który powiedział Courtneyowi, który powiedział Companionowi. Simcox już z nami współpracował, tak więc Companion i Courtney zostawili czwartego członka przedsięwzięcia własnemu losowi. Ci, którzy byli odpowiedzialni za przeciek, zostali zdegradowani, na trzydzieści dni wydalenia z pracy i mogli być oskarżeni o utrudnianie śledztwa. Porucznik, który został aresztowany za okłamywanie agentów FBI w sprawie swojego udziału w przecieku, przyznał się do winy.

Rozdział 16

Mogłem umrzeć jako Jack Falcone!

Po wszystkich tych śniadaniach, lunchach i kolacjach z mafią moja waga była niebezpiecznie blisko budzącej lęk liczby dwustu kilogramów. Wie działem, że narażam serce na duże ryzyko. W FBI wymagało się od nas, że byśmy co rok robili badania lekarskie i wysyłano nas do specjalnego ośrodka na Manhattanie, gdzie robiono nam cały ich zestaw. To były naprawdę pierwszorzędne badania. Jedyny problem polegał na tym, że moje urodziny wypadają dokładnie na koniec roku podatkowego, więc każdego roku przez sześć lub siedem lat FBI odwoływało moje badania, mówiąc, że w tym roku nie ma już pieniędzy na takie rzeczy. Właściwie mi to odpowiadało, bo gdy bym zrobił sobie te badania, znowu zaczęłyby się kłopoty związane z moją wagą. Moje stanowisko było takie: jestem tutaj i pracuję na ulicach, dla czego miałoby tak bardzo przejmować się tym, ile ważę lub jak wyglądam?

Pewnego dnia wspomniałem Gregowi, że zastanawiam się nad zrobieniem sobie badań zdrowotnych. Jedliśmy właśnie razem - było to w połowie grudnia 2003 roku.

- Zdaje się, że umówię się na wizytę do kardiologa - powiedziałem.

- Masz ubezpieczenie ze związku zawodowego - przypomniał mi Greg. - Hej, znam świetnego

kardiologa. Chodźmy wszyscy do niego!

Tak więc decyzja zapadła - cała załoga miała się zwać na wizytę do kardiologa, którego będę nazywał doktorem Medavoyem, i wszyscy mieliśmy sobie zrobić badania serca.

- Wszyscy pójdziemy - ogłosił Greg uroczyście. - Jackie, chcę, żebyś był z nami jeszcze bardzo długo!

Tak więc poszedłem zrobić sobie badania dzięki ubezpieczeniu zdrowotnemu, które załatwił mi związek zawodowy. Doktor Medavoy okazał się sympatycznym facetem, bardzo bystrym. Zaczął mnie badać i nagle okazało się, że mam migotanie przedsionków. To taki stan serca, który wymaga przyjmowania leków. Przepisał mi trzy recepty i brałem leki regularnie, jednak wywołały one skutki uboczne. Wróciłem do tegoż lekarza, który powiedział, że chce zrobić mi wysiłkowe echo serca. Problem w tym, że ta maszyna mogła podołać tylko tym, którzy ważyli do stu trzydziestu pięciu kilogramów. Tak więc umówiliśmy się na wizytę u kolejnego kardiologa, tym razem w New York Hospital na Manhattanie.

Poszedłem tam, nadal podając się za Jacka Falcone i wykorzystując ubezpieczenie od związku zawodowego. Zmierzyli moją klatkę piersiową, założyli elektrokardiograf i przeprowadzili badanie. Nagle moja sala zaroża się od lekarzy, wszyscy mówili naraz.

- Przepraszam, panie Falcone - powiedział jeden z nich. - Zdaje pan sobie sprawę, że ma migotanie przedsionków?

Skinąłem głową.

- Nie możemy badać pana dalej! Pański rytm serca bez wysiłku to dwieście dwadzieścia! Norma dla mężczyzny w pana wieku to osiemdziesiąt! Natychmiast pójdzie pan na ostry dyżur!

To przykuło moją uwagę.

- Chyba sobie ze mnie żartujecie! - wykrzyknąłem.

- Nie czuje pan tego? - zapytał lekarz. - Zabieramy pana na ostry dyżur. Dzwoniliśmy już do doktora Medavoya. Nie ma pan wyboru.

Byłem przerażony. Zabrano mnie na dół na wózku inwalidzkim. Trzeba pamiętać, że był to oddział pogotowia ratunkowego w Nowym Jorku - byli tam ludzie poważnie ranni - krwawili, co tam się nie działo! Nagle wylądowałem na kozetce, z taśmą napięciową wokół mojego ramienia, a wokół kręciło się tylu lekarzy i pielęgniarek szturchających mnie, że myślałem w duchu: co tu się dzieje? Wszędzie są urządzenia kontrolne i igły - jest źle!

Moja żona nie wiedziała nawet, gdzie się znajduję, i nie mogłem do niej zadzwonić. Nie mogłem wtedy skorzystać z telefonu, bo te wszystkie urządzenia uniemożliwiały mi jakikolwiek ruch. A jeśli zaczniesz używać telefonu komórkowego w szpitalu, wszyscy się wściekają. Byłem pewien, że doktor Medavoy zadzwoni do Grega DePalmy, który szybko pojawi się tu wraz z innymi członkami załogi. Tak więc ukradkiem zadzwoniłem do lekarza. Powiedziałem mu, co się stało, że serce zaczęło mi już lepiej pracować i że opuszczam szpital. Powiedział mi, że bym przyszedł do niego nazajutrz rano. Pasowało mi to. Nie chciałem tylko, żeby mówił cokolwiek Gregowi, bo wiedziałem, że ten od razu zaproponuje, że zabierze moją żonę i dziecko i przywiezie je do mnie.

Nagle wszystko do mnie dotarło - leżałem tu, na pogotowiu ratunkowym, z podwyższonym rytmem bicia serca, nikt nie wiedział, gdzie się znajduję - moja żona, nikt z komórki FBI. A co gdybym umarł jako Jack Falcone! Sądziłem, że spędzę tam godzinę lub coś koło tego. Tym czasem trzymali mnie osiem godzin - osiem długich godzin! Tyle czasu zajęło sprawienie, by serce biło na tyle wolniej, bym mógł opuścić szpital.

To było dwa dni przed Świątami. Kiedy leżałem na kozetce na pogotowiu ratunkowym, miałem wiele czasu na przemyślenia. Myślałem

O swojej córce, myślałem o Świątach. Myślałem, czemu do diabła zajmuję się tą robotą? Jak mogłem doprowadzić do tego, że stałem się tak gruby

1 kompletnie bez formy? Jestem szalony czy co? Żeby umrzeć samemu w szpitalu, nie mogąc nawet zadzwonić do żony czy córki?

W końcu mnie wypuścili, ale wiedziałem, że to dopiero początek moich kłopotów. Natychmiast zadzwoniłem do Nata Parisiego i powie działał mu, co się stało.

- Nat, musisz mi to obiecać - mówiłem. - Wiem, jacy są ci cholerni szefowie. Jak tylko się dowiedzą, odsuną mnie od pracy.

- To poważna sprawa - powiedział Nat. - Do diabła z tamtym! Mar twię się o ciebie!

To było typowe dla Nata - zawsze troszczył się o mnie - naprawdę iowny gość!

- Muszę upewnić się, że z twoim zdrowiem jest lepiej, i że zastosujesz się do zaleceń lekarzy - powiedział.

Obiecałem mu to.

- Zobaczmy, co da się zrobić - odrzekł Nat.

Następnie wykonałem telefon, którego się bałem - zadzwoniłem do żony.

Tak jak się spodziewałem - kiedy powiedziałem jej o moim problemie z sercem, zdenerwowała się.

- To koniec. Już po wszystkim - powiedziała. Już wcześniej była zła na Biuro, że nigdy nie robią mi badań. - Przez tyle lat robili uniki.

- Muszę coś z tym zrobić - powiedziałem jej. - To lekarz Grega. Muszę iść do niego na wizytę.

To naprawdę ją wkurzyło.

- Co musisz zrobić? - krzychała. - Nie będziesz chodził do jakiegoś kardiologa mafiosów!

- A jakie mam inne wyjście? - zapytałem błagalnie. - Mam znaleźć kardiologa w książce telefonicznej?

- A czemu nie? - warknęła.

- To nie jest kardiolog pracujący dla mafii - próbowałem wyjaśniać. - To jeden z najlepszych lekarzy w Westchester.

W samą porę. W tym momencie zadzwonił mój pager. To był Greg.

- Nie odbierzesz tego telefonu! - powiedziała moja żona, wściekła, że nieomal mnie straciła, i to nie od kuli zabójcy, ale wskutek mojej nadmiernej wagi spowodowanej nieustannymi spotkaniami i posiłkami w towarzystwie mafii.

- Muszę odebrać ten telefon - odrzekłem. - Greg pomyśli, że zwinęły mnie gliny.

- Nie wrócisz do pracy nad tą sprawą - powiedziała. - To koniec. Jakoś udało mi się sprawić, by jeszcze raz przemyślała tę kwestię i ostatecznie zgodziła się, bym kontynuował pracę. Zadzwoniłem do Grega później i powiedziałem o wszystkim. Tak jak przewidywałem, Greg

CZEŚĆ II. GROMADZĄC DOWODY W SPRAWIE

ROZDZIAŁ 16. MOGŁEM UMRZEĆ JAKO JACK FALCONE!

był zły, że nie zadzwoniłem i nie powiedziałem mu, że jestem w szpi talu. Po tym jak pokazałem Natowi orzeczenie lekarskie mówiące, że będzie w porządku, jeśli będę przyjmował leki, Nat bardzo się posta rai, by cała ta sprawa nagłego pogotowia ratunkowego zeszła na dalszy plan. Dopilnował, by zwierzchnicy usłyszeli jedynie złagodzoną wersję tego, co się stało. Wróciłem do doktora Medavoya, który dał mi nowe leki i przeprowadził kolejną serię badań. Co za wspaniały lekarz! Jego obsługa była tak profesjonalna, że było mi głupio, iż muszą leczyć Gre ga, gdyż ten pojawiał się, kiedy tylko chciał. Greg nie umawiał się do lekarzy na wizyty - po prostu przychodził do gabinetu. Ignorując ludzi w poczekalni, szedł wprost do lekarza. Zawsze wprawiało mnie to w za kłopotanie - przechodziliśmy obok dziesięciu starszych osób, czekają cych cierpliwie, i pytailiśmy jedynie w recepcji:

- Jest w środku?

Recepcjonistka kiwała głową, a Greg wchodził. Greg miał najwięk sze poczucie, że przywileje po prostu mu się należą, ze wszystkich zna nych mi ludzi.

Mówiłem do niego:

- Greg, nigdy nie umawiasz się na wizytę?

- Pieprzyć to!

Jak na ironię, kiedy wszedłem sam na umówione spotkanie, obsługa otoczyła mnie, chcąc potraktować mnie tak samo, jak oczekiwał tego Greg. Odmówiłem i po prostu czekałem na swoją kolej.

Jako agent FBI nie mogłem nawet sobie zrobić badań lekarskich. Ale dzięki mafii miałem dostęp do najlepszego specjalisty w mieście.

Naprawdę sędzę, że cała ta sekwencja wydarzeń pokazuje moje poświę cenie. Nie chodzi o to, by klepać samego siebie po plecach, bo być może je stem idiotą. Zaufałem lekarzowi, którego poznałem dzięki tej sprawie, więc musiałem zostać przy nim. Oto ile dla mnie znaczyła ta sprawa. W końcu, gdyby Biuro odsunęło mnie od projektu, musiałbym szukać kardiologa.

Ta historia ma swoje postscriptum: straszny incydent, który zdarzył się kilka dni później. Wszyscy jedliśmy lunch - ja, Greg i kilku innych facetów. Cała załoga.

Greg tak się o mnie martwił - to było widać w jego oczach.

- Jackie, dobrze się czujesz? - zapytał. - Wszyscy się o ciebie martwili.

- Tak, Greg. To nic wielkiego - odpowiedziałem mu. I wtedy Greg rzucił bombę.

- Mamy wśród nas cholernego kreta.

Nagle śmiechy ucichły i wszyscy spojrzeli po sobie.

- Musimy zająć się tym gościem - powiedział Greg.

- Co takiego? Kto to jest? - zapytałem niewinnie. - Kto to? Greg wskazał na mnie długim palcem.

- To ty, Jack! - powiedział.

Cały sens mojego pobytu w szpitalu w Nowym Jorku tkwił w tym, by spowolnić tempo bicia mojego serca, w tym momencie jednak byłem pewien, że bije ono trzysta razy na minutę! Nagle zrozumiałem, o czym Greg mówi - chodziło o małe urządzenie monitorujące i nagrywające tempo bicia mojego serca przez dwadzieścia cztery godziny.

O tym mówił Greg. Nie odnosił się do faktycznego sprzętu nagrywającego, który miałem na sobie zawsze, kiedy przebywałem z nim i z innymi gangsterami.

- Ach, masz na myśli to! - powiedziałem, wskazując na urządzenie

1 wszyscy mieli setny ubaw.

Odsunąłem się odrobinę i myślałem w duchu: o, cholera! A to numer!

- Wszystko będzie dobrze, chłopcze - powiedział Stary, uśmiechając się do mnie, zachwycony, że tak mnie przeraził. To był dla mnie decydujący moment. Wiedziałem, że jeśli przetrwałem taką chwilę, byłem w stanie przetrwać wszystko inne w tej sprawie. Każdy normalny człowiek z miejsca dostałby ataku serca.

ROZDZIAŁ 17. SPOTKANIE Z ROBERTEM VACCARO

Rozdział 17

Spotkanie z Robertem Vaccaro

Dostarczałem Biuru nowych elementów układanki w sprawie rodziny Gambino, ale Biuro także mogło podzielić się ze mną nowymi informacjami. Przy jednej takiej okazji Nat Parisi i Chris Munger powiadomili mnie, że monitoring FBI wykazał, że Greg spotyka się z kilkoma nowymi ludźmi. Nasi informatorzy zidentyfikowali jednego z nich jako starego gangstera, Roberta Vaccaro. 7 października 2003 roku Greg wszedł do restauracji La Villetta, gdzie na niego czekałem, i przedstawił mi Robertowi. To, co wtedy powiedział Greg, było uderzające: „Jeśli cokolwiek mi się przytrafi, masz rozmawiać z nim. To facet, z którym będziesz się kontaktował”.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłem Roberta Vaccaro, wiedziałem o nim bardzo niewiele. Choć był mianowanym członkiem mafii, FBI nie miało świadomości roli, jaką w niej odgrywał. Stanowił przeciwieństwo Grega DePalmy - był dyskretny w sposób, w jaki powinien być dyskretny gangster. Greg mógł gadać przez telefon komórkowy bez końca, jednak zgodnie z tym, co mówili nasi informatorzy, Vaccaro nigdy nie rozmawiał przez komórkę. Później dowiedzieliśmy się, że miał telefon, jednak nigdy go nie używał. Używał pagera, który miał kod zabezpieczający, więc postępował tak jak dealerzy narkotykowi. Wszyscy w cywilizowanym społeczeństwie przeszli z pagerów na komórki, ale nie Vaccaro. Był bardzo ostrożny, zwłaszcza przy mnie i na początku naszej znajomości. Dopiero później nabrał do mnie

zaufania.

Był wysoki, łysiejący, przeciętnej budowy, grubo po czterdziestce. Nie był to człowiek, którego można by zlekceważyć - było coś w jego oczach, jakaś powaga, która mnie mroziła. Robert mieszkał w ośrodku resocjalizacyjnym, ponieważ był na zwolnieniu warunkowym, jednak przemieszczał się w nocy, kiedy kuratorzy spali, do New Jersey i Connecticut, by spotykać się z szefostwem rodziny Gambino: Sautierim i Megalem.

Tak więc powstało pytanie - kim był ów Robert Vaccaro i dlaczego nagle pojawił się w życiu Grega? Na podstawie tego, co mówił Greg i czego dowiedzieliśmy się od informatorów, ułożyliśmy coś na kształt jego krótkiej biografii. Vaccaro właśnie skończył piętnastoletnią odsiadkę w więzieniu stanowym w Nowym Jorku, do którego trafił za sprzedawanie heroiny. (Kolejny przykład na to, jak łamana jest świętoszko-wata zasada mafii: zakaz parania się handlem narkotykami). Następnie w ramach wymiany przeniósł się do rodziny Gambino - raz na czas mafia przenosi swoich członków z jednej rodziny do drugiej. Tyle powiedział mi Greg.

- On był Lukę - skrót od Lucchese - a teraz przeszedł na naszą stronę. Na tyle, na ile byliśmy w stanie to stwierdzić my, z Urzędu Federalnego, Vaccaro mógł odgrywać którąś z następujących ról w życiu Grega: miał dowiedzieć się od Grega wszystkiego o jego życiu przestępczym, by móc przejąć jego interesy, kiedy Stary pójdzie na emeryturę, umrze lub awansuje na consigliere, wiceszefa lub nawet samego szefa. Druga możliwość jest taka, że Robert został wysłany przez szefów, aby dowiedzieć się o Gregu wszystkiego... a następnie go załatwić.

Zastanawiałem się, czy Robert miał zamiar wziąć mnie do swojej załogi, gdyby Greg został zdjęty, czy też zabiłby mnie za to, że byłem przyjacielem Grega i jego powiernikiem.

Zabawne, że Vaccaro uczył Grega nowoczesnych sposobów unikania aresztowania.

CZĘŚĆ II. GROMADZĄC DOWODYW SPRAWIE

- Przestań używać telefonu - mówił mu Robert. - Kiedy jedziesz samochodem, rozglądaj się, czy nie wleciesz za sobą ogona.

Vaccaro wyjaśniał, że „czyszczenie do sucha” to termin, jakiego używają policjanci, kiedy gangster wykonuje nagłą wolnę - zawraca, zmienia trasę, a nawet zmienia samochód, aby uciec przed samochodem orga nów ścigania, które mogą go śledzić.

Kiedy Greg dowiedział się od Roberta czegoś nowego, natychmiast mi o tym mówił, co najmniej jakby poznał jakieś rewelacyjne sposoby, jak nie zostać aresztowanym.

- Jackie - mówił - nigdy nie rozmawiaj o interesach przez telefon! A ja mówiłem coś w rodzaju: nie chrzań, Sherlocku. To ty zawsze najwięcej gadasz przez telefon!

Na początku stosunek Grega do Vaccaro był dwuznaczny. Podziwiał go jako gangstera, ale jednocześnie wkurzała go nieustanna obecność nowego faceta i potencjalne zagrożenie, jakie się wiązało z jego osobą. Greg nie był głupi. Nie przeżyłby trzydziestu lat jako mianowany członek mafii i nie stuknąłby mu ósmy krzyżyk, gdyby nie był świetnym znawcą ludzkich charakterów. W porządku, ale co do mnie się pomylił. Jednak w innych wypadkach Greg DePalma popełnił bardzo niewiele błędów.

Dlatego między Robertem a Gregiem było napięcie i udzieliło się ono mojej relacji z Gregiem. Kiedy spędzałem czas z Robertem, Greg był zazdrosny.

- Po co spędzasz z nim tyle godzin w nocy? - wydierał się. - Nie zapominaj, że musisz być obecny, kiedy cię potrzebuję.

Może obawiał się, że my dwaj zmówimy się przeciwko niemu i go wygryziemy? Kto wie, co mu chodziło po głowie? Ja wiedziałem, że moja praca polegała na tym, by dowiedzieć się jak najwięcej o Robertcie Vaccaro - kim jest i co próbuje osiągnąć.

Robert był bardzo blisko z szefostwem Gambino i na początku był nakierowany jedynie na interesy. Z Gregiem rozmawiał o interesach mafii, jednak bardzo ostrożnie. Szeptał Gregowi do ucha, nawet jeśli nie było przy nich nikogo poza mną. Kiedy byli obecni również inni, jeśli

ROZDZIAŁ 17. SPOTKANIE Z ROBERTEM VACCARO

miał Gregowi coś do powiedzenia, zabierał go do innego stolika. Podziwiałem jego opanowanie.

Niewielkie sumy pieniędzy, jakie zarabiał na samym początku Robert, nigdy nie docierały do Grega, co było dla niego nieustannym źródłem irytacji. Przy całej swojej szczerości Greg nigdy nie powiedział mi, co naprawdę go tak w Robertcie denerwuje. Po kilku miesiącach jego poczucie zagrożenia minęło i zaczął lubić Roberta, ale postrzegał go jako damozjadę, brzemię, które musi dźwigać - a to dlatego, że Vaccaro nie płacił Gregowi regularnego haraczu. Oczywiście to było niezwykle - by capo miał w swojej załodze mianowanego członka mafii, który nie przynosi mu dużo pieniędzy, i dlatego relacja między Gregiem a

Robertem była stonowana. No i, rzecz jasna, obecność Roberta nieustająco przypominała Gregowi, że może zostać zdjęty lub odsunięty od interesów w każdej chwili. Nic dziwnego, że Stary nigdy nie czuł się w jego towarzystwie całkowicie komfortowo.

Wiedziałem, jak grać z Gregiem, jednak o wiele trudniej było poznać Vaccaro. Dlatego zacząłem obstawiać z nim zakłady. Uwielbiał gadać o sporcie i jeśli trzeba było, by się rozluźnić, gadało się z nim właśnie o tym. Im więcej czasu z nim spędzałem, tym bardziej było jasne, że był prawdziwym konserwatystą, mafiosem starej daty. Całe jego zachowanie wskazywało na to, że nie mógłby bardziej nas olewać, mniej dbać o kóregokolwiek z nas, Grega, mnie, kogokolwiek. Jego sposób bycia praktycznie krzyczał: „Umieszczono mnie w tej załodze, nie ślizgaliśmy się na jednym gównie, nie ufam nikomu z was i niech tak zostanie”. Cóż, jeśli jesteś mafiosem, właśnie tak powinieneś się zachowywać. Tak więc poznawałem Vaccaro lepiej i ponieważ obstawiałem z nim rozgrywki sportowe, mieliśmy więcej tematów do rozmowy. Traciliśmy razem pieniądze, więc mieliśmy ich jeszcze więcej! Okazało się, że jako bukmacher Vaccaro działa dla multimiliardowego zagranicznego centrum bukmacherskiego z główną siedzibą w Kostaryce. Drobni bukmacherzy zawsze mają problem z przyjmowaniem dużej liczby zakładów, zwłaszcza jeśli ich klienci nadmiernie obstawiają ulubioną drużynę bądź też drużynę pochodzącą z ich okolicy. Tak więc mafia zebrała się

CZĘŚĆ 11. GROMADZĄC DOWODY W SPRAWIE

ROZDZIAŁ 17. SPOTKANIE Z ROBERTEM VACCARO

i opracowała ów skomputeryzowany system zakładów w Kostaryce. Jako gracz hazardowy dostajesz zakodowane nazwisko i zakodowany numi Dzwonisz na numer 800, dostajesz połączenie z Kostaryką i ktoś tam pyta cię o nazwisko i numer.

Ja funkcjonowałem pod nazwiskiem „Falcon”5 i przypisano mi czterocyfrowy numer. Kiedy podałem moje dane, mogłem postawić na wszystko pod słońcem - nie tylko na wynik meczów, ale wszelkiego rodzaju „propozycje”, jakie można znaleźć w Las Vegas: która drużyna wygra rzut monetą, kto zrobi pierwsze przyłożenie, jaki będzie wynik po pierwszej części meczu, wszystko, cokolwiek chciałem. Każdego tygodnia miejscowy bukmacher otrzymuje raport z Kostaryki, wykazu jacy, ile wygrała lub przegrała dana osoba i ile sam bukmacher był w niej spółce lub ile od niej dostawał. Ten system świetnie się sprawdza! i - o ile każde z nas mogło to stwierdzić - to była podstawowa działalność przestępcza Vaccaro.

Vaccaro miał dziewczynę, która wytrwała przy nim przez wszystkie te lata, które spędził w więzieniu za handel narkotykami. Będę ją nazywał Donna. Wyglądała jak Marisa Tornei... i omal przez nią nie zginął. Na długo przed tym, nim zaczęła się sprawa Gambino, chodziłem do knajpy w Nowym Jorku, gdzie znałem mnóstwo ludzi. Przy wielu okazjach spotykałem tam także Donnę, ponieważ przyjaźniła się z właścicielem. Była także siostrzenicą czy też kuzynką Gigiego the Whale, jednego z dwóch facetów w świecie przestępczym, którzy z pewnością wiedzieli, kim jestem.

Donna zawsze była w tej konkretnej knajpie na Manhattanie. Wie działałem o niej jedynie to, że jest dziewczyną mafiosa, który odsiaduje wyrok. Nie miałem wtedy pojęcia o istnieniu Roberta Vaccaro. Witalem się z nią i wdawaliśmy się w krótką, przyjazną pogawędkę. Ona zawsze przebywała w innym towarzystwie. Musiałem zakładać, że od Gigiego wie, na czym polega moja praca. Jak się okazało, miałem rację.

Między mną, Gregiem i Vaccaro ustaliła się relacja - coś pomiędzy nie-ii wym rozejmem a nietatwą przyjaźnią. Nadal panowała trochę napięta [Umosfera, zwłaszcza z powodu zazdrości Grega o każdego, kto zabierał mi czas. W trakcie trwania naszego śledztwa na temat Roberta odkryli-śmy, że jego dziewczyna to ta sama Donna, którą znałem tyle lat wcześniej.

Dlatego było dla mnie sprawą podstawą, by unikać jej za wszelką cenę. Gdyby tylko mnie ujrzała, bez wątplenia by mnie rozpoznała i połączyła elementy układanki. Nie sugeruję, że nie da się mnie zapomnieć. Po prostu chodzi o to, że nie ma znowu aż tak wielu gości moich rozmiarów, chodzących po ulicach. Więc wygłaszałem przy chłopakach tego rodzaju teksty: „Czy to nie super, że są tu tylko faceci? Kto potrzebnie, by szwendały się tu kobiety, z tymi wszystkimi problemami? Tak jest o wiele prościej!”. Jednak mimo to wiedziałem, że dzień, w którym skrzyżują się ścieżki moja i Donny, w końcu nadejdzie.

I rzeczywiście ten dzień nadszedł. Robert wspomniał, że jego dziewczyna starała się sprzedać jakieś

futra i chciała się ze mną spotkać, żeby je opchnąć. Następnego dnia Greg, dwóch innych facetów i ja siedzieliśmy przy naszym stoliku w La Villetta. Siedziałem tam gdzie zawsze - naprzeciwko drzwi. Na parking podjechało granatowe bmw i wysiedli z niego Vaccaro i Donna. Przełknąłem głośno ślinę. Miałem gonitwę myśli. Co teraz?

Zwykle mój plan był taki - zaprzeczanie, że jestem Jackiem Garcia, agentem FBI. Tym razem jednak to by nie wyszło. Byłem pewien, że ta dziewczyna mnie zdemaskuje, jak tylko mnie ujrzy. Gdyby tak zrobiła, wyszedłbym z restauracji i to byłby koniec sprawy. Nie potrafię opisać frustracji i strasznego lęku, jaki wtedy odczuwałem. Nie bałem się o własne życie. Wiedziałem, że nie zastrzelą agenta FBI. Greg nie był tak głupi. Chodzi o to, że włożyliśmy w tę sprawę tyle wysiłku, a możliwości, jakie ona stwarzała, cały czas się poszerzały, od owego pierwszego dnia, kiedy właściciel Naked Truth do nas przyszedł. W miarę upływu miesięcy z ofiary stałem się dobrym znajomym Grega DePalmy, jednego z najważniejszych członków rodziny przestępczej Gambino, a później jego współpracownikiem i byłem bliski tego, by

mianowano mnie członkiem mafii. A teraz zdawało się, że wszystko się rozleci, jak tylko spocznie na mnie wzrok Donny.

Mogło paść na Gigiego the Whale, mógł to być Randy Pizzolo, tym czasem to była Donna. Ona i Vaccaro weszli do restauracji. Przedstał mi jej.

Nie rozpoznała mnie. Nie miała pojęcia, kim jestem. Posiłek przebiegł w miłej atmosferze, wszyscy dobrze się bawili, typowa długa kolacja w stylu gangsterów. Dużo rozmowy, mnóstwo śmiechu, dużo gadania o niczym. Najważniejsze, że Donna mnie nie rozpoznała.

Nagle jednak opadły mnie wątpliwości - pomyślałem, że po prostu rozegrała to spokojnie, nie chcąc robić sceny przy ludziach. Rzecz jasna, powie o wszystkim Vaccaro, jak tylko wyjdą z restauracji, a wtedy Robert powie Gregowi i będzie po wszystkim.

Opuściłem restaurację, wdzięczny, że nie zostałem zdemaskowany w obecności wszystkich tych ludzi. Może przesadzałem, czując się względnie bezpiecznie - być może któryś z nich przystawiłby mi pistolet do głowy, gdy tylko Donna by na mnie wskazała. Tak więc tej nocy wykonałem do Grega wyprzedzający telefon tylko po to, żeby sprawdzić jego nastrój, żeby zobaczyć, co ma do powiedzenia. Jednak jak zwykle rozmawialiśmy o interesach. Nie minęło dużo czasu, aż uświadomiłem sobie, że Donna naprawdę nie ma pojęcia, kim jestem; jeśli jakieś wspomnienie mojej osoby istniało jeszcze gdzieś w zakamarkach jej pamięci, nie przedostało się do jej świadomości. Modliłem się, by tak było, ponieważ wszystko wskazywało na to, że nasze drogi znowu się zejdą. Im więcej o tym myślałem, tym bardziej sobie uświadamiałem, że za każdym razem, gdy widziałem Donnę podczas pobytu Vaccaro w więzieniu, zdawała się pijana. Z pewnością rozmawialiśmy z sobą, ale skoro Donna była wtedy pijana, raczej nie mogła zapamiętać, kim jestem lub że rozmawialiśmy. Dzięki Bogu za alkohol, myślałem. W innym wypadku nasza sprawa byłaby ugotowana, a może i ja byłbym ugotowany.

A może zdawała sobie sprawę, kim jestem, ale sądziła, że mam coś na nią. W końcu jej chłopak działał w przemyśle narkotykowym, a ona łączyła się po barach. Do dziś nie daje mi spokoju to, że mnie nie rozpoznała. Byłem wtedy cholernie nerwowo i później cały czas mnie to dręczyło. Sądziłem, że jej pamięć prędzej czy później zaskoczy. Mimo to nigdy się tak nie stało.

Przeżyłem wstrząs związany ze spotkaniem z Donną, jednak po tym wydarzeniu moja przyjaźń z Robertem tylko się pogłębiła. Doszło do tego, że Vaccaro zapragnął robić ze mną interesy. Intrygujące były zwłaszcza dwie propozycje. Pierwszą było otwarcie na Florydzie filii Patsy's, słynnej włoskiej restauracji ze wschodniego Harlemu. Jest to stylowa włoska pizzeria, z ceglany piecem, który nadaje pizzom niepowtarzalny, doskonały smak. Vaccaro znał właściciela, który powiedział mu, że może otworzyć filię w Miami. Na myśl o tym przełykałem ślinę. Gdybyśmy to zrobili, moglibyśmy zamknąć gangsterów w całej południowej Florydzie. Moglibyśmy poznać wszystkich tamtejszych gangsterów - to byłaby bomba.

Innym projektem, w który - jak sądzę - Robert chciał mnie wciągnąć, była heroina. Po tym, jak się poznaliśmy, wyznał mi, że był uwikłany w sprawę Pizza Connection, która miała miejsce w Nowym Jorku w roku 1970. Pizza Connection to nazwa nadana dużej sprawie kryminalnej obejmującej import heroiny oraz pranie brudnych pieniędzy zarobionych na niej. Sprawa zawdzięczała swą nazwę faktowi, że punkty sprzedaży pizzy były wykorzystywane jako punkty dystrybucji narkotyków sprowadzanych z Sycylii.

- Zarabiałem wtedy kupę forsy - powiedział mi Vaccaro.

- Jeździłeś na Sycylię? - spytałem. Skinął głową.

- Dziesięć, dwadzieścia razy.

- Bardzo bym chciał wybrać się na starą Sycylię - powiedziałem z taką melancholią, na jaką tylko było mnie stać. - Chciałbym ją zobaczyć. Nigdy tam nie byłem.

- Pojedziesz. Razem tam pojedziemy - odparł Vaccaro. Tu mnie olśniło.

- Znasz tamtejszych ludzi? - spytałem.

Znowu przytaknął. - Masę.

Chciałem jechać na^ycylię, żeby Vaccaro przedstawił mnie swoim kontaktom stamtąd. Ale obaj musieliśmy bardzo ostrożnie krążyć wokół tematu z powodu mafijnego tabu, jakie otaczało handel narkotyka mi. Zaproponowano mi członkostwo w mafii, więc musiałem sprawić wrażenie człowieka, który wystrzega się handlu narkotykami. Pic na wodę, ale tak to rozgrywano.

W ciągu jakichś sześciu miesięcy Robert przestał uważać mnie za intruza i zagrożenie, a zaczął we mnie widzieć potencjalnego partnera w interesach, ponieważ gadaliśmy o sporcie, obstawialiśmy zakłady i szwendaliśmy się razem.

Któregoś dnia w październiku 2004 roku Greg powiedział mi, że uczynił z Roberta swego aktywnego capo. Zapytałem Grega, co to oznacza. Udałem zaskoczenie tą wiadomością, ponieważ potrzebowałem informacji. Moja rola polegała rzecz jasna na odgrywaniu faceta pochodzącego spoza jego środowiska. Znałem kubański świątek, ale nie znałem swych włoskich korzeni.

- Do diabła Greg, co to jest aktywny capo? - zapytałem. Greg jak zawsze czerpał wielką przyjemność z odgrywania roli men tora. Był z natury gadatliwym facetem, we mnie zaś miał znakomitego ucznia - spijałem chciwie wszystko, czego mnie uczył. Rzecz jasna, nie tylko mnie edukował. Edukował całe FBI.

Greg wyjaśnił, że mafia ustanawia coraz aktywniejsze role w swej hierarchii, bo tak wielu ludzi trafiało do aresztu. Jeśli masz „aktywnego” pracownika, wówczas to jego naraża się na niebezpieczeństwo, nie zaś prawdziwego capo, szefa czy zastępcę szefa. Kiedy Greg wyczuł problem, z którym nie chciał się mierzyć, albo faceta, z którym nie chciał się spotykać, wtedy wysyłał w zastępstwie Vaccaro na zasiadówkę.

Aktywny pracownik to facet, który jest narażony na podsłuch i kontakt z kapu siami. A kiedy dzieje się coś złego, „aktywny” jako pierwszy idzie pod nóż i pod ostrzał. Innymi słowy, „aktywny” jest kozłem ofiarnym czy artykułem jednorazowego użytku dla mafijnej administracji.

Vaccaro odgrywał nową rolę aktywnego capo owej nocy, gdy poszli-iny do Bloomingdales, by przystąpić do ostatecznej rozgrywki z Pe-teyem Chopsem, co opisuję w prologu. Pozwólcie, że opowiem wam teraz, co nastąpiło po tamtej konfrontacji. Nawet aktywni kapitanowie lacy jak Robert mają swoje ograniczenia. Ponieważ Robert walnął Peteya, mianowanego członka rodziny Gambino, Arnold Squitieri, szef rodziny Gambino, miał do rozwiązania problem.

Reperkusje tego wydarzenia były dwojakie. Po pierwsze, Petey mógł mieć słuszne pretensje do szefa rodziny Gambino, ponieważ jako mianowany mafioso nie powinien był zainkasować ciosu. I po drugie, podejrzewam, że DePalma i Vaccaro zaczęli kwestionować moją wiarygodność. To ja powinienem był dać łupnia Peteyowi. Ale tak się złożyło, że nie drażyli tematu ani dlaczego przy paru innych okazjach nie pobitem ani nie zabiłem innych osobników, wbrew rozkazowi Grega - wtedy też nie było żadnych konsekwencji. Nigdy nie próbowali mnie zabić, a Greg w dalszym ciągu chciał, żebym został mianowanym członkiem mafii. Czy więc była to moja paranoja... czy też po prostu szkolenie w organach ścigania i moje doświadczenie natchnęły mnie myślą, że się zde-konspirowałem? W każdym razie przeżyłem, a moja sprawa również.

Następnego dnia spotkałem się z Gregiem w domu opieki. Powiedział mi, że Vaccaro poszedł do szefa, żeby pogadać.

- Jackie, synu - warknął - niczego nie rozumiesz. Nikomu nie wolno dobrać się do mianowanego członka mafii. Można za to dostać czapę. To zabronione.

- Greg, czy Petey odpuści sprawę? - spytałem.

- Nie mam pojęcia - przyznał Greg. - Jeśli Petey poskarży się szefowi, ten każe mu iść do mnie, bo jestem jego szefem. A ja z punktu skargę oddalę. Więc myślę, że Petey nie ma do kogo iść z tą skargą.

- Ależ z tego Peteya Chopsa pieprzony dupek! - powiedziałem, a Greg pokiwał w zamyśleniu głową na znak zgody.

Owego dnia nic się nie wydarzyło. Petey Chops nie przyszedł z raportem. Później stwierdziliśmy, że był u lekarza, który zabandażował mu głowę. Następnego dnia bladym świtem pojawił się w domu opieki i bardzo przepraszał. Zapytał też Grega, czy i ja jestem mianowanym członkiem mafii. I oczywiście zaczął płacić Gregowi. Bo i jaki miał wy bór? Czy miał iść do glin, mówiąc: „Zostałem pobity przez Roberta Vaccaro, Grega DePalmę i tego wielkiego palanta, którego nie znam, ponieważ nie odpalałem grubym rybom w rodzinie Gambino doli ze swoich lewych operacji bukmacherskich i ściąganych długów?” Jasne, że nie.

Wkrótce potem Greg i Vaccaro stali się nierozdzielni. Robert wpi sał do swego pagera kod cyfrowy na oznaczenie miejsc, w których chciał się spotkać z Gregiem - jednym z nich była restauracja La Vil letta. Drugim był lokal Agostinos, na linii Pelham-Bronx. Trzecim -kolejna restauracja, Savini's. Czwartym był

dom opieki. Piątym zaś -Bentley's Diner. Gangsterzy mają swoje przyzwyczajenia. Różnią się od Kolumbijczyków, którzy w przecuciu zbliżających się aresztowań pakują się w środku nocy i znikają. Handlarze narkotyków lubią ano nimowość. Mafiosi z kolei lubią blask jupiterów. My, ludzie organów ścigania, wiemy, kiedy wstają; wiemy, dokąd idą; wiemy też, gdzie są ich dziewczyny. Jeśli zgubimy jakiegoś mafiosa w trakcie inwigilacji, możemy znów go znaleźć w dziesięć minut. Tak jak to pokazują w telewizji albo w filmach, mafiosi znają agentów. Istnieje symbioza po między gangsterami i agentami, którzy ich śledzą. Mafiosi nas nienawidzą, życzą nam każdej możliwej śmierci... ale brakuje im nas, gdy nie kręcimy się w pobliżu.

Na tej samej zasadzie tajniak jest tak dobry, jak dobra jest jego jednostka inwigilująca. Na szczęście nasza była bardzo dobra. Masa facetów z FBI myśli, że działają niepostrzeżenie, ponieważ przyciemniają szyby w swoich autach, żeby nikt nie mógł widzieć wnętrza. Ale kiedy auto z przyciemnianymi szybami przejeżdża opodal, jest tak jakby wysyłało sygnał mówiący: „Oto nadjeżdża FBI”. W porządku, ludzie nie widzą naszych twarzy, ale z pewnością zauważają lśniący najnowszy model czterodrzwiowego amerykańskiego wozu z przyciemnianymi szybami!

Vaccaro był mistrzem kontrwywiadu. Zawsze doskonale uwalniał się od ogona, gdy sam prowadził - nagle nawrotki, wszelkiego rodzaju uniki. Bawił się w kotka i myszkę z agentami, którzy go śledzili, drwił im z nas, bo taki już był. Muszę mu oddać sprawiedliwość - nie że-go szanował, ale to fakt, że był to dobry, dyskretny gangster i lojalny żołnierz. Greg, Robert i ja tworzyliśmy dobry zespół. Najbardziej przerażające chwile przeżyłem wtedy, gdy Greg zadzwonił do mnie i powiedział, że natychmiast chce się ze mną widzieć. Popędziłem do niego, a on z Vaccaro wpakowali się do mojego hummera H2, (i reg z tyłu, Robert na siedzeniu pasażera koło mnie.

- Jest wśród nas kret - zaczął Greg, spoglądając na mnie z gniewem.

Żołądek podjechał mi do gardła. Wysyłałem mózg, usiłując wymyślić, co mogło zdradzić moją tożsamość agenta FBI. Może to była Donna, Gigi albo Randy Pizzolo. A może ktoś, o kim nigdy nie słyszałem!

- Wśród nas? - spytałem, starając się zyskać na czasie, usiłując zastanowić się, jakie mam opcje.

Greg pokiwał wolno głową, nigdy nie widziałem go tak wściekłego. Mogłem obrócić się w stronę Vaccaro i walnąć go w twarz, następnie dźgnąć nożem Grega i wyskoczyć z auta, ale tamci mogliby mnie w tym czasie zastrzelić.

- Kto to taki? Jeden z facetów z naszej załogi?

- Nie, to gangster - odparł Greg.

Co oznaczało, że nie jest to współpracownik, jak ja. To mianowany członek mafii.

Ogarnęło mnie przemożne poczucie ulgi. Nie chodziło o mnie.

- To szef rodziny Bonanno - rzekł z obrzydzeniem Greg, mówiąc o konkurencyjnej rodzinie z Nowego Jorku. - Joe Massino. To on jest pieprzonym kretem. Jest teraz chroniony przez kupę szeryfów. Więc nikt nie będzie teraz mianowany. Tamci zmieniają reguły. Następny będziesz ty.

Już wcześniej słyszałem od niego, że każe mnie mianować. Edukował mnie, ale tym razem powiedział, że jestem na liście kandydatów. Jest to następny krok - lista krążyła między wszystkimi członkami rodziny Gambino oraz innych rodzin przestępczych, by można było stwierdzić, czy ktoś ma jakiegoś haka na kandydata na mafiosa. To zwykle ostatni krok przed ostateczną decyzją.

- Greg, będę zaszczycony - stwierdziłem, jak mawiałem zawsze, gdy powiedział coś w ten deseń.

- Jesteś pewien, że tego chcesz? - pytał Greg, sprawdzając mnie.

- Oczywiście!

Vaccaro nie odezwał się słowem - to była działka capo, żołnierz nie miał tu prawa głosu.

Skinąłem głową, zamilkłem i dalej prowadziłem wóz. Ta rozmowa dała mi sporo do myślenia.

Oznaczała, że mój okres terminowania u Grega przebiegał tak gładko, że postanowił on zgłosić moją kandydaturę jako pełnoprawnego członka mafii. I nadal jeszcze nie ochłonąłem z emocji, jakie wywołała we mnie informacja, że jest wśród nas kret... a potem świadomość, że Greg nie odkrył, że to ja nim jestem.

W ciągu kilku sekund poczucie, że znajduję się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, przerodziło się w niewiarygodną ulgę i w szok wywołany przez myśl, że Greg zamierza zaproponować mnie na członka rodziny Gambino. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, co myśleć, więc milczałem. To zawsze najrozsądniejsze.

Naturalnie, poszedłem do Nata i Chrisa i powiedziałem: „Panowie, musimy nagrać tę ceremonię!”.

Obaj zgodzili się ze mną, ale niepokoił nas fakt, że w trakcie ceremonii albo mnie obszukają, albo rozbiorą do naga, jak - zgodnie z tym, co mi powiedział Greg - robiły teraz niektóre rodziny podczas ceremonii inicjacji.

Ale gdy owa bezprecedensowa ceremonia pasowania agenta FBI na członka mafii zbliżała się coraz bardziej, zdarzyła się jeszcze większa niespodzianka. Być może w FBI wystraszone się. A może stwierdzili, że zebrali już wystarczającą ilość materiału, by promować własne kariery. Cokolwiek było tego powodem, grube ryby w FBI postanowiły zamknąć całą sprawę.

INTERLUDIUM 4

Sprawa dziwnego taksówkarza

Miał ciemną karnację, był średniej budowy, mówił ze specyficznym akcentem. Wszedł do sklepu komputerowego w Queens, wyjaśniając, że ma problem z komputerem - chciał, żeby sprzęt działał szybciej.

- Żaden problem - powiedział właściciel ciasnego sklepiku. - Czy mogę jeszcze w czymś pomóc?

Mężczyzna skinął głową. W ogóle miał w sobie coś dziwnego - dzień był upalny, a on miał na sobie płaszcz i prawie wcale nie wyjmował rąk z kieszeni. Był ponury i miał szkliste spojrzenie. Straszny facet.

- Jest coś jeszcze - oznajmił przybysz. - Próbuję odnaleźć stronę o nazwie Anarchists Cookbook, ale nie mogę znaleźć jej w internecie. Może mógłby mi pan pomóc.

W głowie sklepikarza odezwał się alarm.

- Co to za strona? - spytał.

- Instruuje, jak robić bomby - odparł facet tonem, w którym było coś niesamowitego, dzięki czemu sklepikarz zorientował się, że facet mówi serio.

- Bomby? Po co panu bomba? Czym się pan zajmuje?

- Jestem miejskim taksówkarzem.

-

-

CZĘŚĆ II. GROMADZĄC DOWODY W SPRAWIE

Właściciel sklepu wziął komputer faceta i obiecał, że sprawi, iż będzie działał szybciej. Widział, jak tamten wsiada do swojej taksówki i odjeżdża, następnie zatelefonował do FBI. Tak się złożyło, że prowadzenie sklepu było działalnością uboczną właściciela, który z zawodu był strażnikiem więziennym w Nowym Jorku.

Ja zaś rozpracowywałem DePalmę i mafiosów, skorumpowanych gli niarzy na Florydzie, prowadziłem operację Royal Charm, zajmowałem się azjatyckimi oszustami, fałszerzami pieniędzy i handlarzami bronią oraz skorumpowanymi urzędnikami w Atlantic City. Mój przyjaciel Tom Donlon, który w tym czasie pełnił funkcję ASAC* wydziału antyterrorystycznego i Joint Terrorist Task Force**, oraz SA Todd Renner zwrócili się do mnie w te słowa:

- Masz minutę? Wiedziałem, co to znaczy.

- Mamy tu faceta. Zachowuje się jak świr: wchodzi do sklepu komputerowego, nie zdejmując płaszcza, i pyta o podręcznik do preparowania bomb. Sądzymy, że powinniśmy z nim pogadać.

- Też tak myślę - powiedziałem. Następnego dnia wybrałem się do tego małego sklepiku komputerowego w Queens. Wiedziałem, że jeśli zbyt przejmę się sprawą, skończy się na pełnym zaangażowaniu. Dla tego musiałem pobajerować zwierzchników - i powiedzieć im, że to tylko epizod, żeby nie doszli do wniosku, że za bardzo się rozpraszam. Czasami szedłem do biura o ósmej, a wychodziłem w południe tylko po to, żeby mnie widziano, po czym szedłem do domu, zapadałem w

drzemkę, przebierałem się i wychodziłem do pracy. Zdarzało się to często i nużyło mnie. Ale kochałem pracę tajnego agenta i uważałem, że jest tego warta.

Dotarłem do sklepu. Wejście było tak małe, że musiałem się nachylić i ledwo się zmieściłem. Byłem w sklepie, gdy taksówkarz wrócił, żeby odebrać komputer.

† ASAC (assistant special agent in charge) - zastępca głównodowodzącego agenta specjalnego (przyp. tłum.). ' 6

- Joint Terrorist Task Force - połączone antyterrorystyczne oddziały specjalne (przyp. tłum).

INTERLUDIUM 4. SPRAWA DZIWNEGO TAKSÓWKARZA

Gdy tylko go zobaczyłem, pomyślałem: o Boże, nie jest wesoło.

Nie chciałem popadać w rasowe czy narodowe uprzedzenia, ale od razu było dla mnie oczywiste, że facet pochodzi z Afganistanu, Pakistanu albo z podobnych okolic. Co ja o tym w ogóle wiem? Byłem tylko gangsterem z sąsiedztwa. Grałem gangstera z sąsiedztwa, który wie, co dzieje się w okolicy. Spotkałem się z facetem i nie żałowałem sobie slangu - próbując brzmieć jak lokalny twardziel, ale też nie lokować się za wysoko w gangsterskiej hierarchii.

- To moja dzielnica - powiedziałem z najlepszym brooklyńskim akcentem, na jaki mnie było stać. -

Potrzebujesz bomby? Lepiej tu ich nie podkładaj. Słyszałem, że szukasz Anarchists Cookbook!

- Chcę robić ładunki wybuchowe - zwierzył mi się.

- Do czego ci to? - spytałem. - Co ty, odwaliło ci?

- Chcę wysadzić coś wielkiego jak góra - wyjaśnił, co tylko uruchomiło mi w głowie więcej dzwonek alarmowych. Było to w roku 2003, mniej niż osiemnaście miesięcy po tragedii 11 września.

- Tracisz czas, szukając tego anarchistycznego gówna - powiedziałem. - Musiałbyś mieć stopień naukowy zrobiony na MIT, żeby poruszać się po tej stronie. Słuchaj, mogę ci załatwić z budowy parę ładunków C-4.

- Serio? - spytał zaintrygowany.

- Pewnie - odparłem. - Facet, to anarchistyczne bądziejewie to elementarz - oznajmiłem. - Daj swój numer, przekreślę do ciebie.

I tak zrobił.

Tydzień później zadzwoniłem do niego i powiedziałem mu, żeby przyszedł do sklepu. Pogadaliśmy trochę w drodze do McDonalda, gdzie mieliśmy ulokowanych ludzi z podsłuchem, żeby go mogli sfotografować. Powiedziałem mu, że mogę załatwić wszystko, czego będzie potrzebował poza tymi ładunkami wybuchowymi.

- Czego ci trzeba?

Potrzebował wielu rzeczy - okularów z noktowizorem, pięciu kamizelek kuloodpornych; kamery, którą można umieścić w tablicy rozdzielczej samochodu, a wreszcie pigulek nasennych. Żle spał i potrzebował paru pigulek, żeby się zrelaksować.

No cóż, jak nic facet wyglądał na terrorystę samobójcę. Wyobraźcie sobie teraz, co oznaczało śledzenie takiego gościa - po tym spotkaniu śledziliśmy go dzień i noc. Chłopaki obserwowali go, jak idzie do metra w tym swoim płaszczu, a był bardzo gorący dzień. Groza. Łaziliśmy za nim po całym Nowym Jorku, mieliśmy na niego oko, kiedy jeździł tą swoją taksówką, śledząc też jego inne kontakty. Ale pomimo najlepszych starań, zgubiliśmy go.

Ku naszemu zdziwieniu tydzień później facet znów się pojawił, tym razem w Miami. Został aresztowany po tym, jak wybrał się na rejs turystyczny łodzią wypływającą z portu w Miami. Zaczął wypytywać pilota wycieczki o to, jak blisko mostu można podpłynąć, i jak można się zbliżyć do statku wycieczkowego. Zrobił zdjęcia obiektów, które nie miały nic wspólnego z typowymi atrakcjami turystycznymi, które fotografujesz na takiej wycieczce, takimi jak dom Shaquille'a O'Neala i tym podobne.

Tak więc facet pilotujący tę wycieczkę spanikował i wezwał straż przybrzeżną, która wezwała FBI, które z kolei aresztowało gościa. Zatrzymali go i zabrali mu film, ale potem go wypuścili. Jak się okazało, przebywał w kraju legalnie, a nie istnieje prawo zabraniające nagrywania kamerą mostów w wielkich miastach.

No cóż, facet wrócił do Nowego Jorku; teraz sporo o nim wiedzieliśmy. Nazywał się Sayed Abdul Malike, miał czterdzieści trzy lata, a w Queens znany był z tego, że przez jego mieszkanie przewijało się mnóstwo kobiet. Według sąsiadów był to mocno dziwny gość. Jeden z nich, szesnastoletni dzieciak, zapytał go, czy jest terrorystą. Sayed spój rzał mu prosto w oczy i odrzekł: -Tak.

- Jesteś Saddamem Husajnem! - powiedział mu dzieciak, co bardzo zdenerwowało Sayeda.

- NIE JESTEM SADDAMEM HUSAJNEM! - wybuchnął. - Nigdy mnie tak nie nazywaj! Twoje dni są policzone!

Wkrótce potem ponownie spotkałem się z Sayedem w sklepie komputerowym i odbyliśmy tę samą trasę do McDonalda. Powiedziałem mu, że mam ładunki wybuchowe C-4 warte dziesięć tysięcy dolarów, które zdobyłem na budowie.

- Nie mogę tego wziąć - powiedział Sayed. - Nie mogę trzymać ich w domu.

Teraz się wkurzyłem.

- Więc co mam z tym zrobić? - spytałem.

On jednak nie chciał zabrać towaru. Chcieliśmy, żeby go przyjął, byśmy mogli go zgarnąć za zakup materiału wybuchowego, co oczywiście jest nielegalne, jeśli nie masz odpowiedniej licencji i stosownego powodu. Ale nie dał się przekonać. Nie dało się już nic zrobić, więc wyszedłem.

Jakiś czas później facet znów mnie odszukał, pytając, w jaki sposób mógłby zdobyć kamizelki kuloodporne, okulary z noktowizorem, kamerę do samochodu, valium i ambien. Kamery, którą chciał zdobyć, używają policjanci - zakładają ją na desce rozdzielczej i rejestrują nią wszystko, co dzieje się na zewnątrz samochodu. Kiedy złożyliśmy wszystkie elementy - kamizelki, ładunki wybuchowe, kamera, okulary z noktowizorem - wniosek mógł być tylko jeden. Facet planuje jakąś operację w nocy, zamierza coś wysadzić, ma zespół ludzi, którzy pójdą razem z nim, i chce nagrać akcję na swojej kamerze, żeby móc potem użyć nagrania do celów propagandowych dla organizacji - jakkolwiek ona się nazywa - którą reprezentuje. Facet był, jeśli o nas chodzi, aż nadto szalony. Musieliśmy go zgarnąć.

Nadal miał problemy ze snem, więc mu powiedziałem, że mogę mu załatwić całe valium i ambien, jakich potrzebował. Spodobał mu się ten pomysł, więc uzgodniliśmy, że się spotkamy i dobijemy targu.

Pojawił się na umówionym spotkaniu, gdzie miałem zaopatrzyć go w valium i ambien, które są substancjami nielegalnymi. Nie można ich po prostu kupić na ulicy. Przekazałem mu pigułki, po czym przesunąłem ręką po włosach, co było umówionym sygnałem dla moich ludzi, by wkroczyli i zaarrestowali nas obu, co też zrobili. Znaleźliśmy bardzo wygodny, łatwy sposób zgarnięcia faceta do paki. I podziałało.

Zaarrestowano również i mnie, tak by tamten nie powiązał mnie z organami ścigania. Facet zakłada, że jestem gangsterem, który załatwia różne rzeczy. W ten sposób, kiedy rozmawia z kumplami, nie mówi im, żeby uważali na liczącego metr dziewięćdziesiąt i ważącego sto siedemdziesiąt kilogramów agenta FBI. Przy okazji, nie mam nic przeciwko

byciu aresztowanym. Zawsze chcę, żeby gość myślał: „Kim jest facet, którego zamykają razem ze mną?”.

Jest to również świetny sposób, żeby przetestować prawdomówność podejrzanego. Gangster widzi, że jestem aresztowany, więc zakłada, że też jestem gangsterem. A kiedy potem agenci przesłuchują go, mówią: „Co wiesz o facecie, z którym cię aresztowano?”.

Jeśli gość mówi: „Znam go od paru miesięcy, spotkaliśmy się sześć czy siedem razy”, wtedy wiemy, że mówi prawdę. Z drugiej strony, jeśli mówi: „Nigdy w życiu nie widziałem faceta”, wiemy, że kłamie jak najęty. Gość, który mówi o mnie prawdę, jest dobrym kandydatem do tego, by można go było wykorzystać w docieraniu do ludzi wyżej od niego postawionych w jego świecie przestępczym.

Kiedy po aresztowaniu Sayeda przesłuchano go, przeczytał, jakoby mnie znał. Zaprzeczał wszystkiemu - powiedział, że nigdy nie był na Florydzie, nigdy wcześniej mnie nie widział, nigdy nie chciał dotrzeć do Anarchists Cookbook. Tak więc został też oskarżony o okłamywanie agentów FBI, którzy poszli do jego domu i znaleźli tam czeki podróżne o wartości czternastu tysięcy dolarów oraz rachunki bankowe na kwotę czterdziestu jeden tysięcy dolarów. Na dodatek znaleźliśmy tam spis tablic rejestracyjnych wszystkich naszych samochodów, które go inwi gilowały - zauważył każdego z nas.

Wszyscy jego sąsiedzi powiedzieli to samo - zawsze był rozczochrany i zawsze nosił płaszcz, bez względu na pogodę. Wiele razy próbowałem skłonić go do zdjęcia płaszcza - czasami kazałem maksymalnie nagrzać w sklepie komputerowym, żeby zobaczyć, co ma pod spodem. Ale nigdy nie zdjął płaszcza.

Często zastanawiam się - co ten facet i jego kumple wysadziliby w powietrze, gdyby przez szczęśliwy zbieg okoliczności nie wszedł do sklepu komputerowego, który przez przypadek należał do strażnika więziennego? Ze wszystkich kryminalistów, których kiedykolwiek przymknąłem, ten ciekawił mnie najbardziej. Zamierzał zrobić w Nowym Jorku coś bardzo złowrogiego, a ja nadal się zastanawiam, jakiemu to aktowi terroryzmu zapobiegliśmy.

CZĘŚĆ III

KONIEC GRY

ROZDZIAŁ 18

FBI do Falconego: spadaj

Przygotujcie się na zaskakujące zakończenie.

Moglibyście pomyśleć, że FBI będzie zachwycone, że jednemu z agentów zaproponowano członkostwo w mafii.

Bylibyście w błędzie.

Gdy biurokraci się o tym dowiedzieli, ogarnął ich obłęd, i natychmiast postanowili zamknąć sprawę.

Dlaczego? Jako wymówkę - kiepską wymówkę - podano, że mamy za mało ludzi.

Że co proszę? Od czasów Joe Pistonea jestem pierwszym agentem FBI, który nawiązał stosunki z rodziną mafijną, i jedyną rzeczą, na którą stać FBI, jest oświadczenie: „Musimy zamknąć sprawę!”. W głowie mi się zakręciło.

Stoczyłem ciężki bój i przydzielono nam do wydziału dodatkowych ludzi. Co więc zrobił nasz zwierzchnik (osobnik, któremu Nat, Chris i ja składaliśmy raporty)? Wyznaczył nowych ludzi do przepisywania akt, które już sporządziłem. Mógł ich wysłać na pierwszą linię, żeby pomóc ludziom monitorującym podsłuchy i gromadzącym nowe materiały, których dostarczałem ja. Nosilem wśród ludzi Gambino podsłuch

przez blisko dwa i pół roku. Ale zamiast posuwać sprawę do przodu, nasz zwierzchnik chciał wykorzystać nowych ludzi do tego, żeby wszystko sfinalizować i przygotować się do zamknięcia sprawy.

Każdy nowy agent przychodzący z Quantico oddałby wszystko za możliwość monitorowania podsłuchów i gromadzenia nowych informacji pochodzących z największego śledztwa FBI dotyczącego zorganizowanej przestępczości. Ale zwierzchnikowi na tym nie zależało.

Nie wyznaczył nikogo do śledzenia pluskiew. Walczyliśmy dalej, bo zwyczajnie próbowaliśmy rozpracować sprawę. A przecież ludzie, którzy powinni pomagać nam i nas wspierać, nie byli pomocni. A nawet nam przeszkadzali.

Gdy stało się jasne, że zarząd chce zamknąć sprawę Gambino, odbyliśmy spotkanie z szefami FBI, by dowiedzieć się, dlaczego tak musi być. Powiedziano nam, że ponieważ zidentyfikowaliśmy szefów i głównych graczy w rodzinie Gambino, „osiągnęliśmy cel” śledztwa.

Ogarnęła nas wściekłość.

- Żarty sobie robicie?! - zawołałem. - Zobaczcie, ile osiągnęliśmy w tak krótkim czasie! Mam właśnie zostać członkiem mafii! Greg mówi, że wkrótce mają mnie uczynić członkiem La Cosa Nostra! Tamci to zbagatelizowali.

- No cóż - powiedział jeden z szefów zajmujących się sprawą - to jeszcze nie przestępstwo, że kogoś się mianuje członkiem mafii.

Co takiego? Czy mnie słuch nie mylił? Nie rozmawialiśmy przecież o tym, czy jest przestępstwem

zostać mianowanym. Wszyscy to wiedzą! Mówiliśmy o niewiarygodnych korzyściach, jakie mogłyby wynikać z faktu, że stałem się pełnoprawnym członkiem mafii. Mógłbym ręczyć za tajnych agentów jak kraj długi i szeroki. Ale wszyscy oni byli zdecydowanie zbyt krótkowzroczni, by docenić wartość tego, co właśnie bu dowaliśmy. Nawet przeniknięcie do samego serca rodziny Gambino nie znaczyło nic dla tych ludzi. Greg powiedział mi, że spotkam wszystkich głównych szefów, będę uczestniczył w naradach i że sposobą mnie do pełnego członkostwa. A jednak dla biurokratów to nic nie znaczyło. Insynuowali, że próbuję podtrzymać sprawę przy życiu tylko dlatego, że awi mnie udawanie mafiosa! Ależ to idiotyczne! Taka była moja rola i główny cel całej sprawy. Wykonywałem moje zadanie i miałem wyniki lepsze niż ktokolwiek by oczekiwał, i najprawdopodobniej po moim mianowaniu miałbym możliwość zebrania jeszcze cenniejszych materiałów. Musiałem dać szefostwu odpowiedź.

- Postawię sprawę jasno - oświadczyłem. - Nie chcę podtrzymywać przy życiu tej sprawy dlatego, że tak dobrze się bawię! To niebezpieczna robota! Nie próbuję wszystkiego przedłużyć, żeby samemu wyciągać korzyści. Odwalamy świetną robotę i możemy mieć wielki wpływ na całą zorganizowaną przestępczość, jeśli będziemy mogli pracować dalej. Robię, co robię, bo to robić trzeba. To jest okazja, która zdarza się równie rzadko jak kometa Halleya! Jeśli zdemontujemy rodzinę Gambino i inne mafijne rodziny z Nowego Jorku, to możemy sprawić, że stracą wiarygodność w oczach mafii sycylijskiej i publiczny respekt. Mamy pod butem zorganizowaną przestępczość, a wy chcecie jedynie, żebym odszedł. Nie mogę w to uwierzyć!

Nie potrafiłem zamilknąć - dałem upust wszystkim swoim uczuciom.

- Uczestniczą w tej sprawie bandziory, o których istnieniu nie macie pojęcia - powiedziałem - ponieważ nie figurują w waszej pięknej kartotece. Jak wielu facetów, którzy są pełnoprawnymi mafiosami, nie figuruje w waszej kartotece? Myślicie, że ona jest kompletna? Sam Greg DePalma mi powiedział, że w rodzinie Gambino jest dwudziestu sześciu kapitanów. Wiecie tylko o dwudziestu jeden. Gdzie pozostałych pięciu? Nie wiecie o mnóstwie żołnierzy! Gdzie jest Robert Vaccaro? Gdzie Louis Filippelli, Vinny Pacelli, Peter Vicini, Andrew Campos, Nicky LaSorsa, żeby wymienić tylko paru? W trakcie śledztwa zidentyfikowaliśmy też administrację z okresu po odejściu Gottiego. Nie wiedzieliście o Squi-tierim, Megalem czy Jojo Corozzo - czyli szefie, wiceszefie i consigliere?

Być może powinienem był się trochę uspokoić, ale byłem podekscytowany. Inni próbowali mi przerwać.

- Co się stało? - ciągnąłem rozjuszony. - Mówicie, że nie macie ludzi, a kiedy ostatecznie przydzielono do sprawy trochę nowych ludzi... co wtedy robicie? Próbujecie wszelkich sposobów, żeby sprawie ukrać

CZĘŚĆ 111. KONIEC GRY

ROZDZIAŁ 18. FBI DO FALCONEGO: SPADAJ

łeb. Przecież to pierwsza infiltracja rodziny Gambino! I zapewne nigdy już nie zdarzy się po raz drugi, żeby agentowi FBI proponowano członkostwo w La Cosa Nostra! Nie pozwólcie, żeby taka okazja przeszła wam koło nosa! I tak dalej.

Kiedy zacząłem pracować w Biurze, moja postawa była taka, że kła niałem się w pas szefom. Ale z upływem czasu zdałem sobie sprawę, że niektórzy zwierzchnicy w sprawach, które prowadziłem, tak naprawdę mieli znikome lub wręcz żadnego pojęcia o tym, co znaczy być agentem i pracować na ulicy. Posunąłem się tak daleko, że zapytałem swojego zwierzchnika: „Ile lat przepracowałeś na ulicy? Co tam robiłeś? Czy ca łymi godzinami prowadziłeś inwigilację? Czy miałeś informatora, który nosił podsłuch? Czy kiedykolwiek byłeś świadkiem na podsłuchu? Ze znałeś w sądzie?”. Jeśli zwierzchnik może pozytywnie odpowiedzieć na wszystkie te pytania, będę go słuchał. Ze względu na faceta, który udowodnił, że pracował na ulicy, będę się jeszcze bardziej starał. Ale jeśli zdaje mu się, że może zostać doświadczonym agentem, czytając o innych przypadkach, to chyba zwariował. Nie mów mi, co przeczyta łeś. Powiedz, co zrobiłeś.

Czasami świeżo upieczony zwierzchnik powie: „Tak, pracowałem nad sprawami. Przeprowadzałem aresztowania”. Wielka rzecz. Mogłeś mieć agenta, który wyważa drzwi i naraża życie swoje i innych, będąc o włos od śmierci. Jasne, formalnie rzecz biorąc, taki ktoś przeprowadza dzał aresztowanie. Ale czy było coś, co rzeczywiście wzbogaciło jego doświadczenie? Czy był świadkiem czegoś, co wymagało odwagi, do skonałej koordynacji czasowej czy zgrania z innymi agentami? Prawie zawsze odpowiedź brzmi: bynajmniej. Jeśli chcesz mieć bezpieczny zawód, idź pracować w bibliotece. Zostaw organa

ścigania zawodów com. Ale nie tak to działa. Mała grupka facetów po prostu chce mieć swoje szpanerskie odznaki, żeby móc robić wrażenie na sąsiadach albo żeby kiedyś pobierać pensje rządowe, równocześnie pracując w sektorze prywatnym. Tacy ludzie nie są naprawdę produktywni w swej pracy w FBI. Nie jestem jedyny - masa agentów, z którymi rozmawiałem, zwłaszcza tajniaków, przeżywa podobną frustrację w związku z nowymi szefami FBI. FBI jest jak wszystko inne, jak każda inna ludzka organizacja. Mamy facetów, którzy naprawdę robią, co do nich należy, ale mamy też ludzi, którzy się objają, dużo gadają i udają, że są kimś lepszym niż w rzeczywistości.

Błędy mogą się zdarzać, zwłaszcza jeśli więcej niż jedna agencja organów ścigania ma związek z daną sprawą. Weźmy Operation Reciprocity, wielką akcję antynarkotykową, w której brało udział nie tylko FBI, ale też DEA i celnicy, ponieważ sprawa dotyczyła międzynarodowego przemytu narkotyków. Charlie Cunnigham, agent prowadzący wówczas tę sprawę, a obecnie emeryt SAC w Richmond w Wirginii, jest też moim kumplem. Pracował w Waszyngtonie w ramach Operation Reciprocity i przeglądał to, co analitycy FBI zebrali do kupy na temat wszystkich handlarzy narkotykami, facetów piorących brudne pieniądze, przemytników i innych podobnych im członków kartelu meksykańskiego. Nagle jeden z numerów telefonów wydał mu się znajomy. I powinien wyglądać znajomo, bo był mój.

„Alfabetyczne” agencje (takie jak DEA, ICE, FBI i tak dalej), które pracowały nad sprawą, uroiły sobie w swym kolektywnym mózgu, że jestem gangsterem, a nie agentem FBI. Charlie ich uświadomił.

- Jack jest jednym z nas! On tylko gra rolę faceta piorącego brudne pieniądze, jako tajny agent zajmujący się innym śledztwem!

- Och, sorry.

Gdyby nie Charlie, FBI mogłoby założyć podstuch na moim bipe-rze i komórce! Myśleli, że jestem ważnym członkiem meksykańskiego kartelu narkotykowego!

Prawdziwy problem ze sprawami narkotykowymi polega na tym, że wszystkie te rozmaite agencje mogą pracować nad każdą sprawą. To oznacza, że zawsze mogą jechać na akcję - gdzie mam spotkanie z jakimś gangsterem - i stwierdzić, że już tam są agenci i gliniarze z innych agencji.

- Co ty tu robisz?

- A co ty tu robisz?

- Muszę wyprać trochę kasy.

- My też. Chcemy wyprać trochę forsy dla jednego dealera narkotykowego.

Taki jest bajzel. Organa ścigania to w teorii mały światek, ale tyle różnych agencji robi w narkotykach, że bywa gorąco. Jest FBI, DEA, NYP i Joint Task Force, Biuro Prokuratora Okręgowego, policja stanowa, celnicy, IRS, ATF - Bureau of Alcohol, Tobacco and Firearms of the Treasury Department (Biuro do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Departamentu Skarbu). Agentów rozpracowujących sprawy narkotykowe jest więcej niż handlarzy narkotyków!

W dużej skali występuje też zjawisko, które nazywam nieudzielaniem informacji. Ludzie zazdrośnie strzegą posiadanej przez siebie władzy albo informacji, żeby ktoś inny nie okradł ich z zasług. Kiedy jakaś agencja ufa innej, ta ostatnia kradnie jej informatora. Zdarza się to cały czas. Powinna istnieć tylko jedna agencja rozpracowująca narkotyki. Ale In die i organizacje mają własne odrębne strefy wpływów i swoje agendy, więc nie liczę, że nastąpi to prędko.

Moje wystąpienie przed zwierzchnikami jakoś nie zjednało mi przy jaciół w zarządzie, co tak naprawdę mnie nie zmartwiło. Na razie mogłem wykroić dla siebie trochę więcej czasu. Choć uzyskanie od szefów większej ilości czasu jest śmieszne, gdy masz wyjątkową możliwość za dania poważnego ciosu przestępczości zorganizowanej.

Rozdział 19

„Lubię dostać buziaka, kiedy się mnie pieprzy”

Wtrącanie się zwierzchników zżerało mnie żywcem. Pomimo spraw, które prowadziliśmy przeciwko kilku tuzinom czołowych gangsterów, rychłego terminu mojej inicjacji w szeregach mafii w roli Jacka Falcone oraz stałego dopływu informacji dotyczących przestępczości zorganizowanej, jaki wygenerowaliśmy, komenda policji nowojorskiej oraz Waszyngton niewzruszenie trwali w swym zamiarze zakończenia operacji. A przecież według Grega już za kilka tygodni miano mnie pasować. Co robić?

W szkole tajniaków uczyli nas, że jeśli masz problem, którego nie możesz rozwiązać, wówczas „jesteśmy po to, żeby ci pomóc”. W porządku, pomyślałem. Mam problem, którego nie mogę rozwiązać. Jest oto wspaniała sprawa, a mnie jakoś nie udaje się skłonić Biura, by poświęciło jej uwagę.

Dowiedziałem się, że w FBI podjęto decyzję o zamknięciu sprawy w ciągu dwóch miesięcy, podczas rozmowy telefonicznej z moim zwierzchnikiem, który był przeciwny kontynuowaniu prac nad nią.

- Niemile zaskoczyły nas grube szychy z Biura - powiedział.

Chciał przez to powiedzieć, że szefostwo w Waszyngtonie wkroczyło do akcji i poinstruowało go, co ma robić.

A ja zachowałem się tak, jakby nie miał pojęcia, o co chodzi.

- Naprawdę? - powiedziałem tonem pełnym sarkazmu. - Co się stało?

- Podjęto decyzję o zamknięciu sprawy w ciągu dwóch, a nie w ciągu sześciu miesięcy.

- Zaczekaj! - zawołałem. - Sprawy trwają minimum sześć miesięcy. A ta ma trwać tylko dwa? O czym ty mówisz?

- Tak postanowili ci z Waszyngtonu - odparł tamten. - Zamiast w sześć miesięcy mamy ją zamknąć w ciągu dwóch. Przykro mi, Jack. Nic nie mogę zrobić ani ja, ani centrala FBI.

Wyglądało mi to na kompletną bzdurę, ponieważ wiedziałem, jak wrogo są nastawieni do tej sprawy od samego początku. Nie jestem jakimś zwariowanym narwańcem i wiem, o co chodzi.

Zadzwoiłem do komórki tajniaków w centrali i powiedziałem:

- Jesteście tu po to, żeby mi pomóc? Więc mi pomóżcie. Chcą mnie wyłączyć.

Szczęście uśmiechnęło się do mnie, bo trafiłem na świetnego gościa, Mikea Constanzięgo, tego samego faceta, który później przejął operację Steal Pier, sprawę korupcji w Atlantic City. Powiedziałem mu, co się szykuje.

- Co ci powiedzieli? - zapytał Mike, przerażony. - Zaczekaj! Nie mogą tego zrobić!

Zwołał zebranie w Nowym Jorku. Kiedy włącza się centrala, zwłaszcza do sprawy tajniaków, nikt w nowojorskiej FBI nie jest zachwycony. Potem mieliśmy kolejne zebranie odnośnie do tego, dlaczego sprawa ma być przedwcześnie zamknięta.

Z myślą o tym spotkaniu chciałem zyskać poparcie Mikea Campiego, koordynatora z nowojorskiego biura, który nadzorował sprawę związane z przestępczością i który jest ekspertem od La Cosa Nostra. Poza zwierzchnikami poszczególnych wydziałów duże biura FBI na terenie kraju mają zwierzchnika - koordynatora, który pilnuje, żeby wszystko przebiegało prawidłowo. Powiedziałem Mikebwi, co się święci.

Następnie poprosiłem Nata Parisiego i Chrisa Mungera, żeby wyświadczyli mi przysługę. Chciałem, żeby mnie zabrali z biura FBI w White Plains i podrzucili do biura na Manhattanie. Poprosiłem, żeby zaparkowali w podziemiach, tak by mnie nie widziano i bym mógł wsiąść do windy, nie musząc okazywać odznaki przy wejściu.

Rzecz w tym, że gdybym wszedł normalnym wejściem, inni agenci witaliby się ze mną jako jednym spośród nich. I gdyby jeden z bohaterów wielu śledztw, w których uczestniczyłem, mnie zauważył, byłbym zdemaskowany, a wraz z tym wzięłaby w łeb cała moja kariera tajniaka. To nie tylko naraziłoby śledztwo, ale też wystawiłoby moje życie na poważne ryzyko. Chciałem uniknąć demaskacji i narażania życia.

Chris i Nat zgodzili się mnie podwieźć, ale chwilę później odebrałem od nich telefon.

- Szef wydał nam polecenie, żebyśmy cię nie podwozili - oświadczyli mi, zszokowani i zaniepokojeni. - Zabronił nam nawet rozmawiać z tobą.

- O czym wy mówicie? Nie możecie mnie podwieźć? - zapytałem zdumiony.

- A na dodatek masz wylecieć za niesubordynację, za to, że wezwałeś centralę - oświadczyli.

- Co wy bredzicie?! - zapytałem z niedowierzaniem. - Takie jest moje prawo! Mają biuro popierające tajniaków, a ja jestem tajniakiem! To nie jest niesubordynacja!

- Przykro nam, Jack - odparli tamci, rozczarowani i wściekli. - Nie wolno nam cię podwieźć do biura.

- Oni oczekują, że wejdę do pieprzonego budynku FBI, okażę odznakę, będę ryzykował własnym życiem i najprawdopodobniej przekreślę wszystkie swoje śledztwa tajnego agenta - tylko dlatego, że

zwołałem zebranie w centrali?

To było niedorzeczne! Kto słyszał o czymś takim - żeby zabraniać jakiemuś agentowi podwiezienia innego agenta! Nie mogłem w to uwierzyć. Szefowie z nowojorskiego biura naprawdę chcieli mi zaszkodzić, ponieważ wkurzyli się na mnie za to, że zgłosiłem się do centrali ze skargą. A przecież zgłaszanie się do centrali z problemem jest dokładnie tym, czego uczyli mnie w Quantico. Jeszcze raz uderzyłem do Mikea Campiego.

Mike wściekł się. Zmył głowę koordynatorowi i kazał mu wydać po lecenie Natowi i Chrisowi, by zawieźli mnie na spotkanie. Zostałem zawieziony do biura i dostałem się, gdzie chciałem, tylnymi drzwiami, nic ujawniając swej tożsamości.

Weszliśmy na obrady, które odbywały się przy długim stole w sali konferencyjnej. Po jednej stronie siedzieli faceci, którzy chcieli zamknąć sprawę - ASAC z nowojorskiego biura, koordynator z FBI w White Plains, który prowadził sprawę; centrala FBI zorganizowała koordynatora do spraw przestępczości (który był w doskonałych stosunkach z szefem nowojorskiego Wydziału do spraw Przestępczości); inny agent zaangażowany w sprawę powiązaną z moją. Nie chciałem wymieniać ich nazwisk.

Po drugiej stronie stołu siedzieli ci spośród nas, którzy chcieli, by sprawę nie zamykano: Mike Campi; agenci prowadzący moją sprawę, Chris Munger i Nat Parisi; Joe Della Penna, agent z naszych oddziałów specjalnych, który pracował dla Departamentu Pracy; Mike Constanzi, zwierzchnik wydziału tajniaków z centrali; Mike Pollice, inny agent przydzielony do sprawy; oraz ja.

- Jesteśmy niemiłe zaskoczeni - zaczął koordynator z White Plains. Centrala każe nam zamknąć sprawę. Nie popieramy tego. My tylko robimy, co nam rozkażą. Koordynator z centrali powiedział, że jemu także nic o tym nie wiadomo i że decyzja w tej sprawie musiała zostać podjęta za jego plecami.

Tak więc faceci po drugiej stronie stołu zaprzeczali, jakoby mieli cokolwiek wspólnego z zamknięciem sprawy! Było to bezczelne kłamstwo!

- Kłamięcie panowie jak najęci! - wrzasnąłem. - To wy domagaliście się zamknięcia sprawy, a nie centrala!

- To nie my, ale centrala żąda jej zamknięcia - upierali się tamci. Wiedziałem, że to kompletna bujda. Facet z centrali też o tym wiedział.

- Zaraz, zaraz! - zawołał zwierzchnik wydziału tajniaków. - Mówicie, że to my kazaliśmy wam zamknąć sprawę! A tymczasem my tylko dostaliśmy - od was, panowie - polecenie zamknięcia naszej tajnej operacji!

Tak, to było mocne uderzenie! Wyglądało to komicznie! Koordynatora z White Plains i faceta z centrali aż zatkalo. Zostali złapani za rękę na oczach nas wszystkich.

Teraz facet z FBI i koordynator z centrali FBI przyjęli taktikę zaprzeczania.

- Okej, w takim razie wszystko wyjaśnijcie - powiedział zwierzchnik wydziału tajniaków.

Oczywiście niczego nie potrafili wyjaśnić i było to kłopotliwe i dla nich, i dla nas wszystkich. Tak przy okazji: ASAC - człowiek, któremu podlega w nowojorskiej FBI cała wydział zorganizowanej przestępczości - nie powiedział ani słowa. To właśnie był jego styl zarządzania. Gdybym to ja nim był, nie miałbym większego problemu z dwoma facetami, którzy wydali takie polecenie. To było smutne - patrzeć, jak ASAC siedzi z założonymi rękami i nie robi użytku z posiadanej władzy.

Tamci powtarzali swoją historyjkę, po czym facet z White Plains zmienił swoją wersję.

- Chcieliśmy zamknąć sprawę - oświadczył - ponieważ dotychczasowe działania w jej ramach osiągnęły - z nawiązką - wszystkie zamierzone cele. Nadszedł właściwy moment, by sprawę zamknąć.

Tego już było za wiele. Powiedziałem im, co myślę o wszystkich tych bredniach.

- Po pierwsze, protestuję przeciw temu, że wściubiacie nos w to, jak pracuję - zacząłem. - Po drugie, to nie w porządku, że wkurzyło was to, że wezwałem centralę. Próbujecie zamknąć tę sprawę od roku!

Zaczęli zaprzeczać, po czym zaczęliśmy omawiać całą sprawę i jej potencjalny wkład w walkę z zorganizowaną przestępczością. I nie zrobiono nic. Ludzie powinni byli zostać ukarani przynajmniej za mijanie się z prawdą. Niemile zaskoczeni przez Waszyngton? Trzymajcie mnie.

Wyczułem pismo nosem. Sprawa robiła się zbyt niewygodna dla zwierzchnictwa w Nowym Jorku i centrali FBI. To był jedyny powód, dla którego ją zamknięto: ci faceci nie mogli znieść jej ciśnienia. A przecież nie musieli nawet tego! Jedynie, co musieli zrobić, to pozwolić, by sprawy mogły biec swoim torem. Joe Pistone był w mafii przez sześć i pół roku jako Donnie Brasco. Ja błagałem zaledwie o mały fragmencik tego okresu. Zdałem sobie sprawę, że będę musiał zrobić to, co Robert Duran zrobił w sprawie Sugar Ray - podnieść ręce i powiedzieć „no mas”. Wiedziałem, że zostałem pokonany.

Zasadniczą dla nich kwestią było to, jak by tu przydać sobie splendoru w związku z tą sprawą. Próby

trafienia im do rozsądku i wyjaśnienia, jak duże znaczenie ma sprawa i gdzie może nas doprowadzić, były jak przemawianie do dwuletniego dziecka. Gdyby mi dano jeszcze kilka miesięcy, w tej książce znalazłby się rozdział opowiadający o ceremonii, w czasie której zostają pasowani na członka mafii, oraz spory fragment o tym, jak z mojego poręczenia umieszczamy tajnych agentów w każdej z pięciu nowojorskich rodzin mafijnych.

Wielu facetów włożyło wiele serca w sprawę. Była to praca zespołowa. Razem byliśmy niepokonani. Może zresztą mogliśmy stawić czoła jedynie mafii. Bo kiedy przyszło do starcia z biurokracją FBI, to zdaje mi się, że już nie byliśmy niepokonani.

Kontrargument moich przeciwników jest taki, że gdybym został w mafii i gdyby mnie pasowano na jej członka, zostałbym zabity albo musiałbym zabijać innych. Sprawa mogłaby się rozrosnąć i wymknąć spod kontroli, zaś pierwotne cele mogłyby zniknąć z pola widzenia. Odpowiadam na to: bzdura. Mogłem zostać zabity każdego dnia swojej pracy tajnego agenta - i takie ryzyko podjąłem. Co się tyczy argumentu, że sprawa mogłaby się rozrosnąć - odpowiadam na to, że im większa, tym lepsza! Po co zamykać trzydziestu dwóch facetów, skoro moglibyśmy zamknąć pięć rodzin gangsterskich, a przynajmniej zadać poważny cios metodom, jakie stosowali, by terroryzować mieszkańców Nowego Jorku? Dlaczego FBI miałoby się kłopotać śledzeniem zorganizowanej przestępczości, skoro zamierzało tak bardzo schrzanić sprawę?

W dniu, kiedy zamknięto sprawę, utraciłem możliwość podróżowania z Robertem Yaccaro do Miami, a potem na Sycylię, żeby spotkać się z tamtejszymi mafiosami. To było zaledwie po dwóch latach mojego zaangażowania się w operację. Co by się stało, gdybym miał możliwość pojechać na Sycylię? Nigdy ani na chwilę nie wzbudziłem podejrzeń Gambino. Nigdy ani Gregowi, ani komukolwiek innemu nie przyszło na myśl, że jestem kimś innym niż ten, za kogo się podaję: Jackiem Falcone.

Niby to przypadkiem, gdy sprawę zamknięto, ASAC awansował na stanowisko szefa sekcji w Waszyngtonie. Facet z centrali też awansował - dostał będący obiektem westchnień stołek koordynatora w Nowym Jorku. Zwierzchnik sprawy również został awansowany na ważne stanowisko w centrali w Waszyngtonie. Tak więc wszyscy prowadzący w FBI tę sprawę awansowali. Cała instytucja zorganizowanej przestępczości zrobiła unik jak nigdy przedtem. Najbardziej skorzystali koordynatorzy i biurokraci po stronie FBI oraz mafii. Powiedzenie tego przychodzi mi z trudem, ale dwaj wielcy przegrani w tej całej sprawie to: ja sam, ponieważ grałem rolę, co do której miałem poczucie, że byłem do niej stworzony, oraz ludzie mieszkający w Nowym Jorku; ludzie, którzy płacą „podatek mafijny” na każdym placu budowy, których szkoły budowane są przez kontrolowane przez mafię firmy budowlane, którzy niekończące się godziny spędzają w bezsensownych korkach na drogach miejskich, ponieważ ich projekty wykonawcze zostały przydzielone firmom związanym z mafią itd. FBI i mafia wygrały. Mieszkańcy Nowego Jorku i ja przegraliśmy. By zacytować mafiosów: „Daj buzi, daj buzi! Lubię dostać buziaka, kiedy się mnie pieprzy!”.

Rozdział 20

Oskarżony: Greg DePalma

Teraz, gdy tajna operacja była zakończona, nadszedł czas zacząć pracę z Biurem Prokuratora Generalnego Stanów Zjednoczonych w celu przed stawienia zarzutów trzydziestu dwóm członkom rodziny Gambino i innym mafiosom, do których oskarżenia się przygotowaliśmy. Szacunek, jaki mam dla prokuratorów, z którymi pracowaliśmy, jest bezgraniczny. Podczas śledztwa konsultowaliśmy się z nimi

nieustannie w sprawie różnych przestępstw, których byliśmy świadkami. Czasami spotykałem się z nimi osobiście, choć zwykle robi to agent prowadzący sprawę. Musieliśmy uzyskać zgodę prokuratora na instalowanie podsłuchów albo zakładanie pluskiew w restauracjach. Również ilekroć FBI przydziela pracę tajemnemu agentowi, Biuro Prokuratora Generalnego musi wystosować list zatwierdzający.

W tym przypadku prokuratorzy musieli przebrnąć przez tysiące stron surowych zapisów materiału dowodowego, usiłując dobrać odpowiedni język, który wskazywałby na szereg nieprawidłowości składających się na sprawę. Prokuratorzy zamierzali oskarżać podsądnych na podstawie ustawy RICO*, w świetle której sama przynależność do działającej organizacji przestępczej jest przestępstwem. Pogwałceniem RICO jest już samo przyznanie, że się należy do mafijnej rodziny. Dlatego prokuratorzy przebrnęli przez wszystkie zapisy i wyszukali miejsca, w których Greg DePalma wypowiada słowa: „rodzina Gambino”, sugerując, że sam do niej należy.

Pracowali bez przerwy. Zdumiewające, jak ciężka to była praca i w jakie detale się zagłębiali - i zagłębiać musieli. W pewnym momencie, zamiast szwendać się z Gregiem De Palmą, zacząłem przesiadywać z AUSA*. Pracowali oni dwanaście, trzynaście godzin dziennie. Mówili: „Potrzebuję tego a tego. Powiedz, gdzie mogę to znaleźć”. A moja praca polegała na tym, by pomóc im znaleźć odpowiednie miejsce. Współpraca z nimi - Edem OCallaghanem, Chrisem Conniffem i Scottem Marrahem - była dla mnie zaszczytem. Popierali sprawę przez cały czas i chcieli jej kontynuacji, lecz wiedzieli, że Biuro nie przydziela sprawie tylu ludzi, ilu ona wymaga.

Gdy zarzuty zostały sformułowane, AUSA przedstawili dowody przeciw trzydziestu dwóm członkom rodziny Gambino przed wielką ławą przysięgłych sądu federalnego, która wszystkich podejrzanych uznała winnymi. Następnie stworzyliśmy plan aresztowania, w ramach którego pomiędzy trzydziestu dwóch poszukiwanych rozdzielono grupy agentów FBI oraz agentów specjalnych Departamentu Pracy. 9 marca 2005 roku wczesnym rankiem grupy agentów rozproszyły się na terenie Nowego Jorku/New Jersey, aresztując wszystkich oskarżonych prócz jednego. Mieli również nakazy rewizji umożliwiające odnalezienie skradzionych przedmiotów - zegarków i telewizorów, które rozdaliśmy albo sprzedaliśmy gangsterom podczas śledztwa - które to przedmioty zostały odzyskane.

Jak na ironię losu, jedyną osobą, która uniknęła aresztowania w tej akcji, był pierwszy facet, na jakiego się natknąłem w trakcie śledztwa, Chris Sucarato. Gdy rozpoczęliśmy aresztowania, „mafijny telegraf” zaczął stukać jak oszałały. Założmy, że jakiś podejrzany mieszka z dziewczyną.

On zostaje aresztowany, a ona zaczyna wydzwaniać do znajomych. Ci znają całą historię również i stąd, że pełno jej w mediach. Chris zwiął -i zniknął na dziewięć miesięcy. Ale w końcu jego też dopadliśmy.

Każdemu z podejrzanych powiedziano, że jestem agentem FBI, co zrobiono przez wzgląd na moje bezpieczeństwo. Kiedy, jako grupę, doprowadzono ich przed sąd, by mogli usłyszeć stawiane im zarzuty, podobno wszyscy zbojkotowali Grega - ponieważ byłem człowiekiem Grega! Niektórzy spośród tych facetów nie uwierzyli, że jestem agentem FBI, co poskutkowało wydaniem na mnie wyroku. Uznali, że jestem tym, za kogo się podawałem: gangsterem z Florydy, któremu odbiło i który teraz był po stronie organów ścigania.

W okresie poprzedzającym proces wszyscy poza Gregiem przyznali się do winy - trzydziestu jeden gangsterów i osób z nimi związanych, które zostały postawione w stan oskarżenia. Mimo iż fakt, że Greg do niczego się nie przyznał, budził zdumienie, mnie to jakoś nie zdziwiło. Przyznał się w sprawie Scores, ale myślę, że zrobił to dla syna, a też i dlatego, że John Gotti junior naciskał, żeby to zrobić. Greg był ze starej szkoły. Z własnej woli nigdy nie przyznałby się do winy.

Spodziewałem się, że Greg będzie próbował wyrzucić presję na sędziego i skład ławy z racji złego stanu zdrowia. Cóż, znam Grega jak własną kieszeń. On naprawdę cierpiał na wszystkie przypadłości, o których mówił. Miał cukrzycę, miał jedno płuco, chorował na raka i miał za sobą atak serca. Ale mimo tych wszystkich dolegliwości nic nie mogło go powstrzymać. Zawsze wybiegał przed szereg. Zawsze się spieszył. Był silnym człowiekiem, który wykorzystywał swój urok, by nagle prze-stroić się na płacziwy ton w stylu „jestem śmiertelnie chory” dla zyskania sympatii innych. Na ów ton przestraszał się momentalnie, jakby ktoś włączył światło. I tak z twardziela stawał się kimś, kogo po hiszpańsku nazywamy pobrecito, biedaczek.

Kiedy rozpoczęliśmy proces, moja pierwsza obawa była taka, że zostanę zdekonspirowany, ponieważ o sprawie głośno było w mediach, a i o procesie też miało być głośno. Wiedzieliśmy, że będzie to medialny cyrk. Myśleliśmy, że ktoś weźmie moje zdjęcie i nada mu rozgłos w kontekście innych spraw, nad którymi

pracowałem. Ostro domagaliśmy się też, by moje nazwisko usunięto z protokołów zeznań w celu chronienia mojej tożsamości. Sędzia się nie zgodził. Stwierdził, że moje nazwisko już figuruje w aktach. Powinniśmy byli przeredagować taśmy, by ochronić moją tożsamość. To był mój błąd, ale kto o tym myślał, kiedy pracowaliśmy nad sprawą?

W dzień procesu miałem nadzieję, że Greg się przyzna. Wiele razy widziałem w sądzie, jak w ostatniej chwili goście przyznawali się do winy dla złagodzenia wyroku. Patrzyłem na Grega i myślałem: biedaczek, ma siedemdziesiąt trzy lata. Gotów jest ryzykować śmierć w pace -w imię czego? W imię jakich zasad? W imię jedności mafii? Ani jeden spośród pozostałych trzydziestu jeden facetów, których oskarżyliśmy, nie zdobył się na styl starej szkoły: stawienie czoła procesowi i odsiedzenie wyroku. Wszyscy oni szli na układy, od szefa w dół. Rodzina DePalmy nigdy nie pokazała się na żadnym z posiedzeń sądu. Zrobili to, co Płąt - umyli ręce. Zaiste był to ostatni gangster, ostatni człowiek gotów przedłożyć honor La Cosa Nostra, jakkolwiek by on był, ponad własną wolność.

Zaszokowało mnie zwłaszcza to, że żona Grega zwróciła się przeciw niemu. Nosiła złotego rolexa President - wiem o tym, ponieważ to ja jej go dałem. Dzięki tym wszystkim kopertom, które widziałem, i dzięki interesom, w których Greg maczał palce, jego żona mogła sobie pozwolić na piękną biżuterię i nosić się z fasonem. A mimo to go opuściła. Rodzina Grega powinna być z nim. To był jedyny raz, gdy poczułem dla niego coś w rodzaju litości. Uwielbiał być człowiekiem mafii, lecz tym razem został całkiem sam. Wszyscy go opuścili. Zachował się honorowo, ale gdy przyszedł czas zapłaty, nie dostał nic w zamian. Było to smutne.

Jego gangsterska rodzina odcięła się od niego, ponieważ to Greg uczynił mnie współnikiem mafii. Był odpowiedzialny za rozpad hierarchii rodziny Gambino, jaka uformowała się po odejściu Johna Gottiego, oraz za aresztowanie członków rodzin Lucchese i Genovese, czym również zaowocowała ta sprawa. Ale żadna z tych okoliczności nie liczyła się dla Grega DePalmy. Teraz on rzucał kości - miał wystąpić na procesie.

Proces miał miejsce w budynku Sądu Federalnego na Foley Square na Manhattanie. Ławę przysięgłych stanowił tłumek dość młodych ludzi różnych ras. Powiedziano im, że mają się spodziewać dwu-, trzytygodniowego procesu. Nas czekało łatwe zadanie. Mieliśmy wszystko gotowe i uporządkowane. Nie rozumieliśmy jednak, jaka jest linia obrony DePalmy, ponieważ jego adwokaci przyznawali od początku, że należał do rodziny Gambino. Pierwszą przesłanką, by zostać skazanym na pod stawie RICO albo paragrafu o wymuszaniu haraczu, jest przynależność do grupy lub organizacji przestępczej, a to właśnie przyznali obrońcy DePalmy. W żadnym ze swych wcześniejszych procesów DePalma nigdy nie przyznał się, że należał do rodziny Gambino. Zakładam, że tym razem zrobił to dlatego, że na moich nagraniach wielokrotnie potwierdza, że jest Gambino.

Tak czy owak, obrońcy stwierdzili, że Greg DePalma jest starcem, człowiekiem skłonny do przesady, żyjącym przeszłością. Jego adwokaci usiłowali wmówić przysięgłym, że wszystkie groźby i przechwałki Starego kierowane pod moim adresem w trakcie śledztwa wypływały z owych cech starego człowieka, dla którego wspomnienia były bardziej żywe niż jego obecna egzystencja. To prawda, Greg raczej nie wzbudzał strachu. Jego wygląd napawał litością. Każdego dnia w sądzie stało za nim dwóch techników medycznych. Wszystko to miało zrobić wrażenie na przysięgłych. DePalma przysypiał i ślinił się w trakcie całego procesu, skurczony w swym inwalidzkim fotelu łapczywie wciągał podawany mu tlen i tak dalej. Jego adwokaci walczyli o prawo występowania Grega na specjalnych noszach, jednak doświadczony sędzia Alvin Hellerstein pokrzyżował tę oczywistą strategię zjednywania sympatii dla oskarżonego.

Jednym z naszych świadków był przedsiębiorca, od którego Greg wyciągnął w ciągu dwóch lat co najmniej pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Czy boi się pan Grega DePalmy? - zapytał go prokurator w obecności ławy przysięgłych.

- Tak - odparł pytany. - To nie był starzec. To był twardziel.

- Czy sądzi pan, że poradziłby sobie, gdyby Greg pana zaatakował? - spytał go obrońca Grega.

- Szczerze mówiąc, nie - odpowiedział tamten wzbudzając salwę śmiechu wśród przysięgłych.

Spojrzeni na Grega, mężczyznę po siedemdziesiątce, siedzącego w sali sądowej, z tlenem podawanym mu rurką przez nos, wzbudzającego współczucie. Gazety nazwały świadka tchórzem, jednak już sama obecność Grega ucieleśniała ducha mafii. Świadek nie był tchórzem. Nie miał on na myśli strachu przed osobą Grega. Odczuwał uzasadniony strach przed tym wszystkim, co Greg reprezentował. Wystarczyłby ruch ręki i już byś nie żył. Po prostu by cię zdjęli. Znałem tego świadka osobiście z czasów, gdy pracowałem nad sprawą. Bez wątplenia była to twarda sztuka. Ale fakt ten nic nie znaczył, gdy w grę wchodził lęk przed mafią. Kiedy świadek powiedział, że boi się Grega, miał na myśli to, że boi się tego, co za Gregiem stoi: La Cosa Nostra.

Jak na ironię, ilekroć przysięgli opuszczali salę, Greg nagle się ożywił. Jestem pewien, że nie nastrajało to pozytywnie sędziego.

Wszedłem na salę rozpraw przed Gregiem. A kiedy wwieziono go na wózek, mogłem się tylko roześmiać w duchu. Greg, pomyślałem, jesteś niesamowity. Gdy tylko go zobaczyłem, poczułem się tak, jakbyśmy znowu byli sam na sam. Dobry jesteś, Greg. Walczysz. Robisz to, co robić musisz - żeby wyjść z tego obronną ręką. Greg był okryty włóczkowym niebieskim kocem, miał zmierzwione włosy, a na stoliku ciasteczka Oreo. Nie wspominając o tych rurkach z tlenem w nosie. Zachowywał się tak, jakby miał umrzeć, przechylony na jedną stronę, sprawiał wrażenie śmiertelnie chorego, robiąc to, w czym był najlepszy - manipulując i działając tak, by wszystko układało się po jego myśli.

Greg nigdy się nie poddaje. Urzędnicy sądowi znaleźli nawet ukryte papierosy w jego pokoju szpitalnym. Również kiedy siedział w więzieniu, znaleźli u niego, schowane w peruce, dwa banknoty pięćdziesięciodolarowe. W więzieniu nie wolno mieć pieniędzy! Ale to był cały Greg. W pewnym sensie, myślałem, obserwując go na sali sądowej, musisz szanować faceta za to, że jest takim gangsterem. Jako człowiek Greg był zerem, nieudacznikiem, zakałą społeczeństwa. Ale jako kryminalista był wielkim gangsterem, bo tylko o to chodziło mu w życiu.

Tylko jemu wytoczono proces. Nigdy nie przyznał się do nic/e go. Wszystkiemu zaprzeczał, jak przystało na dobrego mafiosa. Jeśli o niego chodzi, to cieszę się, że tak się stało. Świat jest lepszy, gdy Grę siedzi w mamrze. Na przedsiębiorcach nie wymusza się haraczy, lu dzi się nie bije - wszystkim jest lepiej. Przynajmniej do czasu, aż ktoś go nie zastąpi.

Gdy nadszedł czas na moje zeznania, usunięto wszystkich z sali rozpraw. Wspecjalizowana jednostka policji SWAT przewiozła mnie z hotelu w Midtown w czarnym SUV-ie, zazwyczaj używanym tylko do przewożenia dyrektorów FBI. Przetransportowali mnie na salę sądową tylnym wejściem, od piwnicy, windą na zaplecze, tylnym wejściem na salę sądową; przez cały czas towarzyszył mi oddział SWAT. Ponieważ nadal pracowałem jako tajny agent nad innymi przypadkami, sędzia musiał nakazać, by moje zeznania były odsłuchiwane przez reporterów w sąsiednim pomieszczeniu, tak więc żaden z nich mnie nie widział.

Nasz system prawny przyznaje oskarżonym prawo do konfrontacji z cji - osoba, która kogoś oskarża o przestępstwo, prawie zawsze musi być obecna na sali rozpraw. Jednocześnie sędzia musiał uwzględnić prawo ogółu do wiedzy na temat przebiegu procesu, a zarazem zmuszony był respektować konieczność - z racji spraw wagi państwowej - zachowania tajemnicy mojej tożsamości. Dlatego właśnie postanowił opróżnić salę, pozostawiając w niej jedynie pracowników wymiaru sprawiedliwości, adwokatów, przysięgłych, oskarżonego i mnie; dziennikarze przebywali w sąsiednim pomieszczeniu.

Prokuratorzy z Biura Prokuratora Generalnego puszczały kolejne sporządzone przeze mnie nagrania, całkowicie pogrążające Grega. Nie istniała możliwość, by przysięgli mogli dojść do wniosku, że komentarze Grega pochodzą od człowieka, który wypadł z branży. Greg dysponował nazbyt aktualną wiedzą na temat tego, co dzieje się na ulicach, i był zbyt gadatliwy, by nabrać wody w usta. Gadał po prostu o wszystkim, co robił; gadał o tym ze szczegółami; gadał o tym przez telefon, w kontaktach bezpośrednich, w towarzystwie każdego, kto się nawinął. To nie rząd Stanów Zjednoczonych skazał Grega, to Greg sam siebie skazał.

Sędzia wykazał poczucie humoru odnośnie do całej tej sprawy. Na taśmie mogliśmy usłyszeć Grega, który mówi z pełnymi ustami; wtedy sędzia upomniał go, żeby tak nie robił, że to przejaw złych manier. Język Grega i n i/ostawiał wiele do życzenia. Był to nieprzerwany potok przekleństw - ten sukinsyn to, tamten skurwiel tamto. Ale taśmą, która naprawdę pogrążyła Grega, była ta, na której nagrałem jego słowa, że za występ na ostatnim procesie powinien dostać Oscara, ponieważ nabił sędziego w butelkę, udając inwalidę, podczas gdy w rzeczywistości ma się świetnie. Greg powiedział mi, wystarczająco głośno, by urządzenie nagrywające przymocowane do mojego ciała mogło to wychwycić, że nie golił się przez cztery dni, że okrywa się kocem, że leży na specjalnych noszach, a nawet, co dodatkowo pogorszyło jego sytuację, zaczął sobie żartować z sędziego.

- Dał mi złagodzony wyrok - powiedział Greg, odnosząc się do wytycznych kodeksu, pozwalających sędziemu zredukowanie wyroku z uwagi na słabe zdrowie oskarżonego.

- Powiniennem dostać Oscara! Dał mi pięć lat zamiast dwunastu! Myślę, że w tym momencie przysięgli uznali Grega winnym - na

miejscu, w sali sądowej. Greg spąsował, gdy odsłuchiwalismy taśmę, po czym oskarżyciel powiedział:

- Nie mamy więcej pytań do pana Garcii.

Kiedy sędzia Hellerstein powiedział: „W porządku, panie Garcia, jest pan wolny”, musiałem przejść tuż koło Grega. To wtedy przemówił do mnie pierwszy raz od początku procesu. Usłyszałem, jak mamrocze:

- Ty skurwielu. Musiałem się roześmiać.

Pamiętajcie, że reporterzy nie mogli być świadkami żadnego z powyższych faktów, i nie mieli mnie zobaczyć. Wszystkie piętnaście taśm, które odtworzyliśmy dla sędziego, nagrałem podczas jedzenia. W pewnym momencie sędzia spytał mnie, ile przytyłem w czasie prowadzenia tej sprawy, na co odpowiedziałem, że trzydzieści sześć kilo. Reporterzy mieli używanie, jeśli chodzi o tę informację. Zakładali, że jestem facetem o normalnych rozmiarach, który przytył o trzydzieści sześć kilogramów, a nie wielkim facetem, który stał się jeszcze większy. Następnego dnia nagłówki gazet głosiły: „Obżartuchy - Agent specjalny przybiera na wadze trzydzieści sześć kilogramów, gdy on i mafiosi obżerają się, ile wlezie, szwendając M po Nowym Jorku”. Artykuł zamieszczony w „Daily News” był utrzymany w tonie historycznym. 17 maja 2006 roku Thomas Zambito pisał:

Człowiek, który przeniknął do mafii, przez pierwsze dwa lata przybrał na wadze ponad trzydzieści sześć kilogramów - dowodząc, że chłopaki z ferajny byli raczej obżartuchami, co obżerają się ile wlezie, szwendając się po Nowym Jorku. W ich codziennym menu były steki, pasta i owoce morza. Jadali w miejscach takich jak La Villetta w Larchmont, Westchester, gdzie kontemplowali polędwicę wieprzową z balsamicznym sosem portobello albo risotto z porcini i sosem z białych trufli.

A kiedy nabrali ochoty na pełnokrwisty befsztyk, chadzali do Ye Olde Tollgate Steakhouse w Mamaroneck, również w Westchester, o którym to miejscu „New York Times” napisał kiedyś, że serwują tam „steiki, które pokochałby zapaśnik sumo”.

A kiedy chcieli coś mniej wymyślnego z kuchni włoskiej, wpadali do Bronxville do Spaghetti Western, gdzie jadali pod włoskim plakatem filmu Dobry, zły i brzydki.

Już po dwudziestu czterech miesiącach niegdyś smukły tajny agent FBI Joaquin Manuel Garcia nagle stwierdził, że potrzebuje gaci szerszych w pasie - znacznie szerszych.

Muszę powiedzieć, że niezwykle podoba mi się komentarz mówiący, że kiedyś byłem smukły! To było bardzo, bardzo dawno temu, pa nie Zambito!

David Hinckley, również pracujący dla „Daily News”, napisał, że to nic dziwnego, że w trakcie tej sprawy przytyłem trzydzieści sześć kilogramów. „Nie istnieje gorszy sposób odżywiania się niż dieta mafii” - oznajmił Hinckley swoim czytelnikom. „Kiedy bohaterowie Rodziny Soprano wychodzą na scenę, New Jersey drży w posadach”.

A Greg DePalma wrócił do więzienia.

Rozdział 21

Wyrok

Po zakończeniu sprawy Royal Charm dotyczącej azjatyckich fałszerzy pieniędzy i potencjalnych przemytników broni zadzwonił do mnie mój kolega tajny agent Lou Calvarese i podzielił się zadziwiającymi wieściami. Ja i on dostaliśmy wyroki od mafii!

A stało się to tak: kanadyjski członek grupy przemytniczej trafił tutaj w Stanach do więzienia za udział w grupie przestępczej. Swojemu sąsiadowi z celi powiedział, że zorganizował siatkę przestępczą i że wydał rozkaz załatwienia Lou i mnie! Taktyka FBI wymaga, by w takich wypadkach zarządzać „oszacowanie zagrożenia”. Zazwyczaj FBI wysyłało wtedy do tej samej celi kolejnego więźnia z podsłuchem, by spróbował nagrać groźbę na taśmie; dzięki temu możemy stwierdzić, jak poważne jest zagrożenie, i przedstawić zarzuty temu, kto grozi śmiercią przedstawicielowi prawa. Kolejnym istotnym krokiem jest

powiadomienie agenta, którego życie jest zagrożone, by mógł podjąć środki niezbędne do jego ochrony. Tymczasem ja tkwiłem w kompletnej niewiedzy i do dziś nie mam pojęcia, czy takiego oszacowania w ogóle dokonano. Gdyby nie to, że Lou mi o tym powiedział, wątpię, czy w tej sprawie zadzwoniłby do mnie ktokolwiek inny.

CZĘŚĆ III. KONIEC GRY

ROZDZIAŁ 21. WYROK

Aż tu nagle 8 sierpnia 2005 roku okazało się, że jest na mnie zlecę nil za dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Tego dnia na pierwszej stronie „New York Post” można było przeczytać: „Wyrok mafii na agenta FBI dwieście pięćdziesiąt tysięcy za głowę kreta”. Artykuł sugerował, że ma fiosi „powinni modlić się o dobre zdrowie Jacka Falcone”. Gdyby wyrok został wykonany, życie członków nowojorskich rodzin mafijnych stali 1 by się „koszmarem za dnia”. Agenci rządowi składali „w tempie błysk.1 wicznym wizyty” szefom, wiceszefom oraz consiglieri wszystkich pięciu rodzin, informując ich, że każda próba zamachu na Jacka Falcone po skutkuje bezprecedensowym zaognieniem sytuacji... plus karą śmierci dla każdego, kto weźmie w niej udział.

Ludzie pytają mnie, jak to jest wiedzieć, że mafia wydała na mnie wyrok. Taki wyrok jest rzeczywiście czymś przerażającym nie tyle przez wzgląd na mnie samego, ile na moją rodzinę. Gdyby żyła moja matka, bardzo doskwierałaby jej świadomość, że wydano wyrok na jej syna. Oczywiście nigdy bym jej tego nie powiedział. Moja żona była przerażona, podobnie jak wszystkie inne bliskie mi osoby. Co do mnie, moja reakcja była taka sama jak niemal każdego w takiej sytuacji. Starałem się jeszcze bardziej chronić swoją rodzinę i wystrzegać się sytuacji niosących potencjalne ryzyko.

Jednak tak naprawdę nie wierzyłem, by ktokolwiek miał przyjść i mnie stuknąć. Niemniej jednak zawsze noszę ze sobą broń. Cały mój dom jest na podsłuchu. Samochód odpalam za pomocą pilota. Mam zainstalowane czujniki ruchu, które włączają się, ilekroć jeleń lub inne zwierzę wtargnie na moją „posesję”.

Wydanie na mnie wyroku dramatycznie zmieniło moje życie. Nigdy nie wracam do domu tą samą drogą. Zmieniam ją, kluczę, często spoglądam we wsteczne lustro. Jeżdżę okolicznymi objazdami. Podczas gdy kiedyś powrót z miasta do domu zajmował mi godzinę i kwadrans, teraz trwa godzinę i trzy kwadranse, ponieważ podejmuję wszystkie te środki ostrożności.

Bardziej uważam na to, komu opowiadam o swojej pracy w organach ścigania, i zawsze dobrze się zastanowię, dokąd idę. Nie mogę się

a przykład wybrać do ośrodka rekreacyjnego za miasto, na wesele czy n.i jakąś inną uroczystość, czy choćby posiedzieć przy publicznym ba-•enie, bo nigdy nie wiem, kto się napatoczy. Przez jakiś czas przechadzałem się wokół domu z pistoletem w kaburze pod pachą. Zwierzchnik komórki do spraw Gambino, agent Phil Scala, mój wielki przyjaciel i wspaniały szef FBI, powiedział mi, że w razie potrzeby wyśle cały swój wydział, by obozował w moim domu. Czasami się zastanawiam, jak potoczyłaby się sprawa, gdyby kierował nią Phil z oddziału zajmującego się Gambino w Queens, a nie biuro w White Plains. Jestem pewien, że cała operacja byłaby prowadzona znacznie sensowniej i przyniosłaby o wiele lepsze rezultaty. Prowadzący moją sprawę Chris i Nat nakazali miejscowym glinom, żeby robili regularne patrole w okolicy mojego domu. Mój dom jest niczym Fort Knox - wszędzie jest tyle kamer, że czuję się, jakbym miał swoje własne reality show!

Najważniejszą rzeczą, na jaką mogę liczyć, jest wsparcie ze strony moich kolegów agentów.

- Możesz nas wezwać - oświadczyli mi. - Policja stanowa pomoże ci, ilekroć będziesz tego potrzebował.

Chłopaki sprawili, że poczułem się bezpiecznie. Nie pozwolę, by ta sprawa zdominowała moje życie. Jest to po prostu część ceny, jaką się płaci za robienie interesów w Drużynie Ameryki.

To zarząd FBI muszę skrytykować za sposób, w jaki potraktował to zlecenie na mnie. Ich podejście do sprawy było beznadziejne. FBI otrzymało list od swego informatora w więzieniu, nazwijmy go Pete'em. Pete napisał w liście, że słyszał od innego faceta, nazwijmy go Alem, który był związany z rodziną Colombo i miał odsiadkę za morderstwo - że wydano na mnie wyrok. Najwyraźniej Al przechwalał się, że on i jego kompani przyjęli od zaskoczonych całą sprawą szefów mafii zlecenie na Jacka Falcone. Ale co stało się z tym listem?

Zagubiono go w biurokratycznym systemie FBI! W końcu dotarł do Nata i Chrisa, po upływie tygodni.

Wiem, że brzmi to niewiarygodnie, wiem też, że biurokraci, którzy zgubili list, zapodadzą zmyślną

historyjkę, która nie ma nic wspólnego

CZĘŚĆ Iii, KONIEC GRY

ROZDZIAŁ 21. WYROK

z rzeczywistością, ale prawda jest taka, że najzwyczajniej go zgubili. Nic powiedzieli mi o tym. Nigdy nie przyszło im do głowy oświadczyć: „Hej, Jackie, bracie, w mamrze jest facet, który mówi, że Gambino wydali na ciebie wyrok”.

Tak czy siak, po upływie tygodni list się znalazł, po czym ktoś zwrócił nań moją uwagę. Sugerowałem, żeby założyli podsłuch Petebwi, fa cetowi, który napisał list, spiknęli go z Alem, człowiekiem rodziny Colombo, i sprawdzili, czy to w ogóle prawda. Ale władze na to nie poszły. Powiedziano mi, że rozwiążą problem po swoim.

Zaprotestowałem - najprostszą metodą jest po prostu założyć gościowi podsłuch, skontaktować go z Alem i po problemie! Prędko i definitywnie by stwierdzili, czy to wszystko prawda. Tymczasem władze wyskoczyły z tą niedorzeczną historyjką, jak to próbowali znaleźć jakiegoś faceta, który został zwolniony z więzienia, uciekł na Florydę, coś wiedział - jakieś brednie. Nat, agent znający tę sprawę i będący całkowicie po mojej stronie, był w tym czasie na wakacjach. Cała ta sprawa trafiła w zręczne ręce Chrisa Mungera. To świetny facet, agresywny, bardzo doświadczony i kompetentny agent, tak więc oczywiście góra nie chciała mu powierzyć sprawy zlecenia na mnie. Zamiast tego odebrano mu ją i przydzielono innemu agentowi, również znakomitemu. Tyle że on w ciągu swej kariery zajmował się głównie kontrwywiadem. To świat szpiegów! To coś zupełnie innego niż sprawy kryminalne! Nie próbuję deprecjonować tego agenta ani tego, co próbował osiągnąć, ale byłem mocno związany z Chrisem, który miał wielkie doświadczenie na tym polu. Chciałem zawołać: „Moment! -to pieprzone zlecenie jest na mnie! Czy nie mam nic do powiedzenia odnośnie do tego, jak sprawa jest prowadzona?”

Oczywiście, że nie. Powiedzieli mi, że nie wiedzą, gdzie znaleźć Petea, że został przeniesiony przez administrację więzienną gdzieś indziej i że cała ta sprawa to wielkie gównno. Tak czy owak, nawet gdyby wiedzieli, gdzie Pete przebywa, i tak nie mieliby podstaw, by go przenieść.

- Zaczekajcie! - zawołałem. - To są więźniowie! Nie musicie podawać im racji! Po prostu wzywacie dyrektora więzienia i mówicie im: „Trzeba przenieść tego faceta!”

Greg DePalma bez końca mi powtarzał, że w środku nocy rozlegało się pukanie do jego celi, po czym zostawał przeniesiony do innego wię-/ icnia. Jak każdy więzień musiał się z tym liczyć.

Mimo to nikt nie dawał posłuchu moim argumentom. Zamierzamy go zapytać, powiedziano mi.

Zapytać go? Myślicie, że co on wam powie? To zatwardziały kryminalista, morderca! Moje argumenty ich nie przekonały, więc wprost go o to zapytali. Oczywiście, wszystkiemu zaprzeczył, więc po kilku jałowych wymianach pytanie - odpowiedź postanowiono, że zostanie poddany testowi na wykrywaczu kłamstw. Pierwsze pytanie było oczywiste.

- Czy jest zlecenie na Jacka Falcone? - padło pytanie.

- Nie - odparł tamten. Wskazówka na wariografie wleciała ponad podziałkę! Było całkowicie wykluczone, by mówił prawdę, zaprzeczając istnieniu takiego zlecenia.

Ogarnęła mnie wściekłość. Czekałem, dreptałem przed celą, pociełem się, żeby poznać wyniki badania wariografem, a oni przyszli i oświadczyli:

- Hej, zgadnij, co się stało! Facet oblał test na wykrywaczu! Tak więc natychmiast zadzwoniłem do ASAC i powiedziałem:

- A widzisz? Powinniśmy założyć facetowi podsłuch, zamiast się pieprzyć. Teraz nigdy nie dowiemy się prawdy!

- No tak, było wiadomo, że tak będzie! Sam wiesz, jacy są ci faceci - odparł ASAC.

- Nie, nie wiem - odpowiedziałem zdegustowany. - Ale skoro wiedzieliście, że obleje, dlaczego tak upieraliście się, by zrobić mu ten test?

- Musieliśmy - on na to. Zasadniczo ci z zarządu nigdy nie wierzyli, że to prawdziwy wyrok.

- A więc co teraz zamierzacie? - zapytałem. - Co macie zamiar zrobić, żeby zapewnić mi bezpieczeństwo? Mnie, mojej rodzinie?

Tymczasem oni postępowali zgodnie z pieprzoną rutyną. Bo niby czemu nie? To przecież nie ich życie ani życie ich rodzin było narażone! Cała ta sprawa była absurdalna. Rodzina mafijna Gambino

przeznaczyła ćwierć miliona dolarów, żeby mnie sprzątnąć, a ci faceci traktowali to jak dodatkowe zamówienie na colę dla całego departamentu. Cała sprawa wydawała im się żartem, a moje życie było w niebezpieczeństwie. Może wyrok nie został zatwierdzony przez Komitet, zebranie pięciu szefów pięciu mafijnych rodzin. Ale co jeśli jakiś dupek, jakiś wolny strzelec, próbując wyrobić sobie markę, zechciałby na mnie zapolować? Nie robiłby tego dla pieniędzy. Zresztą gdzie i jak miałyby zainkasować for sę? Na najbliższej majówce mafiosów? „Hej, załatwiłem Falcone! Gdzie jest moje dwieście pięćdziesiąt kawałków?” Zrobiłby to, żeby pokazać, jakim jest twardzielem, i właśnie dlatego do dzisiaj jestem ostrożny, gdy informuję ludzi o tym, gdzie aktualnie przebywam.

Powiedziałem tym z FBI: „Wiem, po co zrobiliście facetowi test na wykrywaczu kłamstw. Żebyście mogli umyć od wszystkiego ręce. Oto dlaczego tak postąpiliście. Chcieliście, żeby się okazało, że nie ma żadnego zlecenia na mnie, byście mogli powiedzieć: »Widzisz? Nie ma żadnego zlecenia! To była zgrywa!«. A teraz co?”

Nie mieli na to odpowiedzi. Wiedzieli, że to prawda, w tym cały szkopuł.

Wszystko wskazywało na to, że wprawiłem mafię w ambaras. Wszedłem między nich. Dokonałem infiltracji. Mało tego. Nie jestem nawet Włochem -jestem Amerykaninem pochodzenia kubańskiego! Ludzie musieli mówić jeden do drugiego: „Ależ głupi muszą być ci faceci!” Dla nich największą zniewagą stanowi fakt, że uwierzyli, iż jestem Włochem - tak przekonująco grałem! Mafia stara się być bardzo cwana, wszechwiedząca, wszechmocna. Na Sycylii musieli pękać ze śmiechu! Zważywszy na ich stereotypowe wyobrażenia na temat Latynosów, zapewne śmiali się ze swych amerykańskich kuzynów do rozpuku. Rzecz jasna Andy Garcia odwalił kawał roboty, odgrywając Włocha w Nietykałnych i w trzeciej części Ojca chrzestnego. On też jest Kubańczykiem. Ale to tylko filmy, a to było prawdziwe życie.

Nie biję piany, kiedy mówię, że sprawa domniemanego wyroku była źle prowadzona. Jej wynik tak naprawdę pozostaje niewiadomą z powodu indolencji, głupoty, niekompetencji, a przede wszystkim braku doświadczenia niektórych spośród szefów w nią zaangażowanych. Nie dotyczy to wszystkich, ale tylko tych, którzy prowadzili moją sprawę. Jeśli więc, drodzy panowie, kiedyś się spotkamy, trzymajcie się z daleka!

ROZDZIAŁ 22

Jack Falcone wychodzi z gry

Zawsze powtarzam: „Dzień, w którym możesz sobie powiedzieć: »Byłem tu i tu, zrobiłem to i to, no i dostałem T-shirt«, to dzień, kiedy musisz iść na emeryturę”.

3 marca 2006 roku odszedłem z FBI na emeryturę. Dla agenta dzień, w którym odchodzi na emeryturę, jest prawdziwym kamieniem obrazy. Przychodzimy do pracy tego ostatniego dnia, a wtedy odbierają nam nasze odznaki i dokumenty. Nowojorska policja robi to tak: ostatniego dnia służby ludzie dostają dowód ze zdjęciem stwierdzający, że są jej emerytowanymi pracownikami. Jednak w FBI po prostu robią ci zdjęcie i dziewięć do dziesięciu miesięcy zajmuje im wyrobienie dokumentów emeryta.

Byłem agentem przez ostatnie ćwierćwiecze. Wszędzie jest pełno bandziorów, których wsadziłem do mamra i którzy w międzyczasie z niego wyszli. Obecnie albo po raz któryś z rządu wrócili za kratki, albo mają dzieciaka, który już tam trafił. Stojąc na czerwonym świetle, do dzisiaj zaglądam do auta stojącego obok mojego, a jadąc drogą szybkiego ruchu, sprawdzam, kto jedzie za mną. Muszę nosić broń i oczywiście nie wyglądam na agenta. Powiedzmy, że zatrzymuje mnie glina i zaczynam mu wyjaśniać, że jestem byłym agentem. Glina nigdy w to nie uwierzy. Jeśli znajdzie moją broń, to trafiam do paki w Rikers Island, zanim zdąży wymamrotać nazwisko J. Edgara Hoovera. Minęło pełne dziesięć miesięcy, zanim

dostałem dokumenty emerytowanego agenta FBI. Czy codziennie przez te dziesięć miesięcy miałem przy sobie broń? Nigdy się tego nie dowiedziecie!

W ostatnim dniu pracy, poza tym, że zabrano mi odznakę i papie ry agenta FBI, miałem jeszcze kilka innych rzeczy, które również musiałem oddać. Jako Jack Falcone nosiłem wszelkiego rodzaju biżuterię i zegarki. Rzecz jasna, wszystko to powędrowało z powrotem do biura. Nie miałem nic przeciwko temu - pozytywną stroną zakończenia całej sprawy było to, że nie musiałem już codziennie ubierać się jak wspólnik DePalmy. Zwróciłem sygnety, biżuterię, rolexy i pierwszy raz od prawie trzydziestu lat byłem zwykłym obywatelem.

A przynajmniej tak widniało w oficjalnych aktach FBI. Bo jeśli chodzi o moje myślenie, oswojenie się z faktem, że nie jestem już ani Joaqui-nem Garcia z FBI, ani Jackiem Falcone z rodziny Gambino, zajęło mi trochę więcej czasu. Niebezpieczeństwo pracy tajnego agenta polegało na tym, że odgrywana przeze mnie rola była tak zwodnicza! Moja żona mówi mi, że od czasu do czasu nadal zachowuję się jak członek mafii! Zwykle zdarza się to w restauracjach. Na przykład wtedy, gdy mówię szefowi sali, że mam rezerwację, on sprawdza w swych notatkach i każe mi poczekać za barem. Wiercie mi, że gdybym przyszedł jako Jack Falcone, szef sali nigdy nie odesłałby mnie do baru, bez względu na to, czy miałbym rezerwację, czy nie. Znalazłby dla mnie stolik na tyle osób, na ile zażądałbym w danej chwili. Ale już nie jestem w FBI i już nie jestem Jackiem Falcone, więc odmaszerowuję do baru i czekam na swoją kolejkę, jak wszyscy.

Czasami czekanie nieznośnie mi się dłuży, zwłaszcza gdy widzę, jak inni ludzie zasiadają przy stolikach przed nami. Wtedy podchodzę do szefa sali i wydaję z siebie warknięcie w stylu Jacka Falcone: „Hej, kolego, co robisz, wpisałeś mnie na listę osób, których nie obsługujesz? Inni zostali usadzeni przed nami! Żeby mi to było ostatni raz - rozumiemy się?”.

Po takim tekście zwykle jesteśmy przeproszani i od razu dostajemy stolik, ale żona posyła mi spojrzenie mówiące: „Nie jesteś już Jackiem Falcone”.

Takie sytuacje cholernie mnie irytują. Gangsterzy wchodzą do restauracji i natychmiast usadza się ich przy stoliku. Uczciwi obywatele naprawdę powinni mieć miejsce jako pierwsi. Facet, który wypruwa sobie flaki, żeby nakarmić rodzinę. Policjant, nauczyciel albo strażak. To oni powinni być obsługiwani w pierwszej kolejności! Ale w naszym popapranym społeczeństwie szanujemy bandziora, a nie szanujemy uczciwego człowieka, który chroni to społeczeństwo czy po prostu troszczy się o swoją rodzinę.

Dlaczego odszedłem na emeryturę? Przede wszystkim wyczułem pismo nosem. Po zamknięciu sprawy Gambino jako tajny agent nie dostałem żadnej nowej sprawy. Wyczułem, że po tych wszystkich latach mojej kariery w FBI moi zwierzchnicy chcą pozbawić mnie pracy tajnego agenta. Myśl, że będę zwykłym agentem FBI, wydała mi się mało atrakcyjna. Jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że po odgrywaniu roli Jacka Falcone możliwy był tylko regres. Jak teraz wrócić do jakiegokolwiek innej sprawy? Biuro wciąż wzywa mnie w charakterze „konsultanta” i nawet pisząc te słowa, nadal wykonuję pracę tajniaka dla kilku wydziałów. Gdy ta książka się ukaże, wszystkie te sprawy powinny być zamknięte, i najprawdopodobniej będzie to koniec mojej kariery, czy to jako oficjalnego pracownika FBI, czy to jako konsultanta. Chciałem wyjść z gry u szczytu kariery, jak Jim Brown czy Tiki Barber w footballu, zamiast być jak ci lekkoatleci czy faceci w innych dziedzinach sportu, którzy nie wiedzą, kiedy odejść. Chciałem finiszować u szczytu formy.

Jednocześnie chciałem spędzać więcej czasu - znacznie więcej czasu - z żoną i córką. Kiedy odszedłem z Biura, moja córka miała sześć lat. Tak naprawdę nie miała pojęcia, czy byłam porządnym człowiekiem, czy gangsterem. Nigdy dokładnie jej nie wyjaśniłem, co robię w pracy po prostu dlatego, że była za mała, żeby to zrozumieć. Chciałem dać jej dzieciństwo, w którym nie było Gregów DePalma tego świata. Chciałem też spędzać więcej czasu z żoną, która jest prawdziwą bohaterką tej

historii. Pomyślcie tylko o ogromie poświęcenia, na które zdobywała się przez lata, pozwalając mi pracować przez siedem dni w tygodniu, całymi godzinami narażać się na niebezpieczeństwo, obcować z bezwzględniymi ludźmi, najbardziej bezwzględniymi ludźmi i organizacjami w naszym społeczeństwie.

To moja żona bez końca martwiła się o mnie, zastanawiając się, gdzie jestem, czy nic mi się nie stało, czy było to w Badlands w Filadelfii, gdzie odgrywałem handlarza narkotyków, czy w towarzystwie gangsterów z DePalma i jego kompanami. Chciałbym w tym miejscułożyć hołd wszystkim żonom - oraz dzieciom - pracowników organów ścigania. Nigdy nie dostają medali ani pochwał za swoje poświęcenie, ale naprawdę jest ono nie mniejsze niż to, na które zdobywają się agenci, policjanci, strażacy i inni ludzie, których pracę tak bezinteresownie wspierają.

Tak więc tego dnia, w którym odszedłem z FBI, miałem mieszane uczucia. To była organizacja, której oddałem całe swoje dorosłe życie i jako jej część naprawdę urzeczywistniałem American dream. Pamiętajcie, że jestem kubańskim emigrantem, który przyjechał do tego wspaniałego kraju, nie znając nawet języka. A teraz Jerry Capeci, ceniony reporter zajmujący się zorganizowaną przestępczością, w swojej rubryce pisał o mnie artykuł zatytułowany „Poznaj najlepszego tajnego agenta FBI”. To spory awans dla dzieciaka, którego rodzina uciekła z Kuby. Ten kraj dał mi wspaniałą szansę, a ja miałem to szczęście, że podjąłem wyzwanie i udało mi się.

Oczywiście, miałem w Biurze niezliczonych przyjaciół wśród agentów i szefów. Choć rzecz jasna nie brakowało ciężkich przeżyć z biurokratami i ludźmi od papierkowej roboty, to jednak pracowało tam tylu świetnych kierowników wydziałów i agentów, że same ich nazwiska zapełniłyby książkę. Świadomość, że nie będę miał z nimi codziennego kontaktu, sprawiała mi ból. Owego ostatniego dnia wracałem do domu po spotkaniu z Seanem McMullenem, Jimmym Lopezem i Richem Sha-wem, trzema moimi dobrymi przyjaciółmi i wspaniałymi agentami wydziału narkotykowego. To było dziwne uczucie, kiedy kumple podrzucili mnie do domu, i kiedy zdałem sobie sprawę, że nie mam pracy, do której mógłbym pójść nazajutrz. W istocie, przez kilka tygodni łąpałem się na tym, że wstaję o zwykłej porze i ubieram się, psychicznie przygotowany na kolejny dzień pracy w FBI. Przypuszczam, że wszyscy emeryci przechodzą przez coś takiego. Tak często wzywano mnie do biura w tej czy innej sprawie, że koledzy zaczęli nabijać się ze mnie. Pytali, czy zapomniałem, że poszedłem na emeryturę.

Kiedy zaczynałem pracę, nowych agentów umieszczano w otwartym sektorze. Możesz wtedy pajacować z innymi facetami - dzwoni żona kogoś, a ty, mizdrząc się, mówisz: „Hej, ja też cię kocham, skarbie!”. Mieliśmy razem personel od stenografii, dzieciaki, które odwalają papierkową robotę. Staliśmy się jak rodzina - wszyscy razem wychodziliśmy po pracy na drinki, pizzę czy coś innego.

Taki otwarty sektor już nie istnieje, tak samo jak personel do stenografii. Teraz jest znacznie bardziej sterylnie. Przydzielają ci „boks”, ciasne miejsce pracy z wysokimi ścianami, tak że nigdy się nie spotykasz ani nie kontaktujesz z innymi agentami. A jeśli chodzi o stenografowanie, to agenci zostali stenotypistami! Spędzają teraz całe godziny przy komputerze, pisząc raporty. Nie powinni tyle pisać - powinni być na ulicy, w pracy! No i jest tylko automatyczna sekretarka - nie jest już tak, że gość podnosi słuchawkę i mówi: „Hej, nie ma go, mam przekazać wiadomość?”. Nie pośredniczymy już we własnych sprawach, tak jak to było kiedyś.

Goście przychodzą z Quantico pełni energii, gotowi łąpać bandziorów. Zamiast tego przydzielają im laptopy i kamery... i sadzają ich w tych cholernych boksach... i nagle ci faceci zostają przerobieni w gości z IBM. Czynni agenci nie znają nawet części spośród tych nowych!

- Hej, kim jest ten nowy facet?

- Nie wiem.

- A czym się zajmuje?

- Tym, że mnie wkurza.

Kiedy zaczynałem pracę, to gdy coś się stało, mogłem powiedzieć do chłopaków z wydziału: „Hej, chodźcie, muszę zamknąć jednego faceta -chodźmy po niego wszyscy!” I wszyscy razem szliśmy na akcję. Dzisiaj

chłopcy nie aresztują razem nikogo, bo żadnego z nich nie możesz znaleźć - wszyscy agenci tkwią w swoich małych oddzielonych wysokimi ścianami boksach! Hej, gdzie są wszyscy?

Często dziś słyszę takie skargi od chłopaków. Uwielbiałem łązić do otwartego sektora, gdzie byli wszyscy - jeśli ktoś przychodził zdołowa ny, wszyscy garnęli się do niego, poprawiali mu nastrój. Naprawdę po winno się wrócić do tego, jak było kiedyś. Czy są to pobożne życzenia? Tęsknoty? Może odrobinę. Ale z czysto zawodowego punktu widzenia, zatracamy ducha wspólnoty, który uczynił z FBI tak wspaniałą agencję śledczą. Dyrektorze, niech pan rozwali te boksy! I przy okazji niech pan stworzy w agencji pokój stenotypistów!

Odejdźcie z pracy w organach ścigania miało też swoje dobre strony. Zamiast wozić Grega DePalmę po całej aglomeracji nowojorskiej, odwożę teraz do szkoły i przywożę moją córkę. Jeśli nie jest to radykalny przeskok - od DePalmy i jego mafiosów do tego, co najważniejsze - to nie wiem, co nim jest. Tak bardzo kocham córkę i jestem tak szczęśliwy, że mogę spędzać z nią czas.

Miesiąc temu zbudziły mnie kojoty. Dorastałem w Bronxie! Co u diabła mam wspólnego z kojotami! Na dalekich przedmieściach, gdzie mieszkamy obecnie, są indyki, jelenie, rysie, kojoty. Jestem w piekle! No cóż, każdy dźwiga swój krzyż!

Pewnej nocy dzieciak z sąsiedztwa zadzwonił do naszych drzwi o jedenastej w nocy. Żona wpadła w histerię, a ja wyjąłem broń i wyszedłem na zewnątrz, aż w końcu połapaliśmy się, że był to wyglup

dzieciaków. - O Boże! - zawołała żona - Wiedzą, gdzie mieszkamy. Sprawdzali nas. Innym razem wpadła w panikę, kiedy zwalono na ziemię naszą skrzynkę na listy. Powiedziałem do niej: „Możesz się uspokoić? Nic się nie stało”.

Czy boję się codziennie? Skądże! Podstawa to pamiętać, że jeśli żyję w strachu, to oni wygrali! Owszem, muszę przedsięwziąć kilka dodatkowych środków ostrożności, ale jest to cena, którą płacę. Niech im będzie głupio. Wszyscy oni są gangsterami, kryminalistami. Wszyscy dostali wyroki. Wszystkich ich uwaliliśmy. A teraz są w mamrze.

Rzadko odwiedzam Manhattan. Ciągłe jest tam pełno bandziorów, którzy mnie pamiętają i którzy chętnie by mnie zdjęli. Muszę bardzo uważać, gdzie jadę i którędy. Jest to niewygórowana cena przywileju bycia po słusznej stronie prawa przez te wszystkie lata.

Jednocześnie napływały do mnie oferty pracy. Być może najatrakcyjniejszą złożyła mi Major League Baseball. Chcieli, żebym objeżdżał akademie baseballowe w Ameryce Łacińskiej i opowiadał młodym potencjalnym pracownikom i współpracownikom o niebezpieczeństwach czyhających w Stanach. Będą tam szulerzy, którzy zechcą się z nimi zaprzyjaźnić, gangsterzy, którzy mogą szukać informacji czy wręcz gotowi ich przekupić albo w jakiś inny sposób wpędzić w tarapaty.

Oferta była kusząca, jednak fakt, że wymagała ode mnie, bym sześćdziesiąt procent swojego czasu spędzał, podróżując, sprawił, że ją odrzuciłem. Ludzie mówili: „Jak możesz odrzucać propozycję Major League Baseball?” Prawda jest taka, że gram w football i niespecjalnie lubię baseball, więc nie znaczyło to dla mnie aż tak wiele. Na tym etapie życia najważniejsza dla mnie sprawa to być z rodziną. Większość agentów FBI, którzy po odejściu z Biura rozpoczynają nowe życie zawodowe, zatrudnia się w prywatnych agencjach ochrony. Szczepke mówiąc, ja z tym skończyłem. Potrzebne mi jest zupełnie nowe wyzwanie. Jest to jeden z powodów, dla których napisałem tę książkę! Niezmiernie chciałbym też zająć się aktorstwem. W końcu praca tajnego agenta to aktorstwo. Tajniacy wykonują role znacznie bardziej niebezpieczne niż aktorzy. Nie możemy wypaść z roli. Jeśli ludzie nie uznają cię za przekonującego, wówczas narażasz nie tylko karierę, lecz również życie. Siedzę w domu z żoną, oglądamy Rodzinę Soprano, a ja mówię do żony: „To niesprawiedliwe! Ci ludzie mogą robić duple tak długo, jak długo tego potrzebują, żeby dobrze zagrać tę scenę! Tajniak ma tylko jedną szansę!”. Jeśli więc w Hollywood szukają mającego metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważącego sto siedemdziesiąt kilogramów człowieka do roli pierwszoplanowej, to właśnie znaleźli!

Pocieszająca jest świadomość, że wszyscy ludzie, z którymi się „zaprzyjaźniłem”, w czasie gdy pracowałem nad sprawą Gambino, są teraz w więzieniu. Tam też jest ich miejsce - wbrew obrazowi, jaki tworzy na swój temat mafia, są to gangsterzy handlujący narkotykami. Wykorzystywali oni związki zawodowe i legalne przedsiębiorstwa, robiąc z działających w majestacie prawa biznesmenów nie tylko swe ofiary, lecz również gotowych do współpracy udziałowców zorganizowanej przestępczości. Ściągali długi, zarabiali miliardy dolarów na nielegalnym hazardzie, włamywali się do magazynów, ranili i zabijali ludzi. Nie mam żadnych wyrzutów sumienia w związku z faktem, że wszyscy ci osobnicy są za kratami. Jeśli o mnie chodzi, to chciałbym, żeby zostali tam jak najdłużej. Jestem całkowicie wyzbyty sentymentów do tych „przyjaźni”, ponieważ nigdy nie były one prawdziwymi przyjaźniami. Począwszy od mojej pierwszej sprawy, którą rozpracowywałem jako tajny agent, kiedy to zapukałem do drzwi salonu masażu na Manhattanie, poprzez ostatnie dni w towarzystwie DePalmy, a skończywszy na tych sprawach, nad którymi nadal pracuję - nigdy nie obracałem się w tym świecie, żeby nawiązywać znajomości. Byłem tam po to, żeby pakować do więzienia gangsterów i żeby czynić świat odrobinę lepszym dla wszystkich pozostałych.

Mówią, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Kto wie - może mają rację? Być może moje udane występy w roli Jacka Falcone nie trwałyby wiecznie? Łatwo jest skupiać się wyłącznie na pozytywnych stronach tego, co mogłoby się wydarzyć - na możliwości wciśnięcia tajnych agentów do każdej rodziny gangsterskiej nie tylko w Nowym Jorku, ale w całym kraju. Trudno nie rozwdzić się nad faktem, że mogliśmy zadać hydrze ogłuszający albo nawet śmiertelny cios. Ale rzeczywistość wygląda tak, że Donna, dziewczyna Roberta Vaccaro, mogła w każdej chwili poskładać puzzle i byłby to koniec nie tylko sprawy, lecz również Joaquina Garcii.

W nieodpowiednim momencie mógł pojawić się Gigi the Whale albo Randy Pizzolo, albo którykolwiek z tysięcy gangsterów i ich kompanów, których napotkałem w ciągu dekad mojej pracy w FBI. Rzecz jasna, bracia agencji oddali życie za sprawę i choć żal z powodu przedwczesnego zakończenia sprawy Gambino będzie mi towarzyszył aż po grób, wiem, że miałem szczęście przeżyć wśród gangsterów aż tak długo.

Nie sposób dowiedzieć się tego, czy któreś ze zleceń na moje życie zostało kiedykolwiek uchylone, oraz

tego, kto miałby powstrzymać każdego z trzydziestu dwóch Gambino przed spiskowaniem przeciw mnie. To była dzika jazda escaladesami, hummerami i innymi pojazdami, które miałem do dyspozycji jako Jack Falcone. Była to tylko jedna sprawa w mojej karierze, choć co prawda duża. Ale jest jeszcze fura innych spraw, na których opisanie w tej książce nie wystarczyło czasu ani miejsca: przestępczość gangów rosyjskich, skorumpowani gliniarze w Bostonie, San Juan i Puerto Rico... Mógłbym tak ciągnąć bez końca. Ale być może najbardziej satysfakcjonująca koda mojej kariery jest taka: zgarneiliśmy trzydziestu dwóch czołowych członków jednej z najpotężniejszych mafijnych rodzin w kraju. Jak na razie, w toczącej się wojnie porządnych facetów z bandziorami ci porządni wygrali.

Nieźle jak na dzieciaka uciekinierów, którego rodzina przybyła do tego kraju, nie mając żadnego dobytku prócz koszuli na grzbiecie. W porządku, pozbawienie mnie roli Jacka Falcone było skrajnym koszmarem. Ale wszystko inne w mojej karierze, łącznie z noszeniem odznaki agenta FBI i pakowanie bandytów za kratki... Muszę wam powiedzieć, że to właśnie jest American dream.

Epilog

Gdzie są teraz?

Poniżej są zamieszczone niektóre dane osobników zamieszanych w różne sprawy opisane w tej książce.

Randolph „Randy” Pizzolo - jeden z dwóch mafiosów, którzy mogli mnie zidentyfikować w Bronxie, został zabity 4 grudnia 2004 roku, w przemysłowej dzielnicy Brooklynu. W ciele, które leżało w jego nowym bmw, odkryto cztery rany postrzałowe. Oskarżony o zabójstwo Pizzolo został szef rodziny Bonanno - Vincent „Vinnie Gorgeous” Ba-sciano, który ksywę zawdzięczał salonowi piękności należącemu do jego rodziny, o nazwie „Hello Gorgeous”⁹.

Willy Falcon i Sal Magluta, „Los Muchachos” - najpotężniejsi koka-inowi kowboje Miami, uniknęli więzienia w czasie swego procesu o import siedemdziesięciu pięciu ton narkotyków do Stanów Zjednoczonych. Następnie uznano ich winnymi przekupienia ławy przysięgłych podczas sławnego procesu. Sal Magluta został skazany na dwadzieścia pięć lat

» Vinnie Gorgeous - Vinnie Ślicznotka (przyp. tłum.). Hello Gorgeous - Cześć, Ślicznotko (przyp. tłum.). więzienia za rolę, jaką odegrał w akcji przekupienia przysięgłych. Willy Falcon przyznał się do winy, zanim rozpoczął się jego proces i otrzymał dwadzieścia lat za pranie brudnych pieniędzy oraz milion dolarów grzywny. Żaden z nich nie został nigdy oskarżony w procesie o morderstwo którejkolwiek z osób, które miały zeznawać w ich pierwszym procesie. Czterdzieści innych osób uczestniczących w ich operacji przemycniczej również trafiło do więzienia.

Operacje Royal Charm i Smoking Dragon doprowadziły do aresztowania osiemdziesięciu siedmiu oskarżonych o wymuszanie haraczy i inne przestępstwa, z czterema aktami oskarżenia z Los Angeles i sześcioma z Newark. FBI przejęło ponad 5,3 milionów fałszywych Supernotes (co było największym przechwyconym szmuglem tego rodzaju), trzydzieści sześć tysięcy pigułek ecstasy i prawie pół kilograma metam-fetaminy. Oskarżonym postawiono zarzuty handlu bronią i konspiracji w celu przemytu wartych ponad milion dolarów pistoletów z tłumikiem, pistoletów maszynowych, karabinów szturmowych i innej broni, łącznie z wyrzutniami rakiet, według raportu FBI¹⁰. Zarzuty obejmowały pogwałcenie RICO, handel fałszywymi dolarami, handel narkotykami, pranie brudnych pieniędzy, próbę okradzenia skarbu państwa

oraz nielegalny handel bronią. FBI określiła tę grupę mianem „potężnej organizacji kryminalnej mającej wolę i środki pozwalające przesmuglować praktycznie każdego rodzaju towar”¹¹.

Wiceszef rodziny Gambino Anthony „the Genius” Megale 6 września 2006 roku został uznany za winnego zarzutów wymuszania haraczy oraz dokonywania wyłudzeń i dostał wyrok jedenastu lat i trzech miesięcy pozbawienia wolności.

Szef rodziny Gambino Arnold Squitieri 20 kwietnia 2007 roku uznany został za winnego zarzutów wymuszania haraczy oraz dokonywania wyłudzeń. Miał być sądzony razem z DePalma już w kilka tygodni po tym, jak przyznał się do stawianych mu zarzutów. Skazano go na siedem lat i osiem miesięcy w więzieniu federalnym.

Sayed Abdul Malike, taksówkarz terrorysta, który chciał kupić ła dunki wybuchowe, został uznany za winnego stawianych mu zarzutów w styczniu 2004 roku i skazany na trzy lata i miesiąc pozbawienia wolności oraz trzy lata dozoru sądowego, a niedawno został deportowany do kraju, skąd pochodził, Afganistanu. Sprawa ta trafiła na pierwsze strony gazet, gdyż zatrzymanie Malikea było efektem współpracy policji nowojorskiej, FBI oraz Joint Terrorism Task Force. Facet, który zainicjował tę sprawę - strażnik więzienny, który był właścicielem sklepu - powinien dostać nagrodę za czujność i za to, że dotarł do FBI.

Policjanci z Hollywood otrzymali następujące wyroki: Kevin Companion - czternaście lat; Jeff Courtney - dziewięć lat; Stephen Harrison - dziewięć lat; Thomas Simcox - jedenaście lat plus sto tysięcy dolarów grzywny. Simcox otrzymał złagodzony wyrok, ponieważ współpracował z FBI w trakcie śledztwa.

Według „Miami Herald” z 20 lipca 2007 roku, Kevin Companion podczas wydawania wyroku powiedział z płaczem: „Długo byłem dobrym policjantem i dobrym człowiekiem. Nie jestem już policjantem, ale wciąż jestem dobrym człowiekiem”.

Craig Callaway, skompromitowany przewodniczący rady miejskiej Atlantic City, został skazany na trzy lata i cztery miesiące pozbawienia wolności za przyjmowanie łapówek Callaway bronił się następująco: „To, co zrobiłem, było złe, ale chciałem jedynie pomóc ludziom, którzy byli zostawieni samym sobie”. Innymi słowy, członkom niewielkiej społeczności Atlantic City, którą wcześniej pozbawiono dojsć do zleceń na rynku budowlanym. Callaway najwyraźniej wierzył, że przyjmowanie łapówek od tych ludzi stanowiło legalną formę pomocy w ich przedsięwzięciach biznesowych¹².

Al Alvarez, wspólnik mafijnej rodziny Lucchese, Kubańczyk, a na wcześniejszym etapie swej gangsterskiej kariery członek Tanglewood Boys, otrzymał półtora roku za przestępstwa związane z hazardem. Sędzia odrzucił wniosek o zwolnienie za kaucją. Sędzia sądzący w tej sprawie, Alvin Hellerstein, dwukrotnie pozwolił Alvarezowi spotkać się z córką. Według „New York Daily News” z 5 stycznia 2007 roku sędzia zabronił Alvarezowi udziału w przyjęciu z okazji jej piątych urodzin, odbywającego się w snobistycznym klubie w Eastchester. „Wniosek odrzucony”, napisał według „Daily News” Hellerstein. „Przyjęcie odbywające się w domu, szkole czy kościele to jedna rzecz. Przyjęcie odbywające się w przeddzień powędrowania za kratki - to zupełnie inna sprawa. Zwolnienie za kaucją przyznawane jest w określonym celu, a ta uroczystość z nim nie harmonizuje”.

Ramon Rosario, członek rady miejskiej Atlantic City, przyznał się do brania łapówek w zamian za protekcję w grudniu 2006 roku i został skazany na dziesięć miesięcy więzienia.

Chris Sucarato, wspólnik Gambino i kandydat na żołnierza Gambino, któremu w Naked Truth dałem łapówkę za ochronę, dostał dwa lata i miesiąc za przestępstwa, które wymienia RICO, i za wymuszenia.

Joe „Machines” Fornino dostał dziesięć miesięcy w areszcie za przestępstwa związane z hazardem.

Johnny „Hooks” Capra, kapitan Lucchese, otrzymał osiemnaście miesięcy w areszcie za wymuszenia i hazard.

Tommy „Sneakers” Cacciopoli, kapitan Gambino, dostał dwa lata w areszcie za współudział w przygotowaniu wymuszeń.

Pasquale „Scop” DeLuca, kapitan Genovese i aktywny szef gangów ulicznych, dostał rok i dziewięć miesięcy za przestępstwa związane z hazardem.

Louis Filippelli i Nicky LaSorsa otrzymali, każdy z osobna, trzy lata i dziesięć miesięcy aresztu za wymuszanie haraczy. Obaj byli pasowanymi członkami rodziny Gambino, których w rezultacie tego śledztwa zidentyfikowano jako aktywnych kapitanów.

Alphonse „Funzi” Sisca, kapitan w gangsterskiej rodzinie Gambino, dostał wyrok sześciu lat i trzech miesięcy więzienia.

Peter Vicini alias „Petey Chops” nie został oskarżony w żadnej ze spraw, z którymi miałem związek, choć prawdopodobnie już się nie sto łuje w Bloomingdales. Dzięki temu śledztwu Vicini został zidentyfikowany jako regularny członek rodziny Gambino.

Robert Vaccaro, żołnierz Gambino i aktywnie działający kapitan DePalmy, został skazany na osiem lat więzienia za przestępstwa opisane w RICO i za wymuszenia.

Joe Moray, dawny kierownik Grega DePalmy i współpracownik Gambino, dostał rok i osiem miesięcy dozoru sądowego. Gdyby pozostał przy Gregu, zamiast rozstać się z nim po kłótni, dostałby wyższy wyrok.

Greg DePalma został ujęty 6 czerwca 2006 roku, a 25 września 2006 roku skazany na karę dwunastu lat więzienia. Obecnie przebywa w więzieniu federalnym w Butner w Północnej Karolinie.

DePalma i sędzia Hellerstein byli mniej więcej rówieśnikami. Po wyroku DePalma powiedział, że sędzia, wówczas siedemdziesięciodwulatek, na oko cieszy się lepszym zdrowiem niż on, Greg. Sędzia zgodził się i dodał:

- No cóż, nie przeżyłem tego, co skazany. Przy ogłaszaniu wyroku Hellerstein powiedział:
- Z pewnością taki wyrok w wieku siedemdziesięciu czterech lat nie brzmi zachęcająco. Ale w pewnym sensie, sami pracujemy na to, co nam się przytrafia.

Według „Daily News” Hellerstein nakazał również DePalmie wypłacenie siedemdziesięciu tysięcy dolarów zadośćuczynienia dwóm towarzystwom, od których wyłudził pieniądze.

- Czy mogę im dać czek z mojego ubezpieczenia? - zażartował DePalma.

2 października 2007 roku grupa agentów otrzymała od prokuratora generalnego i Departamentu Sprawiedliwości nagrodę za wzorową służbę, to znaczy za przeniknięcie w szeregi należącej do La Cosa Nostra rodziny Gambino. Wyróżnienia przypadły w udziale agentom specjalnym FBI- Natale Parisiemu, Michaelowi Pollicebwi, Williamowi P. Readyemu i Josephowi A. Della Pennie. Pięciu wybitnych agentów, którzy również przyczynili się do takiego sukcesu śledztwa, nie otrzymało wyróżnień. Byli to agenci specjalni FBI Chris Munger i Bim Liscomb oraz agenci AUSA Ed OCallaghan, Chris Coniffi Scott Marah. Pominięto też jeszcze jedną osobę, która odegrała kluczową rolę w śledztwie: agenta specjalnego Joaquina „Jacka” Garcję. Musiało to być biurokratyczne przeoczenie.

Podziękowania

Chciałbym tutaj wspomnieć o ludziach, którzy sprawili, że powstanie tej książki stało się możliwe, i im podziękować. Chciałem podziękować mojemu prawnikowi Stephenowi Sheppardowi z Cowan, DeBaets, Abrahams and Sheppard LLP - dziękuję za opiekę i wsparcie podczas całego trwania tej niewiarygodnej podróży. Chcę podziękować mojemu wydawcy Zachary'emu Schisgalowi; mojej adiustorce Deborah Manette; adwokatowi Ericowi Raymanowi, Esq.; asystentce wydawcy Shawnie Lietzke; i wszystkim ludziom z Touchstone Fireside, oddziałowi Simon and Schuster, za ich świetne pomysły i wkład w wydanie tej książki. Dziękuję człowiekowi, który napisał razem ze mną tę książkę, Michaelowi Levinowi, za jego niezmordowany wysiłek i oddanie temu projektowi; niesamowitej asystentce Michaela Nicole Horton oraz maszyniście Terrie Barnie - za ich pomoc w zrobieniu z tego tekstu świetnej książki. Dziękuję Paulowi Fedorko z The Trydent Media Group za zainteresowanie się całym projektem; Johnowi Hensonowi, agentowi specjalnemu Christopherowi J. Mungerowi oraz emerytowanemu szefowi jednej z sekcji FBI Thomasowi G. Donlonowi; emerytowanemu kapitanowi NYPD oraz aktorowi Joe Lisiemu i autorowi bestsellerów

Stanowi Pottingerowi - za ich entuzjazm i słowa otuchy, które skłoniły mnie do napisania tej książki.

Wielkie dzięki składam następującym osobom za rolę, jaką odegrały w moim szkoleniu, począwszy od Akademii FBI w Quantico w Wirginii:

Mojej pierwszej grupie treningowej nowych agentów 80-4, zwłaszcza prowadzącym zajęcia Jamesowi R. Pledgerowi oraz Reynoldswi Selvaggio, za ich wsparcie i słowa zachęty, które sprawiły, że wróciłem do Quantico i zdołałem ukończyć szkolenie. Z mojej ostatniej klasy, grupy treningowej nowych agentów 80-12, bardzo dziękuję Thomasowi „TJ” Murrayowi, niech spoczywa w pokoju. Dziękuję Ci, TJ - bez twojej pomocy w Quantico ta książka nigdy by nie powstała.

Chciałbym podziękować następującym osobom, z którymi miałem przyjemność pracować podczas mojego pierwszego przydziału FBI do Newark, New Jersey, za ich szkolenie, przyjaźń, a przede wszystkim wpływ, jaki mieli na moją karierę zawodową:

* SSA - supervisory special agent (przyp. tłum.).

Dziękuję wszystkim agentom specjalnym oraz tymczasowym współpracownikom oddziału FBI w Newark, zwłaszcza elitarniej komórce zajmującej się napadami bankowymi, zbiegami i terroryzmem znanej jako C-i: głównodowodzącemu agentowi specjalnemu (SAC) Robertowi McCarthy'emu, nadzorującemu agentowi specjalnemu (SSA13) Jamesowi E. Hoffmanowi, SA Edwinowi Petersenowi, SA Danielowi P. McLaughlinowi, nadzorującemu agentowi specjalnemu (SSA) George'owi „Patowi” Johnsonowi, SA Rene Amayi, SSA Bernardowi Thompsonowi, SAC Andre Stephensowi, SA Thomasowi Menapace'owi, SSA Ronowi Romano, SA Edwardowi White, SSA Jimowi Swayze, SA Dickowi Siko-ralowi, SA Ronaldowi Butkiewiczowi, SA Barryemu Martinowi, SSA Jamesowi Dougherty'emu, SA Maureen McAvoy, SA Jose Reyesowi, analitykowi wywiadu (LA14) Theresie Delloiacovo-Minovich, detektywowi z NJSP15 Robertowi Vasquezowi oraz SA Thomasowi Freidmanowi.

Dziękuję wszystkim moim przyjaciołom w oddziale w Filadelfii. Oto osoby, z którymi miałem przyjemność pracować w czasie śledztwa narkotykowego BT Express/Metroliner: SSA Gilbert Van Marsh, SSA Jerome Peters, SA Ed Sims, SA Robert Nettles, SA Annette Vogts, SSA Randez Hadden, SA Reynold Selvaggio, asystent prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych (AUSA) David Fritchey, AUSA Al Wicks, AUSA Paul Mansfield, IA Michele Goebig, SA Thomas Tierney oraz SA Gerry Williams.

Dziękuję wszystkim przyjaciołom w oddziale w Nowym Jorku, a zwłaszcza wszystkim aktualnym oraz niegdysiejszym członkom Wydziału Antynarkotykowego C-13, FBI/NYPD, ludziom, z którymi tak dobrze mi się pracowało i dzięki którym cieszyłem się, że jestem częścią komórki. Oto agenci i detektywi, których chciałbym wyszczególnić: zastępca dyrektora (ADIC16) Lewis Schiliro, zastępca głównodowodzącego agenta specjalnego (ASAC) Charles Domroe, szef sekcji FBI Charles J. Rooney, ASAC Thomas Nicpoń, ASAC Diego Rodriguez, ASAC Don Ackerman, ASAC Dennis Buckley, SAC Pedro Ruiz, SAC Charles Cunningham, SSA Robert Joyce, SAC Michael Tabman, SA Craig M. Arnold, SA Reynaldo Tariche, SA Steve Hubeck, SA Salvatore Lomonto, SSA James A. Gagliano, SA Danielle Messineo, SA Sean McMullen, SSA Robin Gazawi, SA Richard Shaw, SSA Niall Brennan, SSA Richard Walsh, SA James Lopez, SA Stephen B. Morley, SA Matt Womble, SA David L. Coletti, SSA Paul E. Cassidy, SSA Fernando Llanos, SA Edgar „Rusty” Wright, SA Don Bean, SSA Juan „Sunny” Grajales, SA Holly Meador-Barille, SSA John Scata, SSA Kim Clinton, SST Sharon Steinhauer, SA James Gregorio (ICE), ASAC D. Shepard Rabbiner, oraz pierwsza sekretarka komórki, która dbała o nas wszystkich, Barbara Ferchland. Detektywi NYPD: Paul Caroleo, detektyw pierwszego stopnia Steve Casazza, Michael Costello, detektyw pierwszego stopnia Francis Berberich, George C. Daley, William Mitzeliotis, Wayne Behnken, Kevin Dunleavy, sierżant Daniel C. Evans, Rafael DiLone, John Segovia, Mariano „Dee” D'Christina, Michael Parker, Jim Murphy, Kathy Muga-Coletti, pułkownik Chris Hannon, asystent prokuratora federalnego (AUSA) Elaine Banner, AUSA Jody Avergun oraz AUSA Jed Davis. Dziękuję także pułkownikowi Jimowi Fischerowi oraz jego załodze w Specjalnym Wydziale Śledczym, Wydziale Policji Danbury oraz byłemu sędziemu Sądu Najwyższego w Nowym Jorku Johnowi Diblasi.

Chciałbym podziękować także osobom, które poznałem dzięki pracy w FBI i z którymi miałem przyjemność pracować. Oto one: szef i przyjaciel Wydziału FBIHQ Thomas G. Donlon, ADIC Richard T. Garcia, ADIC Mark J. Mershon, ADIC Pat D'Amuro, SAC David Cardona, ASAC David Shafer, SSA Richard Frankel, SAC Kenneth T. McCabe, SA Ronald J. Moretti, SA John T. Dugan, SA Chris Anglin, SA Carmine A. Esposito, SA Jose M. Flores junior, SA Johanna Loonie-Esposito, SA Beamon L. Kendall, SA David R. Orozco, moi dobrzy przyjaciele, SSA David Sebastiani oraz SA Joseph A. Cincotta, NYPD detektyw Frank „Big Fran-kie” Manzione, SA Joseph „Donnie Brasco” D. Pistone, szef wydziału Stephen A. Salmieri, SA Edmundo Mireles, SSA Robert M. Hart, SA Charles „Bud” Warner, SA James Macintosh,

SA John L. Kapp, NYPD detektyw Mario Cordona, SSA Michael McKinney. A także mój dobry przyjaciel SA Giraldo „Jerry” Bermudez, SA Michael McGowan, SA Antonio Dillon, detektyw Eddie Dominguez z Wydziału Policji w Bostonie, SSA Kevin J. White, SA Carlos Fernandez oraz SA Jenny Espinosa (DEA). Dziękuję SA Richardowi Medei oraz SSA Jamesowi Gagliano i elitarniej SWAT Team za profesjonalizm, jaki okazali, ochraniając mnie podczas procesu Grega DePalmy. Oto osoby, które również chciałbym wymienić: SA Martin Suarez, SA Carlos Castello, SA Vincent Pankoke, SA Jerry Hester, SA Gary Moore, SA Dave Roberts, SA Daisy Clemens, SA Richard Stout, SA Kevin Conroy, SSA Gary Loeffert, SSA Chris Pier-sza, SA James Margolin, SA Robert Booth, SSA Dawn Bruno, SSA Mark Horton, SA Richard Defilippo, SSA Neil Moran.

SSA George M. Hanna, SA Eileen O'Rourke i wszyscy członkowie komórki Bonnano - wasza ciężka praca i wytrwałość w zakładaniu spraw przeciwko członkom rodziny Bonnano zasługuje na pochwałę. SA Stephen Byrne, SA William McCarthy, SA Todd Renner (agent prowadzący sprawę taksówkarza terrorysty), SSA Kevin M. Hallinan oraz SA Rico Falsone, dziękuję mu za jego wspaniałą pracę nad rozpracowywaniem Albanian Rudaj Organized Crime Family (Albańska Rodzina Przestępcza Rudaj). Dziękuję SA Johnowi Sereno za jego niesamowitą pracę w śledztwie Anthonyego Megalego w New Heaven, Connecticut. Dziękuję SSA Johnowi Foleyowi, SSA Kevinowi Constantine, SA Giraldo „Jerryemu” Bermudezowi, SA Michaelowi Carazzie oraz pułkownikowi detektywowi Frankowi Manciniemu z Wydziału Policji w Bostonie - z Wydziału do spraw Korupcji - chciałbym wam podziękować za możliwość pracy z wami, chłopaki, w waszym śledztwie dotyczącym korupcji trzech członków Wydziału Policji w Bostonie.

Dziękuję mojemu dobremu przyjacielowi SSA Philowi Scali oraz jego komórce do sprawy Gambino - C-16. Dziękuję ci za wsparcie przez te wszystkie lata, zwłaszcza podczas mojej pracy tajnego agenta w śledztwie przeciwko mafii. Oto osoby, którym także należą się szczególne podziękowania: SA Theodore Otto, SA Rita Steiner, SA Cindy Peil, SA Gerry Conrad, SA Beth Ambinder oraz SA Chris Lamanna - za ich nieprzeciętną pracę w śledztwie dotyczącym największych oszustw internetowych, bankowych i telekomunikacyjnych, jakich dokonywali Gambino. Niesamowita praca!

W sprawie „Tarnished Badge” w Hollywood na Florydzie za śledztwo w sprawie skorumpowanych policjantów specjalne uznanie należy się za pracę i wsparcie, jakich udzielało wiele osób. Wymienię niektóre: SAC Jon Solomon, SAC Michael Clemens, ASAC Tim Delaney, SSA Mario Tariche, SA Kevin Luebke, SA Michael Grimm, SA David Sebastiani, SA Joseph A. Cincotta, SA Tony Velasquez, SA Geoffrey Swinerton, SA Antonio E. Casta?eda junior, SA John Jones oraz AUSA Edward N. Stramm.

Dziękuję tym, którzy pracowali nad śledztwem w sprawie przekupywania sędziów przez Willyego Falcona oraz Sala Maglutę. Oddanie sprawie i ciężka praca Maria Tarichego jest nie do przecenienia. Chciałbym także podziękować ASAC Michaelowi Andersonowi oraz SA Den-nisowi Donnellowi (IRS), którzy wraz z Mariem Tarichem, wcieleniem nieustępliwości i etyki pracy, wysyłał światu przestępczemu komunikat następujący: „Nie zdołacie skorumpować sprawiedliwości amerykańskiego systemu prawnego”. Dziękuję także pracownikom Biura Gubernatora Federalnego w Miami za ich ciężką pracę. Trzeba zwłaszcza docenić te oto osoby: AUSA Pat Sullivan, AUSA Edward Nucci, AUSA Julie Paylor oraz AUSA Michael Davis, którzy skutecznie oskarżali osoby będące w zainteresowaniu śledztwa.

Dziękuję tym, którzy bez wytchnienia pracowali w oddziale w Newark, śledztwie w Atlantic City o nazwie „Steal Pier”. Ze swej strony chciałbym wyróżnić następujące osoby: SSA Jamesa Mallona, SSA Michaela Costanziego, SA Jamesa Eckela, SA Edwarda Corrigan, SA Roberta Gilmorea, SST Donnę Craven oraz SA Michaela Grima.

Moi przyjaciele Big Lou, Kent, Peter, Jimmy, Howie, Chris, Little Louie, Doktor Frank, Walt, Jack, George, Ramon, Pat, Ski - dziękuję wam za wszystko, zwłaszcza za waszą przyjaźń. Wszystkim moim przyjaciółom ze szkoły średniej oraz z college u, a także kolegom z drużyny -składam podziękowania za to, że mnie nauczyli, jak ważna jest gra zespołowa. Prezesowi Anthony'emu Bergamo oraz wszystkim czcigodnym członkom Federal Law Enforcement Foundation, którzy przez ponad dwadzieścia lat wspierali naszą społeczność organów ścigania - dziękuję za przyznanie mi tak zaszczytnego odznaczenia i listopada 2007 roku.

Wszystkim, których wymieniłem powyżej, oraz tym, o których być może zapomniałem wspomnieć - dziękuję za wsparcie i przyjaźń. Mój sukces zawodowy w dużej mierze zawdzięczam wam oraz ciężkiej pracy, która sprawiła, że w FBI z FNG stałem się UCA! Dziękuję wam!

Spis treści

9 CZĘŚĆ I. WEJŚCIE DO GRY

11 Prolog. Bitwa w Bloomingdale's 26 Rozdział 1. Come Fly with Me 29 Rozdział 2. Wszystko przez Serpico 37 Rozdział 3. FNG 46 Rozdział 4. Zmagając się z wagą 60 Rozdział 5. Witajcie w Nowym Jorku 68 Rozdział 6. Zarobić dwa miliony dolarów podczas lunchu 82 Rozdział 7. „Pamiętasz Pulp Fiction? Jestem Wolf!” 89 Rozdział 8. Wołanie o pomoc z Bronxu 110 Rozdział 9. Łapówka w Naked Truth 119 Interludium 1. Royal Charm

129 CZĘŚĆ II. GROMADZĄC DOWODY W SPRAWIE

131 Rozdział 10. Spotkanie z Dziadkiem Munsterem 140 Rozdział 11. Greg chwyta przynętę 146 Rozdział 12. Uwodzenie Grega DePalmy 151 Rozdział 13. Wspólnik 160 Interludium 2. Atlantic City - przyjaciele na wysokich stanowiskach

171 Rozdział 14. „Jakbyśmy w cmentarz zainwestowali, toby ludzie przestali odwalać kitę”

189 Rozdział 15. „Masz kopalnię, to masz i złoto”
207 Interludium 3. Rozpracowywanie Hollywood
224 Rozdział 16. Mogłem umrzeć jako Jack Falcone!
230 Rozdział 17. Spotkanie z Robertem Vaccaro
243 Interludium 4. Sprawa dziwnego taksówkarza

249 CZĘŚĆ III. KONIEC GRY

251 Rozdział 18. FBI do Falconego: spadaj
257 Rozdział 19. „Lubię dostać buziaka, kiedy się mnie pieprzy”
264 Rozdział 20. Oskarżony: Greg DePalma
273 Rozdział 21. Wyrok
279 Rozdział 22. Jack Falcone wychodzi z gry
288 Epilog. Gdzie są teraz?

295 Podziękowania

1 Genius - geniusz (przyp. tłum.).

2 Genius - geniusz (przyp. tłum.).

3 Sędzia Judy to amerykański program telewizyjny, którego polskim odpowiednikiem jest Sędzia Anna Maria Wesołowska (przyp. tłum.).

4 Artezyjska woda butelkowana Voss jest wydobywana z wielkich podziemnych zbiorników wody, „które byty przez wieki ukryte pod lodem i skałami w niedostępnych rejonach środkowej Norwegii”. Zgodnie z www.Voss.com „rozlewana do cylindrycznych butelek Voss szybko zyskała markę i znaczącą pozycję w sektorze wody butelkowanej najwyższej jakości”.

5 Falcon - jastrząb (przyp. tłum.).

6 Joe Della Penna jest świetnym facetem, który zjadł zęby na tej sprawie i należą mu się szczególnie wyrazy uznania. Joe jest błyskotliwym specem od przekrętów związanych z zatrudnianiem pracowników i związkami zawodowymi.

- 7Major League Baseball (MLB) - najważniejsza amerykańska liga baseballu (przyp. tłum.).
- 8Informacje pochodzą z uwag przygotowanych przez asystenta prokuratora generalnego USA
- 9Komunikat prasowy Departamentu Sprawiedliwości (Federal Racketeering Indictments Target International Smuggling, Counterfeit Currency Operation) z 22 sierpnia 2005 roku oraz komunikat prasowy Departamentu Sprawiedliwości 06-044 z 19 kwietnia 2006.
- 10Informacje pochodzą z uwag przygotowanych przez asystenta prokuratora generalnego USA
- 11Komunikat prasowy Departamentu Sprawiedliwości (Federal Racketeering Indictments Target International Smuggling, Counterfeit Currency Operation) z 22 sierpnia 2005 roku oraz komunikat prasowy Departamentu Sprawiedliwości 06-044 z 19 kwietnia 2006.
- 12George Anastasis, N.J. Politician Behind Sex Tape is Jailed, „Philadelphia Inquirer”, 14 marca 2007.
- 13ADIC - assistant director in charge (przyp. tłum.).
- 14IA - intelligence analyst (przyp. tłum.).
- 15NJSP, New Jersey State Police - oficjalna nazwa policji New Jersey (przyp. tłum.).
- 16ADIC - assistant director in charge (przyp. tłum.).